

Pamiętnik Działaczki



1000172184

DRUKIEM PIOTRA LASKAUERA
WARSZAWA. NOWY-ŚWIAT 41

Pamiętnik Działaczki

(Lily Braun)

Lata dojrzewania.

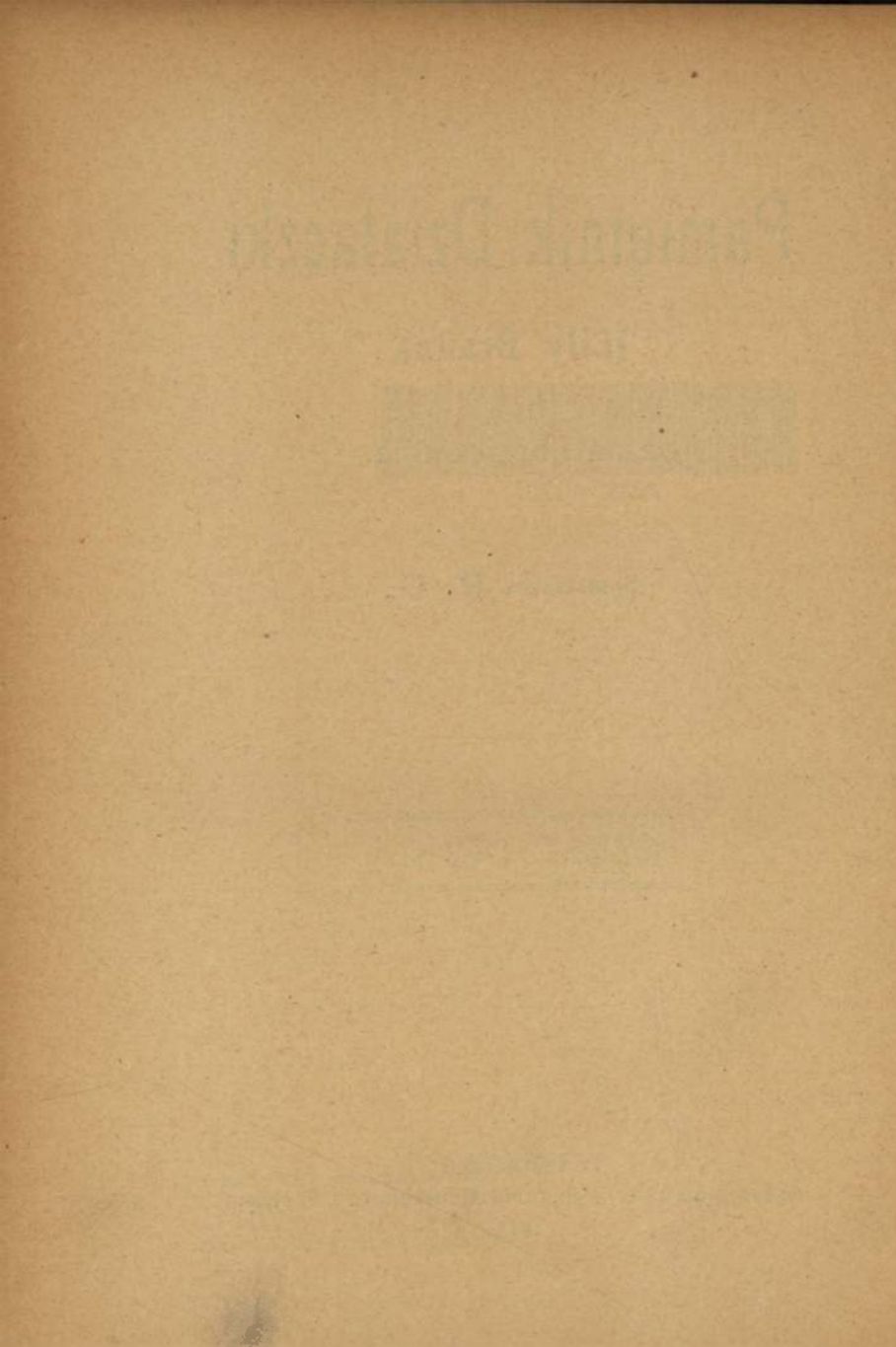
Spolszczyła R. C.

CZEŚĆ DRUGA

WARSZAWA

Skład główny w księgarni Gebethnera i Wolffa.

1913



ROZDZIAŁ PIERWSZY.

„Powiedziano pani już najświeższą nowinę?” — zagadnęła mnie jedna z współzawodniczek na targowicy próżności kobiecej, gdy stałam naprzeciw niej w figurze kontredansowej — księżę Hellmut jest chory i wziął całoroczny urlop”, — uśmiechnęła się nawpół zwyczajsko i nawpół ironicznie, jak tylko kobiety śmiać się potrafią.

„Wiem, że oddawna miał już ten zamiar” — odpowiedziałam z najzupełniejszym spokojem.

Tańczyłam wieczora tego do upadłego, mając dla każdego uprzejme słówko i zalotne spojrzenie, dzięki czemu wiązanki kotylionowe piętrzyły się jak nigdy jeszcze u mojego gorsu. Dopiero po powrocie do domu, stojąc przy otwartem oknie, przez które wlewało się orzeźwiające powietrze marcowe, napelniając duszny pokój przecuciem nowej wiosny, zrzuciłam z siebie z obrzydzeniem błyszczącą suknię balową, sztuczne róże i atlasowe pantofelki.

„Nie wytrzymam już dłużej” — rzekłam sama do siebie. Wszystko przypominało mi tutaj przeszłość,

każde spojrzenie, uśmiech każdy wydawał mi się dotknięciem rąk plugawych. „Muszę odjechać stąd daleko jaknajdalej?”

Nietrudno mi było uzyskać od rodziców pozwolenie na wyjazd. Obowiązkom towarzyskim uczyniłam w tym sezonie zadość, a stan mojego zdrowia stale dostarczał pożądanego pretekstu do wczesnego wyjazdu na wieś; wystarczyło tylko zapowiedzieć swoje przybycie; i mogłam po kilku dniach znaleźć się w Pirgałowie. Pod opieką jednej ze znajomych, której obecność zniewalała mnie do panowania nad sobą, pojechałam do Berlina, gdzie zająć się miał mną wuj Walter, przebywający w stolicy na sesji parlamentu.

„Pięknie się sprawujesz” — były jego pierwsze słowa. Spojrzałam na niego niemile zdziwiona. „Chcieliśmy zatrzymać cię tutaj kilka tygodni” — dodał — ale wszyscy tak świeżo mają jeszcze w pamięci twoją historię, że lepiej będzie, abyś się przez czas jakiś nie pokazywała jeszcze między ludźmi”. Ciotka Emma nie omieszkała skorzystać ze sposobności rzucenia kilku złośliwych uwag o „nieudanych planach”, o „ukaranej próżności mojej”, tak że odetchnęłam z ulgą, znalazłszy się już w pociągu do Królewca.

Serdecznością, która wydawała mi się większą jeszcze niż zazwyczaj i która jedyną była oznaką, że wie o wszystkich przycisnęła mnie babunia do serca. Tak zacisznie było i przytulnie w jej zielonych pokoikach, za grubemi murami, jakgdyby nigdzie na świecie nie wyły wichry i burze. Po kilku wszakże już dniach miało echo ich obić się o moje uszy. Nadeszły od rodziców dwa listy jednocześnie. Otworzyłam najpierw list mamy — lękałam się instynktownie drugiego.

„Ojciec — pisała matka — tak jest wzburzony, że uważam za właściwe nie odsyłać jego listu bez mojego. Przeniesienie do Bydgoszczy było dla niego gromem z jasnego nieba. Jeśli nie jest ono nawet wyraźną degradacją, pozostaje niewątpliwie wszakże w związku ze smutną twoją aferą, która nie mogła nie dojść do wiadomości wysokich sfer i nie być przez nie należycie potępioną. Gdyby ci chociaż posłużyć ona mogła za naukę, że musisz trzymać na wodzy kaprysy twoje i namiętności, jeśli nie chcesz doprowadzić rodziców do ostatecznej ruiny”

Drżącymi rękami otworzyłam list ojca. Brzmiał on:

„Drogie moje dziecko! Czytamy w Biblii, że grzechy ojców mszczą się na dzieciach, inna, jednakże gorzka prawda, której na własnej doświadczam skórze, nie jest tam wypowiedziana, mianowicie, że ojcowie pokutować muszą za winy dzieci. Mianowano mnie szefem inspekcji armii zapasowej — co równa się upakarzającej kary degradacji, na którą powinien byłbym właściwie odpowiedzieć podaniem prośby o dymisyę, co uczyniłbym oczywiście, gdybym nie był zmuszony służyć w dalszym ciągu, aby mózdz utrzymać moją rodzinę...”

Nie mogłam powstrzymać łez, dając listy te do odczytania babce. Wązką swoją chłodną dłonią wiodła ona po gorącym mojem czole, uspakajając mnie słowami pełnemi dobroci:

„Ojciec przesadza trochę w pierwszej chwili uniesienia; nie jest napewno tak źle, jak mu się wydaje, a miłością i męstwem swoim możesz mu niemałą przynieść ulgę. Nie dałam się jednak tak łatwo uspokoić. Doznawałam okrutnej rozkoszy w dręczeniu samej siebie świadomością winy, której nie mogłam jednak uważać za świadome przewinienie.

„Taki już mój los sprowadzać nieszczęście na wszystkich, którzy mnie kochają” — tak sformułowałam pewnego dnia w rozmowie z babunią wynik bolesnych moich rozmyślań. „Dziecinny, a co gorsza paraliżujący całą siłę pogląd” — odparła — „bohaterki tego pokroju spotkać można jedynie w tragediach scenicznych, których wartość jako dzieł sztuki bardzo jest zresztą niewielka”.

Kierując mną umiejętnie i niedostrzegalnie, wywieiała na mnie pewną presję, której wyniki uświadomiłam sobie dopiero znacznie później. Dzięki niej zdołała odciągnąć mnie od nieustannego tego zajmowania się samą sobą!

Powołała do życia przytułek dla dzieci, w którym maleństwa w wieku przedszkolnym bawiły się pod opieką starej kobiety wiejskiej i przez nią też zaprawiane były do porządku i czystości. Babunia spędzała wśród gromadki swojej kilka godzin dziennie, i w czarnej swojej aksamitnej sukni, siedząc na wzniesieniu, wyglądała, jak zjawisko z obcego świata. Długie cienkie jej palce zajęte były wycinaniem lalek z papieru, podczas opowiadania otaczającej ją zwartem kołem rzeszy, bajek fantastycznych. Od czasu do czasu brała w obroty jakąś mocniej zwichrzoną główkę, której włosy zaplatała w warkocze lub też czyściła bardziej zamorusany nosek i myła uparciej zasmolone łapki. Wszystkie czynności te spełniane przez nią z miłym spokojem, budziły we mnie odrazę, dużo kosztując mnie przewyciężenia. Wiejskie dzieci Pirgaleńskie stwierdzały wymownie fałsz sentymentalnego pojęcia o kwitnącym wyglądzie dzieci wiejskich. Bardzo niewiele było między nimi okrągłych i pełnych policzków, maleńką tylko garstkę ich można było uważać za zdrową fizycznie.

Większość chybotąca się z trudem na krzywych nóżkach, miała wyrzuty na głowie i ciele, zaropiałe oczy, nie brakło nawet ułomnych, a brud i robactwo toczyły wszystkie niemal. Wiele z nich gapilo się bezmyślnym wzrokiem w próżnię, wiele siedziało godzinami bez ruchu na jednym miejscu, jak zmęczeni życiem starcy. Inne znów głodne i hałaśliwe, używały wrażeń, których znaczenie zaledwie możliwe dla mnie do odgadnięcia, zalewało mi policzki gorącą falą rumieńca wstydu. Czy naprawdę pomoże im to cokolwiek, że będą oczyszczone tutaj nieco podczas kilku lat wczesnego dzieciństwa z wewnętrznego i zewnętrznego brudu? — myślałam nieraz, utwierdzając się w tem wątpieniu, ilekroć matki ich uskarżały się na szkodliwe ich zdaniem dla zdrowia nadużywanie wody.

„Gdybyśmy nie uzyskali nawet nic więcej po za dostarczenie im kilku wesółych godzin oraz garści słonecznych wspomnień na całe przysze ich życie, — wystarczyłoby i to” — powiedziała babunia.

Chodziłyśmy często na wieś odwiedzać mieszkańców chat. Z bolesną regularnością powtarzało się tutaj zawsze jedno i to samo, wychodziły nam na spotkanie kobiety zaledwie trzydziestoletnie, a już siwe, z zapadniętą piersią i przygarbionemi plecami, przedwczesne staruszki, bezzębne, z tysiącem zmarszczek na wyschłej pergaminowej skórze, — tu i owdzie tylko kwitnące młode dziewczęta. Wszystkie one chodziły do miasta, do służby lub do fabryki, skąd przynosiły pozbawione ojców maleństwa, które starzy ich rodzice musieli wychowywać, chąc nie chcąc. Zawsze tych samych wypadalo nam słuchać skarg ojciec, mąż, syn przepijali groszowy zarobek, darząc w dodat-

ku żony, córki i siostry razami i wymysłami, gdy považały się upomnieć o prawa swoje do zarobionych pieniędzy.

Aż trzy szynki wydzierały sobie w Pirgałowie gości. Silny odór okowity, tytoniu i potu ludzkiego, przywarły do ich ścian, chwycił mnie za gardło, a mimo to był pobyt w karczmie znośniejszy, niż sparte powietrze izb, między hałasującymi dziećmi i zawodzącymi kobietami. Bałam się pijaków — teraz jednak zaczynałam ich rozumieć. Daremnie usiłowała babka wymóżyć na synu urządzenie wieczornych czytań oraz zorganizowanie biblioteki dla mieszkańców Pirgałowa, ażeby ich tą drogą odciągnąć od szynku. „Byłoby to budzeniem potrzeb, stanowiących wstęp do emigracji” — odpowiadał na jej namowy.

Tylko daleko na krańcu wsi, gdzie domy rybaków stały samotnie na wybrzeżu, a szare fale nosiły na grzbietach swoich teraz jeszcze, w marcu, kry lodowe, żyła rodzina zgodnie podług odwiecznego zwyczaju. Z krótką w zębach fajeczką naprawiał ojciec sieci, gdy żona, milcząc, jak on, siedziała przy czółenku tkackim. W święta czytywał stary ciężkim monotonnym głosem biblię, a co wieczór kończyła wspólna modlitwa troski i zajęcia całodzienne. Mimo to wydawało mi się tutaj jeszcze smutniej, niż we wsi. Panowało tutaj z całą surowością żelazne prawo podporządkowania dzieci woli rodzicielskiej. Dławiony był każdy poryw młodości, zamierało żywsze tętno radości istnienia.

Nie przychodziłyśmy nigdy z próżnemi rękoma, zawstydzał nas jednak zawsze przesadny sposób dziękowania — nie w stosunku do darów. Wszystko mi było jedno, czy był on udany, czy szczery, nie mogłam go

wprost znosić. Niejednokrotnie zwracała mi babka uwagę, że obrażam uchylaniem się od przyjmowania podziękowań.

„Nie mogę babuniu” — zapewniałam — „przynosząc biednej Lenie troszkę zupy, wstydę się tego tak bardzo, że najchętniej schowałabym się przed nią. Dlaczegoż to ja właśnie nie jestem Leną?”

„Lepszy dział, jaki ci się w życiu dostał, musisz opłacić staniem się lepszą” — odpowiedziała poważnie. Uczucie moje zażenowania wobec tamtych potęgowało się wciąż. Zagadnienie nędzy na świecie staowało przede mną w całej swojej olbrzymiej nierozwiązalności niby brama żelazna, wiodąca do nieprzystępnych wrót skalnych. Pokrywały ją plamy rdzawe i krew przywarła do niej — bolesne stygmaty tych wszystkich, którzy szamotali się nadaremnie, pragnąc zdobyć do niej wniście. Nikt nie posiadał wszakże klucza do niej i tylko niewielu żywiło jeszcze wiarę w słoneczne światy zapłaty zaziemskiej, umożliwiającą pogodzenie się z okrutną doczesnością.

Wieczorami czytywałyśmy razem babunia i ja. Najulubieńszą jej lekturę ówczesną stanowiły steno-graficzne sprawozdanie z obrad parlamentu, przysyłane jej stale przez syna. Zrazu nudziły mnie one okropnie, nie rozumiałam bowiem najelementarniejszych podstaw polityki. Koniecznym wprost, niemal pogardy godnym, wydało mi się, że Bismark, którego czciliśmy wszyscy, jak półboga, zużywał całą namiętność swojego daru krasomówczego, całą potęgę swojej indywidualności na poparcie sprawy tak według mojego pojęcia drugorzędnej, jak monopol wódczany. Zainteresowanie moje zbudziło się dopiero w końcu marca,

wzrastając wraz z dramatycznym napięciem rozpraw, kiedy na porządku dziennym postawiono przedłużenie prawa wyjątkowego dla socjalistów.

Babka moja była z zasady przeciwniczką wszelkich praw wyjątkowych, bez względu na to, przeciw komu one były skierowane przeciwko polakom, czy przeciw socjalistom. „Stwarzają one jedynie męczenników, a męczennicy zjednywają zastępy prozelitów, mawiała zazwyczaj; oddawna jednak zaniechała rozpraw na ten temat z synami i z zięciem, których zdaniem nie istniały dość energiczne zabiegi, mające na celu zwalczanie przewrotowców.

Własny mój stosunek do socjalizmu przypominał stosunek większości ludzi do religii, nie zastanawiałam się nigdy poważniej nad tą sprawą, nie mogłabym wprost tego uczynić, pewne bowiem dogmatyczne poglądy wszczepione mi zostały, jako coś bezwzględnie nie ulegającego kwestyi od najwcześniejszego już dzieciństwa, tak że nie było wprost w umysłowości mojej miejsca na twórczą w tym kierunku wiarę. Socjal-demokraci są zbrodniarzami nie cofającymi się przed najwyższą zbrodnią królobójstwa; pospolitymi rozpustnikami, których celem ostatecznym jest życie poświęcone poziomemu używaniu; uwodzicielami ludu i oszustami, mającymi na ustach szumne hasła wolności i braterstwa, gdy w rzeczywistości chodzi im tylko o własną korzyść — takie były tradycyjnie wszczepione mi poglądy, o których zasadności nie przyszłoby mi nigdy na myśl wątpić. Mroźna atmosfera braku ideałów, w której krzepła i lodowaciała sama nawet religijność, a która stanowiła nieodłączne środowisko sfer mi najbliższych, coraz przykrzej, w miarę

jak dorastałam, dawała mi się we znaki, potęgując wciąż tęsknotę moją za słoneczną krainą wewnętrznego życia, gdzie mogły rosnąć jeszcze kwiaty nadziei. Socjal-demokracja, kierująca zbrodniczą broń na ukochanego starego naszego monarchę, plwająca nieustannie na własną ojczyznę, burząca ustrój rodzinny, dążąca do uczynienia z kobiet własności ogółu, była w oczach moich, ostatniem już stadyum tego skostnienia ducha. Bywały też chwile, w których stawałam bardziej po stronie ojca i wuja, aniżeli babki, a ich życzenie, aby „ci niegodziwcy zawiśle wszyscy co do jednego na latarniach”, bynajmniej mnie nie oburzało.

Z wzrastającym zdziwieniem czytałam teraz sprawozdania z rozpraw. Identyfikowanie przez ministra Puttkamera, którego nie lubiłam już jako reakcyonisty kościelnego, biednych belgijskich robotników w kopalniach węgla, walczących o chleb przeciwko przemocy milionowych właścicieli kopalni, z socjaldemokracją niemiecką; — stawiania robotników tych jako przykład socjal-rewolucyjnego ruchu, który rząd niemiecki zwalczać będzie miażdżącą opozycją — wszystko to w nieopisane wprawiło mnie zdumienie. Odpowiedź Bebla, wykazującego, że ruch ten musiał powstać, wywołała go bowiem przemoc zbogaconych fabrykantów belgijskich, wspieranych przez siłę militarną, zwalczającą biednych robotników, jak wrogów ojczyzny — uderzyło mnie nieodpartą swoją logiką, wobec której zapomniałam nawet o osobie mówcy. Jakież było jednak rozczarowanie moje, kiedy po mowie Stöckera, rzucającego wymowne światło na przeraźliwie niską stopę zarobków okryciarek berlińskich, Singer, towarzysz partyjny Bebla, tego obrońcy wszystkich

uciśnionych, nieudolnemi jednak wykretami odeprzeć mógł uczyniony mu osobisty zarzut, że sam zawdzięcza wypłacaniu podobnych zarobków całe swoje zбоgacenie się.

Rozgoryczona tem rozczarowaniem, rzekłam do babki: „To zupełnie, jak u wielu kaznodziei chrześcijańskich: postępujcie wedle słów, ale nie wedle moich czynów.” Ale już po przeczytaniu następnych kilku stronic usposobienie moje ponownej uległo zmianie. Jeden z mówców konserwatywnych przytoczył cytate z manifestu Komunistycznego, w myśl której wspólność kobiet miała być podstawowym postulatem socyal-demokracji. Odpowiedź Liebknechta ujawniła cały fałsz tego przytoczenia, gdyż w rzeczywistości chodziło jedynie o wyzwolenie małżeństwa z pod pęty względów ekonomicznych. Czyż nie było to wypisaniem na sztandarze swoim ideału, nietylko nieureczywistnionego przez cywilizacyę chrześcijańską, ale coraz bardziej przez nią ścieranego na proch?!

Zainterpelowałam babkę w tej sprawie.

„Stanowi to właśnie zasługę partyi — odrzekła — okupiającą wiele jej grzechów, że umiała ona przyoblec stare ideały chrześcijańskie w nową szatę, wmawiając przytem w masy, że chodzi tu o nowe zupełnie prawdy. Urzeczywistnienie ich wszakże nie jest w jej mocy. Złożyć się muszą na to stulecia całe chrześcijańskiego wychowania i prawodawstwa. Przyjrzyj się chociażby tutejszym mieszkańcom. Już urzeczywistnienie tak popularnego dzisiaj żądania, głosowania powszechnego byłoby tutaj — wobec ich poziomu umysłowego — bezwzględnie przedwczesnem. Nie przypuszczasz chyba bowiem, aby mogło ludzkości wyjść

na dobre panowanie większości, składającej się dzisiaj jeszcze ze złych, głupich i surowych zupełnie ludzi.

Zamilkłam na ten argument; nasi wiecznie pijani chłopci mieliby być decydującymi czynnikami rozwoju kulturalnego?! — nie, to istotnie niedorzeczne:

Wyczytawszy w mowie Liebknechta powołanie się na dwa utwory powieści; „Sybilę” Dizraelego i „Germinala” Zoli skłoniło nas do sprowadzenia tych książek.

Przeczytałyśmy zarówno słaby utwór Anglika, tem tylko ciekawy, że autor jego, premier ministrów, stanął tak otwarcie po stronie „czarnych robotników” — jako też powieść Francuza, która wstrząsała mnie nowym codziennie dreszczem grozy, podsuwając mi w snach jeszcze straszliwe obrazy odmalowanej z taką maestrją okrutnej rzeczywistości. Przerażającym był fakt, że głód i nędza istnieją na świecie, — bardziej jednak jeszcze przerażającym było, że ludzie mogli znosić taki stan rzeczy.

Surowa zima i dżdżysta, ponura wczesna wiosna ustąpiły tymczasem miejsca rozśłonecznionemu majowi, którego królestwo jeszcze przez noc jedną roztaśkowało się w Pirgałowie całym przepychu barw swoich i blasków. Równocześnie nastął kres ciszy, panującej w zielonych pokojach babuni. Syn jej wraz z rodziną powrócił do domu i jak za dotknięciem różdżki czarodziejskiej ożył stary zamek. Byłam serdecznie temu rada, szara sieć melancholii osnuła mój umysł; bezcelowem i pustem wydawało mi się życie; nie znajdowałam sposobu na uwolnienie się od dręczących mnie natrętnych myśli własnych.

„W ostatnim czasie dużo znów cierpiałam pod-

czas samotnych godzin rozmyślenia, aż wreszcie u tak beznadziejnego ostatecznie stanęłam kresu, — pisałam do mojej kuzynki — „że rozgwar życia towarzyskiego podszedł dla mnie w samą porę; muszę pogрузić się znów w tem ogłuszającym morzu zapomnienia, aby nie zginąć z melancholii.” W kilka zaś tygodni później zwierzałam się jej! „Będąc w takiej niezgodzie z samą sobą i ze światem, czyni się najlepiej, usiłując nie dopuścić do uprzytomnienia. Używam życia, dopóki jestem młoda, dopóki jestem przedmiotem hołdów, zagłuszając tem ostrzegawczość głosu wewnętrznego. Jeżdżę konno, palę papierosy, kokietuję, ubieram się w sposób zwracający uwagę i pozwalam sobie na rzeczy, zazwyczaj potępiane — nic jednak nie robiłabym sobie z tego, gdyby upadek z konia lub wywrócenie się łódki położyły kres głupiej tej komedii”.

Z pewnego rodzaju obojętną ciekawością obserwowałam potęgującą się moją siłę, przyciągającą mężczyzn. Hołdy ich stawały się dla mnie coraz bardziej potrzebą; ciepłe prądy szły na mnie z ich rozognienia; dając mi chwilami dobroczynne złudzenie własnego ognia.

Wieczorem w dniu moich urodzin, w którym z obawy, aby nie być zmuszoną myśleć o przeszłości, nie dawałam sobie ani chwili wypoczynku, tańcząc i bawiąc się do upadłego, pisałam do Matyldy, bawiącej chwilowo w górach Harcu, dokąd gorąco mnie zapraszała, nęcąc ciszą świata gór! „Cisza dobrą być może dla tego, kto chętnie zagłębia się we wspomnienia, przeszłości; takim jak ja, potrzebny jest nieustanny gwar zabaw. Pozdrów jednak ode mnie Harc; góry jego są wprawdzie zabawką dziecinną, jego skały lichą,

dokonaną przez nieudolnego anioła kopią cudnych dzieł Boga Ojca, posiada ona wszakże jedną zaletę! blizki stosunek z piekłem, które pociąga mnie niewypowiedzanie. Powiedz dyabłu na Brokenie, aby o mnie nie zapomniał w noc dorocznego balu swojego. Wdzięcznym ci będzie za twoje pośrednictwo, — jestem w tej chwili ponętym dla niego kąskiem.”

Wkrótce potem przenieśliśmy się do Kranz, gdzie mój wuj wynajął obszerną willę na wybrzeżu. Prześliczne to miejsce kąpielowe przepelnione było arystokracją wschodnio-pruską; liczne nasze wesołe koło dominowało wszędzie ze zwykłą bezceremonialnością uprzywilejowanych, czujących się zawsze główną osią całości i lekceważących — nieświadomie może — całą resztę ludzi, mających dla nich conajwyżej znaczenie kompasów czy służby, wobec której nie zachodzi wcale potrzeba żenowania się: zajmowaliśmy najlepsze miejsca, wybieraliśmy dla siebie najlepsze statki i nie myśleliśmy ani na chwilę o konieczności niezakłócania spokoju reszty gości kąpielowych, ilekroć podobało nam się tańczyć w Kursalu do późnej nocy lub puszczać świetne ognie sztuczne na wybrzeżu. Starsi nasi panowie siedzieli w deszczu i pogodę przy kartach, mało się o nas troszcząc, tak że młodzież podwójnie mogła używać życia. Przewodził nam mały pewien hrabia, którego dla uderzającego podobieństwa jego do owych małpek robionych z peli jedwabnej nazwaliśmy „sznelkowym hrabią”. Był brzydki, ale nadzwyczaj zręczny i obrotny; a jego umiejętność odcinania się, jego zjadliwy dowcip, zabarwiony potrosze cynizmem, jego rycerskie zachowanie się wobec pań, trącające pewną dozą impertynencji, jego wielostronne uzdolnienie artystycz-

ne, nie wychodzące wszakże poza ramy łatwego dyletantyzmu, — czyniły go i w tem nawet kole zjawiskiem niepowszedniem. Nie był on t. zw. „partya”; mógł więc pozwalać sobie na pewną swobodę obejścia, zaś dla mnie, pożądamącej jedynie zabawy, wymarzoną był partnerem.

Pewnego wieczora, siedzieliśmy, jak zwykle, na piasku, bawiąc się w gry towarzyskie, przyłączył się do nas nowy towarzysz: hrabia Göhren. Wydał mi się on od pierwszego wejrzenia prostym przeciwieństwem wesołego hrabi sznelkowego, powściągliwym w ruchach, troszkę nawet niezręcznym, poważnym, jak gdyby nieco zawstydzonym. Wyglądał, jak dobry, wierny pinczer z okrągłemi zdziwionemi oczami. Żenowała mnie trochę, sama nie wiedziałam dla czego, jego obecność. Złożyło się w ciągu następnych dni tak, że wypadło nam poznać się bliżej, a gdy podczas spaceru na diunach musieliśmy uciekać przed burzą i oddzieleni od reszty towarzystwa, schronić się w opuszczonym jakimś pawilonie, zarzucił mi z niezwykłą troskliwością płaszcz swój na ramiona i plecy. Dziwne ciepło oblało mnie falą przy tem dotknięciu — tak mi było czuć się pod dobrą serdeczną opieką! Wieczorem na wybrzeżu byłam roztargniona; ocknęłam się dopiero, kiedy doszedł do mnie hrabia sznelkowy z przewieszoną przez ramię gitarą. „Dobrałem już melodyę do pieśni pani — rzekł — gdy ją zaintonujemy, dostaną poczciwi goście kąpielowi gęsiej skórki z przerażenia.” Mojej, pieśni? Ach, rozumiem, przed kilku dniami znalazł on mój notatnik i, zuchwały, jak zawsze, zażądał w nagrodę wiersza, który wpisałam na jego kartkach. — „Czy wolno mi go zobaczyć?” — zapytał hrabia Göhren. —

Czoło jego przecięła podczas czytania zmarszczka niezadowolenia. „Nie pozwoli pani go śpiewać” — powiedział z naciskiem, zwracając się do mnie. — „Przepraszam pana, kochany hrabio” — wtrącił tamten z uśmiechem — „ale panna v. Kleve utraciła już prawo do tego wiersza.” — „Pozostaje on mimo to jej własnością i zapewniam pana, że go nikt nie usłyszy” — głos Göhrena przybrał ton groźny. Sytuacja stała się krytyczną. Krew uderzyła mi do głowy; — jakim prawem rozporządzał mną ten człowiek?! Hrabia sznelkowy spojrział na mnie z najczarowniejszym swoim uśmiechem i zuchwałym błyskiem małych kłujących oczek. „Poddaję się — jak zawsze naturalnie — woli damy” — rzekł, chwytając wyzywająco struny gitary wążkami swojemi, ciemnymi z opalenizny palcami. — „Nie ma pan potrzeby, panie hrabio” — zadrwiłam — „troszczyć się o zbawienie mojej duszy; jeśli pieśń moja razi pana, masz pan zupełne prawo nie słuchania jej”. Z krótkim ukłonem podał mi papier. Zmierzchało się i nasi towarzysze schodzić się zaczęli na ulubione miejsce. Przyniesiono z pobliskiej cukierni wazę z ponczem i kilka tortów, wynik przegranego zakładu: „a, teraz najlepsze” — zawołał hrabia sznelkowy — „nasza” przyszła pieśń związkowa.”

I zaintonował moją pieśń tryumfalną na cześć wina i miłości.

Za nami na promenadzie nadbrzeżnej zgromadzili się liczni słuchacze. Ujrzałam w pośrodku słabo oświetloną światłem drgającej na wietrze latarni twarz Göhrena. Na przekór mu przyłączyłam się do chóru — jedyna z pośród młodych dziewcząt, których policzki coraz ciemniej pąsowiały ze wstydu. — Akordem fa-

natycznego ukochania życia, boleśnie raniącym mnie ostrym swoim dyssonansem w zestawieniu ze słowami— zakończył śpiewak!

Tłoczono się dokoła nas, zabrzączały wesoło kieliszki, wzniosłam raz jeszcze mój ku niechętnemu słuchaczowi, znikł on już jednak w tłumie.

„Zlekceważyłaś sobie znów okazję zrobienia świętej partyi” — zawołał nazajutrz zrana gniewnie wuj Walter — „hrabia Göhren wyjechał.” Wzruszyłam obojętnie ramionami. „Powinnabyś być zadowolona, że wogóle ktoś może mieć jeszcze poważne względem ciebie zamiary po skandalu”.

„Proszę cię, wuju, abyś raz na zawsze zaniechał tego tematu — przerwałam gwałtownie, — „a zresztą oznajmiam ci, że raczej pójdę żebrać, niż dam się sprzedać.”

Twarz wuja Waltera stała się szkarłatną z gniewu. „Miarkuj się, proszę” — zawołał szorstko, po chwili jednak wykrzywił gorzki uśmiech jego spokojną zazwyczaj twarz. „Czy myślisz, może, że któremukolwiek z nas danem było iść za popędem serca?” — Spojrzałam na niego zdziwiona — jakież niespodziane światło padło na szczęście w Pirgałowie.

Późną jesienią odwiedziłam na kilka dni babunię, aby potem przenieść się do rodziców, do Bydgoszczy. Ostatnie miesiące chaotycznego życia przeszły dla mnie nakształt burzy, strącającej ostatnie liście z tęsknie wciąż jeszcze marzącego o lecie drzewa. Dawniej, kiedy wstrząsnął mną dreszcz na myśl o zbliżającej się zimie, wyczarowywała mi wierna moja towarzyska, fantazyja, nowe słoneczne obrazy wiosenne, w których urzeczywistnienie wierzyła moja młoda, silna na-

dzieja. Teraz daremnie szukałam obu. Opuściły mnie zapewne tej samej nocy, w której umarło moje serce. Śnać dochowują one wierności żywym tylko.

„Czyż to nie dziwne, że wszyscy dopatrujecie się w trupie moim mnie samej?” — pisałam do Matyldy — „a może myślisz, że żyję jeszcze, gdy po wyruszeniu pełnemi żaglami na drogę życia dla odkrycia nowego świata, błąkam się teraz po oceanie, nie znalazłszy nic po za wieczną jednostajnością fal — O jedno tylko bogatsza jestem obecnie doświadczenie; że szczęście, za którym tak namiętnie gonimy, jest ono ogłuszeniem chwilowem. Ogłusz się pracą, zabawą, religią, czy sztuką, zagłusz jednym z tych narkotyków myśl o nędzy świata, duchowej i cielesnej, wspomnienie o bólach przecierpianych z własnej winy, o utraconej nadziei, a będziesz szczęśliwa”. Im się jest młodszym, tem łatwiej to uczynić! niestety jednak, dzieje się tu, jak z morfiną im bardziej potrzebuje się, tem mniej ona działa...”

Niechętnie bardzo jechałam do Bydgoszczy. Bałam się. Złego humoru ojca, pustki małego miasta. Pod jednym względem miłego doznałam zawodu! ojciec mój jak najlepiej był usposobiony i opowiedział mi w pierwszej zaraz chwili, że stanowisko jego jest nietylko przyjemne i samodzielne, ale — wobec nadciągającej zawieruchy wojennej na granicy ościennego państwa — bardzo nawet interesujące. Natomiast co się tyczy obaw pustki małego miasta przeszła rzeczywistość najgorsze moje obawy. Są miasta żyjące

tradycją historyczną! domy, kościoły, wieże, nawet same mury nieustannie w nich mówią o dawnych rzeczach, a tak nam miło marzyć i fantazyować z niemi, że zapominalamy niemal o całym po za nami świecie; inne znów leżą przytulone miękko do ochronnej ściany gór, u których stóp szemrze strumyk, a matka natura roztacza dokoła najpiękniejsze swe klejnoty, i tam dobrze się czuje biedny bezdomny wędrowiec. Gdzie wszakże choroba, nędza i zła gospodarka kruszą mury i trzebią lasy, a przemysł nowoczesny buduje zimne i bezbarwne, wyciągnięte pod sznur, budowle koszarowe, tam właśnie jest owa obczyzna, która nigdy nie może stać się nam ojczyzną. Jedyłą ozdobą Bydgoszczy, umożliwiającą miejscami swobodniejsze zaczerpnięcie powietrza, jest kanał, wybudowany przez Fryderyka Wielkiego i łączący Wisłę z Odrą oraz szluzy jego, obsadzone licznymi pięknymi drzewami.

Jak zwierzęta przystosowują się formą i barwą do swego otoczenia, dopasowują się stopniowo i ludzie do nastroju miejscowości. Ciężka szarzyzna zawisła też nad bydgoskiem życiem towarzyskiem, rytmy balowe nawet dotknięte były szczególnego rodzaju apatyą. Mimo to tańczono niezmordowanie z jakąś pełną nadziei gorliwością, jak gdyby szło o schwycenie przyjemności za wszelką cenę. Uciekała ona jednak zawsze i stale, kwitł za to flirt, a jeszcze bardziej plotka; — czemuż mogliby ludzie wypełnić sobie czas? Roilo się od wszelakiego rodzaju mundurów; najświetniejszy jednak przepych barw kawaleryjskich nie był zdolny do nadania szczerzłotego blasku tombakowej poźłocie życia. Przebywałam najczęściej w towarzystwie młodych mężatek, stosunek zaś mój do młodych dziewcząt

stale sztucznie był naciągnięty. „Ich sposób życia jest dla mnie wstrętny” — pisałam do Matyldy — „odrobina muzyki, odrobina malarstwa, odrobina filantropii, a pod tą maską dobrego towarzystwa albo nic, albo też mglisty chaos romantyzmu i hamowanych drobnych namiętności. Nigdy wybuch silnego uczucia, nigdy zainteresowanie palące. O, gdybyście były zimne albo gorące! — Kobiety zamężne miały jeszcze jakąś treść życia: dzieci, mąż, gospodarstwo, za to na dalsze kształcenie się nie miały zupełnie czasu.

Ileż z nich, wchodzących wieczorem w eleganckiej tualecie do sali balowej i udających radość życia, stało od wczesnego słońka przy kominie, jedynie z pomocą ordynansa, pocziwej „służącej do wszystkiego”, lub prały wieczorem przy zasłoniętych oknach bieliznę dziecięcą. Zmuszone do podtrzymywania odpowiednich stosunków towarzyskich dawały dwa uroczyście nudne obiady proszone co roku, poszcząc przedtem i potem, aby umożliwić sobie ich wydanie i opłacały z tego samego powodu obszerne mieszkanie. Gdy jednak potem zręczne i wytworne, w gładkich kostyumach angielskich, spacerowały po ulicach miasta w towarzystwie eleganckich swoich, pobrzękujących szablami mężów, ścigały je zazdrosne spojrzenia, tłum ma bowiem naiwność dzieci, które nie umieją sobie wystawić króla inaczej, jak w koronie i płaszczu gronostajowym a żebraka tylko w dziurawem połatanem ubraniu.

Zrodzona z tej zazdrości niechęć dla oficerów — męzkich odpowiedników zazdrosnej nienawiści, z jaką większość kobiet przyglądała się każdej pięknie ustrojonej oficerowej — nigdy może nie występowała tak silnie jak wówczas, kiedy nawet mieszkańcy małych miast,

do którego zazwyczaj nie docierały fale ruchów umysłowych, żywy brał udział w walkach parlamentarnych o siedmioletni budżet militarny.

Bygdoszcz jest miastem przemysłowem z polską przeważnie ludnością robotniczą. Wszystko, co nosiło mundur wojskowy, unikało pobliża fabryk. Pewnego razu podczas przejażdżki mojej konnej z ojcem obsypał nas z poza muru grad drobnych kamieni, padając koniom naszym między nogi. Wylekłe stanęły dęba, potem poniosły pędem po szosie, tak, że spadł mi kapelusz wraz z woalką i zaledwie w stanie byłam utrzymać się na siodle. Ojciec, mocniej trzymający wierzchowca swojego za uzdę, daremnie usiłował tymczasem wyśledzić podstępnych napastników; nie mógł też opanować wściekłości i przez całe dni jeszcze wysłuchiwać musiałam złorzeczeń jego na tych dyabelskich „socalów”. Oni tylko mogli być jego zdaniem sprawcami napaści, oni, którzy zachowaniem swoim w parlamencie wobec projektu prawa militarnego zaznaczyli się wyraźnie jako zdrajcy ojczyzny, i którzy nie zasłużyli na nic innego, jak na zesłanie ich całej bandy do kolonii.

Brzemienne w zapowiedź wojny chmury gromadziły się coraz gęściej na widnokregu. Że istniały one tylko w bujnej wyobraźni Bismarcka, jako pożądany środek do przeprowadzenia jego żądań — w to, my, zamieszkali tuż przy granicy, nie wierzyliśmy. Opanowało nas wrastające z dnia na dzień wzburzenie: młodzi oficerowie promienieli w nadziei, iż życie ich nabierze nareszcie znaczenia, nastrój ojca mojego oswojonego z grozą wojny, był pomimo całej powagi, z jaką zapatrywał się na stan rzeczy, mocno podniesiony. „Być żołnierzem i tylko bawić się w wojnę, musztrować żołnierzy — to tak

samo jak być artystą i dawać tylko lekcje malarstwa” — mawiał on zazwyczaj. W najbliższem od nas sąsiedztwie stali kozacy, których szeregi wzmacniane były z tygodnia na tydzień.

Ojciec pojechał do Berlina. W kilka dni po jego powrocie brzmiały rozkazy stamtąd przysłane jeszcze groźniej. Uprzedzono po cichu oficerów, aby zawczasu pomyśleli o wysłaniu swoich rodzin, gdyby bowiem przyszło do wypowiedzenia wojny, mogliby żołnierze nieprzyjacielscy znaleźć się w ciągu kilku godzin w Bydgoszczy. Ojciec, któremu na wypadek wojny powierzone miało być stanowisko komendanta najważniejszej, bo położonej najbliżej nieprzyjacielskiej granicy, twierdzy Toruńskiej, poczynił jaknajdrobiazgowsze przygotowania. Zapakowaliśmy srebra i klejnoty, trzymając kufry na pogotowiu; łatwo wypaść nam mogła konieczność opuszczenia miasta w ciągu kilku godzin.

Ponieważ wrzawa wojenna rozlegała się coraz donośniej i na zachodniej granicy państwa, nie mogło już ulegać wątpliwości, że o ile przyjdzie do wybuchu olbrzymiego tego nagromadzonego materiału palnego, będzie to wojna wszechświatowa, u której progu w tej chwili staliśmy.

Piorunująca mowa Bismarka, jego wezwanie do Niemców, którzy boją się Boga, a po za tem nikogo na świecie, — odrzucenie siedmioletniego budżetu militarnego i rozwiązanie parlamentu spotęgowały gorączkowe podniecenie, w jakim żyliśmy wszyscy. Po raz pierwszy śledziłam z palącym zainteresowaniem przebieg wyborów, witając z radością zwycięstwo przyjaciół ojczyzny nad socyalistami, którzy chcieli nas wydać bezbronnych w ręce wrogów.

Kiedy jednak wnet potem tak dziwnie zamilkła wrzawa wojenna, a cały płomienny żar uniesienia patryotycznego zdawał się być rozdmuchanym po to tylko, aby przy jego ogniu upiekła się pieczeń podsunięta parlamentowi przez Bismarka, ostygł mój zapal odrazu.

Hen, daleko, nad zatoką kurońską wznoszą się przykre góry piaszczyste. Wędrują one. Ludzie sadzą wciąż młode drzewka na tym gruncie, a chociaż powraca nocą żółty morderca i chłonie zielone życie — nie tracą nadziei, że korzenie nowych roślin wrosną mocno w ziemi i przytwierdzą ją na stałe. Wiek nasz jak owe lawy nad zatoką: nie znosi niczego zielonego. Rozsądni ludzie wyśmiewają też niedorzeczność moją, zniewalającą mnie do sadzenia nowych wciąż drzew nadziei i zasilania ich cieplarnianą atmosferą mojego zapala... Panuje niepodzielnie tak wielkie dążenie do niwelacji, jakgdyby chciano przyciąć cały las na miarę najmniejszego drzewa. Ludzie zburzyli dawne ideały — sam już wyraz „ideał” wywołuje na ustach większości pobłażliwy uśmiech i odziewa się w nie jedynie jak aktorzy w togę Gracchów, aby wrócić w tłumy, że są trybunami narodu.

Usiłujemy kształcić się w teatrach, w podróżach, bynajmniej nie w chęci rozszerzenia widnokręgów myślowych i pogłębienia uczuć, lecz po to jedynie, aby mózż błyszczeć w towarzystwie krytycznym, dowcipem i wiadomością. Pozbawiono nas zdolności rozkoszowania się i dano zamiast niej upodobanie do drwin, podobnie jak dzieciom osłania się przez „poczucie przyzwoitości” wizerunki bóstw, nie wahając się pokazywać im odzianą w trykoty nagość baletu. Przy tej metodzie wychowawczej ginie głodu za tem, co najniezbędniejszy stanowi pokarm duszy za rozkoszami umysł-

wemi, za wiarą i dobrami idealnemi. Wstydzimy się jeszcze dotychczas tego uczucia, nie mamy jeszcze odwagi wyznać go przed samym sobą, jakkolwiek jednak żyję w klatce, czuję powietrze, wiejące na zewnątrz i niejednokrotnie, w chwilach nazywanych przez ludzi rozsądnymi fantastycznemi rojeniami nocnemi, mięsam przecucie tego, że młode silne drzewa zwiążą w końcu piaski lotne i pomszczą się na nich za śmierć tylu braci”.

Odpowiedzią na listem było długie kazanie moralne, wypalone przez adresatkę, którą była, jak zawsze, kuzynka Matyllda. Należała ona również do rodzaju „rozsądnych” istot, to też korespondencya nasza oddawna już zatraciła charakter wymiany myśli. Samo to wszakże, iż miałam kogoś, przed kim mogłam śmiało zupełnie je wypowiadać, wystarczało mi, aby uparcie ją podtrzymywać. W podróży do południowych Niemiec, przedsiębraney za zaproszenie ciotki Klottyldy w maju 1887-go roku, zatrzymałam się przez tydzień w Magdeburgu u Matylldy. Najchętniej byłabym uciekła następnego zaraz dnia: ognisko domowe, w którem bieda zdawała się czaić w każdym kącie i toczyć zwyciężką walkę z dystynkcyą, prześlizgującą się nieśmiało po pokojach; ojciec, napiętnowany stygmatem troski nieustannej, szamoczący się w zatęchłym powietrzu burowem z wieczną tęsknotą swoją za wolną naturą, i dławiący w sobie zaciekłą nienawiść do wszystkich bogatych i szczęśliwych; matka, ujawniająca — mimo swoich trojga dzieci — wszystkie przykre cechy staropanieństwa; synowie, umysłowo cofnięci, zakuci tyranią szkolną, która wytepiła w nich wszelkie ślady wesołości młodzieńczej; córka, przyjaciółka moja, blada, zmęczona usiłująca sycić

głód życia przyjaźnią koleżanek, kótkami śpiewaczemi i kursami niedzielniemi, — że też coś podobnego mogło istnieć, że można było znieść podobne życie!

W Monachium spotkałam się z ojcem. Pojechaliśmy razem do Augsburga, gdzie czekały go ciężkie do przebycia chwile. Brat jego, Artur, z którym poróżniony on był od wielu lat z powodu żeniaczki jego z baletnicą, zamieszkał od niedawna, po śmierci żony, u siostry, która życzyła sobie teraz pogodzenia się braci. Z gotowością, z jaką poddawał się ten tak uparty zazwyczaj człowiek wszystkim żądaniom siostry, uległ on też woli jej i tym razem. Z jaką trudnością mu to przyszło, widocznem było z jego wzburzenia. Skończyło się też tylko na konwencyonalnem powierzchowem zalepieniu głębokiej rysy, zimno grzecznem uściśnieniem dłoni i taktownem dalszem współżyciu. Byłabym się bardzo ucieszyła tem nieoczekiwanem dla mnie pomyślnem rozwiązaniem sprawy, gdyby nie przeważało we mnie uczucie gniewu i oburzenia na sposób traktowania ojca mojego przez ciotkę, a co główne na jego zupełne na to niereagowanie. Krytykowała go nieustannie jak dzieciaka, schlebując równocześnie drugiemu bratu. Niepodobano jej się ubranie cywilne ojca — istotnie widocznem było, jak źle się w niem czuje — a natomiast nie miała dość słów zachwyty dla elegancji Artura. Kpiła z tuszy ojca, — zaznaczając z naciskiem młodzieńczą wysmukłość kształtów, zachowaną przez tamtego.

Rozporządzając bezwzględnie i bez pytania czasem i osobą ojca, podporządkowywała się stale życzeniom młodszego. Przystawiła dla niego cały dom do góry nogami, wyprzątnęła meble, aby zrobić miejsce dla jego sprzętów, on zaś z pełnym pozornej uprzejmości ego-

izmem, zwyciężającym jej brutalne samolubstwo, odgrywał rolę pana domu. Po dniu, spędzonym na nieustannem uleganiu jej kaprysom, słyszałam w nocy przez drzwi, jak ojciec przewracał się z boku na bok ciężko, jęcząc i wzdychając. Pewnego rana siedziałam w altanie ogrodowej, kiedy nagle usłyszałam go żywo sprzeczącego się z ciotką, z którą przechodził właśnie obok mojej kryjówki. „Ani mi się śni odpowiadać za waszą rozrzutność” — mówiła — „powinnoby ci chyba wystarczać, że wyróżniam cię w osobie twojej córki”. „Tak, gdybym mógł na to liczyć”, — wyjąkał. — „Nie złamię danego przyrzeczenia — strzeż mnie Boże od takiego grzechu”, — odpowiedziała głośno i stanowczo. Minęli moją kryjówkę. Po chwili wracali tą samą drogą. Ciotka oparta była na ramieniu brata. Mówili ze sobą spokojnie, niemal serdecznie.

„Umrę spokojnie przynajmniej” — powiedział ojciec mój wzruszonym głosem — „będę ci wdzięcznym Klotyldo i poza grobem:”

Łagodniejszym i ustępliwszym niż kiedykolwiek był on podczas pozostałych dni pobytu w Augsburgu, zdając się nie spostrzegać wcale, z jak szatańską radością umiała ciotka wyzyskiwać swoje położenie. Ja natomiast starałam się osładzać mu życie wszelkimi zasobami miłości i pieszczoty, na jakie mnie stać było, tak, że często patrzył na mnie zdziwiony, mówiąc z uśmiechem, „Co ci się właściwie stało? Twój stary ojciec nie doświadczał jeszcze nigdy czegoś podobnego ze strony swojej córeczki?!”

Unikałam wuja Artura, a ciotkę prawie znienawidziłam.

Po wyjeździe ojca pojechałam z nimi do Tegernsee,

gdzie ciotka wynajęła willę na żądanie wuja Artura, nieznoszącego samotności w Grainau. W dniu moich urodzin, które przypadły w pierwszym tygodniu naszego tam pobytu, wziął mnie wuj na stronę i, wciskając mi potajemnie kopertę do ręki, rzekł nieśmiało! „Wiem, że Janowi potrzebne są pieniądze — ode mnie nie przyjmie ich. Poślij mu to — na przechowanie, jako mój prezent urodzinowy dla ciebie. Nie czekając na moje podziękowanie, tej samej zaraz godziny wysłałam brunatne banknoty do Bydgoszczy; lody między mną a wujem Arturem zostały przełamane. Staliśmy się prawdziwymi przyjaciółmi. Surowa ciotka przeistoczyła się pod jego wpływem w osobę więcej niż pobłażliwą. Uzyskiwał wszystko, co mi mogło sprawiać przyjemność, o ile tylko odpowiadało to i jego życzeniom! Nareszcie wolno mi było chodzić na góry, — co od lat wielu było celem mojej tęsknoty gorącej! Był on równie namiętym jak do szaleństwa śmiały alpinista, nieznoszącym przewodników i utartych dróg. Musiałam nasamprzód odbyć próbę przy wejściu na górę wznoszącą się stromo i spiczasto, jak wieża kościelna, zanim zdecydował się zabrać mnie z sobą — z początku w góry okoliczne, a potem dalej, coraz dalej. Wyekwipował mnie w strój turystyczny własnego pomysłu, na który składały się między innymi krótkie spodnie i kamasze — rzecz niesłychana w owym czasie. I na to wszakże zezwoliła ciotka, troszkę się tylko jeszcze opierając w imię „przyzwoitości”, kiedy stanowczo zabronił mi noszenia „pancerza”. „Za każdym razem dotknę się twojego stanu i zostawię cię bez pardonu, jeśli poważysz się mieć na sobie ten aparat do tortur” — powiedział surowo, ja zaś z rozkoszą odczuwałem nieskrępowanie głębokiego oddechu

Najpierw wdrapaliśmy się na Walberg. Prowadziła na górę tę wówczas wązka tylko ścieżka pasterska, a na szczycie nie było nic prócz maleńkiej chatki z postaniem ze słomy. Rozpaliliśmy na znak przybycia naszego ogromne ognisko na samym wierzchołku, czekając, dopóki nie spłonie i nie odsłoni ciemnej głębokiej pod nami doliny. Tem jaśniej błyszcząły teraz gwiazdy, a oblane światłem księżycowem śnieżne szczyty jaśniały zdala, jak białe puchy. Z głębokiem westchnieniem ulgi rozpostarł towarzysz mój ramiona! „Żyj!” — szepnął.

Jakże boleśnie odczułam tryumf, dźwięczący w jego głosie? — Zapomniałam o jego obecności i, oparłszy głowę na skale, płakałam — po raz pierwszy od dawna, od bardzo dawna. Na dole w chacie nie mogłam znieść silnego zapachu siana, przesiedziałam też całą noc w altanie, pozwalając duchom przeszłości wylaniać się przede mną, jak mgły z po nad łąk błotnistych. Zarysy skał składały się w oczach mojej wyobraźni na larwy szydercze i tylko cicho i majestatycznie spoglądały na mnie z wyżyn białe szczyty olbrzymów.

Wuj mój był dobrym i wzruszająco troskliwym o mnie towarzyszem podróży; wesołość jego kazała zapominać o jego siwych włosach. Pewnego dnia siedzieliśmy oblani promieniami słońca przed schroniskiem górskim. Na bardzo prymitywnym, urządzonym na prędce różnie piekł on dla nas na roznieconym ogniu kuraka. „Kobiety są za głupie na to” — oznajmił mi, ja zaś chętnie bardzo powierzyłam mu tę czynność, aby móżdżek przez ten czas, oparta o brązowe pale chaty, wpatrywać się w słońce po przez zielone wierzchołki świerków. Po uczcie, zakropionej nigdy niezapominaną przez niego butelką dobrego wina reńskiego, rozło-

żył się u stóp moich na trawie i nucić zaczął w zadumie jakąś melodyę taneczną: „Jakież to śmieszne” — rzekłam niemal do samej siebie — „jesteś właściwie sztabkiem, albo co najwyżej młodziutkim porucznikiem.”

Roześmiał się. „Masz słusność; przez wszystkie te lata, dzielące mnie od tych czasów, nie żyłem wcale.”

„Ależ...” — zawahałam się.

„Mów śmiało! żyłeś z wybraną twojego serca. Nikt nie wie do dnia dzisiejszego, że te dwadzieścia lat były piekłem. Duma zamykała mi usta. Nie chciałem przyznać słusności matce i rodzeństwu. Nareszcie przyszło wyzwolenie: umarła — od wielu miesięcy biedna obłąkana, nieodpowiedzialna za moją mękę — postarzał nagle, mówiąc mi to; po chwili wszakże zerwał się, otrząsnął się, jak mokry wodołaz i dodał z uśmiechem: „miłość — to błaga, prawdą jest jedynie natura, sztuka i nauka. Cieszę się z życia, jak student”. Nasze odpoczynki w Tegernsle były bardziej niemal męczące niż nasze wędrówki. Od rana do nocy roіło się od gości; kogokolwiek spotkał więc, kto wydał mu się interesującym, zapraszał go, nie pytając o imię i stanowisko.

W ten sposób zgromadziło się u nas różnobarwne towarzystwo, samo bowiem Tegernsee zdawało się być rodzajem neutralnego gruntu, gdzie najróżnorodniejsze żywioły zadawałniać mogły wzajemne sobą zaciekawienie. Byli tam książęta prawdziwi i egzotycznie wątpliwi, potęgi finansowe dość ciemnego pochodzenia; starzy dyplomaci, którym powinęła się noga z okazji jakiegoś skandalu dworskiego; francuskie markizy, których emaliator przyjeżdżał co 4 tygodnie z Paryża, aby nadać ich obliczom czarującą świeżość młodości,

dającą im pewność zwycięstwa przy wyruszaniu na nowe co wieczór podboje; niemieckie hrabiny, których zręczne piruety zachwyciły jeszcze niedawno baletowych bywalców stolicy; nie brakło też — dla uzupełnienia galeryi współczesnych typów „dobrego” towarzystwa — austriackich arcyksiążąt, a nawet osoby ukoronowanej, którą był wycofany już z obiegu król Neapolu, stary wyga, spędzający w Tegernsee lato w towarzystwie cudnie pięknej, ekscentrycznej swej małżonki. Kręcił się też dokoła nich świat artystyczny — jedni nieco zażenowani, usiłujący możliwie wiernie naśladować arystokrację, — inni, genialnie niekrepujący się między sobą i wreszcie kilku wybranych, których cechowała rzadka wrodzona wyższość, pozwalająca im zachowywać się wszędzie i zawsze w jednako niewymuszony sposób.

O niejednej pięknej austriackiej hrabinie szeptano sobie po cichu, że nie pozostała ona bez wpływu na powstanie Makartowskich wspaniałych typów kobiecych i dzisiaj nawet patrzyła chętnem okiem na zachwyty malarzy; lekki obłoczek romantyzmu, przyciągając specjalnie poetów, unosił się nad rudozłotą główką zgrabnej baronowej, o której stosunku do austriackiego następcy tronu głośliła fama zawzięcie. Wszystko to flirtowało i szeleściło jedwabiami i falowało miękkimi kaskadami koronek na jasnym brzegu niebieskiego jeziora, gdzie przed wiekami w klasztornej zaciszu mnich Werinter śpiewał ukochanej upajające pieśni miłosne, lub chodziło w zalotnych kostyumach myśliwskich wygodnemi drogami do schronisk górskich, których goście składali się tak niedawno jeszcze z samych kłusowników, strzelców i pasterzy. Nad wieczo-

rem mknęły powozy w dolinę, gdzie na zielonej równinie, okolonej szczerlnie górami, śmiesznie zawodziła orkiestra miejscowa. Wsiadano tam, aby popisać się strojami, pito kawę i schodzono do oberży, gdzie chłopaki w krótkich spodniach i góralskich pończochach i dziewczyny w aksamitnych srebrem lamowanych gorsecikach i szerokich fałdzistych spódniczkach tańczyli tańce ludowe. O zmierzchu, kiedy zapalono rozwieszane między drzewami wieńce lampionów, zmieniał się obraz! białe jedwabne i gazowe treny migały między pstremi spódniczkami, a wykwintne lakierki sunęły wśród podkutych grubych butów.

Tam, gdzie krzyżują się drogi w dolinie, jedna prowadząca do zakładu kąpielowego, a druga do A-chensee, stał w ogromnym cieniście parku dom, niewiele różniący się od domów bogatych wieśniaków, otoczony galeryjkami dokoła i upstrzony kolorowemi okiennicami. Na zielonych trawnikach przed nim, na placach tenisowych, z obu stron jego panowały co dnia gwar i żywe wesele. Gościnność — nie znała tutaj — zda się — granic, o każdej porze dnia witany był przybysz serdecznie i ugaszczany suto. Oddawna już nęcił mnie ten dom; najwybitniejsi artyści stałymi bywali jego gośćmi. Ale ciotka marszczyła nos, ilekroć wspominałam o nim, a ci z naszego koła, którzy przełamali niechęć i dobrze się w nim czuli, spotykali się ze spojrzzeniami pełnemi wyrzutu i polepszenia. Właścicielami domu tego był baron Goldberger, bankier wiedeński, którego wygląd — bardziej jeszcze, niż nazwisko, zdradzał jego rasę; także budził on antysemityzm, zrodzony na gruncie estetycznym, którego wyzbyć się nie mogą najmniej nawet uprzedzeni.

Silą przyciągającą domu były cztery jego córki; z których jedna piękniejsza była od drugiej. Dopiero kiedy doszło do uszu naszych, że sam ksiązę Karol Teodor bywa u nich, udało się wujowi Arturowi przełamać opór ciotki, pewnego też poobiedzia pojechaliśmy tam z pierwszą wizytą. Już pierwsze te godziny, spędzone w licznej gronie monachijskich artystów i pisarzy, otworzyły nowe przede mną widnokreśli; rozprawiano tam z tak bezwzględną otwartością o zagadnieniach życia i sztuki, że zrazu niemile mnie to uderzyło, a nieprzywykły do wypowiedzania się w obcym gronie, nie byłam w stanie brać udziału w rozmowie. Tem pilniej natomiast przysłuchiwałam się; czy był to odblask świata, którego szukałam, część owej ludzkości, wyruszającej na zdobycie nowych, przenikających ją ideałów?!

Niebawem stałam się jednym z najczęstszych gości w domu barona. Nie liczyłam się w tym względzie nawet z zakazem ciotki, której zdawało się, że mnie powstrzyma tem, że nie pozwoli zaprzędz koni dla mnie, ja zaś najspokojniej jeździłam pocztą nawet lub chodziłam pieszo.

Pewnego poobiedzia zastałam towarzystwo pochłonięte gorącym sporem, do którego powód dać miał jakiś artykuł z miesięcznika „Społeczeństwo”, redagowanego przez znanego publicystę Konrada. Przypominałam sobie, że czytałam coś o tem piśmie, „niemoralnem, podkopującym powagę Kościoła i państwa” — w naszej konserwatywnej prasie północno-niemieckiej, jedynej jaka wpadała mi w ręce.

— A ja państwu mówię, że ma rację, po tysiąc razy rację” — zawołał młody jasnowłosy poeta, po-

wicwając żółtym zeszytem, jak sztandarem, „prawda, niczem nie osłonięta prawda, jest muzą poezji przyszłości. Arcydziała, wartości kulturalne — będziemy stwarzać mogli wóczas dopiero, kiedy potrafimy obnażyć wobec ludzi prawdę, ze wszystkimi jej ranami i zgrzytami, w całej jej brzydocie, nie licząc się z żadnymi hyperestetycznymi nerwami staropanieńskimi. „Życie jest poważne — niechże więc sztuka będzie wesołą” — wtrącił jeden z malarzy szkoły Piloty’ego, — zadaniem jej być winno podnoszenie nas, pozwalanie nam na kilka chwil chociażby zapomnieć o nędzy istnienia”.

„Powiedz pan lepiej wprost — oszukiwać nas,” — w mieszała się do rozmowy młoda kobieta, żona redaktora jednego z pism monachijskich, która, jak mówiono po cichu, pisywała pod pseudonimem szkice i nowele, stanowiące zakazaną dla młodych dziewcząt lekturę. „A więc sztuka ma podług pana opowiadać dorosłym dzieciom bajeczki miast pouczania ich, jak mają się uporać z brutalną prawdą życiową?!”...

„No, jeśli takie ma być jej zadanie”, — odparł malarz niezrażony — dojdziemy szczęśliwie do oglądania na scenie sal operacyjnych i pokojów położnic. Z domem warjatów zrobił już zresztą Ibsen początek.”

Nazwisko to podziałało jak materya wybuchowa. Od zeszłej zimy, kiedy książe Meiningeriński odważył się na niesłychany krok wystawienia na swojej scenie „Upiorów”, a Berlin poszedł za jego przykładem, wskutek czego grono młodych zapaleńców wystawiło imię artysty na swoim sztandarze, czytałam i słyszałam często o nim, jak o człowieku nawpół obłąkanym, grzebiącym się z rozkoszą w brudzie i błocie.

Nie pragnęłam wcale poznać go, bowiem na drodze mojej do nowych ideałów nie mógł on mi być w żadnym razie drogowskazem.

„Ibsen stoi wyżej od Zoli” — zagrzmiał szorstki donośny głos męski, zagłuszający niby lawina głosy wszystkich obecnych, „Zola jest *par excellence* malarzem nastrojów i sytuacji, gdy natomiast Ibsen zapuszcza ostrze sondy krytycznej w najgłębsze rany społeczne. Samo wasze burzenie i wzdyganie się na dźwięk jego imienia, najlepiej świadczy, że istnieje i w waszym życiu punkt, który drgnąłby boleśnie pod jego dotknięciem. Ibsen wykazuje to właśnie, co w każdego ugodzić musi, mianowicie, że cała t. zw. moralność, wszystkie obowiązki, słowem wszystkie duże i mniejsze krępujące nas więzy zabiły w nas nasze ja, i że staniamy się już tylko po świecie jako majaki strupieszających tradycji. Ciekaw jestem tylko, czy uświadomienie sobie tego faktu skłoni nas do skruszenia więzów, czy też inni jacyś przezorni opiekunowie ludzkości nie stoją już w pogotowiu z nowymi kaftanami bezpieczeństwa?”

Rozmowa ogólna rozproszyła się stopniowo na poszczególne dyskusye, wsiąkając w końcu w miálki piasek kwestyi powszedniego życia. Skorzystałam z rozpierchnięcia się gości po parku, aby zapytać owego pana, o głosie stentorowym, czy nie mógłby wymienić mi utworów Ibsena, przetłómaczonych już na niemiecki język. Przyjrzał mi, się mrużąc oczy. „Hm” — zawahał się — „czy to aby spodoba się szanownej ciotce pani?”

„O to chyba nie chodzi, ponieważ czytać je będę ja” — odparłam szorstko, rozgniewana szyderczym tonem jego odpowiedzi. Roześmiał się na cały głos.

„Oho mamy także, jak widzę, kropelkę krwi buntowniczej w żyłach.” Wielkimi niezdarnymi literami wypisał mi tytuły książek na rozku gazety, zgniótł podaną mu przeze mnie na podziękowanie rękę w żelaznym uścisku niedźwiedziej łapy i wyszedł z parku.

„Któż to taki?” — zapytałam jedną z córek.

„Ach—ten! Sprowadził go niedawno nasz doktor. Nie dosłyszałam wyraźnie jego nazwiska. Nieociosany jegomość, prawda?”

Skinęłam głową. Zaraz na drodze powrotnej wysłałam kartę do jednej z księgarni monachijskich, niecierpliwie wyczekując od tej chwili przesyłki i wymawiając się gwałtownym bólem głowy, gdy zaczęto dziwić się mojemu nagłemu domatorstwu.

Nareszcie nadeszły książki! Nie czytałam ich, ale piłam je, pochłaniałam, jak spragniony pochłania w pustyni świeżą wodę. Nie zachwyciałam się w nich dziełem sztuki, nie widziałam też wcale działających osób, doznawałam jedynie wrażenia, jak gdybym stała w oczekiwaniu w ciemnicy, pod gęstą zasłoną, którą rozdarł nagle wichur gwałtowny, ukazując mi poza nią olśniewające kryształowej czystości zwierciadła, odbijające dziwnie ostro i wyraziście własny mój wizerunek wraz z wizerunkami wielu innych dokoła mnie.

Czytałam słowa, przenikające mnie nawskroś, jak objawienia o nielicznych stojących na forpocztach i walczących o prawdy, zbyt nowe jeszcze, aby mogły być przyjęte już przez ogół. Widziałam tradycję i konwenans, obnażone ze strojnych szat swoich jako nagie prawdy, jeden też wystarczył mi rzut oka na rozpoznanie lalkowego życia kobiety. Czyż i ja nie żyłam wyłącznie pokazywaniem sztuk zgromadzonyni dokoła mnie wi-

dzom?! „Mam obowiązki niemniej święte — obowiązki względem siebie samej;— muszę rozejrzeć się, czy to, czego mnie uczono, jest słuszne, a raczej, czy jest ono słusznem *dla mnie?*” — powiada Nora, opuszczając dom lalek, aby odnaleźć samą siebie. „Kiedyś, w jakiś sposób będę musiała działać, jak Nora”, — pisałam w notatniku moim w lecie 1887 r.—„tysiączne więzy drobne, ledwie wyczuwalne i mocne, wrzynające mi się w ciało — opasują mnie od dzieciństwa. Widzę jednak teraz, że co roku przecinałam po kilka z ich. Czyż nie miałabym sobie poradzić i z resztą? A do kuzynki mojej, zarzucającej mnie groźnemi ostrzeżeniami z powodu moich zachwyków nad Ibsenem, pisałam! „Kto, jak Ibsen posiada odwagę miażdżenia wszystkiego, co złe, nieudolne duchowo i zakrzepłe, nie jest pesymistą jak mu zarzucają ludzie, zbyt tchórzliwi i gnuśni, aby móżdż otworzyć szeroko powieki. Tylko zbrojna w moc żywotwórczą wiara w przyszłość, dla której jasnych ołtarzy musi znaleźć się miejsce, daje potężne siły do takiego dzieła zniszczenia... Ostrzegasz mnie, przed „nierozważnemi czynami”; widzę z tego, jak mało mnie rozumiesz. Z tem, o czem myślisz, prosząc w ten sposób, skończyło się raz na zawsze. I ja zniewolona jestem dokonać dzieła przerodzenia samej siebie, zanim zabiorę się do czegoś, co może być mi polem pracy.

Śnieg leżał już nisko w dolinach, kiedy zabierałam się do odwrotu. Głęboko w dole śmiało się jezioro wielkimi swojemi niezapominajkowemi oczyma; wesołe czerwone dachy i ostre wieże kościelne pozdrowiały z nad jego brzegów; za nimi piętrzyły się łańcuchy srebrno-białych wyżyn.

Nie, nie sprzeniewierzyłam się góróm, gdyż to, co na drogę powrotną do domu stąd brałam, było właśnie wolnem powietrzem szczytów.

ROZDZIAŁ DRUGI.

Pobyty w Berlinie, zwłaszcza z wujem Walterem jako przewodnikiem, uważałam zawsze za szczyt wesołej zabawy. Nikt nie wiedział tak dobrze, w którym teatrze najlepiej się można uśmieć, w którym cyrku są najlepiej ujeżdżone konie i gdzie się najlepiej jada i pije. Tym razem jednak był dla mnie tydzień, spędzony u niego w przejeździe do Bydgoszczy męczarnią raczej, niż rozkoszą, jakkolwiek nie przestawałam „bawić się” do upadłego, a wesoła moja ciotka szydziła bez litości ze zblazowanej miny, jaką przybierałam, stosując się do najświeższej mody.” Byliśmy w teatrze Krolla na operetce „Mikado”, w cyrku Renza, w Wintergartenie, jedliśmy kolację w eleganckiej restauracji Hillera i w Kaisersofie, zawsze w tym samym towarzystwie oficerów gwardyi i konserwatywnych członków parlamentu, z całego wszakże nowoczesnego życia literackiego i artystycznego, które mnie zajmowało niepodzielnie, tyle tylko przedostawało się do kółka tego, że jedni wyszydzały je, inni wieszać je chcieli na latarni, a reszta tajemnie z cyniczną lubieżnością

mizdrzyła się do nich, jak stary wyga do dziewczki ulicznej. Głównym zresztą tematem rozmów były plotki rodzinne i polityczne, przyczem energiczny dawano upust, jak zazwyczaj, kiedy się było w gronie najbliższych— irytacyi i nieusposobieniu. Biednemu choremu następcy tronu zaledwie poświęcano słówko współczucia, zbyt wielkiem bowiem było oburzenie na wpływ jego żony, na zadzierzgniętą przez nią intrygę Battenberską, której efektem końcowym miał być upadek Bismarcka na całe wogóle wzrastające we wpływ i znaczenie stronnictwo następcy tronu, składające się z żydów i ich popleczników.

Skojarzony przez Bismarcka nienaturalny związek nacyonal-liberalizmu z konserwatyżmem oświetlany był tutaj, gdzie nie zachodziła potrzeba zadawania sobie przymusu, aż nadto drastycznie.

„Zawsze mówiłem” — zawołał przy podobnej okazji jeden z najstarszych członków izby panów, typ feodała starego autoramentu. „że nie mogliśmy się bardziej skompromitować, aniżeli przez to złączenie się z rycerzami przemysłu. Nie mamy z jegomościami tymi absolutnie nic wspólnego. Małżeństwo nasze przypomina zaślubiny królowej pszczoł, która każe zabijać swoich zacnych małżonków z chwilą, gdy zrobili co do nich należało. Czyż znajdzie się wśród nas ktoś dość naiwny, aby brać nas za— królowę?”

„Ależ, kochany hrabio, nie zechcesz pan chyba utrzymywać” — przerwał mu wuj Walter.

„Właśnie, że utrzymuję”, — wybuchnął stary feodał — „pozwólcie tylko tej hołocie wcisnąć się do arystokracji — tytuł baronowski i klejnot szlachecki są dzisiaj zabawką już tylko dla posiadaczy pełnego trzo-

sa — a będzie u nas to samo, co we Francyi i w Anglii; młodzież nasza będzie się ubiegała o ich córki, a z całej starej arystokracji niemieckiej nie pozostanie nic, prócz nazwiska.”

Rozumowaniu pańskiemu brak jednego tylko — założenia. Wątpliwem jest wielce, aby następca tronu doszedł do panowania, a śmierć jego położy kres ambicyom panów literatów. — „Hrabia roześmiał się i przyjaźnie poklepał wuja po plecach. „Bardzo dobry z pana człowiek, ale prochu nie wynalazłbyś.” Przepuszczasz może, iż stan rzeczy uległby poważniejszej zmianie przy młodym władcy?! Jest on dzisiaj konserwatystą — przez opozycję, rozumie się! Może nawet na pozór zostanie nim. Z chwilą wszakże, gdy stanie u steru — będzie musiał także liczyć się z istniejącym układem stosunków. Ja też, dzięki Bogu, nie dożyję tego, ale wy, moi panowie, przyznacie, za dwadzieścia lat słusność staremu Lehnsburgowi, który przepowiada wam dzisiaj, że do tego czasu będziemy zamerykanizowani i nie honor osobisty, nie nieskalane drzewo rodowe stanowić będą o wartości człowieka, ale dobry stan interesów.”

„Nie wadziłoby nam już i dzisiaj, gdybyśmy trochę lepiej znali się na interesach — wtrącił się do rozmowy baron Minkwitz, źle przez niektórych widziany z powodu brania udziału w rozmaitych przedsiębiorstwach przemysłowych — „trzeba krakać z wronami, jeśli się nie chce być przez nie rozdziobanym do szczętu.”

Hrabia Lehnsburg grzmotnęła pięścią w stół tak silnie, że zadzwoniły wszystkie kieliszki. „Wolę być rozdziobanym” — wrzasnęła. Nastąpiła chwila przykrego milczenia. Podobała mi się bezwzględna szczerłość sta-

rego. Zdawał się wyczytywać mi to z oczu, wyciągnął bowiem przez stół rękę do mnie.

„Proszę mi wybaczyć, łaskawa pani” — rzekł z uśmiechem, — a toż stary niedźwiedź ze mnie, żeby w towarzystwie młodych pań gadać o polityce! Poprawię się — poprawię. Niech pani pozdrowi ode mnie serdecznie ojca. Spotkałem go przed czterema tygodniami przy dworze, wymknął mi się jednak, zanim zdążyłem osobiście mu powinszować świetnego poprowadzenia manewrów. W najbliższym otoczeniu Jego Cesarskiej Mości jednogłośnie to przyznawano.”

Mało dotychczas słyszałam o pomerańskich manewrach cesarskich, w których ojciec dowodził wschodnim korpusem. „Cesarz był niezmiernie miłościwy dla mnie — pisał mi on — „nominacya na komendanta dywizyi jest prawdopodobnie rzeczą najbliższą przyszłości” — dodała mama. Podwójnie się też ucieszyłam z możności dowiedzenia się o tem czegoś bliższego. „Chciałaby pani może, aby zdał jej szczegółowy raport wojenny?” — roześmiał się hrabia Lehnsburg, cierpliwie jednak zbudował ze skrawków papieru i gałek chleba całe pole bitwy i nie czekając nawet na moją odpowiedź, odtworzył mi dokładnie cały przebieg manewrów, podczas których armią nieprzyjacielską dowodził sam książę Wilhelm, wnuk cesarski. „Ojciec pani — dodał hrabia z uśmiechem — niewiele sobie widać robi z uświęconych osób — zdecydowany z niego heretyk, dla którego gorliwi służbiści szykują już pewnie stos — przyjął bowiem nieprzyjaciela, salwą morderczą tak, że co nie poległo od razu na placu boju, byłoby pewnie wzięte zostało przez niego w niewolę, gdyby zawczasu nie był mu odradził tego jeden z arcykapłanów, któremu w na-

grodę za to ostrzeżenie dostało się, co prawda, kilka mocnych epitetów. Nastąpiła potem jeszcze kolosalna szarża kawaleryi — *theatre parè* dla obcej publiczności!... „Mimo to — zakończył — „było to porządne głupstwo, jakie się zawsze wydarza najwaleczniejszym, że — hm! nie potrafił lepiej uszanować uświęconej głowy.”

Wuj mój, bębniący już przez cały czas niespokojnie po poręczy swojego fotelu, nie zdawał się dzielić dobrego humoru obecnych. „Już przed kilku tygodniami ostrzegałem mojego szwagra” — mruknął — „kto zna księcia, wie, że zdolny on do wszystkiego, tylko nie do wybaczenia.”

Nie znosiłam nigdy napaści na ojca. I teraz uderzyła mi krew do głowy i dla tego obrona moja wypadła gwałtowniej, aniżeli było potrzeba.

„Uważam, że zachowanie względów, jak tego wymagałeś wuju, równałoby się zaniedbaniu swojego obowiązku. Gdyby książę, który nigdy jeszcze nie usłyszał świstu kuli, miał do czynienia z samymi dworakami, musiałyby Niemcy grubo to kiedyś odpokutować.”

„Brawo!” — zawołał hrabia Lehnsburg. „Puste frazesy” — mruknął wuj.

Nazajutrz wczesnym rankiem nadeszła depesza! „Dywizya w Münsterze”. Wskoczyłam na równe nogi z łóżka. Westfalia: Rzym północy — pokój Westfalski — Anusia Droste — bitwa Hermanna — taki na sam dźwięk tej nazwy zawirował w mej pamięci kalejdoskop myśli i obrazów. Tegoż popołudnia pojechałam do Bydgoszczy. Niespodzianie zupełnie zastałam na dworcu ojca usposobionego tak poważnie, że nie miałam odwagi zadawania mu jakichkolwiek pytań. Po przyjeździe do domu zachowywał on w dalszym ciągu

uporczywe milczenie, gdy siostrzyczka moja skakała z radości na myśl o czekającej nas zmianie, a mama rozważała plany najbliższej przyszłości. Dopiero późnym wieczorem, po ułożeniu zwykłego pasjansa, który wyszedł dobrze z pomocą mamy, zaczął mówić o przyszłości. Z listy rang probowaliśmy orientować się w stosunkach jego dywizyi; ciągnęła się ona aż do Akwizgranu i Padebornu; garnizon jej obejmował szereg miast pełnych wybitnego znaczenia historycznego. W Münsterze mieliśmy zapewniony obszerny lokal słuźbowy i świetne stosunki towarzyskie; głównodowodzący był dawnym sympatycznym znajomym mojego ojca.

„A jednak?—”

Zadrzałam wobec ponurego spojrzenia, z jakim się spotkałam. W chwilę później rozjaśnił twarz jego wymuszony nieco uśmiech; nerwowym ruchem rozczesywać zaczął brodę. „Nic więc nie widzicie?” nic — wykrztusił wreszcie, trzeba wam dopiero pokazywać palcem, jak dzieciom”; mówiąc to, stuknął palcem w listę rang: „13-a dywizya”— wypisane tam były grubemi czcionkami. Trzynastka była czerwono podkreślona.

Ojciec mój odchodził od stołu, przy którym siedziało 13 osób, zawracał, jeśli kot, przebiegał mu drogę! żegnał się trzy razy, jeśli pierwszą osobą, którą spotykał podczas rannej przejażdżki konnej, była stara kobieta. Uśmiechnęłam się lekko, tuląc pieszczotliwie twarz do jego policzka. „Zażegnamy fatalną trzynastkę, ojczulku, napewno zażegnamy.”

„Sądzisz? — bąknął z niedowierzaniem, wpatrzony nieruchomie w próżnię.

Pozostaliśmy tylko kilka dni jeszcze. Stary pakow-

nik z Berlina, znający całe nasze urządzenie na wylot i znajdujący paki zawsze tam, gdzie je zostawił przy ostatniej przeprowadzce, wieszował nam zawsze zmiany. „Ta dziura, to nie dla jaśnie państwa” — rzekł tym razem, wchodząc z pliką rogożek na plecach. Zatrzymaliśmy się w przejeździe w Berlinie. Ojciec składać musiał oficjalne wizyty, my zaś moc miałyśmy sprawunków do załatwiania. Rozmiary przyszłego naszego mieszkania wymagały znacznego powiększenia ilości mebli, nadto wszystkie dawne nasze sprzęty gruntownego wymagały odnowienia. Musiałyśmy zaopatrzyć się też w niezbędne stroje na nadchodzący karnawał. Pod miłym wrażeniem, że nie jest już zniewolona liczyć się z każdym groszem, że nie musi ograniczać się przy oglądaniu pięknych wystaw sklepowych, na wyłącznej roli spektatorki, odmłodziła matka moja formalnie, odkryłam po raz pierwszy, nie bez pewnego zawstydzenia, że pomimo swoich czterdziestu trzech lat jest zawsze jeszcze piękną kobietą; przeszła mnie też boleśnie myśl, że marne w gruncie rzeczy prowadziła życie, mając pełne jeszcze prawo do stawiania mu pewnych wymagań.

Nad wieczorem późnego jesiennego dnia zbliżaliśmy się do Münsteru. Na ciemno-fioletowym niebie piętrzył się czarny las kopuł i wieżyczek. Przez mroczne ulice, po których od czasu do czasu przesuwały się szare postacie ludzkie, zajechaliśmy przed sklepiony przedsiónek hotelu, do którego wiodły wyżłobione przez odwieczne po nich stąpanie, schody kamienne.

Wczesnym rankiem zbudził mnie głęboki dźwięk jak gdyby dalekiego grzmotu; stopniowo rozbrzmiewał on coraz mocniej, zmieszany z chórem wesołych gło-

sów, wzywających na mszę ranną dzwonów Münsteru. Długo jeszcze po ich przebrzmieniu rozedrgane było całe powietrze jasnymi czystymi ich dźwiękami. Wyjrzałem ciekawie przez wązkie narożne okno. Ulica była szeroka, obramowana dwoma sznurami wązkich wysokich domów, bogato upstrzonych wykuszami, wieżyczkami i wszelkiego rodzaju sztukaterią. Górna część każdego z nich oddzielona była zupełnie od sąsiedniej i tylko dołem łączyły wszystkie budowle w jedną całość sklepione arkady, których szeroko zakreślone łuki spoczywały na mocnych śmiało zarysownych słupach. Zdawało mi się, że ogarniam w tej chwili po raz pierwszy właściwą istotę starego niemieckiego mieszczaństwa: tam i szerokiej podstawy wspólnoty i wzajemnej obrony wyodrębniała się ostro i wyraziście niezależność i jednota rodziny. Jakże bogatem było to osławione „ponure” średniowiecze, umiejące nadać treści właściwemu znaczeniu życia tak przedziwnie harmonijny wyraz zewnętrzny!

Ku północy kończyła się ulica wysmukłą, odrzynającą się na błękitnie nieba koronkowemi swemi zarysami wieża kościoła, którego kształt zaklął w siebie zdało się, wszystkie skarby gotyku. Czekać się niemal chciało, aż nie rozewrą się dokoła podwoje, aby wpuścić na mszę ranną szeregi ojców pobożnych, — kobiet w długich, bogatych szatach — przetykanych perłami i drogiemi kamieniami, z osłoniętymi skromnie głowami z zamykanemi na artystycznie kute srebrne klamry aksamitnemi książkami do nabożeństwa, — mężczyzn w kolorowych suto rozszytych kaftanach i piórem zwisającym u beretu. Daremnie jednak. Jedyne kilka kobiet w bezbarwnych sukniach, wiernie charakteryzują-

cych koniec XIX-go stulecia, szarmonizowanych z jednostajnym stylem jego miast koszarowych, znikło za wrotami kościelnymi. Chciałam już, rozgniewana, że przysł czar, odwrócić się od okna, kiedy nagle wzrok mój przykuty został po raz wtóry: z ciasnej przeciwległej ulicy wysunął się cicho sznur szarych zakonnic; brzegi ich białych kapturów powiewały na wietrze porannym: przytulone blisko do siebie, stąpały one niedosłyszalnymi krokami—łańcuch przelotnych ptaków nocnych, kryjących się trwożliwie przed światłem w ciemnym przedsionku kościelnym. I znów martwa zapanowała na ulicy cisza.

Celem pierwszej naszej wędrówki było nowe nasze locum: niegdyś klasztor Augustynek, pozostający w ciągu czterech wieków w posiadaniu surowego zakonu pokutujących mniszek, zanim padł ofiarą bezbożnie pobrzękującej szablą polityki pruskiej. Przed wyciągnięciem na długość szarym domem z jego grubemi staremi murami i licznymi małymi okienkami stał nawpół ukryty za kilkoma ogromnymi lipami odwiecznie stary ciemny kościół; wysokie mury ogrodowe zamykały po za nim niewielki placyk. Nieśmiało przestąpiłem progi szerokiego, wyłożonego płytami kamiennymi dziedzińca. Donośny głos urzędnika intendenty, przewodnika naszego, towarzyszącego nam celem udzielenia niezbędnych szczegółów i wyjaśnień, raził mnie niemile, jak głosy wszelkich odźwiernych galeryjnych, pałacowych i kościelnych, którzy zdają się istnieć po to tylko, aby strzedz zwiedzających przed zbyt głębokim wrażeniem. Dałam mu spokojnie iść naprzód, a sama pozostałam, w tyle. Na dworze jaśniała najpiękniejsza pogoda jesienna, słońce zalewało całą sień i schody, nie docierając wszakże do pokojów; panowało tu ciężkie

chłodne powietrze pieczar, do których nie przenika nigdy promień słońca. Wszystkie pokoje mieszkalne zwrócone były na północ, — ani jeden ciepły powiew kuszącego świata nie śmiał musnąć mniszek, których komnaty te były celami. Jedna z nich służyć snadź musiała najpobożniejszej; wychodziła ona na maleńki dziedzińczyk nawprost i tak blisko, że tylko ręką sięgnąć gotyckiego okna kaplicy klasztornej, na której potłuczonych szymbach malowanych widniały jeszcze wykrzywione bólem rysy jednego ze świętych męczenników. „Zamurowane jest tutaj wejście do kaplicy”, — usłyszałam zdaleka wyjaśnienie urzędnika, opowiadają sobie ludzie że zakonnice wciąż jeszcze zawodzą tutaj po nocach, drapiąc ściany, przez które zamurowano im przejście.”

Na dole w ogrodzie spotkaliśmy się ponownie. Symbol Münsteru — lipa—zdobiła go przeważnie, teraz jednak, ogołocona z liści, potęgowała jedynie wrażenie martwej ciszy, wywoływanej przez wysokie, okalające ogród mury: z jednej strony mury koszar kirasyerskich, z drugiej zaś — magazynu prowiantowego, na który przerobiono jedno skrzydło klasztoru.

„Tutaj oto był cmentarz klasztorny” — objaśnił nasz przewodnik. „Kiedy przed kilkoma laty wjeżdżał przez tę bramę jego ekscelencya Melchior, zapadła się ziemia, a koła wcisnęły się w zmurszałe groby, rozkopując je na oścież”. „Przyjemne mieszkanie służbowe — niczego”—próbował żartować ojciec. Czułam, że i jego piersi przytłacza ciężka zmora. „Podoba mi się ono bardzo” uśmiechnęła się matka, „biedni zmarli nie przestraszają mnie, a mieszkanie jest wspaniałe.”

Rzemieślnicy wnieśli odrazu ożywienie i ruch do domu. Pozostaliśmy przez parę tygodni w hotelu, z czego

korzystając, obchodziłam codziennie wszystkie kościoły i zaułki. Nigdy jeszcze nie widziałam podobnego miasta: w Augsburgu czy Norymberdze nowe czasy pod kierunkiem bezwzględnych zdobywców — przemysłu i techniki stopniowo wypierały, wchłaniały w siebie i dławiły stare, — tutaj zamarło życie; ani jeden komin fabryczny nie rozpierał się z gestem dorobkiewiczowskim obok wież kościelnych; za wysokimi sztachetami żelaznymi, w arystokratycznym odosobnieniu wznosiły się dumnie renesansowe i rokokowe zamki dawnych patrycyuszów, okolone stuletniami lipami, stały kościoły i kaplice, olśniewające pięknem i przepychem sztuki romańskiej i gotyckiej, z zapomnianych zapadłych kątów wylaniały się mury starych klasztorów, których porośnięte trawą dziedzińce okolone były krużgankami niby ramionami opiekuńczymi; niejeden stary mur forteczny wyzierał pod miastem z pomiędzy kęp bluszczu i gęstwiny krzaków obok cicho szemrzących fontan, pod arkadami oplecionych łożą winną łuków pełno było cichych zakątków, do których nie docierał żaden odgłos życia zewnętrznego.

Któż z tych, którym Münster odłonił swoje czary nie rozumiałby, dlaczego błękitny kwiat romantyzmu trwałe tutaj zapuścił korzenie, gdy rozpoczęta wszędzie dokoła robota oświatowa groziła mu doszczętnem zniszczeniem, dlaczego marzyciele jak bracia Stolberg, szli się tutaj zakuć u stóp księżny Golicynowej w więzy kościoła katolickiego, a Hamann, Magnus północy, żył tutaj pobożnemi swemi fantazyami?

Ukończenie naszego mieszkania położyło kres zdobywczym wędrowkom moim po mieście.

Utonęłam znów w morzu obowiązków domowych

i towarzyskich. „Święciliśmy wczorajsze wprowadzenie się do naszego klasztoru bytnością poraz pierwszy w kaplicy wojskowej — i wysłuchaliśmy w tym zimnym, gołym, pustym przybytku niemniej zimnego i beztreściwego kazania — pisałam do kuzynki. „Potem nastąpił cały szereg wizyt — niestety, takich tylko, przy których doznaje się tego samego wrażenia, co w teatrze maryonetek: wszelki ślad zaciekawienia ustaje z chwilą, gdy przedsiębiorca z powrotem kładzie lalki do pudła. Najchętniej siedziałabym teraz w niszy okiennej mojej celi i czytałabym, czytała, czytała!” Odkryłam bibliotekę — w związku nauki i sztuki — z której tem łatwiej mogę korzystać, że nikt zdaje się nie zaglądać do niej. Młody urzędnik o surowej twarzy ascety, który zrazu traktował mnie bardzo odpychająco, jest teraz najlepszym moim doradcą. Szkoda, że nie mogłaś widzieć, jak zajaśniały jego nawpółprzymknięte oczy, gdy sławiałam przed nim piękno Münsteru! „Gdybyś pani poznała cały Münster” — zawołał, a twarz jego ożywił odbłask dziecięcego zachwytu. Daje mi stosy książek, z których poznać mam naturę i sztukę jego umiłowanej czerwonej ziemi. Bardziej jeszcze jednak pociągają mnie liczne dzieła treści ogólnodziejowej, jakie obejmuje katalog. Doradca mój zapewnia mnie wprawdzie, najuroczyściej, że nie znajdę w nich nic odpowiedniego dla siebie, a nawet, że są między nimi książki, mączące spokój ducha; zbladł i zczerwieniał, gdy go zapewniłam, że mi na tem właśnie zależy; a gdy zażądałam od starego sługi bibliotecznego historię cywilizacji Lecky’ego oraz „Początków kultury” Tylora, wlepił we mnie jak w niebywałe zjawisko, mrużąc: „Ależ — ależ niema w nich nawet przecież obrazków!” — Pochłonęłam je w ciągu kilku nocy, oce-

niwszy je wedle wartości rozumem; zmysły moje wszakże tonęły w zachwycie w przepojonej oparami kadzidel katedrze. Cierpiałam z powodu pozornej tej sprzeczności, dopóki nie zrozumiałam, że w zupełnym z samą sobą byłam porządku: wszystkie strony natury naszej wymagają sycenia, a sztuka jest pokarmem zmysłów. Protestantyzm nie był mi nigdy sympatycznym; teraz dopiero zdałam sobie jasno sprawę, że jest on nietylko pogwałceniem potrzeb ducha, lecz nadto, że jest wyraźnie religijny.

„Niestety, wywalczać sobie muszę każdą godzinę do mydlenia i nauki. W ciągu dnia pochłaniają mnie porządki domowe, sprawy toaletowe, przyjmowanie i oddawanie wizyt oraz wdrażanie służby do jej obowiązków. Oceniałam przy tej okazji fałsz wielu przysłów, i zdań moralnych, mających być jakoby mądrością ludową, jak np. „Po skończonej robocie miło jest odpocząć”. — „Spełnienie obowiązku uszczęśliwia” — „Spokojne sumienie, — najlepsza poduszka” i t. p. kłamstwa, kładące opaski nam na oczy, abyśmy nie dostrzegali poza niemi prawdy. Prawda ta zaś dowodzi nam „dokonanej *swojej* roboty, a wtedy dopiero będziesz zadowolony — spełń *twoje* przeznaczenie, — a zdobędziesz szczęście”.

Z wzrastającym wirtuozowstwem prowadziłam podwójne życie, zakopując się godzinami całemi w moich książkach, żyjąc w nich własnymi myślami, gdy równocześnie ręce moje zajęte były przybieraniem kapeluszy, szyciem, lub też przygotowaniami do coraz liczniejszych zebrań towarzyskich, obiadów proszonych i wieczorów tańczących, w chwili wszakże, gdy wsiadałam w toalecie balowej do powozu lub gdy witałam pierwszych gości w progu naszego salonu, zamykałam na klucz ta-

jenną skrytkę mojej duszy; i wówczas nie pozostawało we mnie nic poza salonową damą.

W sam dzień Trzech króli otworzyły się arystokratyczne domy Münsteru. Rozpoczął się karnawał. Nie ów, umiejący utrzymać zdrową miarę, zaciągający się pod sztandar higieny i moralności, aby nie psuć zacnych żołądków swoim uczestnikom — ale dziki, nieokiełznany wrzęgający do swojego rydwanu młodych i starych, odrzucający zmysły i pozostawiający rozkoszne uczucie omdlewającego upojenia. Żaden dwór królewski nie mógłby zgromadzić dokoła siebie świetniejszego towarzystwa, aniżeli Münster w dobie karnawałowej. Najwspanialszy wszakże blask zapewnia jej arystokracji sięgającej zamierzchłych czasów Wittekinda, księcia saskiego, ustalone bogactwo całych szeregów pokoleń. Pruski, szlązki lub brandeburski szlachcic zdradza częstokroć wielkością swoich rąk, szerokością pleców i twardością czaszki, że przodek jego musiał pracować i żyć jak chłop, a rubaszny jego dowcip, brak odczucia subtelniejszych artystycznych ponęt życiowych nie pozwalają zapomnieć, że obok siekiery i pługa był jedynym jego narzędziem miecz przepasany u boku. Rasowa wytworność jego westfalskiego współstanowca, jego, odwykle od wieków od twardej pracy, ręce, bezpośrednim natomiast, są wynikiem hojności żyznej gleby oraz liczebności podwładnych, którym wypadło ją uprawiać; wykwint jego form towarzyskich, piękno jego otoczenia przypomina przepych dworów książąt kościoła w Kolonii, Paderbornie lub Münsterze, gdzie wychowywani byli ich przodkowie oraz kulturę artystyczną, którą szerzył dokoła siebie kościół katolicki.

Strój ich wysmukły nieco sztywnych żon i córek, o

subtelnych, regularnych, nieco bezmyślnych twarzach cechuje wrodzone odczucie barw i tkanin; perły i klejnoty w starożytnych oprawach zdobią ich bujne blond włosy, ich śnieżne szyje i ramiona. Meble, ozdoby, bogate zastawy srebrne w ich domach odziedziczone są po dalekich przodkach z epoki świetności gotyku, renesansu i stylu rokoko; z pysznie kolorowych gobelinów, wyściełających ściany ich komnat, patrzy przeszłość cała na młode pokolenie, które nie sprzeniewierzyło jej się też duchowo.

Są oni wszyscy wierzącymi katolikami; nie opuszczą nigdy mszy rannej, chociażby przetańczyli całą przedtem noc; przedstawiciele najwybitniejszych rodzin bosich, z różańcem i książką do nabożeństwa w ręku, biorą udział w wielkich procesjach kościelnych; kościół jest ich właściwą ojczyzną; w czasach kulturkampfu traktowała arystokracja westfalska pruskich urzędników i oficerów jako nieprzyjaciół, zachowując do dzisiejszego dnia jeszcze pewną nieufną względem nich powściągliwość. Nie tyle jednak dotyczyła ona pruskich protestantów wogóle, ile pojedynczych osobników, występujących z nietaktowną arogancją lub też nieposiadających nieposzlakowanej czystości dyplomu szlacheckiego. Panowała tu jeszcze w całej pełni zasada wyłączości — mieszczanin, któremu godność szlachecką świeżo została nadana, nie był przyjmowany w towarzystwie, a niepisane to prawo najsurowiej było przestrzegane w stosunku do tuziemców. Organizacja pań westfalskich, powołana do życia w charakterze przeciwwagi duchowi równości, panującemu w epoce rewolucji francuskiej, mogła rozstrzygać o istnieniu lub niebycie danej jednostki. O uroczystościach i festynach, urządzanych przez nią pod mia-

nem balów klubu damskiego szeroko wszędzie mówiono, a zarazem wielce się ich obawiano. Kto nie otrzymał — celowo oczywiście — zaproszenia na nie, podlegał raz na zawsze bojkotowi towarzyskiemu; bezwzględnie towarzysko uznanymi byli ci tylko, których nie brakło i na zebraniach poufnych. Klub posiadał moc odsuwania — przez tajne głosowanie — na przeciąg miesięcy i lat nawet od wszelkiej z współstanowcami łączności — członków arystokracji westfalskiej, na których poważny jakiś zaciężył zarzut.

Liczenie się z tym głęboko zakorzenionym ustrojem, w którym odzywały się echa tajnych sądów inkwizycyjnych do dziwnych prowadziły konsekwencji: uzyskano wprawdzie, że i oficerowie, nie należący do szlachty, nie byli zupełnie wykluczeni z towarzystwa, zapraszano ich wszakże tylko na wielkie bale, wszakże i tutaj nie poważyliby się oni zaprosić do tańca którejkolwiek z wielkich pań westfalskich. Jedynymi, przyjmowanymi bez zastrzeżeń byli kirasyerzy czwartego pułku oraz tak zwani huzarzy papiescy z Paderbornu — pułki równie arystokratyczne jak gwardya, do których nie-szlachcic nie miał dostępu nawet o ile służył jako jednoroczny ochotnik. Nietyle więc stanowisko mojego ojca, ile jego nazwisko oraz drzewo genealogiczne mojej matki było talizmanem, otwierającym nam wszystkie drzwi. Wyrzekłam się już stawiania duchowych wymagań naszemu towarzystwu; Alicya Klewe, przelatująca z płonącymi policzkami i palącą żądzą życia pod takt czarownej melodyi walca z jednych objęć w drugie, nie była tą samą, która w domu tonęła w książkach z bijącym sercem i nienasyconą żądzą wiedzy.

Wykwint i bogactwo środowiska, elegancja tan-

cerzy, wytworne piękno ludzi i rzeczy zadawała moje zmysły; bywały dni i godziny, w których podniecająca, gorączkowa atmosfera karnawałowa pochłaniała mnie całkowicie, w których melodia taneczna przesywała mnie od stóp do głów niby iskra elektryczna, zagłuszając wszelkie inne oddźwięki życia. Tańczyliśmy codziennie; podczas ostatnich padły nawet mury, oddzielające wzajem od siebie warstwy towarzyskie, a my sami zmieszaliśmy się z ustrojonym w maski tłumem ulicznym w deszczu papierków różnokolorowych i ogniu papierowych pukawek. Wszystkie domy i dziedzińce stały otworem, maski miały prawo wchodzić wszędzie nieproszone, a jednak ani razu nie słychać było, aby rozochocenie karnawałowe przybrało cechę trywialnego żartu.

W ostatni wtorek wydał klub kirasyerów śniadanie, przy którym korki z butelek szampana strzelały z hukiem salw armatnich, rozplamienając zebranych do szalonego tańca na piasku ujeżdżalni, gdzie, panowie skakali o zakład przez rowy i kopce. Wieczorem miał się odbyć ostatni bal damskiego klubu; raz jeszcze tańczono do upadłego, siwobrodzi mężczyźni nie ustępowali werwą młodzikom, obsypując wraz z nimi wszystkie tancerki nieprawdopodobnem mnóstwem kwiatów. Ćmiło mi się już w oczach, nie czułam też nic prócz kołyszącego, upajającego rytmu tańca oraz gorącego, przyspieszonego oddechu moich tancerzy. Nagle, w najszańszym rozpędzie dzikiej pożegnalnej galopady, stanęło wszystko na miejscu jak zaczarowane; muzyka umilkła, panie wysunęły się z sali z krótkimi ukłonami, panowie zarzucili szybko płaszcze na ramiona — głęboki dźwięk dzwonu katedralnego oznajmił północ — donośny dwo-

nek pobliskiego małego kościołka zwiastował następienie środy popielcowej.

Za jednym uderzeniem zamarło, zda się, całe życie.

Cisza zaległa arystokratyczne domy, których okna przysłoniły grube firanki. W jednym tylko z najwytworniejszych z nich widać było ruch jakiś; wysmukła córka gospodarstwa tańczyła z nami jeszcze wczoraj, a dzisiaj są oblóczyny jej w klasztorze Urszulek. Cała rodzina towarzyszyła jej niby szczęśliwej oblubienicy, ona sama też szła z uśmiechem jak do ślubnego ołtarza. Z odblaskiem nieziemskiej radości pełnili bracia jej — najzawołańsi zazwyczaj tancerze — służbę ministrancką przy mszy świętej. A przecież wiedzieli wszyscy, że było to pożegnanie nazawsze, surowa bowiem klauzura jest udziałem Urszulek, pędzących żywot poświęcony wyłącznie modlitwie i pokucie.

Podczas postu, przybyli do Münsteru najlepsi mówcy zakonu kapucynów. Trzy razy dziennie miewali oni kazania z czterech kazalnicy, a tłum za każdym razem szczerze zappełniał kościół, stojąc cierpliwie przez długie godziny. Chodziłam często do katedry; porywającą była fanatyczna wymowa tych bladych, odzianych w brązowe habity ludzi. Byli bezwzględni i dotykali najgłębszych ran życia, a wpływ, jaki wywierali, ujawniał się nie tylko we wzrastającym napływie wiernych do ich konfesjonałów, ale też i w czynach mieszkańców miasta. Słyszeliśmy niejednokrotnie, że oddawano skradzione przedmioty, że oszczercy prosili spotwarzanych o przebaczenie, przeniewiercy wracali do uwiedzionych dziewcząt. „Prąd wyzwoleńczy ogarnia świat; hołdować mu są zmuszeni, sami o tem nie wiedząc, i ascetyczni słudzy kościoła. Czasem, kiedy porywającą siłą opisywali oni

nędzę biednego ludu roboczego, grożąc niechcącym nic widzieć i słyszeć bogaczów okropnościami ziemskich też trosk, zdawało się, że wstąpił w nich żywy duch Chrystusa. Śniłam przy tem o dalekiej przyszłości, gdzie w uświęcanych jak ten przybytkach, głosiciele wolności przemawiać będą do tysięcy” — pisałam do Matyldy. W Münsterze inaczej wszakże pojmowano częste moje bywanie w kościele. Przypadkowe, może, a może rozmyślne zrządzenie sprowadzało mnie często z katolickimi księżmi, których żywe mną zainteresowanie się nie uszło mojej uwagi. Ofiarowywali mi się oni na przewodników po kościołach i kaplicach, aby wciągać mnie przy tej okazji w dysputy religijne. Temu też prawdopodobnie zawdzięczałam, że towarzystwo westfalskie wyróżniało mnie z pośród całego grona młodych dziewcząt, co oczywiście niezmiernie schlebiało mojej próżności. Nikt nie zauważył jednak, że w gruncie rzeczy coraz bardziej oddalałam się od zakłętego koła duchowych interesów mojego otoczenia. Nie miałam wszakże nikogo, z kim mogłabym szczerze o tem pomówić. Ojciec coraz bardziej zasklepiął się w swoich religijnie i politycznie konserwatywnych poglądach, a im wyższe zajmował stanowisko, im wyłącziej otoczony był przez podwładnych, tem bardziej stawał się despotycznym, tem mniej znosić potrafił opór. Antypatya matki do moich studyów wciąż wzrastała, badała ona z największą nieufnością każdy tytuł książki, a ilekroć bardziej mnie która z nich absorbowwała, pewną być mogłam że powierzona mi będzie „ważna” jaka domowa robota: łatanie bielizny, wycieranie kurzu lub coś innego w tym samym mniej więcej rodzaju. Z pomiędzy licznych znajomych naszych nie uważała nikogo za godnego i zdolnego do podzielenia kierunku mo-

ich zainteresowań. Dość było już zdumionych twarzy, jeśli zdarzało mi się odważać zabierać głos w dyskusjach politycznych.

Stawałam się też coraz kapryśniejszą, drażliwszą i dumniejszą, a pogląd mój na ludzi coraz bardziej był pesymistyczny. Jasnym był dla mnie jedynie świat ksiązek; wiadomości, jakie dzięki nim nabywałam, przejmowały mnie głęboką, gorącą radością, a tęsknota bujnie przerastała ciasne ramy codziennego życia, zapożyczając od wyobraźni najświetniejszych barw do malowania ludzi, żyjących ideałami, „zbrojnych w najbogatszy oręż ducha i wyruszających na zdobycie nowego mgliście przeczuwanego świata. Dziennik mój oraz listy do Matyldy były powiernikami mojego własnego, ukrywanego przed światem życia.

„W moich studiach nad historią kultury dotarłam do piątego wielkiego dzieła”, — pisałam wówczas — „moje zainteresowanie działem tym wzrasta wciąż; odnajduję w czytanych dziełach to, w co wiara tkwiła we mnie — w niejasnym wówczas przecuciu — od dzieciństwa! że mimo wszystko, co mogłoby chwilowo przysłaniać wzrok; niepowstrzymanie kroczymy wciąż naprzód. Biada tym, którzy chcieliby stawiać temu zapory w sztuce, nauce, religii czy polityce! — Jedno tylko boli mnie i doprowadza nieraz do rozpacz; że jestem tylko widzem i że nie mogę dopomagać czynnie ani przy burzeniu starego, ani też przy budowaniu nowego porządku świata”.

W innym znów miejscu znajduję: „Na drodze samotnych moich studyów doszłam do świadomości, że rozwój nasz krętami idzie naprzód schodami. Zrazu uczymy się mechanicznie, nie rozumiejąc, potem dopiero

uczmy się rozumieć; oba stadya te poprzedzają właściwe myślenie, które urabia dopiero osobowość człowieka, rozpoczynającego znów od początku; od uczenia się, rozumienia, myślenia — lub też rozpalania nagromadzonego prochu rozumu elektryczną iskrą własnego ducha, i rozsadzania nim stężyłych w mury formułek, aby mózgi — po obaleniu ich — z siebie już promienować światło i ciepło. Na każdym z tych stopni zatrzymuje się wiele ludzi; w miarę też kroczenia naprzód coraz bardziej jesteśmy osamotnieni i coraz większą pozostawiamy w tyle liczbę tych, którzy nie mogli dotrzymać nam kroku”.

O ile kuzynka moja wdawała się wogóle w dyskusye, zawsze mi oponowała. Broniła np. historyi bohatera w zestawieniu z historią kultury, usiłowała dowieść mi, że historię „robią” królowie, mężowie stanu i wodzowie, gdy ja, przeciwnie, wykazywałam, że podstawą i źródłem jedynie zdrowego, trwałego postępu jest lud, gdy wielcy świata są przeważnie maryonerkami tylko w rękę olbrzymiej, bezimiennej masy”.

Zbyt silnie odczuwałam potrzebę wypowiedzenia się przed kimkolwiek, a pogląd jej był dla mnie zbyt mało ważkim, aby mogły mnie odstraszyć jej dowodzenia. „Muszę się z tobą podzielić ostatniem mojem odkryciem, jakkolwiek wiem z góry, że oburzona znów będziesz na moje „przewrotowe” poglądy. Im bardziej zagłębiam się w studia nad historią narodów, tem wyraźniej staję się dla mnie, że wielki, zbyt mało uznawany postęp współczesny polega na zupełnem przewartościowaniu wartości pracy. Żaden naród przeszłości nie uważał pracy jako takiej za coś szacownego. Przeciwnie; pracował jedynie niewolnik, jeniec wojenny, słowem, człowiek pozbawiony

praw i czci. Praca była niegodną wolnego człowieka. Takim był powszechny pogląd narodów starożytności, tak też zapatrywali się starzy Germanowie. Do tych pozbawionych czci, potępionych niejako na pracę, należały — rzecz charakterystyczna — nietylko niewolnice, ale cały wogóle ród kobiecy. Do przyjęcia zasady, głoszącej, że praca jest zaszczytem a próżniactwo — występkiem zaczynamy dopiero dorastać i do całkowitego swojego znaczenia dojdzie świadomość ta w dalekiej dopiero przyszłości. Dla mnie osobiście jest ona nietylko rozumnym poglądem, ale wydarzeniem, które wstrząsnęło całą moją istotą. Jeśli wartość człowieka ma być określana miarą tego, co zdziałał on — jak wypadnie egzamin ten dla mnie? Mam lat dwadzieścia trzy, jestem zdrowa na ciele i umyśle, zdolna do działania bardziej może od innych, i nietylko nie pracuję, ale nawet nie żyję, jeno wegetuję”.

Jak wygłodzony rzuca się łapczywie, na każdy kęs, tak rzucalam się i ja na każdą możliwość przeżyć i pracy.

W tym czasie umarł stary cesarz i zarazem rozpoczął się ostatni akt męczeńskiej tragedii życiowej jego następcy. Potęgująca się moja wrażliwość nerwowa kazała odczuwać mi wypadki, nie dotyczący nawet własnego mojego losu jako przeżycia osobiste. I tym razem śledziłam z wyteżoną uwagą głosy prasy, myśląc wiele o „przyszłym” władcy, którego kalectwo takim przejmowało mnie niegdyś lękiem, i który, od pamiętnej owej dla mnie rozmowy z hrabią Lehnburgiem, tak groźnym wydawał mi się przeciwnikiem mojego ojca. Upadł stary świat, grzebiąc w gruzach swoich tragiczną walkę Fryderyka III-go ze śmiercią. Z dziką rozkoszą burzenia zda-

wały się towarzyszyć upadkowi jego rozpasane żywioły. Deszcz lał nieustannie, rzeki wystąpiły z brzegów, zatapiając tamy i groble — znosząc tysiące cichych domostw, zagrażając nędzą i głodem tysiącom ludzi. A siedziałam z założonymi rękami pod bezpiecznym schronieniem naszego domu. Z gorączkowym pośpiechem spisałam wszystkie bajki, które w ciągu tylu lat opowiadałam mojej siostrzyczce. Posłałam je na chybił trafił jednemu z wydawców królewieckich, przekazując ewentualny dochód na rzecz ofiar powodzi. „Drukowanie podobnych utworów nie leży w naszym zakresie” — odpowiedział mi, i zniechęcona jego odmową, rzuciłam pracę moją do pieca. Wkrótce potem zorganizowany został wielki koncert dobroczynny dla głodnych, że zaś nie zapomniano jeszcze o moich przygodnych produkcjach karnawałowych, powierzono mi napisanie i wypowiedzenie prologu. Nie przyszło mi to trudno, wystarczyło bowiem ubrać tylko uczucia moje w słowa. Kiedy w dniu przedstawienia stanęłam w czarnej sukni żałobnej na estradzie, mając dokoła siebie skupiony ciemno odziany tłum słuchaczy — czułam, że głos mój wypełnia salę, a serce, bijąc gwałtownie, kruszy opasujące mnie dotychczas obręcz żelazne. O głębokim dzwonie piersi mojej mówili mi ci, którzy po ukończeniu deklamacyi entuzjastycznie mi dziękowali, gdy wielu ograniczało się na niemniej wymownem choć niemem uściśnieniu dłoni. Miałabym istotnie posiadać moc poruszania serc ludzkich, wrywania ich ku dobru i pięknu z trzęsawiska zwykłego ich potępienia? Czy tutaj wreszcie otwierała się dla mnie droga, którądy nieraz będę mogła uciec od bezcelowości mojego życia? O, gdyby zużyć posiadane siły na którąkolwiek z prac pionierskich, torujących nowe drogi

przez pustynię świata:” — pisałam tej samej jeszcze nocy do Matyldy.

Prolog mój został wydrukowany i rozprzedany w paru tysiącach egzemplarzy. Zrazu napełniło mnie to uczuciem radości i dumy, po którym zbyt rychło jednak przyszło rozczarowanie. To, co uzyskałam dla ofiar powodzi, było kroplą puszczonej na rozprażony kamień; porwani chwilowo słuchacze moi powrócili do nastroju powszedniego; i ja też wrócić musiałam do codziennego życia. Przechodziłam studyum ostrego przełomu, trzęsącego mną jak febra, pozbawiającego mnie snu i resztek panowania nad sobą. To też, gdy ojciec zapytał mnie pewnego wieczora, dlaczego siedzę taka niema i sztywna, odpowiedziałam z niedającym się już dłużej hamować wybuchem: „Bo obrzydło mi życie — bo nie mogę już znosić dłużej samej siebie”.

„Ależ na miłosierdzie Boskie, cóż się znów stało? Nowa przeklęta historia miłosna?” — Z przerażenia nabrzmiały ojcu żyły na skroni. Matka przeciwnie, rzuciła na mnie przelotnie okiem i uśmiechnęła się swoim subtelnie ironicznym uśmieszkiem.

„Jesteś, zdaje się, na zupełnie fałszywej drodze, — brak jej właśnie chwilowo awanturki miłosnej” — powiedziała, i w pierwszej sekundzie przeszła mnie nakształt błyskawicy myśl, że może istotnie ma słuszość. Odpowiedziałam jednak szybko, aby zdławić w sobie samej podobną myśl!

„Chciałabym pracować, robić coś takiego, co pochłaniałoby mnie całą. Zazdroszczę brukarzowi na ulicy, padającemu wieczorem w śmiertelne znużenie na postanie po dniu wypełnionym pracą:”

„O, ile widzę, masz zdaje się, dość do roboty” — zau-

ważył ojciec po krótkiej chwili namysłu, „czytasz, malujesz, szyjesz, zajmujesz się siostrą, jesteś niezastąpioną organizatorką naszych zabaw”.

„Nie wystarczy to oczywiście Alicyi” — przerwała mu matka.—„Obowiązki domowe są przesądzoną już dzisiaj sprawą. Masz jednak dość wyboru, jeśli cię one znudziły” — dodała, zwracając się do mnie. Policzki jej płonęły, a wążkie wargi drgały — „możesz zostać panną do towarzystwa, guwernantką, damą dworu. Przekonaj się sama, jak smakuje twardy chleb na obczyźnie”.

Łzy puściły mi się z oczu. Przeczuwałam już od dawna, że niema dla mnie wyjścia, zmroziło mnie wszakże do głębi to suche wyliczenie jedynych możliwości, które były dla mnie niemożliwościami. Ojciec mój nie mógł patrzeć na niczyje łzy, a już najmniej na łzy swojej córki. Zerwał się, utulił mnie w objęciach i szepcząc: „moje biedne, biedne dziecko!” głaskał pieścizliwie moje policzki. Przez chwilę zupełne zapanowało między nami trojgiem milczenie. Potem mówić do mnie zaczął miękkim głosem jak do osoby chorej, przerywając mowę swoją długimi pauzami, jakgdyby chciał zostawić mi czas do odpowiedzi. „Cicho dziecko, cicho — nie płacz, błagam cię. — Twój płacz — to jakby wyrzut dla mnie, że nie umiałem lepiej dbać o ciebie. Gdybyś była mężczyzną, wskazałbym ci już drogę, wypełniającą treść życia, ale tak... jesteś tylko dziewczyną — przeznaczoną do jednego jedyne go zawodu — wszelkie inne byłyby tylko smutnymi surogatami. Nie powinnabyś unikać tego jednego tak uparcie — może tak lekkomyślnie! Jestem starym człowiekiem i nie umrę spokojnie, dopóki nie będę wiedział, że dopłynęłaś do portu.”

„Ojczulku — drogi ojczulku!” — załkałam, wybiegając z pokoju. Znalazłszy się wreszcie u siebie, zaryglowałam drzwi i rzuciłam się na łóżko. Przeleżałam tak długie godziny z palącymi oczami i rozdartym sercem. Na to więc zdało mi się chłonąć w gorącej żądzy wiedzy jedną książkę po drugiej, aby tak bezbrzeżną mieć w duszy pustkę?!—po to zdobywałam naukę, która mnie upajała, aby rzeczywistość powszedniego mojego życia bardziej jeszcze czczą mi się wydała? Zatem szczęście kształtowania się i dojrzewania duchowego jest tylko omamieniem? Czy istotnie przeznaczeniem kobiety ma być wyłącznie mężczyzna? I nie ma-ż ona prawa do samoistnego życia? Mężczyzna! Myślałam o tych, którzy składali mi hołdy ubiegłej zimy. Dobrzy tancerze, weseli towarzysze, jak stworzeni do przelotnego flirtu, ale być do nich przykutą, być od nich zależną przez całe życie, przez całe długie życie — to byłoby okropne! Nagle oblał mnie lawą gorącą nowy, nieznany mi dotąd prąd, tak gwałtowny, że w pierwszym przerażeniu serce bić mi przestało. Dziecko! dziecko — oto treść i cel życia! Chciałam mieć dziecko, wszystko jedno czyje, żywą część własnej mojej istoty, syna, — twórcę mojego ciała i mojej duszy, — syna, który urzeczywistniłby moje marzenia, stając się tem, czem ja nadaremnie stać się pragnęłam: Cóż mnie obchodził mężczyzna: niechby był, kim chce — potrzeba mi było tylko ojca mojego syna.

Kiedy nazajutrz siedzieliśmy znów wszyscy przy okrągłym stole, rzekłam:

„Nie martw się już o mnie, ojczulku,—zobaczysz niezadługo będziesz miał zięcia i pozbędziesz się swojej niegodziwej córki.” W odpowiedzi otrzymałam rozradowanego całusa. Mama natomiast nie zwracała pozornie uwagi na

moje słowa i dopiero następnego dnia powróciła do nich. „Nigdy nie namawiałam cię do małżeństwa” — odezwała się — a i teraz nie myślę tego czynić. Szczęście, jakiego spodziewa się znaleźć w nim młoda dziewczyna, nie ziszcza się nigdy”. „Nie chcę też szczęścia — tylko celu życia — dziecka” — wyrwało mi się wbrew woli mojej niemal, za dużo bowiem kosztowało mnie zawsze zwierzenie się przed matką z moich uczuć. „Dziecka?” — powtórzyła — „aby pogrzebać się beznadziejnie w odmęcie trosk?!”

Nigdy oczywiście nie rozumiała mnie tak mało, jak dzisiaj. Ojciec mój natomiast nigdy jeszcze nie był tak serdeczny, jak teraz. Czytał mi formalnie z oczu. Robiliśmy znów zrana długie spacery konne, daleko w pola, mijając wszystkie dumnie odgradzone obejścia chłopskie oraz niejeden stary zamek o mocnych murach i wieżach, z głęboką fosą dokoła. Ilekroć też wyjeżdżał na inspekcję do Paderborna, Mindenu lub Soestu — zabierał mnie z sobą; korzystałam z godzin spędzanych przez niego na zajęciach służbowych, aby poznawać lepiej skarby dawnej sztuki, wszystkie pomniki i pamiątki dziejowe, w które tak obfituje Westfalia.

W pierwszej połowie czerwca pojechaliśmy do Akwizgranu, na inspekcję 53 pułku piechoty, którego szefem był cesarz Fryderyk. Pogoda była tak piękna, a miasto i okolica tyle nastroczały ciekawych do zwiedzenia rzeczy, że zabawiliśmy dłużej, aniżeli wymagały obowiązki służbowe ojca.

Okolo południa 15-go czerwca 1888-go roku, w chwili, kiedy wracaliśmy z przechadzki do hotelu, przybiegł pędem z koszar młody porucznik, prosząc, abyśmy jaknajśpieszniej się z nim tam udali. Opowiadanie jego

było tak dziwne, że, gdyby nie działo się to za białego dnia, musielibyśmy zwątpić o jego trzeźwości. Oddział żołnierzy musztrował się — wedle słów jego — na dziedzińcu koszarowym; zaledwie zdążył odejść, wpadły w oko jednemu z oficerów, przyglądającemu się z okna, dziwne na piasku znaki, powstały najwidoczniej wskutek regularnie powtarzających się kroków. Posłano szybko po fotografa, aby utrwalił na płycie zdumiewające zjawisko i „Wasza Ekselencya musi się też koniecznie temu przyjrzeć” — dodał zaafierowany. „Cóż to takiego, do diabła?” — huknął na niego ojciec. „Wyraźnie znaczy to dla każdego —”

„Dodatek nadzwyczajny! Dodatek nadzwyczajny!” przerwały jękającemu się bojaźliwie porucznikowi liczne głosy na ulicy. „Dzisiaj zrana o 11-ej umarł cesarz Fryderyk”.

Młody oficer zbladł śmiertelnie. „O jedenastej?” — powtórzył z wolna. — „O tej samej godzinie powstały znaki.”

Weszliśmy na dziedziniec koszarowy. Pułk cały zgromadził się wlepiając zahypnotyzowany wzrok w oślizgły od deszczu plac. W samym jego środku rysowały się wyraźnie olbrzymie cyfry.

W. W. II.

ROZDZIAŁ TRZECI.

Münster 29 grudnia 1888.

„Kochana Matyldo!

Kończy się rok trzech precelków—ósemek, po którym sobie tak wiele obiecywałam. Nie był on ani słodki, ani nawet smaczny i cała jego dotykalna różnica polegała na tem, że zapakowałam starannie górnolotne moje pragnienia i nadzieje i złożyłam je do wielu innych starych rupieci do kufra, z którego wyjmować je może będę od czasu do czasu w odświętne dni mojego życia, aby z tą samą tęskną przyglądać im się rezygnacją, z jaką odczytują babki listy miłosne ze swoich lat szesnastu. Nie masz potrzeby składania mi na nowy rok życzeń; wiem z góry, co mi on przyniesie; zwykły dziewczęcy los małżeństwa z rozsądku. Nie znam jeszcze tego szczęśliwego, którego rozplomienić mają resztki mojej osobowości — ale odnajdę go; zaprawiam się teraz już do obojętności i spokoju, aby nie wymknęło mi się serce w niewłaściwym miejscu i chwili.

Dzisiejszej nocy siedziałam długo i marzyłam przy mdłym świetle mojej różowej lampy; nietyle nawet marzyłam, ile dręczyłam się myślami, nie marzy się już bowiem w końcu pierwszego ćwierćwiecza życia, a jeśli nawet zdarza się nam to czynić, są to liche marzenia. Na kominie trzaskały smolne szczapy; ilekroć podnosiłam głowę, patrzyła na mnie z lustra twarz, która przypominałaby trupią, gdyby oczy nie błyszczwały powstrzymywanymi gwałtem łzami, a wargi nie świeciły się krwawo, jak ziejąca rana. Twarz ta nie była nigdy dziecięcą — czy wogóle byłam kiedykolwiek dzieckiem?

Musiało to być już bardzo dawno, zupełnie sobie tego bowiem nie przypominam. Nie chcę zresztą odwracać kart minionej przeszłości. Brzydkie pokazałyby one obrazy. Przeważnie wprawdzie ujęte w złote ramy, malowane świetnymi barwami na kości słoniowej, gdy jednak przyjrzesz się im bliżej, przyjdzie ci na myśl, że los musiał być zwaryowanym malarzem, jeśli mógł zużyć tak drogocenny materiał na podobną nędzotę.

Co się właściwie z tego wszystkiego utrzymało? Miłość? Biedne, biedne dziecko! Przeszła obok ciebie, a ty tyle tylko z niej dojrzałaś, aby gorąco i namiętnie tęsknić za nią. Świetność? Jak szybko dojrzało bystrzejsze oko, że niema w niej nic prócz sychu,—prócz rakiety jasno-promiennej, z hałasem strzelającej w niebo; po zagaśnięciu jej wszakże większa jeszcze niżli poprzednio zalega ciemnica! — — —

Studyowałam naukę, oddając się jej jak zakazanej miłostce, — ta pozostanie mi. Kochałam sztukę bojaźliwie, zdała tylko, aby nie bezcześcić promiennej mojemu bazgrota — i ta mi pozostaje. Może to wystarczyć lubieżnikom, nie żądającym od życia niczego, prócz

rozkoszy bytu, tym, którzy są tak płytki, że zawsze gotowi są przyjmować, wystarczające im najzupełniej, cudze myśli. Ja jednak chciałam tworzyć... Po cóż wogóle żyję?

Czy brakowałabym komu, czy pozostałaby jakaś szczerba, gdyby mnie nie było?...

Rodzice moi, siostra i przyjaciele włożyliby po mnie żałobę. Na jak długo? Pozostałam dla wszystkich nich obcą przecież! Czy brak kogokolwiek istotnie się odczuwa? Dobrego ojca, wiernej, troskliwej matki!

Płakałaś! — wstydz się! — śmieję się czempredzej, włóż na siebie maskę, któż pokazuje dzisiaj swoją prawdziwą twarz?! Byłoby na niej zbyt wiele zmarszczek i łez. Wybacz — zapomniałam się i piszę rozdział powieści. W następnym liście wyczytasz, jak świetnie się bawię.

Wiwat Rok Nowy! — doskonały zresztą frazes, którym można wykręcić się przy składaniu życzeń „szczęścia”.

Twoja Alicya.

Münster.

Kochana Matyldo!

Karnawał, nie pozostawiający mi ani chwili wytchnienia, jest powodem mojego długiego milczenia. Chcę go przeszałeć, wychylić aż do gorzkiego na dnie osadu, będzie on bowiem nieodwołalnie ostatnim dla mnie. Tak czy owak nie opuszczę placu inaczej, jak u szczytu tryumfu. Opanowały mnie znów wszyst-

kie złe duchy, podcinające mnie biczem zachęty w pędzie po torze, popędzające groźbą niebezpiecznego współzawodnictwa. Wraz z nowym komendantem—wszechpotężnym niegdyś, siejącym postrach szefem gabinetu wojskowego, będącym opatrnością swoich kuzynów aż do dwudziestego pokolenia włącznie—przeniosły lwice dawnego berlińskiego dworu teren swojej działalności do Westfalii. Śmieszne towarzystwo, wykwintne, zblazowane, elegancie, traktujące wszystkich z góry, z wyraźnym zacięciem burszowskim, nie bez „przeszłości”. Ostatnie te dwie właściwości są powodem ich niezupełnie dobrowolnego wydalenia się z Berlina, gdzie wstąpiono obecnie w znak cnoty i bojaźni bożej. Münster nie jest jednakże miejscem, gdzie oficerowie mogliby po koleżeńsku klepać po ramieniu młode panie lub przychodzić na śniadanie z damami w zabłoconych, przesiąkniętych świeżym odorem stajni, butach. Słowem — wykurzymy owe ptaki, do czego ja sama przykładam się, ile mi starczy zalotności, dowcipu i eleganckich strojów. W tym celu zawiązałam przymierze z najświetniejszym rycerzem tego karnawału, panem Hessensteinem, świeżo zamianowanym szefem tutejszego szwadronu. Nie wydawaj, proszę cię, okrzyków Kassandry, — podobamy się sobie — i nic więcej!

Istnieje siła, przyciągająca wzajem istoty różnej płci, a nie mająca nic wspólnego z inteligencją ani sercem; nazwałabym ją magnetyzmem ciała. Odczuwanie jej nie jest poniżającym, bowiem instynkt natury nie może poniżyć. Staje się ona wszakże nieszczęściem, sentymentalne bowiem zawodzenie miłosne naszej, oprawnej w złocone tomiki, liryki i fałszywe nasze wychowanie doprowadziły do tego, że osłaniamy je przed

samymi sobą płaszczykiem kłamliwych odczuwań. Płonące moje zmysły przyciągane bywają często przez ludzi, od których odpycha mnie serce i umysł. A te naodwrot ulegają czarowi jednostek, budzących wstręt nieledwie w zmysłach moich. Gdybym, wstydząc się instynktu, okrywała go listkiem figowym zakochania, w jakież fatalne byłabym się już uwikłała więzy małżeńskie! Prawdziwa, trwała miłość możebna być może jedynie między małżonkami, dobrze się znającymi, całkowicie się wzajem posiadającymi i których nadto wiąże pewien przymus zewnętrzny. Wszystko inne jest sportem, flirtem, albo innym jakimś wyrazem cudzoziemskim... Gdybym mogła tylko wyzbyć się nieprzezwykłego wstrętu do wszelkiego rodzaju uczuć obywatelsko uprawnionych, funkcjonujących państwowo i bułkowanymi na dożywotni użytek...”

Ku końcowi karnawału wydał nasz prezydent miasta, pan v. Hagen — rozumny, subtelnie myślący stary jegomość, jedyny niemal, z którym lubiałam prowadzić poważniejszą rozmowę — obiad, na który zaprosił wbrew zwyczajowi i mnie. Młode panny istnieją wszak po to tylko, aby tańczyć; dla tego też wykluczano je zawsze, ilekroć stawiać wypadało wymaganiu mózgowi, a nie nogom.

„Musi mi pani nawrócić dzisiaj tego dzikusa” — zwrócił się do mnie z uśmiechem nasz amfitryon, przedstawiając mi pana v. Syburg, nowego prezydenta w Hanau — dziki ma pogląd na kobiety, — ale zresztą przekona się pani sama.”

Wysoki, szczupły mężczyzna skłonił się przede mną sztywno, a para jasnych, mocno wypukłych oczu zlustrowała mnie od stóp do głów. Pierwsze wrażenie

moje było prawie nieprzyjazne. W trakcie jednak zawiązanej w następstwie rozmowy zaczął mi się podobać. Jego spokój, wiadomości i wielostronne zainteresowania wynosiły go po nad przeciętny poziom. Był konserwatystą do szpiku kości, co wywoływało nieustanne ostre zderzenia naszych poglądów. Jego własne oparte wszakże były na tak niewzruszonym gruncie, że tem przykrzej odczuwałam własną moją rozterkę duchową. Właściwie bowiem stałam mocno jedynie na gruncie negacyi; pan von Syburg rychło odczuł tę słabość mojego stanowiska ideowego, nadała mu też ona przewagę, niezmiernie dla mnie w dalszem naszym obcowaniu przykrą.

Odwiedził nas następnego dnia i odtąd spotykaliśmy się wszędzie. Ubiegał się on na swój sposób o moje względy, tańczył ze mną prawie każdego kotyliona i prowadził mnie stale do stołu.

„Znów masz szczęśliwie nowego konkurenta” — żartował mój ojciec; gdy jednak zazwyczaj łączyły się u niego uwagi podobne z gniewnymi wymówkami, skończyło się tym razem tylko na uśmiechu. Podkpiwał ze mnie, że uciekłam z pod sztandaru i przeszłam do służby cywilnej, przyczem jednak nie zapominał wtrącić zręcznie słówka o znacznych posiadłościach Syburgów w Holsztynii, lub też o tece ministra, którą prezydent ma jakoby gotową w zanadrzu. Nastrój jego rozbroił mnie — myśl, że uszczęśliwienie go leży w mojej mocy, osłabiła mój opór. Coraz bardziej też krępowała mnie obecność Syburga, odejmując mi zwykły humor, czułam bowiem na sobie nieustannie jego badawczy wzrok.

„Sprawia pani na mnie wrażenie ucznia na egza-

minie” — zauważył pewnego dnia w rozmowie ze mną Hassenstein, jedyny, któremu się nie podobał bieg wypadków, czego też bynajmniej nie ukrywał. W głębi duszy przyznawałam mu słuszość.

Poddaje mnie formalnemu egzaminowi, myślałam z goryczą. Przybierał też często mentorski ton, doprowadzający mnie wprost do wściekłości. Mimo to wszakże potęgowała się władza jego nade mną. Imponowało mi, że nie odgrywa nigdy roli gruchającego pasterza, że nigdy nie ulega moim zachciankom, a nawet, że pozwala sobie czasem na udzielanie mi lekkiej nagany, której zasadność musiałam uznać. Przed rokiem już pisałam do Matyldy: „Potrzeba mi hołdów, powiadasz, — niewątpliwie! A jednak tęsknię za człowiekiem, którego nie ja podporządkuję sobie, ale któremu się sama poddam, który nie będzie całował w pokorze moich rąk, lecz przyciągnie mię miękko i litościwie do swego serca i powie! „Odpocznij teraz, biedne, zmęczone dziecko.”

Tylko wynaturzeni, połowicznie rozumiejący pociąg zmysłowy, sztucznie stwarzają pojęcie miłości kobiety, która pożądać mogłaby równego sobie. Pragnie ona podnieść się do mężczyzny, treścią bowiem istoty jej jest ślepa ufność i dziecięca potrzeba opieki.

Wyobraźnia dopomogła mi do uwierzenia, że osiągnęłam cel moich tęsknot, a ilekroć nawet spostrzegalam z przerażeniem, że instynkt natury prze mnie ku Syburgowi, i że, przeciwnie, dzielą nas mroźne wody lodowców, przierzuciły pragnienia moje mosty ku niemu. W nocy tylko mścił się na mnie dławiony przemocą głos natury. Godzinami leżałam, czuwając i walcząc z ostrzegawczemi głosami duszy; nad ranem dopiero

ogarniał mnie ciężki, niespokojny sen. Słyszałam wszystkie godziny, wydzwaniane na zegarze poblizkiego kościoła; liczyłam miarowe kroki przechodzącego nieustannie pod oknem żołnierza na warcie i chowałam się drżąc pod kołdrą, słysząc jak myszy, których niepodobna było wytępić, harcowały po poddaszu. Od dzieciństwa oblewałam się zimnym potem, ilekroć znalazłam się w pobliżu którego z tych zgrabnych, szarych stworzonek.

Szczuplałam i bladłam z dnia na dzień, coraz większe ogarniało mnie też znużenie. Osłabiająco łagodne powietrze wiosenne, które dziwnie wcześnie w tym roku okryło drzewa liściem i kwieciami, wyczerpało mnie do reszty.

Syburg zdawał się brać chorobliwą moją bezsilność za kobiecą łagodność; podwoiło to w jego oczach moją siłę pociągającą. Nie opierałam się, gdy traktował mnie nieomal jak swoją własność. Hessenstein usiłował nadaremnie budzić mój opór. „Pędzi pani na oślep ku swojej zgubie”—powiedział raz,—ogień i woda nie mogą się złączyć”. „Ale woda zagasi ogień”, — odpowiedziałam ze słabym uśmiechem, — „a tego mi właśnie potrzeba.”

Był już koniec marca, kiedy księżę Sayn, szef pułku kirasyerów i niezmordowany aranżer wszelkich festynów zaprojektował odtąnczenie kadryla na wieczorze, mającym poprzedzić ślub jednej ze znajomych pańien. Dobrano pary; Syburg był oczywiście moim partnerem. Na jednym z zebrań, zwołanych celem omówienia kwestyi kostjumów, wystąpiła matka moja z propozycją zastąpienia strojów pasterskich, na które zgadzała się większość, dworskimi strojami w stylu rokoko. Księżę i żona jego, którzy mieli również tań-

czyć i których razily trochę młodociane ubrania pasterkie, zgodzili się chętnie, że zaś i reszta nie oponowała, przeszedł projekt bez walki. Dopiero na drodze powrotnej dowiedziałam się, co skłoniło matkę moją do wystąpienia z tą propozycją.

„Miałś raz tylko na sobie twój szweryński kostyum markizy” — rzekła z widocznem zadowoleniem, „zaoszczędzimy sobie w ten sposób sporą sumkę.”

„Mój kostyum markizy Pompadour!...” Przerazona, zawołałam gwałtownie! „Wolę raczej spalić go.”

„Oszałałaś chyba!” — odparła matka gniewnie.

Niezwykła bladeść moja zwróciła dopiero jej uwagę. „Aha — to dla tego!” — wycedziła — „nie posądzałabym cię doprawdy o taki sentymentalizm.”

Milczałam.

Na pierwszej jednak próbie przeciągnęłam po ciachu — z pomocą Hassensteina — całą młodzież męską i żeńską na moją stronę. Panowie wymawiali się, że kostiumy dworskie są dla nich za kosztowne, a młode panny oświadczyły, że nie cierpią długich trenów. Jedyne Syburg dotrzymywał placu starszym parom tańczącym oraz matkom młodych dziewcząt. „Znam motywy szanownej matki pani” — szepnął mi z cicha — „nie pojmuję też, jak taka rozumna młoda osoba, jak pani, może brać udział w podobnie dziecinnej zabawie”. Gniewała mnie ta opieka, a bardziej jeszcze poufny stosunek matki i Syburga, siła wszakże mojego oporu była złamana; przegłosowano nas.

Nadszedł wieczór, w którym rozłożono znów przede mną pamiętny strój. Z fałd jego wionął ku mnie delikatny zapach jaśminu, a wstążki, zielone liście

i pąsowe róże patrzyły na mnie, jak ucieleśnione nagle wspomnienia. Jedwab z cicha zaszeleścił zapomnianą melodią! „O, la marquise Pompadour — Elle connaît l'amour”.—Przez stanik, oblegający miękką pieszczotą moje ciało, poczułam ramię, które mnie nigdy tak miłośnie ku sobie tuliło.

„Hellmuciel!” — jęknęłam z cicha, wybuchając płaczem. Skała, którą zagwoździłam wejście do mogiły mojego serca, była rozsadzona życie trysnęło dzikim, jak strumień górski, prądem z do cna wypalonego, zdało mi się, popieliska.

„Płaczesz?” Stanął przede mną ojciec. „To nic, ojczulku, nic!” — próbowałam uspakajać go, ocierając pospiesznie oczy i policzki. Uśmiechnął się dobrotliwie. „Bądź spokojna, Alisiu, wszystko będzie dobrze. zobaczysz!” A kiedy, nie mogąc opanować wzruszenia, raz jeszcze kurczowo załkałam, odciągnął mi rękę, któremi zasłaniałam twarz i szepnął: „Syburg był już dawno u mnie i — jako prawdziwy człowiek honoru — zapytał najpierw rodziców twoich, czy może starać się o ciebie...” Zerwałam się, wlepiając w niego osłupiały wzrok. „Nie powinno cię to urażać, moje dziecko, — nie miałaś oczywiście o tem nie wiedzieć — postanowiliśmy najzupełniejszą pozostawić ci wolność decyzji — —” Przycisnął mnie gorąco do serca, — był przekonany, że udało mu się pocieszyć mnie — biedny, dobry ojciec!

Sprowadził mnie do powozu — jedwabny tren zaszeleścił po szerokich stopniach — na ulicy zebrali się dwoma rzędami ludzie, aby mnie podziwiać. Czy nie przeżyłam raz już tej chwili? — Wówczas — jadąc w bia-

łej sukni do kościoła, aby złożyć ślub, o którym serce moje nic nie wiedziało!

Na schodach hotelu doznałam nagłego zawrotu głowy. Hessenstein przybiegł i podał mi ramię. W tej samej chwili stanął obok mnie Syburg. „Dama pańska czeka na pana” — powiedział szorstko i zimno do mojego towarzysza, ja zaś posłusznie oparłam rękę na podanem mi ramieniu.

Rozpoczęliśmy taniec. Czy automatem byłam, że nogi moje posuwały się w takt muzyki — a może byłam nimfą wodną, która przeobrażenie swoje w ludzką postać okupywać musiała dojmującymi bólami przy każdym czynionym kroku?!” Jak mocno zaciskały się dzisiaj palce mojego tancerza dokoła mojej ręki...—jak szpony djabelskie, które nie chciały mnie już wypuścić, z których nie mogłam się już wyslizgnąć, — a szyję moją rozprażał palący jego oddech. Unikałam patrzenia na niego, nigdy chętnie nie patrzyłam na niego podczas tańca, poruszał się bowiem jak na drutach — a dzisiaj, ach, dzisiaj tańczyło obok mnie widmo innej postaci. —

Muzyka zaintonowała przygrywkę do ostatniej figury. Musiałam patrzeć na niego przez ramię, uderzając go z zalotnym uśmieszkiem wachlarzem.

Nagle spotkałam się ze wzrokiem, przywarłym do głębokiego wycięcia mojej sukni — z płomienną, pełną żądzы lubieżnością. —

Jeszcze jeden ukłon głęboki i, kołyszając się w takt muzyki, na koniuszczkach palców, wysunęły się tańczące pary z sali. Siły opuściły mnie ostatecznie. Poprosiłam Syburga, aby zawiadomił matkę moją, że źle się czuję, i muszę jechać do domu. Nie zwracając uwagi na rzu-

cane na mnie ze wszech stron zdziwione spojrzenia, otuliłam się płaszczem i stałam już na schodach, kiedy podążyli za mną rodzice. Przyjechawszy do domu, rzuciłam się w całym ubraniu na łóżko. Mama wzięła mnie za puls i posłała po lekarza.—Zwykła choroba wiosenna młodych panien”— oświadczył wezwany—„niech państwo posła córkę na wieś.” Z uczuciem ulgi uchwyciłam się tej rozumnej rady, udając bardziej chorą, aniżeli byłam istotnie, aby mi nie stawiano w tym kierunku przeszkód.

Był już koniec kwietnia. Przyszła mi na myśl księżna Limburg, która zapraszała mnie wielokrotnie do swojej posiadłości. Była to czarująca osobka, którą jednakże z racji niedość arystokratycznego jej pochodzenia źle traktowało towarzystwo münsterskie. Zrazu powodowana raczej duchem przeciwieństwa, potem przez rzetelną sympatyę, gorliwie się nią zajęłam, zdobywszy sobie wzamian szczerą jej przyjaźń. „Przyjeżdżaj pani natychmiast, ogromnie się cieszę”—brzmiała telegraficzna jej odpowiedź na zapytanie, czy przyjazd mój będzie jej na rękę.

Wiosna 89-go roku zdawała się dążyć do usprawiedliwienia wszystkich fantazyi poetyckich. Niebo rozpiętało dniem i nocą niezmiennie błękitną nad ziemią opończę, a łąki, gaje i ogrody jaśniały najbujniejszą zielenią, przetykaną tysiącami kwiatów różnobarwnych; w hojności swojej nie znosiła wiosna żadnego gołego kącika; wszędzie kwitło, promieniało i pachniało. Pierwszego maja wyruszyłam przez rzekę Haar do doliny Lenny,

niby wstęga płynnego srebra wiała się rzeka pomiędzy oblanemi zielono-złocistym blaskiem górami, okalającą ją w miękkich zarzysach na lewo i na prawo. Jak daleko okiem sięgnąć — lasy i góry z piętrzącem się na jednej z nich, najeżonem wieżyczkami i śpiczastemi dachami zamczyskiem, niby potężnym, mocno uzbrojonym obrońcą cichego tego zakątka. W miarę zbliżania się wszakże przesuwiał się obraz: szeroko i ciężko rozpostarło się nad brzegiem rzeki miasto, jakgdyby zdobywszy sobie miejsce łokciami i pięściami, a zamczysko, zrażone brutalnością wciskającego się przemocą przybysza, wygrażającego mu czernią wysokich kominów fabrycznych, cofnęło się poza ścianę ciemnych gór.

Anna Limburg oczekiwała mnie na dworcu. Jej wesoły szczebiot i śmiech towarzyszyły mi nieustannie na drodze, tak, że miałam dość czasu na ciekawe rozglądanie się. Miasto znikło znów w głębi; im wyżej wznosiliśmy się, tem potężniej piętrzyły się góry. O, gdybyż można było pozostać zawsze na szczytach, do których nie dochodzą gwary ani dymy miejskie!

Przez długą sklepioną bramę wjazdową wtoczył się powóz na dziedziniec zamkowy, okolony wysokimi murami, basztami i krużgankami. „Jak tu pięknie, prawda?” zaśmiała się radośnie Anna.

„Ale z moim Fredem byłabym szczęśliwą nawet w izdebce” — dodała, zarzucając czempredzej ręce na szyję mężowi, wychodzącemu w tej chwili na nasze spotkanie.

Nastąpił szereg cichych dni. Na tarasie muru zamkowego spędzałam długie godziny na samotnych marzeniach; siadywałam też pod okrytymi pączkami kwieciami lipami na dziedzińcu, gdzie cztery ustawione armaty

przypominały czasy, kiedy książęta na Limburgu prowadzili samodzielnie wojny i mieli prawo bicia monety; resztę dnia spędzaliśmy na pieszych i konnych przechadzkach i przejażdżkach po okolicy. Istniały tutaj wprawdzie jeszcze odcięte od świata doliny z okoloniami zielenią lip dworkami włościańskimi i strome szczyty, uwieńczone starymi zamczyskami, zamieszkałymi przez potomków rodów starożytnych; wszędzie niemal wszakże huczały młoty żelazne, zgrzytały piły i warczały młyny; kto też szukać chciał duchów przeszłości, znaleźć je mógł już tylko w głębi pieczar skalnych. Wiele miejsc przypominało nazwą i związaną z nią legendą bóstwa starożytności: Wodana i Donara, lub też walki Rzymian z potężnym ludem saskim, daremne wysiłki Wittekinda w walce z wszechmocnym Karolem, pokonywającym go siłą miecza i blaskiem korony, — czał się już jednak potwór nienasycony, wiek nowy, pożerający wszystkich bezlitośnie. Strzelał dumnie w górę zwycięski komin fabryczny, pnąc się po kruszejących powoli zwaliskach baszt zamkowych. Uciekałam od jego widoku i chętnie uciekłabym od samej siebie na rozpostartych błyszczących skrzydłach wyobraźni, w opromienioną słońcem krainę baśni, gdyby nie oplątywała mnie wciąż na nowo rzeczywistość szarem swoim, nieprzeniknionem motowidłem.

Otrzymywałam codziennie listy od ojca, w których rzadko bardzo brakło wzmianki o Syburgu. „Widziałem go na wyścigach w Hamm” — pisał w ostatnim z nich, „wypytywał się bardzo troskliwie o twoje zdrowie, ciesząc się z otrzymanych ode mnie dobrych wiadomości. Ma nadzieję, że zobaczy cię u Bodenbergów; Limburgowie nie zapomną przecież o siedemdziesiątej rocznicy urodzin pana domu”.

Że też się tak przemocą wdzierał do mojego życia, że też popierać go musiał głos rozsądku, poczucie obowiązku córki oraz tęsknota za celem i treścią istnienia! Tajemnicza owa siła instynktu, odpychająca mnie od niego w Münsterze, zdawała się i tutaj zmuszać mnie do ulegania jej. „Unikaj go” — szeptała mi ona. Oddawna jednak uważałam ją za złego mojego ducha, którego należało zwalczyć, jak sądziłam. Zbyt głęboko wrażliwa się w samą treść mojej istoty zasada wychowawcza matki mojej, utożsamiająca panowanie nad sobą z samozaprzeczeniem.

Siedziałam też nazajutrz zrana przy śniadaniu, gotowa już do odjazdu — ale „nie w majowym humorze” — jak zauważyła żartobliwie Anna, — kiedy wniósł służący pocztę. „Rewolucya w kopalniach węgla” wydrukowane było grubemi czcionkami na naczelnem miejscu gazety, a ojciec mój pisał: „W Gelsenkirchen zbuntowało się paru głupich chłopaków, a tchórzom, właścicielom kopalń, drżą już tydki, na kolanach też błagają o pomoc wojskową. Wartoby coprawda napędzić trochę strachu, a nawet urządzić lekkie przetrzepanie marnym dorobkiewiczom, wysyłającym biednych ludzi do kopalni jedynie dla większego jeszcze napełnienia pękających już i tak worków swoich, musiałem jednak wysłać do Gelsenkirchen cały oddział trzynastego pułku, a jutro podążą za nimi kirasyerzy. Uważam wszakże taką rolę za niegodną żołnierza.”

„Fatalne”! — zawołała z gniewem Anna. „Piękny będzie nastrój. Zamiast weselić się razem z nami, będą nas panowie zanudzali polityką”.

„Najlepiej zrobilibyśmy, pozostając w domu”, —

wtrącił jej mąż. Nie chciała jednak słyszeć o tem. Płakała prawie z irytacji.

„Paskudne tchórzysko! W Münsterze pali się, a on leci w Limburgu po sikawkę“! Księżę roześmiał się, uspakajająco głaszcząc rozgniewaną kobietkę po świeżych policzkach.

„Uspokój się, dzieciaku — pojedziemy, rozumie się, że pojedziemy. Brake, posiadłość Bodenberga, nie leży, na szczęście, na linii strzałów, a w okręgu dortmundzkim zdaje się być zupełnie spokojnie“.

Im bardziej jednak oddalaliśmy się od zielonych dolin górskich, i im liczniej strzelały w niebo kominy, tem wyraźniej wskazywały one na niezwykłość położenia! Życie, wytryskujące z nich szaremi obłokami dymu, czarnemi kłębami sadzy i raketami iskier, zamarło — nieprzyćmione niemi słońce majowe gorzało na niebie bez chmur, panowała jakoby pełnia dnia świątecznego.

W szarym dworze, otoczonym rowem napełnionym wodą i wyglądającym z pozoru ponuro wskutek grubych swoich murów i małych okienek, przyjęto nas z niezmierną serdecznością. Wielu zawiadomiło w ostatniej chwili telegraficznie o niemożności przyjazdu, brakło przede wszystkim młodych tancerzy dla przebierających niecierpliwie nóżkami młodych pańien. Byli oni bądź na czele oddziałów swoich w ogarniętem bezrobociem zagłębiu, bądź też oddalać się nie mogli z koszar, aby być w każdej chwili w pogotowiu. Syburg tylko wyszedł m na spotkanie — z takim rozpromienieniem nieruchomych zazwyczaj rysów, że mimowoli oblała mi serce ciepła fala krwi — a także Hessenstein, obozujący ze swoim szwadronem w Dortmundzie, co mu umożliwiło przyjazd do Brake. „Byłbym najchętniej zabrał z sobą wszyst-

kich moich chłopaków — rzekł. „Człowiek wstydzi się formalnie pobrękiwania swojej szabli wśród zupełnej ciszy świątecznej.”

„Byleby was nie czekała porządnie krwawa „kąpiel” zauważył Syburg. „Garstka pijaków — i nie-szczęście gotowe”.

Okazało się, że Anna dobrze przewidziała: pomimo przystrojonego kwiatami stołu, ognistych win i wesołych toastów na cześć solenizanta, nie mógł zapanować prawdziwie odświętny nastrój. Wszyscy przejęci byli wydarzeniami, o których każdy nowy dorzucał szczegół. Proboszcz miejscowy powrócił przed chwilą z Castrop. Widział strajkujących i mówił z nimi. „Zachowanie się ich jest pełne godności” — powiedział — „tem przykrzej razi też w zestawieniu z niem wzburzenie urzędników”.

„To samo mówił mi prezydent, którego spotkałam w Wittenie” — wtrącił Recke. „Wracał z Gelsenkirchen, gdzie pertraktował z górnikaми z Hibernii. Żądania ich nie wykraczają tymczasem poza granice umiarkowania, a jakkolwiek prasa przyjęła dzikiem wrzaskiem ideę ośmiogodzinnego dnia pracy, nie wie ona tego, co nam, starym Westfalczykom, znane jest od najmłodszych lat! Wedle dawnych naszych przepisów górniczych, datujących z 17-go jeszcze wieku, trwała praca w kopalniach osiem godzin na dobę. Zniósł to dopiero, wraz z wieloma innymi dobrymi starymi obyczajami, wasz błogosławiony wiek 19-ty. Cechy górnicze nie żądają też niczego innego, jeno przywrócenia prawa swoich ojców.” Baron Bodenberg potwierdził słuszność słów Reckego.

„Z resztą ich żądań ma się w gruncie rzeczy mniej więcej tak samo”, — dodał — „za czasów mojej młodo-

ści nie rozporządzali właściciele kopalń tak dowolnie swoimi górnikami. O przyjmowaniu i oddalaniu robotników, normowaniu płacy, regulowaniu warunków pracy i t. p. rozstrzygała wówczas wyłącznie królewska komisya górnicza. Teraz, w epoce słynnej wolnej konkurencyi, może każdy żyd, nabywający kopalnię, ale nigdy w życiu nie wtykający do niej nosa, robić, co mu się podoba. Jeśli napotka opór ze strony starych robotników, sprowadza sobie robotników z Polski i rujnuje z pomocą przybyszów stary, zdrowy pień, niweczając zarazem cały dobry jego do dawnych panów stosunek.

Wczoraj dopiero mówiłem z jednym z górników, pochodzących z tutejszej wsi dworskiej. Człowiek ten, ongi towarzysz zabaw moich synów, obecnie przedstawiciel robotników starego autoramentu, powiedział mi „Nie chcemy awanturować się i potrafimy nawet w razie potrzeby zatkać gęby zagłośno pyskującym naszym młokosom. Nie idzie nam też tak bardzo o płacę, musimy mieć tylko krótszy dzień roboczy i ludzkie traktowanie.” — I takich ludzi nazywamy buntownikami i grozimy im prochem i kulami!”

„Mojem zdaniem, patrzycie panowie na rzeczy zbyt jednostronnie, przez okulary tradycyi” — wtrącił się książę Limburg do rozmowy. „Dawne ustawy i dawne prawa nie mogą już odpowiadać zmienionym warunkom pracy. Rozsądniejsi górnicy wiedzą o tem bardzo dobrze.

Zdaje mi się więc, że głównego motywu całego ruchu nie należy bynajmniej szukać w tęsknocie „za dobrym starym czasem”.

„A w czem, jeśli spytać wolno?” — dorzucił gniewnie stary Bodenberga, nawykły tak bardzo do swojej

roli wyroczni całej okolicy, że formalnie nie znosił opozycji.”

„W tem samym przeciwieństwie, które jest punktem wyjścia doktryny socjalistycznej: w olbrzymich bogactwach po stronie przedsiębiorców i zupełnym braku posiadania, właściwie nędzy, po stronie robotników.”

„Nędzy?! Widać w tem młodocianą skłonność pańską do mocnych słów — zagrzmiał Bodenberga; jak gdyby nasi górnicy mieli chociażby pojęcie o nędzy! Każdy ma swój domek, swój ogródek warzywny, każdy karmi wieprzaki — —”

— A jednak, panie baronie, niejedna z naszych zameżnych kobiet na wsi musi szukać na równi z mężem zarobku, a dzieci posyłają tak wczesnie też nie dla przyjemności — często, jeśli nie da się inaczej, z fałszywymi metrykami — do kopalni” — zauważył z cicha proboszcz.

„Pochodzi to z przeklętej żądzy dostatków, z niczego innego!” — przerwał mu stary baron, „za moich czasów chodziły żony górników w chusteczkach na głowach i w fartuchach do kościoła — dzisiaj musi mieć każda kapelusz z piórem i musi zamiatać spódnicą izbę taneczną” —

„Cóż w tem dziwnego, iż ludzie ci, widząc, jak panowie dyrektorzy, pobierający dziesiątki tysięcy dochodu, rozpierają się w powozach na gumach i zapijają najdroższe wina, a akcyonaryusze chowają do kieszeni olbrzymie dywidendy, chcieliby z jednej strony naśladować ich, a z drugiej — coraz bardziej wściekają się z zazdrości. Cały ruch powstał stąd — powracam w ten sposób do mojego założenia, że ze świe-

tnej konjunktury ostatnich lat korzystali wyłącznie właściciele i akcyonaryusze, nie górnicy. Oto podatny grunt dla agitacyi.

„Zbyt czarno widzisz pan te rzeczy, kochany książę” — rzekł hrabia Reecke — „przynajmniej, o ile dotyczy to naszego okręgu. „Nasi pobożni, oddani tronowi górnicy mieliby być socyałami!... Zgromadzenia swoje nawet zamykają okrzykiem na cześć cesarza.”

Hessenstein chrząknął z zakłopotaniem. „A jednak opowiedziało mi dzisiaj kilku kolegów z 13-go pułku, że dyrektorzy z pańskiego okręgu prosili też dzisiaj o pomoc wojskową. Obawiają się wrogich manifestacyi przeciw łamistrajkom.”

Bodenberg roześmiał się tak serdecznie, że aż łzy spłynęły mu na białą brodę: „To kapitalne! — Strach jest doprawdy zaraźliwą chorobą! Uwierzyłbym już prędzej, że nasze dziewoje wiejskie zapewniły sobie w ten sposób tancerzy na niedzielę, których im tak samo brak, jak nam!”

W milczeniu przysłuchiwał się Syburg całej tej dyskusyi. Jego zimny, wyniośle pewny siebie wyraz — cechujący typowo staropruskiego urzędnika — drażnił mnie.

„Pańskie dostojęństwo landratowskie nie pozwala panu zapewne wypowiedzieć się w tej sprawie?” — zwróciłam się szyderczo ku niemu, a gdy niemile zdziwiony spojrział na mnie, dodałam szybko: „A może ukrywasz pan buntownicze myśli?”

„Buntownicze myśli?! — obrzucił mnie karcącym spojrzeniem — „być może. Inne jednak niż pani zdaje się przypuszczać! Tak łagodnie, jak ci panowie, nie umiałbym oceniać położenia. Mojem zdaniem zniewoliła

dobrze płatnych górników przewrotna agitacja socjalistyczna do zerwania umowy, i obowiązkiem naszym jest nawrócić ich przemocą — jeśli nie da się inaczej — na prawą drogę. Łamanie słowa i lekceważenie obowiązku są wszędzie początkiem końca.”

„Podzielam najzupełniej pańskie zdanie” — odrzekłam, czując, jak gorąca krew zalewa mi skronie. „Chodzi tylko o to, z czyjej strony szukać należy złamania umowy i lekceważenia obowiązku. Jeśli właściciele kopalń są w tak szczęśliwym położeniu, że mogą palić wonne cygara i siedzieć przy zastawionym suto stole, a nie dają robotnikom dość na przyzwoite życie, jest to niewątpliwie lekceważeniem obowiązków; jeśli ci sami panowie, trwoniący czas na najróżnorodniejsze przyjemności, zaprzeczają robotnikom przysługującego im prawa na unormowany czas pracy, jest to złamaniem umowy!”

Syburg zacisnął wargi, zmuszając się widocznie do spokojnej odpowiedzi.

„Mówi pani z punktu widzenia uczuciowości kobiecej. Można to wybaczyć. Nie zna pani, dzięki Bogu, tej buntowniczej, karmionej socjalistycznymi frazesami, bandy, wiodącej teraz rej w kopalniach i fabrykach, targającej się na wszystko, co dla nas jest święte.”

Jak wizya ponura przemknęły mi w wyobraźni wszystkie postacie nędzy, napotkane przeze mnie w życiu: z przedmieść Poznania i Augsburga, z wiosek Pomeranii...

„Masz pan może słuszość” — rzekłam po chwili namysłu—, „nie znam tych, o których pan mówisz, ale znam innych. I to jedno wiem napewno! — głos mój drżał ze wzruszenia — „gdybym była jedną z nich,

straciłabym cierpliwość i przestałabym dbać o wierność i obowiązki.”

Błada twarz Syburga okryła się szkarłatem; w tej samej jednak chwili wstała pani domu od stołu, stłumił więc ostrą odpowiedź, którą miał już wyrazić na ustach. Podczas całego ciepłego wieczoru wiosennego, który ściągnął nas wszystkich do parku, unikał mnie wido- cznie. Dopiero w chwili odjazdu ujął mnie silnie za rękę i szepnął: „Chciałbym, abyśmy się pogodzili — zupełnie i nazawsze — czy mogę mieć na to nadzieję, jak przyjadę do Limburga” Skinęłam w milczeniu głową.

Przenocowaliśmy w Brake, aby móżdż pojechać wygodnym rannym pociągiem. Gdy jednakże nazajutrz z rana zeszliśmy na dół, wyszedł nam na spotkanie stary Bodenberg z mocno zasepioną twarzą! „W Witte- nie i Annie strzelało wojsko ostremi nabojami,” — rzekł — „w Dortmundzie ma być zachowanie się robotników bardzo wyzywającym — kirasyerzy — jak mi pisze mój zarządzający — są już w drodze do Har- denu. Jakkolwiek nastrój ludności w najbliższym naszym sąsiedztwie zupełnie jest pokojowy, prosiłbym jednak, aby państwo zechcieli przeczekać jeszcze ten dzień — a przynajmniej, aby panie pozostały u nas.” Mimo energicznego naszego oporu — Annę nudziło to- warzystwo starych Bodenbergów, ja zaś niczego sobie tak nie życzyłam, jak przyjrzenia się zblizka ruchawce robotniczej, — musiałyśmy jednak ustąpić.

Pobiegłam do parku, miałam nadzieję, że może stąd uda się coś dojrzeć. Opanowała mnie gorączka wrażeń, ta sama, która zaciąga młodzież szkolną na okręty wychodźcze, a romantyczne dusze Byronowskie

w fantastyczne walki wolnościowe, ta sama, która wybucha wszędzie, gdzie wiew płomienny podnosi nagle normalną temperaturę codziennego życia. Wysokie mury zasłaniały mi widok. Czy zawsze miały mnie one odgradzać od żywego świata?

Wysłałam na dziedziniec folwarczny. Cisza święteczna panowała i tutaj. Zdała tylko, gdzie dwie potężne lipy stały na straży wylotu ulicy, dostrzegłam gromadkę żywo gestykulujących ludzi. Wyłaniała się wśród nich siwa głowa okryta czapką górniczą. „Byłem tam, stałem przy nich!” — dosłyszałam, zbliżywszy się, krzyk jego — „cud jakiś, że uszedłem cało: Strzelali jak waryaci.”

„Opowiedzcie, człowieku, opowiedzcie.” — „Gdzie, gdzie to było?” — zarzucili go obecni pytaniami. „W Bochumie — wczoraj wieczorem. Młodziutki porucznik zakomenderował: „ognia!” — w tej właśnie chwili, kiedy ludzie płynęli falą z dworca. Jak psy stado owiec, tak otoczyli żołnierze ludzi, spokojnie idących niewinnych ludzi, — nie wiem, czy był między nimi choć jeden z naszych — i za chwilę leżały trupy pokotem na placu—”.

Zdaleka zabrzmiał dzwon kościelny. Górnik umilkł, zerwał czapkę z głowy i pobożnie przeżegnał się swoją szorstką, zadzierzystą ręką. Dopiero teraz przyjrzałam mu się bliżej. Pył węglowy wżarł się w fałdy pod oczami, tak że wyglądały one jak dwa wielkie okrągłe oczodoły czaszki. Twarz była bezbarwnie blada; szeroka, żółta blizna, przecinający ją przez pół, czyniła z niej potworną maskarę.

Zawrócił i cały zwarty tłum poszedł za nim. Po chwili pochłonęła ich wszystkich długa, ciemna szosa,

wysadzona po obu stronach nagimi topolami, bez nadziejnie wyciągającymi konary ku nizko zwisającym chmurom wiosennego nieba...

Powoli, z uczuciem ciężaru na sercu, wróciłam do zamku. Wszyscy jego mieszkańcy zebrali się na nabożeństwie niedzielnym, odbywanem w wielkiej hali. Pan domu siedział na podwyższeniu i czytał głośno biblię: „Przyjdźcie do mnie wszyscy stroskani i obarczeni...” A przedstawiciele ustroju Chrystusowego na ziemi strzelają w obarczonych i stroskanych! — pomyślałam z goryczą.

„Nie mam ani chwili spokoju”, — rzekł stary Bodenberg, gdy przebrzmiały ostatnie dźwięki harmonii, a wraz z niemi oddaliła się cała służba. „Może pójdziemy w kierunku karczmy” — zwrócił się do księcia. „Wylękniona Anna krzyknęła gwałtownie. „O nie, nie, nie chodź, Fredku!” — W tej samej jednak chwili dotknęła uspakajająco jej ramienia starcza dłoń baronowej. „Nie obawiaj się pani niczego, — mężom naszym nie spadnie włos z głowy, ręcę za ludność tutejszą”. Mimo zapewnienia tego pozostałyśmy w niemożliwym do opanowania lęku. Łowiłyśmy słuchem każdy dźwięk, siląc się dla wzajemnego uspokojenia na obojętną, wesołą rozmowę. Wreszcie, po upływie dobrej godziny, wskoczyłyśmy wszystkie trzy jednocześnie na równe nogi, gdy z dziedzińca zamkowego zabrzmiał donośny głos Bodenberga.

„I cóż, nie mówiłem?” — zaśmiał się z tryumfem na powitanie. „Weselą się, jak gdyby nigdy nic, z racyi święta. Dzieci bawią się na ulicach, kobiety stoją wystrojone w drzwiach, gawędząc z sąsiadkami.

„A jednak mówią, że ma przybyć wojsko”, przerwał mu mąż Anny z wyrazem ciężkiej troski na twarzy.

„Niech przybywa! — Nie wyruszy przecież przeciw dzieciom, powiewającym już teraz swojemi chorągiewkami. Czy nie widziałeś pan malca krzywonogiego, z którym spierała się o naczelne wśród całego milusińskiego grona stanowisko towarzyszka jego, słodka dziewczeczka z płomiennie-rudem kędziorami? Niebezpieczni przywódcy, co?!”

„Tak, widziałem ich, ale widziałem też twarze mężczyzn za oknami oberży!

Łoskot jakiś, jak gdyby daleki brzęk kulek gradowych, uderzających o szyby okien — przerwał rozmowę. Bodenberga zbładł śmiertelnie. „Salwy karabinowe” — szepnął Limburg. Staliśmy. jak gdyby wrośnięci w ziemię, czekając z zapartym oddechem na dalsze wypadki. Na dole na dziedzińcu utworzyło się zbiegowisko ludzi. „Strzelają!” — wołano. Zbiegliśmy do bramy, nie zamieniając ani słowa i wszyscy zdjęci jednym wspólnym strachem wpiliśmy wzrok w długą, pustą, ciemną aleję szosy.

Czas stanął, zdawało się; minuty były dla nas wiecznością. Wreszcie wzbił się na widnokręgu tuman kurzu: kłęb zbitych w jedną zwartą masę ludzi biegł, jak gdyby czart gnał za nimi. Zbliżali się coraz bardziej — kobiety z rozwianym włosiem i nabiegłemi krwią oczami — odświeżone ich suknie obsypane były czarnym pyłem ulicznym. „Zabijają!” — jęknęła siwowłosa starszuszka, zarzuciła wynędzniałe ramiona na głowę i w oczach naszych runęła na ziemię...

Pocieszając i uspakajając szli mieszkańcy zamku od jednego do drugiego i wreszcie udało się z bezładnych,

krzyżujących się jęków i okrzyków odtworzyć przybliżony obraz tego, co zaszło.

Dźwięk gwizdawk i trąbek ściągnął wszystkich, na szosę. Przed starszymi wybiegły z radością na spotkanie nadciągającym żołnierzom dzieci, gdy nagła ostra komenda „z drogi!” rzucona przez przywódcę, młodego oficerka, zamieniła radość w przerażenie. Dzieci pochowały się za dorosłymi, mężczyźni przybrali groźną postawę.

„Tylko złotowłosa Lizka stanęła śmiało w samym środku szosy” — jęknęła staruszka, leżąca jeszcze na ziemi.

„Widziałam też Franka, jak wrywał kołek z płota i dziko nim wywijał”, — przerwała mu żywo druga. „Z drogi!” — zawołał potem raz jeszcze młody oficerek, i krzyk ten rozegnał nas wszystkich w kierunku domów. W tej samej chwili przecisnęła się przez szeregi matka Franka z najmłodszym przy piersi — chłopak jest jej najstarszym, a męża przyniesiono w zeszłym roku martwego z kopalni, — złapała go w tym samym właśnie momencie, kiedy oficer po raz drugi wrzasnął komendę.—”

„Oczy na nieprzyjaciela” — krzyknął. „Wyraźnie to słyszałam”, — dodała blada dziewczyna z fanatycznie błyszczącymi oczyma.

„Nieprzyjaciel — to my” — wołali wszyscy, przy czym na policzki najcichszych i najbardziej osłabłych występowały płonące rumieńce oburzenia.

„Oburzyło to do reszty naszych mężczyzn — zaczęli wygrażać pięściami, poleciało nawet kilka kamieni... Opowiadająca załkała.

„Potem dali do nas salwę” — jęknęła bezdźwięcz-

nym głosem jakaś staruszka!" Wszystkie umilkły — i tylko urywany płacz przerywał tragiczną ciszę.

Schwyciłam się za skronie, — chyba to straszny sen tylko?! Szumiało mi w głowie, przerażenie zdławiło mi gardło.

„Matka Franka padła pierwsza” — doleciały mnie jakby z oddali słowa opowiadającej. „Widziałam ją tuż przed sobą — z włosami oblepionymi krwią — z dzieciątkiem przytulonym do piersi — i z kijem, wydartym Frankowi, w ręce...”

Czy to z mojej tylko piersi wydarł się ten jęk żaloszny — czy też jednocześnie z piersi wszystkich?

„...Tak, i złotowłosa Elżunia leżała na środku drogi — patrząc martwemi oczyma w niebo...”

„Słodkie dziewczątko z włosami jak roztopione złoto...” — szepnął stary Bodenberga zdławionym głosem.

Tego samego dnia jeszcze wróciliśmy do domu Limburgów okólną drogą. Tuż za Unną rzekł książe, wskazując z okna powozu okolicę: „Przejeżdżamy tutaj przez historyczny grunt przyszłości; tam daleko na ugorze stała jeszcze, za życia mojego ojca stara, uwieczniona w baśniach i podaniach ludowych, brzoza, a po drugiej stronie z pagórków, zasłaniających widnokrąg, przypatrywali się chłopcy toczącej się dokoła niej krwawej walce.

„Może dzisiaj już nie jest to baśnią”—odparłam.

Z wzrastającym oburzeniem śledziłam w ciągu następnych dni bieg wypadków. Więcej jeszcze, niż z gazet, dowiadywaliśmy się o nich z listów oraz z opowiadań naocznych świadków.

Ani jeden głos nie odezwał się w obronie członków

zarządu kopalni a oburzenie stawało się coraz powszechniejszym, w miarę, im częściej łamali oni słowo dane górnikom, którzy, ufając ich przyrzeczeniom, stanęli znów do roboty.

„Sprzykrzył wam się już głód?!” — drwili urzędnicy kopalni w Gelsenkirchen z wyrażających chęć powrotu do pracy i bezlitośnie wypędzali z domów zarządu dzieci i chore kobiety, których mężowie trwali w bezrobociu.

„Zdaje mi się, że jesteśmy w przededniu wielkiego przewrotu” — pisałam do Matyldy. „Kto wie, czy nie dożyjemy jeszcze niezwykłego widowiska, że arystokracya pójdzie ręką w rękę z robotnikami przeciwko kapitalistom?”

Deputacya górników do cesarza wydała mi się przygrywką do wielkiego, oczekiwanego przeze mnie, wydarzenia. Pierwsze wiadomości o jej przyjęciu i uznaniu przez monarchę słuszności jej żądań umocniła moje nadzieje. Powoli jednak zaczęto przebąkiwać inne wieści: trzech deputaci powrócili, bynajmniej nieoczarowani przyjęciem; trwało ono zaledwie dziesięć minut, a odpowiedź monarchy zawierała zarazem groźbę, skierowaną do wszystkich, którzy ważyliby się opierać nakazom władz. Dalsze fakty zdawały się potwierdzać prawdziwość tych wieści: uwięziono cały komitet strajkowy, prezydent, usiłujący zawsze pośredniczyć pokojowo, musiał ustąpić miejsca następcy, mającemu sławę człowieka, stawiającego sprawy na ostrzu noża. „Studt jest gładkim dworakiem”, — pisał mi ojciec — „który niedawno oznajmił mi z ujmującym uśmiechem, że moje wyraźne zapoznawanie tak wybitnych ludzi, jakimi są potentaci, posiadacze kopalń, niemiły zna-

lazło oddźwięk w najwyższych sferach. Nie zdziwi mnie już teraz, jeśli dojdziemy w Prusach do czołgania się na czworakach przed każdym grubo wypchanym trzosem.”

Rozczarowania te bolały mnie, jak gdyby dotyczyły własnej mojej osoby. Wyobraźnia moja spowiła w gloryę męczeńską głowę zastrzelonej wdowy po górniku i złotowłosą główkę dziecka proletaryuszów, wymazując z pamięci mojej całą potworność słyszanego opowiadania; naga wszakże rzeczywistość przekonywała mnie stopniowo, że zginęły nadaremnie, zagrzebane pod grubą warstwą sadzy ulicznej.

Przybycie Syburga zastało mnie w boleśnie tęsknym nastroju. Tego samego rana zwierzyła mi się Anna z wyrazem błogości i razem zawstydzenia ze swoich nadziei macierzyństwa, prowadząc mnie do śnieżnie białego pokoiku, oczekującego już na przyszłego obywatela i pokazując mi wszystkie miękkie, pajęczko cienkie arcydzieła utkane z koronek i batystów i mające spowić różane jego ciało. Ręce moje, dotykające pieściwie tych cudów, rozpały się, a oczy, oglądając je, napelniły się łzami. Dostrzegła to Anna i z przebiegłym uśmiechem ucałowała mnie w usta.

Z tą chwilą rozpoczęła się też jej rola swatki, odegrana z mistrzostwem cechującym w tych sprawach wszystkie szczęśliwe młode mężatki.

Wychwalała moją urodę i moje zalety, opowiadała niestworzone rzeczy o wszystkich moich wielbicielach i wreszcie, pod pretekstem zmęczenia, zostawiała nas samych w parku. Syburg zdawał się czekać tylko na to.

„Pragnąłbym wyjaśnić ostatecznie naszą sytu-

cyę, panno Alicyo”, zaczął, nazywając mnie po raz pierwszy, poufale po imieniu.

Wzdrygnęłam się mimowoli, zaniepokojona tym wstępem. Następne wszakże, zadane mi przez niego pytanie, nie było tem, którego się obawiałam. „Opowiadano mi, że niedawno po burzliwym wystąpieniu w kopalni, wypowiedziała się pani stanowczo za strajkującymi.”

Pohamowałam gniew, opanowujący mnie wobec brutalnego tego badania.

„A gdybym tak uczyniła” — odrzekłam, szybko — „czyż nie jest najbliższym obowiązkiem pańskiego chrystyanizmu stawanie w obronie niewinnych? — Czyż religia pańska nie nakazuje panu oddawać się z całym poświęceniem ofiarom i występować przeciwko ich mordercom?”

„*Mój chrystyanizm?! Moja religia —?*” Wlepił we mnie wielkie oczy. „Źle się pani chyba wyraziła: Wierzenia nasze są jednakie — czyż nie tak, panno Alicyo?”

„Udaje pan niewiniątko!” — zawołałam — „jakim prawem traktujesz mnie pan jak swoją penitentkę?”

„Prawem człowieka, który otrzymał od rodziców pani pozwolenie starania się o jej rękę!” Schwycił dłoń moją, którą mu gwałtownie wyrwałam.

„Dowiedz się pan zatem, że ja pozwolenia tego nie udzielam! Nikt nie ma prawa rozporządzania się mną — prócz mnie samej jedynie. A ja rzucam panu otrzymane przez pana pozwolenie pod nogi.

Odwróciłam się od niego, przeszłam przez lipową aleję, dziedziniec zamkowy i schody do mojego po-

koju—zasunęłam zasuwkę zamku — i szeroko rozpostarłszy ramiona, odetchnęłam z ulgą: nareszcie byłam wolną!

Daremnie stukąta do mnie Anna, pytała i prosiła. Nie byłabym w stanie zdawaniu komukolwiek sprawy z tego, co zaszło. Musiałam być samą.

Stałam jeszcze wciąż z uczuciem grozy przed przepaścią, pogłębiająca się coraz bardziej pomiędzy mną a moim światem. W blaskach olśniewającego światła słonecznego rozdarły się na strzępy mgły, które brałam, przez tak długi czas za trwałe przesła mostu.

Stałam na obcym gruncie, — musiałam zorientować się w sytuacji, zebrać myśli i zdecydować o przyszłości.

Nazajutrz z rana napisałam do rodziców i zaniosłam sama list do miasta. Ostro wiatr huczał na górach, kiedy wracałam z powrotem. W szarych chmurach zatonęły wieże zamku, i tylko z głębin witały mnie tryumfalnie ciemne zarysy zagłębia.

ROZDZIAŁ CZWARTY.

Nastąpił szereg cichych tygodni na zamku limburskim. Macierzyństwo zmieniło Annę nie do poznania. Polubiła samotność, pozostawiała mnie też godzinami samej sobie. W pierwszych dniach zdejmował mnie lękiem każdy przybywający furgon pocztowy.

Listy, które mi on przynosił były gorsze jeszcze może od przybycia ojca, na które czekałam. Syburg oświetlił przyczyny, które skłoniły mnie do odrzucenia jego oświadczyn, w sposób bezwzględnie mnie kompromitujący. Nie bez jego też, jak się zdaje pomocy rozpuszczono o sympatyach moich dla górników najdziwaczniejsze i najnieprawdopodobniejsze wieści, którym ojciec mój na razie uwierzył. Ten sam człowiek, który tak niedawno jeszcze piorunował na przedsiębiorców, dopuszczał się teraz najdzikszych ekscesów, obwiniając mnie, że sprowadzam na niego nieszczęście. „Że też ja, wierny tronowi szlachcic i oficer, dożyć muszę, że moja córka, sympatyzuje z tymi łotrami i zdrajcami” — pisał. Wszystkie te oskarżenia wszakże, któremi obrzucał mnie w pierwszym porywie

gniewu, daleko mniej mnie raniły, niż głęboki smutek nad moim losem, wiejący z następnych, spokojniejszych jego listów. „Tak się cieszyłem, że ustalę twój los przed śmiercią” — słowa te zaboląły mnie najbardziej. Oburzały mnie natomiast listy matki, rozpoczynające się od sakramentalnego: „przewidziałm z góry to wszystko” — „wiedziałam, że nie pójdziesz normalną drogą” — „dzieje twoich przygód miłosnych z bogaciły się o jeden rozdział więcej” — i t. p.

Otrzymałam też list od ciotki. „Odrzucenie tak świętej — jak mi pisał ojciec twój — partyi, jest szkoda, którą sama sobie wyrządziłaś, i której skutki ponosić będziemy na równi z innymi skutkami twojego uporu...”

Znosiłam wszelkie zarzuty w milczeniu. Robiłam długie piesze spaceru, podczas których nie opuszczał mnie ani na krok wierny pies podwórzowy, czarny Cezar. Usiłowałam nawiązać nić własną między wydarzeniami mojego życia: czem było ono? czego czego domagało się ode mnie? Gdy zapadał wieczór, zasiadałam do pisania, przelewając na papier wszystkie myśli, jakie przychodziły mi do głowy, i pióro moje dopiero wprowadzało ład do ich chaosu.

„Rzeźbiarz tworzy dzieło swoje z surowej bryły marmuru, ciosa je, wygładza, wykuwając z twardego materiału miękkie, pięciwe kształty Wenery. Długich wymaga praca ta wysiłków, zanim twórca zadowolni jego dzieło; nie wystarcza mu odtworzenie żywego prawzoru, dąży on do urzeczywistnienia ideału piękna. Inaczej poczyną sobie rzemieślnik, pragnący stworzyć odrazu efektowną dekorację: przygotowuje szkielet drewniany, drapuje go grubem płótnem, które

obrzuca gipsem i stawia na tak przygotowanym postumencie kupiony gotowy biust tuzinkowy. Z pewnego oddalenia wygląda jego praca wcale znośnie: niewyrobiony estetycznie laik może nawet trwale poczytywać ją za arcydzieło, — niewolno natomiast przypatrywać jej się zblizka, strzedz jej też należy przed deszczem i burzą, zbyt łatwo bowiem mogłoby się obnażyć drewniane rusztowanie!—

Kto stworzył mnie; rzemieślnik czy artysta? Czy mam się obawiać słoty i przyglądania mi się zblizka? Czy też żadna nie obali mnie burza? Czy *jestem*, czy też *wydaję* się tylko?"

Niebawem ani chwili nie zaznałam spokoju, — za ledwie pozwalałam sobie na trochę snu,— pisałam, wypisawszy na okładce małego czarnego zeszytu, po którego kartkach ślizgało się gorączkowo moje pióro: „Przeciw kłamstwu”. Pierwsze jego stronnice brzmiały:

„Kłamstwo jest początkiem wszelkiej zguby, jest samą zgubą. Wszystkie braki, na które cierpi nasz wiek, na które cierpimy my sami, z tego samego zasadniczego wypływają słowa. Prawimy górnie brzmiącymi frazesami o prawdzie, a dzielą nas przecież od niej martwe wieki. Prawda przeszłości staje się bowiem kłamstwem terażniejszości. Ukrywamy jak występki wszystko, cokolwiek nie chce mieścić się w ramach starych form i formulek. Podporządkowujemy się prawom, przeciwko którym burzymy się wewnętrznie, i tryumfujemy, kiedy udaje nam się zdławić w sobie wreszcie samo uczucie buntu. A słudzy Kościoła i państwa uczą nas, że zdobywamy tem właśnie niebo.

„Co jest prawdą?” — Pełna zwątpień i rozpaczy, nieśmiała razem i szalona myśl ta przebiegała przez

tysiącolecia. Odpowiedzią na nią było często obojętne wzruszenie ramion, częściej nakaz tyrana, nagradzający wszelki opór toporem kata. Mahometanin przysięga na koran, żyd na talmud, chrześcijanin na bibliję. I każdy, wznoszący nowy gmach-myśli, powiada: to właśnie jest prawdą.

„Czy istnieje prawda? Niezwruszona, z której gmachu nie obluźniłyby się ani jeden kamyczek? Bezwzględnie obowiązująca na wieki wszystkie istoty, wszystkie światy?

„Prześwieca ona jak dalekie światelko poza ciemną zasłoną, i zwolna, krok za krokiem, wyłania się zwycięzko poznanie, wydzierając wierze piędź po piędzi gruntu z pod stóp. Droga rozjaśnia się, ale światło pozostaje dalekiem. Wraz z odsłonięciem go następuje koniec wszystkiego. My zaś żyjemy i dlatego nie posiadliśmy czystej prawdy.

Musimy wybierać między cudzą prawdą i naszą własną. Stajemy się kłamcami, gdy wygodnie i bezmyślnie sięgamy po gotowe prawdy innych.

„Kto chce być prawdziwym, musi być wolnym. Wolnym od więzów, w które zakulo nas wychowanie, wykształcenie i tradycja, wolnym od zaczarowanych okularów, któremi zaciemniono światło naszych oczu, wolnymi od liberyi lokajskiej, w którą władcy ziemi wtłaczają zależnych. Wszystko, czego nie zdobyliśmy sami, czem nie jesteśmy sami, jest kłamstwem i niewolą.

„Wychowanie jest żelazną formą, w którą wtłaczane są miękkie dusze dziecięce. A powinnyby ono być przecież tylko palem, dokoła którego owinąć mogłaby się młoda, pnąca się ku światłu roślinka. W życiu dziecka stanowi pierwsze „dlaczego?” narodziny człowieka. Wychowanie zabija je, zanim zdoła ono rozprę-

żyć słabe członki. Konary szkolne wprzegają do jednego jarzma zdolnego z niezdolnym, obdarzonego bujną wyobraźnią i jałowego. Naładowują w nich mózgi nazwiskami, liczbami i formułami, i najlepszym uczniem jest ten, kto szybko wszystko chwyta, najgorszym, kto pracą myśli usiłuje powoli przyswoić sobie rzeczy słyszane. W suchej tej formalistyce zamiera „dlaczego?” wysycha mózg, kurczy się serce, a miejsce samoistnego myślenia, żywego zapału dla dobra prawd i piękna zajmują tablice chronologiczne, wersety biblijne i gotowe sądy o świecie i ludziach.

„Biada temu, kto przeczy nauczycielowi: myślenie prowadzi na manowce, wątpliwości rodzą odstępców i buntowników.

„Łykaj bez namysłu miękką słodką kaszę, podawaną gotową do ust tobie, trzymanemu wciąż na smoczku dziecięciu, a oduczysz się niechybnie używania własnych zębów!

Zamierzchłe początki dziejów ludzkości podawane są dziecku nie w postaci, owianej podaniami bajecznymi historii żydów, lecz w postaci prawdy, o której wątpienie jest grzechem.

Grabież i mordowanie, prześladowania i oszustwa — dokonywane były przez ten naród wybrany z woli Jehowy, pod jego obroną i temu samemu dziecku, które ma modlić się do najwyższego tego nakazodawcy, które ma czcić jego wybrańców, wszczepiana jest religia miłości.

„Przyjm i to biedna mała machino ludzka, jeśli jedną chociażby własną myślą poruszysz z posad mierzwi wzniesiony gmach, rozsypie on się odrazu w gruzy. Nakaż grzecznie rozumowi twojemu milczenie stań

się tem, czem stali się wszyscy, którzy doszli na tym świecie do pieniędzy i uznania! wcieleniem kłamstwa.

„Celem wychowania jest wykształcony człowiek. Wspaniale! Gdyby tylko było to prawdą. Kształcić — znaczy rozwijać dany materiał do najwyższej doskonałości — nie zaś lepić kolumny marmurowe z gipsu, budować konstrukcye z drzewa, robić dyamenty ze szkła. Widowym wszakże znakiem naszego wykształcenia jest podstawianie uludy na miejsce istoty rzeczy. Za wykształconego uważany jest człowiek, umiejący prawić o wszystkim, mający na podorędziu gotowe o wszystkim zdanie i rzadko wyrażający się o czemś z zachwytem. Zdolność wypowiedzania o wszystkim swojego sądu jest sprawdzaniem wykształcenia o tyle wszakże tylko, o ile sąd ten jest samoistny. Do takiego wszakże wykształcenia prowadzi długa i stroma droga, a zawsze gotowe zdanie powinnyby słuszne budzić podejrzenia co do jego wartości.

„Współczesny człowiek wykształcony wydaje się tem, czem nie jest! okłamuje innych a często i samego siebie; popełnia duchową kradzież, wydając cudzą mądrość za własną; pozbawia się najcudniejszej rozkoszy życia, uczono go bowiem wprawdzie dumnego wynoszenia się nad innych stałem przeczeniem, nie nauczono natomiast zachwycania się, mając otwarte oczy na wszystko, co stworzyła natura i sztuka.

Zatruto nam świeże tryskające źródło wiedzy; dzisiaj krąży ono leniwie w żyłach ludzi, mącąc wzrok ich do tego stopnia, że zamiast człowieka myślącego samoistnie i będącego sobą — stawia on na piedestale wiele wiedzącego.

„Kto chce występować przeciw kłamstwu, musi głosić nową prawdę. Jaka jest ona.

„Prawda dzieci przedewszystkiem.

„Celem wychowania nie jest encyklopedia, ale wolny człowiek. Wiedza nie powinna być celem samym, w sobie, ale środkiem do celu, jakim jest uczynienie życia bogatym, a człowieka silnym. Nie zabijaj żadnego, „dlaczego?“, wywołuj je raczej i pobudzaj do życia, jak ogrodnik pobudza roślinę staranną pielęgnacją do puszczania młodych pędów, kieruj — ale nie mustruj. Wiedz o tem, że twoja mądrość nie jest mądrością twojego dziecka, że narzucając mu moją, uczysz je kłamstwa. Wiara w baśni jest mądrością dziecka. Pozostaw mu ją. Opowiadaj mu te podania ludów jak bajki, od Izydy i Ozyrysa do Odyna i Baldura, od Jehowy i Jowisza aż do Ojca Niebieskiego chrześcijan. Wskaż mu, jak ludzie korzyli się w zachwycie pod tysiącem nazw i postaci przed świętem misteryum tworzącego się życia. Naucz widzieć i podziwiać je w każdym kwiecie pachnącym, w każdym obłoku, gwieździe, w każdym prawie natury.

„A potem wprowadźcie w dzieje ludzkości. Nie stwarzaj mu na własną rękę żadnych dyabłów ani aniołów — ale nie przeszkadzaj dziecku, jeśli tworzy sobie własnych bohaterów. Cofaj się skromnie z własną swoją jaźnią przed kształtującą się osobowością innej istoty. Nie ucz jej osądzać, czego nie jest ona w stanie osądzić sama. Dążenie do zaoszczędzania dziecku przykrych doświadczeń przez dzielenie się z własnem doświadczeniem, jest sentymentalizmem, samoistnie bowiem zdobyte doświadczenie jest jedynie pewną drabiną rozwoju. Jeśli oddała ona dziecko od ciebie, nie narzekaj, nie jest ono bowiem wyłączną twoją własnością, ale własną

swoją i całej ludzkości. Nie wrażaj mu prawideł życia, wskaż mu raczej drogę do znalezienia własnych swoich zasad.

„I własnej religii jego serca.

„Która z nich jest prawdziwą? Proces rozwoju ludzkości od pra-początków swoich stale postępuje naprzód. Dziecięcą wiarą w baśnie jest wiara w utracony raj, człowiek dojrzały wierzy w raj, który ma być zdobytym.

„Natura nie zna stanu spokoju: rzeka dąży do morza, drzewo rośnie w górę, dziecko staje się człowiekiem. To „naprzód” jest prawem, nigdy sobie nie przeczącem; ilekroć moc jego groziła zanikiem, zawsze brało ono przebojem wszystkie przeszkody dźwignięte z takim wysiłkiem przez ludzką głupotę. Przekonanie o niezłomności tego prawa podtrzymuje nasze serce i naszego ducha. Odnajdziemy je o ile tylko stało się ono własną naszą zasadą życiową — we wszystkich zaciemnieniach, we wszystkich cierpieniach i mękach, o jakich opowiadają nam dzieje ludów i jednostek. Utwierdzać się w niem będziemy wówczas nawet, gdy zabija, wiemy bowiem, że zwiędłe liście muszą padać, aby ustępować miejsca młodym pędom, że kwiat musi zamrzeć, jeśli owoc ma dojrzeć.

„Pesymizm powiada: niema szczęścia; pietyzm zapewnia ziemia jest padołem płaczu. Ale nowa prawda uczy: Istnieje szczęście, zwyciężając wszelki ból; świadczy o tem każdy kwiat na polu, każda żołądź na drzewie, każde niemowlę u łona matki. Jego prawem jest; wzrastaj! stawaj się! Czyż nie miałoby ono obowiązywać jedynie religii?

„Cóż to jest religia? Pęd ku górze, korzenie się przed niepoznaniem, niemożliwem do poznania. Czyż dlatego

tylko ma stać ona nieporuszenie i niezmiennie na miejscu, że nie byłaby w przeciwnym razie oporą i hamulcem dla wielu?

„Myśl aż do ostatnich konsekwencji, burz wszystko, co stoi myśleniu twojemu na przeszkodzie; najgłębsze nawet i najnietykalniejsze twoje świętości są bluźnierstwem, jeśli stają się tamą dla myślenia. Myśl — a będziesz bogatym, myśl — a będziesz silnym i szczęśliwym. Kto, chociażby przeżył stulecie, znajdzie koniec takiemu stawaniu się? — — —

„Pozostaje więc tylko jeszcze zagadka nowej prawdy o życiu! Po co wszystkie udręki i nędze, na co rozpacze i klęski?

Miliardy istot żywych zginęły w walce o byt, celem ustąpienia miejsca wyższym tworom, dojrzalszym mózgom.

Wszelki rozwój kroczy przez trupy.

„Surowa siła mięśni ustąpiła miejsca subtelniejszym siłom umysłu, a siły umysłu czekają na dopełnienie ich przez siły ducha. Bez mąk nie byłoby siły, która z nich wyrasta i ujawnia się w czynach.

Kogo zmogły cierpienia — nie był wart życia.

„Czyż nie wyrasta nawet z głodu mas olbrzym, który go pokona? Czyż nędza nie stwarza jedności i siły, czyż pod kałużami krwi i łez nie zieleni się tajemnie młody posiew przyszłego człowieka?

„Jednego tylko trzeba koniecznie: abyśmy w olbrzymiem rozpędowem kole rozwoju nie byli żdźbłem pyłku, przeszkadzającym dopóty, dopóki nie zostanie skruszone na miazgę, plamą rdzy, wyżerającą mechanizm dopóki nie zostanie wytarty do kruszyny.

Jeśli nie możemy być częścią siły rozpędowej, bądźmy przynajmniej kropelką oliwy, najdrobniejszą śrubeczką.

To właśnie jest nową prawdą o życiu”.

Miałam uczucie człowieka, który wykuł sobie pancerz, czyniący go niepokonanym. Z uczuciem szczęścia budziłam się co rano do nowego dnia i szłam, pełna świeżych sił daleko w las, wciągając w płuca odżywcze aromaty wiosny — istną krynicę młodości ciała i ducha.

Pełne już było lato, kiedy nareszcie zdecydowałam się ustąpić naleganiom ojca i wrócić do Münsteru na wielkie manewry.

W dniu mojego przybycia jaśniało już miasto krąsą odświętnego stroju. Wzorzyste chorągwie i sztandary powiewały na wietrze, z okien zwieszały się barwne dywany, przez środek ulic poprzeciągane były zielone festony girland, upstrzonych pąsowemi i błękitnemi kwiatami polnemi. Wypłynęły na światło dzienne, ukrywane zazwyczaj w starych szafach i komorach, dawne stroje: kobiety przywdziały ciężkie, złotem haftowane czepki, mężczyźni — białe pończochy i pąsowe kamizelki, na których połyskiwały wielkie srebrne guzy. Gdy następnego dnia w jarzącym blasku promieni słonecznych odbył się wjazd uroczysty pary monarszej, zdawało się powietrze całe drgać potężnym chórem dzwonów, a grzmot salw rozbrzmiewał tylko jak głęboki akord wtóru. Arystokracja westfalska roztoczyła cały przepych i bogactwo; w starodawnych, malowanych i złoconych kołach, z pudrowanemi woźnicami i hajdukami na ko-

złach i stopniach, sunęli przedstawiciele jej sznurem nieskończonym na przyjęcie do zamku.

Najwspanialszy namiot Medyceuszów nie mógł być świetniejszym od namiotu na placu Ludgera, w którym członkowie sejmu krajowego podejmowali obiadem swojego monarchę. Żaden pałac florencki nie mógł większego roztoczyć przepychu, aniżeli dom klubu kobiecego, oczekujący wieczorem na cesarskich gości. Na stopniach schodów ustawieni byli szeregiem strzelcy książąt! Croy, Raciborza, Rheina-Wolbeck, Bentheimu i Salmu; salony obwieszane były drogocennymi makatami, starymi zwierciadłami weneckimi, zbroją ze wszech krajów i epok, złotymi i srebrnymi misami i pucharami, wszystko to wszakże zaćmiewał niesłychany przepych i blask klejnotów na głowach, ramionach, szyjach i rękach mnóstwa pięknych, rasowych kobiet. Sale napłynęły się lśniącymi zwojami jedwabów i pstrocizną mundurów; zagrzmiała fanfara uroczysta — i w łukowym sklepieniu drzwi wejściowych stanęła para cesarska: on w mundurze huzarskim, z dolmanem, zręcznie przewieszonym przez krótkie lewe ramię, ona w białej szacie, z brokateli.

Po raz pierwszy ujrzałam go znów po długim od czasów dzieciństwa niewidzeniu: ogorzała twarz stała się bardziej jeszcze ponurą, zakręcone do góry wąsy, niezdolne były ukryć opuszczanych w dół kątów ust. Stereotypowo uprzejmy uśmiech jasnowłosej obok niego kobiety zbyt był konwencyonalny, jej biała twarz zbyt pozbawiona wyrazu, aby mogły odciągnąć od niego wzrok i złagodzić wrażenie lodowatego chłodu, które owionęło nas wszystkich.

Rozpoczął się bal. Czułam, że młode panie bardziej

jeszcze niż dawniej odsuwają się ode mnie, że mimo wrażenia chwili, znaleziono czas na szeptanie sobie o mnie złośliwych uwag i półsłówek. Hessenstein stał obok mnie jak olbrzym obrońca. On też zdążył mnie uprzedzić, zanim to uczynić mogła jedna z „najlepszych moich przyjaciółek”, o zaręczeniu się Syburga. Wsparta na jego ramieniu frunęłam po sali, gdy rozległy się pierwsze kołyszące takty walca. Na dole, przed samą estradą, na której cesarzowa odbywała *cercle*, stał cesarz. W upojeniu tańcem zauważyłam go wówczas dopiero, gdy musnął go w przelocie tren mojej sukni. Powiódł za mną wzrokiem przez chwilę i uśmiechnął się, mnie zaś przemknęła przez głowę z uczuciem tryumfu myśl, że żaden tancerz w całej sali nie jest tak piękny jak mój i że żadna z pań nie tańczy tak zgrabnie jak ja”. Tego właśnie pragnęłam; nie stopniowo, jako starzejąca się podpora ścian, wyrwać się chciałam z wiru salonowego życia — postanowiłam święcić swój dzień odejścia, stanąwszy u szczytu piękności i hołdów! Podczas przerw cisnęły się młode tancerki, aby być jaknajbliżej cesarzowej i wracały z rozpromienionymi twarzami, gdy udawało im się być jej przedstawionymi. „Może i pani chce?” — zapytał Hessenstein. „Po co?” — odparłam, z uśmiechem, „aby dla ucałowania ręki i zdawkowego frazesu narazić na szwank moje koronki?!”

W sali jadalnej nakryty był na podniesieniu stół cesarski; całe nakrycie było ze szczerego złota, najwyszukańsze storczyki zwieszały głowy z ponad kielichów kryształowych, girlandy żółtych róż odbijały jasnym blaskiem od matowego fioletu jedwabnych makat ściennych. W olbrzymiej sali dokoła wzniesienia stał stół przy stole, i każdy zastawiony był szczerem-srebrnem całkowitem

nakryciem, nie wyłączając talerzy i półmisków. Siedziało przy nich z górą trzysta osób. Mnie przypadło miejsce w wesołym gronie nieco zdala od innych pod cieniem rozłożystych palm; poprzez których pnie obserwować mogłam wygodnie stół cesarski.

Profil Wilhelma II odcinał się ostro na jasnym sali tle. Widziałam, jak podnosił wciąż do ust kielich szampana i jak śmiał się — mały, gruby książę Croy, siedzący naprzeciw niego, lubił tłuste dowcipy — ale był to śmiech lubieżnika, nie mający nic wspólnego z wesołością. Silna prawa ręka żywo gestykulowała, posiłkując się od czasu do czasu podwójnym sztućcem i nożem, aby nakrajać kilka kęsów i ponieść je do ust. Bezsilnie, bezwładnie jak obcy członek, wisiła urękawiczniona lewa ręka na krótkim dziecinnym przedramieniu.

Znojny żar letni rozprażał ulice, kiedy wracaliśmy do domu; czarowny sen nocy letniej osnuł ulice starego miasta. Świecące robaczki świętojańskie zdawały się tańczyć dokoła słupów krużgankowych, piąć po wszystkich liniach i załomach, potężnieć, budować aż po same koronkowe szczyty wież. Zamilkły szare głazy; zaostrome wierzchołki, smukłe kolumny i wysokie łuki okienne zdawały się utkane z barw i światła.

Z poza zielonej gęstwiny odwiecznych lip jarzyła się katedra niby potężna świątynia boga światła.

Jechaliśmy zwolna w jasnych naszych strojach, z kwiatami w utrefionych włosach, a zebrany na ulicach tłum wznosił na cześć naszą tryumfalne okrzyki. Z otwartych okien i z altan ogrodowych rozbrzmiewał śpiew i muzyka.

W czternaście dni później odbyły się u stóp Porta Westfalica wielkie manerwy cesarskie. Rozpoczęła je

parada przed wrotami Mindenu. Przedstawiała ona obraz zwykły w takich razach: czarne zwarte tłumy ludzkie, szare tumany kurzu, trywialnie udekorowane, gęsto obsadzone tubylcami i przybyszami, trybuny na polu przed nimi, jak daleko oko sięgało, świetne mundury, powiewające kity i pióropusze na hełmach, niecierpliwie przebierające nogami konie. W dali siniejące łańcuchy wzgórz jako poważna, nieruchoma rama żywego obrazu.

Stary, uprzężony już oddawna do ładownego wozu, koń dychawiczny, zasłyszawszy głos trąbki, strzyże niepokojnie uszami, podnosi zmęczoną głowę i próbuje zgrabnie przebierać kulawemi nogami; i człowiek, uważający oddawna już zabawę narodów w żołnierzy za wołający o pomstę przeżytek, gdy usłyszy stare marsze wojenne, musi powstrzymać się, aby nie maszerować w ich takt; — a gdy nadto wyłonią się przed jego oczami całe wojska, — tysiące młodych, silnych postaci konnych i pieszych, w szamerowanych srebrem i złotem mundurach, w błyszczących pancerzach i lśniących na słońcu hełmach, z rozwianemi sztandarami, z brzękiem szabel i ostróg, — uderza w niem żywiej serce, bez względu na całą opozycję rozumu.

Stałam w środkowej łoży trybuny. Tuż obok ustawiła się świta cesarska, obcy książęta i wreszcie sam władca, obok nich przesuwały się świetne fale żołnierzy, niesione zda się przez ogłuszające powietrze fanfary. Nie chciałam zachwycać się, a bezwiednie zamarły mi drwiące słowa na ustach. Czy dźwięki te budzą zapomniane obrazy z zamierzchłej epoki barbarzyństwa? Czy widok wojennego animuszu rozpala w nas ostatnią kroplę krwi, która przeszła do żył naszych po przodkach, lubujących się w walce, jako jedynem źródle rozkoszy i ży-

cia? A może jest to tylko suggestya masy, muzyki, i barw, upajająca nasze zmysły? Czy nie doznalibyśmy tego samego wzruszenia, gdyby zamiast żołnierzy maszerowali tu robotnicy, gdyby bronią ich były wyostrzone młoty, heble i pilniki, ich mundurami suknie odświętne a cały ten wielki promiennie pstry obraz potężnym prze-
glądem pracy?

Rozmyślałam jeszcze nad tem, gdym zbudziło mnie grzmiące! „hurra!”

Cesarz stanął na czele 53-go pułku, prowadząc go wzdłuż trybun.

Był to pułk jego ojca. Ten zwykły akt dworsko-wojskowego obyczaju powtarzany był z zachwytem przez obecnych jako wybuch synowskiego uczucia.

„Nielatwo mu tym razem musiało pójść! — szepnął stojący obok mnie ksiązę Limburg. „Dlaczego?” — zapytałam zdziwiona.

„Dziwna przygoda w koszarach akwizgrańskich nie małego nabawiła go podobno strachu!”

Nazajutrz pojechałam konno z Limburgami pod ochroną przybocznego żandarma, na pole manewrów. Siadłam na konia nastrojona ponuro, zapewne pod wpływem rozpadanego szarego nieba. Od czasu mojego powrotu był ojciec przygnębiony i milczący, jak nigdy jeszcze; w ostatnich wszakże dniach wybuchał w sposób tak gwałtowny, że wszystko drżało przed nim. Czy myślał o manewrach pomerzańskich z 87-go roku?! — W zagajniku spotkaliśmy się z Verdym, ministrem wojny, którego sarkastyczny dowcip pociągał mnie w równej mierze, jak odpychała zaniedbana jego powierzchowność.

„Podłe powietrze!” — burknął, ściskając mnie za

rękę, „mogłaby sobie też pani wybrać coś lepszego niż asystowanie tym manewrom”.

„Co oznacza to szczególne podkreślenie, ekscelencyo?” — zapytałam niespokojnie.

„Widzi pani przecież — leje deszcz” — wykręcił się, „a zresztą cała ta sfora dworska, o którą człowiek nieustannie potraça ale, czy wiecie państwo, że cesarz powierzył w ostatniej chwili panu v. Wittich prowadzenie szeregów przeciwnicznych”. Zdrętwiałam. Wittich, adyutant cesarski, cieszący się szczególnymi łaskami monarchy, człowiek, którego zdolności wojenne zwykł był ojciec mój wyszydzać — spotkać miał się z nim dzisiaj, jako jego przeciwnik!

Pogalopowaliśmy dalej. W drodze spotkał nas oficer ordynansowy ze sztabu mojego oica. Promieniał.

„Arcydzielo brawury!” — zawołał już zdaleka, — „Trzynasta dywizya dokonała marszu, który wprawił wszystkich w zdumienie. Kawalerya nieprzyjacielska przyszła naturalnie zapóźno i została w świetny sposób odparta.”

Odetchnęłam. Na dachu młyna Habichtshorstu powiewał sztandar cesarski. Podjechaliśmy, jak można było najbliżej.

W następnej chwili zagrzmiało i zadudniało tuż przy nas, ziemia zadrżała pod uderzeniami tysięcy kopyt, cała dywizya kawaleryi waliła do ataku, — widok, ścinający krew w żyłach, a potem rozpalający ową gorączkę naprężonego oczekiwania, ogarniającą hazardującego się gracza w obec toczącej się już kulki z kości słoniowej. Zapomniałam o niepokoju — o ojcu — o siekącym deszczu — ręka moja, trzymająca przy oczach lunetę polową, drżała ze wzruszenia. Na chwilę ukazała

się na polu mojego widzenia twarz cesarza; oczy jego błyszcząły, a wargi drgały. Zrozumiałam w tej chwili namiętność jego do tego rodzaju widowisk.

W następnej zaraz chwili usłyszałam odgłos trąbek i gwizdek! w rynsztunku bojowym nadbiegała z drugiej strony piechota, — waliła niezliczonymi masami, jakgdyby wyrastała z pod ziemi, z gromkimi okrzykami i grzmotami salw.

Dostrzegłam konia mojego ojca, — gdy w tem rozległ się sygnał: „Stanąć!” i w jednej chwili zamarła cała walka. Dziwnie nieśmiało wymykali się przede mną na naszej drodze powrotnej oficerowie mojego ojca. Tuż pod Mindenem spotkałam Hassensteina, którego wprost zawezwałam, pytając z niepokojem, co się stało?

„Odbyla się podobno fatalna scena” — odparł. — „Zawiadomiony o swojej jakoby porażce, wybuchnął ojciec pani w sposób niesłychanie gwałtowny. „Oszaleliście chyba” — miał zawołać, „cała pańska kawalerya jest przecież rozbita”. Wszyscy, z którymi mówiłem, przyznają mu zresztą słuszność.

Atak na Nordhemmern i Hilchausen byłby niewątpliwie zapewnił mu zwycięstwo, gdyby go nie powstrzymano nie w porę”.

Wróciliśmy tego samego jeszcze dnia do Münsteru, aby czekać tam na powrót ojca. Był spokojniejszy, aniżeli się obawiałam i z taką pewnością obliczał szanse otrzymania nominacji na dowodzącego korpusem, że my sami przestaliśmy nieledwie o tem wątpić.

W tym samym czasie, kiedy zbliżający się karnawał zaczął przypominać nam towarzyskie nasze „obowiązki”, umarła stara cesarzowa Augusta, tak, że na tę zimę wy-

rzec się wypadło tańców i balowania. Nic nie mogło bardziej mi dogadzać.

Nie stało mi nic już na przeszkodzie do poświęcenia się zadaniu, którego spełnienie zapoczątkować miało nowe dla mnie życie.

Książka, którą zaczęłam pisać na zamku limburgskim zawierała szkice, na których podstawie zamierzałam stworzyć obraz i tak silnych barwach o tak żywych postaciach, aby w przyszłości nikt nie mógł przejść obok niego obojętnie. O ile szybko wszakże rosły mi pod ręką pierwsze rzuty, o tyle wolno postępowała obecna robota. Odkryłam luki w mojem wykształceniu, niedające się zapelnąć środkami, jakimi mogłam rozporządzać. Ignorancya moja w dziedzinie filozofii i nauk przyrodniczych pogrążała mnie nieraz w najgłębszą rozpacz. Całe moje dotychczasowe życie wydawało mi się wówczas bezcelowem, a wymarzona przyszłość bezpowrotnie pogrzebaną.

Siadywałam często do późnej nocy zatopiona w myślach przy biurku i dopiero, kiedy ostatnia na kominie dogasała głównia, a palce drewniały w dojmującym chłodzie zimowym, chroniłam się drżąca do mojej sypialni.

Tak byłam zajęta w ostatnich czasach własnymi myślami, że poruszałam się wśród otoczenia mojego obojętna, jak automat, dopóki pewnego dnia nie uderzył mnie bezdźwięczny ton głosu ojca. „Czyś chory, ojczulku?” — zapytałam zaniepokojona. Uśmiechnął się z przymusem:

„Nie byłoby nic w tem dziwnego. Kiedy nazajutrz zrana weszłam na śniadanie do jego pokoju, leżał na fotelu śmiertelnie blady, z szeroko otwartemi oczyma. Rzuciłam się przed nim na kolana, chwytając zwisłą bezwładnie

jego rękę. W tej samej chwili wróciła mu przytomność z krtani jego wydarł się nieludzki jakiś dźwięk — zerwał się, ukrył z dzikiem łkaniem twarz w dłoniach, aby w następnym zaraz momencie opaść znów bezwładnie. Wzrok mój padł nagle na biały arkusz, nawpół wydarty z niebieskiej koperty — chwyciłam go i wyczytałam, jak przez mgłę dwa tylko wyrazy! „... dymisya przyjęta...”

„Trzynasta dywizya!” — jęknął ojciec.

Nie mogliśmy nadążyć ze zwinięciem gospodarstwa. Tegoż dnia jeszcze zamienił ojciec ukochany swój mundur na czarny surdut. Nie miał jednak odwagi wyjść w nim w biały dzień na ulicę; ciemny rumieniec oblegał jego policzki przy spotkaniu z każdym żołnierzem, nie oddającym mu honorów wojskowych. Chodziłam za nim krok w krok, jak cień; wyglądał jak człowiek, na którego czyha śmierć.

Słuchał apatycznie planów snutych głośno przez matkę; gdy wszakże na myśl o spokojnem życiu, jakie będzie pędziła, wpadała niemal w wesoły nastrój, podnosił się ciężko z krzesła i wychodził z pokoju. Nie interesował się niczem, nie wyjawiał żadnych pragnień i w milczeniu przyjmował wszystko, co się dokoła niego działo.

Matka sprzedała znaczną część mebli — nie zauważył tego nawet; adjutant jego układał się z pomocą stajennego z handlarzem koni, — nie przekroczył ani razu progu stajni. Gdy wszakże przyszedł ranek, w którym miano wyprowadzić konie, a my wszyscy wiedząc o tem, usiłowaliśmy zatrzymać go w pokoju, wybiegł nagle na schody: ulubiony jego kasztan zarżał głośno, stojąc na dziedzińcu z łśniącą w słońcu ciemną grzywą, a Percy, biały foksik biegł za nim, poszczekując radośnie, jak zwykle przed codziennym rannym spacerem. Ojciec

przywarł czołem do szyby, łkanie wstrząsnęło silnem jego ciałem i ciężkie łzy potoczyły się po wybladłych policzkach. Kasztan znikł w bramie podwórzowej; pies tylko stał jeszcze niezdecydowany na miejscu, podwinął ogonek, spojrział na nas pytająco i potem dopiero powlókł się za nim wolniutko, zupełnie wolno.

ROZDZIAŁ PIĄTY.

Burza marcowa w górach Harcu. Strącała ona na wyżynach ciężkie zwały śniegowe z drzew i siekła przez doliny gęstym przenikliwie zimnym deszczem. Wezbrana wysoko, niby strumień z gór spadający, przelewała spienione fale cicha i niepozorna zazwyczaj rzeczułka.

Pod nagiemi czarno-brunatnymi dębami stała w szaro połyskującymi kałużach woda, zwisała jasnymi kroplami z pajęczyn zawieszonych pomiędzy słupami pawilonu orkiestrowego i z zeschniętych łoż winnych, rozpiętych po cuchnących wilgocią kolumnadach. Domy i hotele z zamkniętymi swymi okiennicami pogrążone były jeszcze w śnie zimowym, na drogach do lasów okolicznych zatarł deszcz i śnieg liczne ślady nóg, pozostałe po gościach ubiegłego sezonu letniego.

Co rano, kiedy blaszany zegar wieżowy — jedyna rzecz żyjąca o tej porze — wydzwaniała siódmą godzinę, wychodził z małego domku, położonego na głównym placu, mężczyzna, obojętnie spoglądający na wieczne szare niebo parą zmęczonych niebieskich oczu; pełne wargi, ocienione gęstym jasnym zarostem, zaciskały się

mocno, i z jedną ręką założoną na plecy, i drugą opartą na sękatą lasce, szedł szybko w górę po szosie. Im dalej się zagłębiał, tem szybszym stawał się jego krok, — tak, że w końcu biegł niemal, i tylko na widok ukazującej się zdala sylwetki ludzkiej skręcał w bok w lasy. Czasami szła za nim, ostrożnie skradając się, młoda biała dziewczyna, której czarne zwoje włosów dziką na wie-trze tańczyły dokoła skroni sarabandę. Nie dochodziła wszakże daleko — musiała w końcu biedz, aby mieć go na oku, na co nie pozwalało znów gwałtownie bijące serce. Z bolesnem tedy westchnieniem i stroskanym wyrazem twarzy wracała znów po wązkich schodkach na górę do maleńkiego mieszkanca z wypłowiałymi mebelkami z pstremi oleodrukami na wzorzystej tapecie i z prostaczo nakrytym pensjonatowo biednym okrągłym stołem śniadannym. Przelykała ciekawą kawę, jadła ze wstrętem małą bułeczkę i zrywała się z nerwowym pośpiechem, zasłyszawszy głosy w pokojach sąsiednich. „Siostrzyczko” — wołał młodszy, nawpół zaspany — „Alicyo!” — brzmiał inny ostry, donośny z poza przeciwległych drzwi. Klęcząc przed małą dziewczką, owijającą z uśmiechem złote włosy dokoła różanych paluszków, wkładała jej pończoszki i buciczki, aby wnet potem udać się do matki, czekającej przed lustrem na zręczne palce starszej córki.

„Ojciec gniewał się dzisiaj znów bardzo na złą kawę”, mówiła, zagłębiając grzebień w bujne wciąż jeszcze złote włosy matczyne, „piec nie chce się też palić, — może lepiej byłoby naprawdę wyprowadzić się stąd!”

„Wiesz, że wszystkie inne pensyonaty znacznie są droższe”, — odpowiadała matka cierpko — „oj-

ciec musi się przyzwyczać do braków i niewygód.”

Gdy ojciec wracał około południa, znużony i nieusposobiony, siedziała już jego starsza córka od kilku godzin przy siostrzyczce w roli nauczycielki. Po obiedzie odbywali we czworo spacer; wobec jednak tragicznego zamknięcia się w sobie ojca, niedostępnego chłodu matki i natury, jednako dalekiej od srebrzystej bieli przepychu zimy i od soczystej zieleni nadziei wiosennych, milkł nawet śmiech złotej Elżuni i wesoly dziecięco naiwny jej szczebiot. Każdy oddychał z ulgą, gdy taki spacer rodzinny kończył się nareszcie, a mimo to zapewniało jedno drugie, że było „cudownie”.

Wielkie cierpienia wymagają samotności. Ciężą one jak powietrze przesycone burzą, gdy nie mogą wyładować się nazewnątrz; patrzenie na cierpienie drogich osób podwaja własny ból. Tradycja wszakże i obyczaj uczą w fałszywym swoim sentymentalizmie, by cierpienia dźwigane być muszą pospołu; podporządkowała się też teorii tej trójka ludzi, która niczego w głębi duszy tak nie pragnęła, jak zejścia sobie wzajemnie z oczu.

Gdy wszyscy już spali, płonęła długo jeszcze w noc lampa w pokoju bladej brunetki. Z podręczników siostry przygotowywała ona wykład na następny dzień,— nigdy wszak nie uczono jej nauczać, niełatwo też przychodziło uzupełnianie podstawowych w tym kierunku braków. Kosz do roboty też był zawsze pełen, trzeba było szyć, łątać i cerować — nikt nie powinien był zauważyć, że środki materialne rodziny nie odpowiadają już jej pozycji w świecie. Tęsknie wodziły ciemne oczy pracującej po książkach, wyczekujących cierpliwie zło-

conemi swojemi grzbietami, czy nie przyjdzie wreszcie i na nie kolej. Gdy wreszcie przekradały się łyzy pod powieki, wyciągała z kieszeni zmięty list, zapisany drobnem pismem i odczytywała go wciąż na nowo, mimo, że umiała go już prawie na pamięć. Brzmiał on!

Pirgałowo, 10 marca 1890.

Ukochana moja wnuczko!

Matka twoja pisze mi, z jak spokojną powagą przyjęłaś nowy zwrot w waszem życiu i jak sumiennie spełniasz wszystkie spadające na ciebie wskutek niego obowiązki. Chciałabym też zapewnić cię o szczególnie tkliwej mojej dla ciebie miłości i uznaniu. Obawiałam się często, aby chochliki próżności nie objęły ostatecznie w posiadanie czystego serca mojej Alicyi; może właśnie opatrzność boska, która nam krótkowzrocznym wydaje się często okrutną, znalazła i dla ciebie właściwą drogę, na której lepsza twoja istota do pełnego dojdzie rozwoju. Jak wiesz, nie brałam od początku tak tragicznie, jak, nade wszystko tak tragicznie, jak on sam, dymisyi twojego ojca.

Im bardziej posuwamy się w lata, tem obojętniejszymi stajemy się na podobne czysto zewnętrzne wydarzenia. Że była ona ciężką próbą dla Jana specjalnie, ugodzonego w najdrażliwszą strunę: w jego miłość własną, ambycję i poczucie własnej wartości, wiem aż nadto dobrze. Jest on jednak dość silny i dobry, aby ją przejść zwycięsko, a o ile wy wszyscy, o ile ty zwa-

szcza, moje dziecko, którą kocha najczulej, cierpliwie i wreszcie podtrzymywać go będziecie waszą miłością, i o ile znajdzie on dla niezużytych sił swoich odpowiednie pole działalności.

Inne jeszcze wszakże, trudniejsze dla ciebie do spełnienia zadanie, muszę złożyć w twoje ręce, Alicyo. Spodziewam się, że będzie ci ono miarą stopnia zaufania mojego dla ciebie, nie zaś dowodem okrucieństwa, że na twoje właśnie młode barki zwałam takie brzemię. Mam 78 lat i mogę być lada dzień odwołaną. Byłam na szczęście, w możności ustrzeżenia jedynej mojej córki, matki twojej, od najdotkliwszych trosk materialnych przez regularne nadsyłanie zasiłków, obdarzanie jej prezentami, pokrywanie kosztów podróży do wód i t. p. Nic nie cieszyło mnie więcej, aniżeli ta właśnie możliwość, nigdy bowiem nie jest ofiarą udzielania drogim istotom tego, bez czego możemy ostatecznie się obejść. Matka twoja tem swobodniej przyjmowała moje dary, że miała prawo wierzyć, iż przyszła jej scheda pozostaje nienaruszona jeszcze w mojem posiadaniu. Nie chcąc zakłócać małżeńskiego spokoju jej, zataiłam przed nią całą prawdę. W razie mojej śmierci, dowie się, że Jan zaciągał a conto tej schedy wielokrotne u syna mojego, Waltera, pożyczki, znacznie ją nawet przewyższające. Będzie to dla matki twojej nietylko wielkiem rozczarowaniem, ale pociągnie za sobą konieczność rozmaitego rodzaju ograniczeń, a nadto stanie się powodem ostrych pomiędzy rodzicami twoimi rozdźwięków. Powierzam ci, Alicyo, tajemnicę tę już dzisiaj w tym celu, abyś wyzyskała cały twój wpływ w kierunku jaknajskromniejszego ukształtowania przyszłego waszego życia, a tak-

że, abyś nie ustawała w dobrowolnie przyjętych na siebie obowiązkach opiekunki domu.

Rodzice twój sądzą, że obowiązkiem ich jest liczyć się przede wszystkim z twoją młodością, z twoją przyszłością, z możliwością dla siebie świetnego zamężcia i dlatego wybrać zechcą zapewne miejscowość, w której znajdziesz odpowiednie koło towarzyskie i będziesz mogła właściwie zająć w niem stanowisko. Zbyt dobre mam pojęcie o mojej wnuczce, abym nie miała wiedzieć, że cenić umiesz wyższe wartości i wyższe masz cele na względzie. Małżeństwo rzadko jedynie bywa szczęściem, najrzadziej zawarte w sali balowej; ciebie zaś uposażył Bóg tyloma cennymi darami, że potrafisz znaleźć zadawalającą ciebie i innych treść życia i po za zwykłą sferą egzystencji kobiecej. Szukaj tej treści nie tylko ze względu na ciebie samą, ale i dla zdjęcia z duszy twoich rodziców ciężącej im troski o twój los.

Ojciec twój, co prawda, optymista — jak zwykle w tych sprawach, — liczy dla córek swoich na miliony ciotki z Augsburga. Twoja stara babka, o której zawsze mówiono, że widzi wszystko w ciemnych barwach, wie jednak z doświadczenia, że więcej, niż niedorzecz-
nem jest budowanie przyszłości na kapryśnem usposobieniu bogatych kobiet. Klotylda jest w równej mierze egoistką, jak kapryśnicą, a ty, dzięki Bogu, nie potrafiłaś chlebiać jej próżności.

Dla tego też jedyną radą, jaką ci dać mogę, radę może ostatnią, jest stań o własnych siłach. Twoją będzie rzeczą rozstrzygnięcie, w jaki uczynisz to sposób. Chciałabym tylko przypomnieć ci, kilka przykładów: Panią v. W., która była piękną, otoczoną powszechnymi hołdami, dziewczyną, a której mąż, przestawszysy

wszystko, co posiadali oboje, musiał jako nieuleczalny paralytyk podać się do dymisyi, tak że na nią spadła cała troska o utrzymanie rodziny. Zasiadła wówczas do biurka, zaczęła pisać powieści i tą drogą zarabiała na wyżywienie i wychowanie dzieci oraz na byt własny i męża. Albo też pomyśl o młodziutkiej hrabiance B., której rodzice zmarli, pozostawiwszy na jej wyłącznej opiece pięcioro nieletniego rodzeństwa.

Talentami, któremi dotychczas zdobyła życie swoje go otoczenia, zdołała utrzymywać braci i siostry. Malowane jej talerze, wypalane tarcze herbowe i artystyczne oprawy książek znajdziesz teraz w oknach wystawowych pierwszorzędných firm berlińskich.

A teraz, żegnaj mi, najukochańsze dziecię, mojego serca; czuję, że we właściwy sposób mnie rozumiesz i wiem, że z wiarą w ciebie, spokojnie zamknąć będę mogła oczy. Tuli cię z miłością do serca, twoja wierna ci zawsze, bardzo stara—Babka."

List ten kosztował mnie wiele bezsenných nocy, nie było też ani jednej w ciągu dnia godziny, abym o nim nie myślała.

W pierwszym porywie uczucia przyobiecałam babce spełnić wszystko, czego ode mnie żądała i z radością też zabrałam się do spełnienia poruczonego mi przez nią zadania. Zapał mój ostygł jednak zbyt rychło, pozostawiając jedynie suche, lodowo-zimne spełnianie obowiązku. Musiałam iść za radą babki, samo życie narzucało mi w sposób nieodparty konieczność zadośćuczynienia jej żądaniom, przynajmniej w zakresie obowiązków domowych. Jaką obrać miałam jednak drogę, aby o własnych stanąć siłach?" Przez całe życie tęskniłam za samodzielnością — za samodzielnością i swobodą —

było to wszakże zupełnie co innego, niż to, co rozumiała moja babka, a co zmuszona byłam zdobyć. Nie szło o wcielanie w czyn moich przekonań życiem zgodnem z niemi i wyzwaniem duchowej mojej jaźni z krępujących ją więzów konwenansu, ale o spożytkowanie na rzecz rodziny moich uzdolnień i talentów i zamienianie ich na brzęczącą monetę.

Niegdyś zbudowałam sobie w kąciaku mojego pokoju z kwiatów, obrazków i pstrych szmatek ukrytą świątynię, która straciła dla mnie całe znaczenie z chwilą, gdy zbecześciło ją pierwsze obce spojrzenie, jakie na nią padło — a teraz miałabym obnażyć wszystkie moje myśli, najgłębszą treść świątyni mojej duszy, miałabym na sprzedaż czuć i myśleć jak się na sprzedaż robi hafty i koronki?! Miałam nadzieję że moja czarna książeczka stanie niegdyś publicznie do walki z kłamstwem — ale tylko w imię samej walki! Wiązanie całej tej rzeczy z „zarabianiem” równało się spychaniu jej w błoto. Nie, nie! po stokroć nie! głęboko na samym dnie kufra, jeszcze głębiej na samym dnie ukryć trzeba książeczkę, dopóki konieczność zniewalać mnie będzie do „zarabiania”.

Czy mogłabym pisywać powieści jak pani v. W.?— Głęboka cześć dla twórczości nie opuszczała mnie od lat najmłodszych. Artyści wydawali mi się zawsze wyższymi, boskimi nieledwie istotami, gdy umieli tworzyć człowieka. Powołała ich do życia wyższa siła natury, która zmuszała ich także do tworzenia. Świętokradcą wydawał mi się też każdy, kto ważył się chcieć, podnieść do nich przeczenie wyobraźnią lub umiejętnością rymowania. Lepiej już szyc koszule lub robić pończochy!

Przyszła mi na myśl moja zręczność szycia sukien i przystrajania kapeluszy — niestety jednak nie podobna było wyobrazić sobie panny v. Klewe krawcową lub modystką. Prócz tego malowałam w swoim życiu takie mnóstwo ozdobnych kart, wypalałam tyle pudełek, krzeselek i stolików, że może dałoby się zrobić coś na tej drodze. Odtąd też korzystałam z każdej wolnej chwili, aby obrabiać pędzlem i rylcem do wypalania jedwab, aksamit, papier, drzewo i skórę.

„Śmieszna jesteś — zauważył ojciec pewnego wieczora — ni stąd ni z owąd zabrałaś się z taką gorliwością do swoich talentów dyletanckich. Dużo przecież jeszcze masz czasu do Bożego Narodzenia.” ..Powinneś już być nawykłą do fantazyi Alicyi” — zadrwiła matka. Krew uderzyła mi do głowy; miałam już na języku szorstką odpowiedź, kiedy niezwykły jak na ciszę Harcburską hałas na ulicy ściągnął nas wszystkich do okna.

„Dodatek nadzwyczajny — dodatek nadzwyczajny:” Siostrzyczka moja zbiegła ze schodów — nareszcie wydarzenie jakieś w tem monotonnem życiu: — za nią pośpieszył ojciec, czekający zawsze na coś nadzwyczajnego i lubujący się więcej niż zwykle w przewidywaniach i przepowiedniach.

„Dymisyja Bismarcka”, — zawołał bez tchu, stojąc jeszcze na ulicy, po czem pobiegł młodzieńczo—sprężystym krokiem na górę.

Twarz jego pałała, grube krople potu wystąpiły mu na czoło, a w oczach jego jaśniał błysk tryumfu. Spojrzałam na niego zdumiona.

„I on także!” — szepnął jak gdyby do siebie i uśmiechnął się.

Zrozumiałam go: większy od niego upadł, trąfiony kulą tego samego myśliwca — nie stał więc jako upokorzony, lecz jako towarzysz tego, który był założycielem całego państwa i usunięty został za nawias przez trzeciego tego państwa cesarza.

Od dnia tego ożył na nowo, stał się rozmownym jak dawniej i śledził z wzrastającym zainteresowaniem wydarzenia polityczne, a opozycyjne jego stanowisko względem nowego „kursu” zaostrzało się coraz bardziej.

„Przeniesiemy się do Berlina” — oznajmił tonem stanowczym, wykluczającym wszelką możliwość oporu. „Otwiera się tam dla mnie pole literackiej i politycznej działalności.” Zaczął pisywać do konserwatywnej prasy, najostrzej przeciwstawiającej się polityce Capriviego.

Myśl przeniesienia się do Berlina zelektryzowała i matkę: cieszyła się jak dziecko nadzieją uczęszczania do teatru, na koncerty i wystawy. Opanował ją nagły, tamowany dotąd i niezaspokojony, głód wrażeń. I ja też zadowolona byłam z wyboru Berlina; tam łatwiej mi będzie niż gdziekolwiek zbywać roboty, a ponury nastrój życia mojego, wypełnionego obowiązkami domowymi i zarobkowaniem, ozłoci może od czasu do czasu słoneczny promień duchowych rozkoszy, tak niedościgłe dla mnie dalekich. Rodzice moi nie mogli wszakże pojąć, dla czego radość moja tak bardzo była przytłumiona.

Ojciec powracał wciąż do badania przyczyny tego nastroju.

„Będziesz uczęszczała z matką na bale dworskie— nawet gdybym nie mógł sam na nich bywać” rzekł pewnego razu z dobrotliwym uśmiechem. „Nie, ojczulku!”

odrzekłam, całując go z wdzięcznością. „Dość długo na nie uczęszczałam — przestały mnie już zupełnie bawić.”

Pokiwał smutnie głową — teraz był już zupełnie bezradny. „Jak to dobrze” pomyślałam, „że jego najmłodsza złotowłosa Elżunia wiecznie wesoła szczebiotka umie zawsze rozpogodzić śmiechem i pieścizotami jego czoło”. Ilekroć też widziałam go, pogrążonego w bolesnej zadumie, posyłałam maleńką do jego pokoju, aby jak promyk słońca wypijała rosę jego łez. Co wieczór też rozpędzała tańcem swoim złe moce, wkradające się do duszy jego w ciągu dnia. Miała muzykę w członkach i każda melodia stawała się dla niej ruchem rytmicznym. Ojciec pogwizdywał niez mordowanie, a ona fruwała po pokoju, niby ogień błędny, z błyskami w oczach i płonącymi różami na policzkach. Wystraszona lampa naftowa migotała, wytrącona z pełnego godności spokoju, z jakim zazwyczaj oświetlała pracowite ręce i cichych ludzi. Ja przez ten czas siedziałam przy stole, pochylając coraz niżej głowę nad robotą; często wysuwałam się też cichutko z pokoju, wiedząc zbyt dobrze, że nikt nie odczuje mojej nieobecności.

Zbladłam i zeszczuplałam i sine obwódki podkrężyły moje oczy.

Pewnego dnia nadszedł telegram z Pirgałowa: „Mama umierająca, Walter.” Zesztywniałam z przerażenia; jak bez czucia patrzyłam na wybuch rozpaczyny mamy. Znałam śmierć tylko ze słyszenia; nie utraciłam dotychczas jeszcze nikogo z najbliższych

Oprzytomniałam dopiero, widząc matkę zamykającą kufer.

„Jadę z tobą” rzekłam wyciągając szybko kilka

sztuk bielizny i ubrania z szafy. „Ty?” — zawołała mama ze zdziwieniem. „Ależ o tem nie może być mowy. Jedno z dwojga: albo musielibyśmy pojechać wszyscy, co jest zbyt kosztowne, albo też musisz zostać przy ojcu i Elżuni. Mała nie może zostać sama.” Drżałam ze wzburzenia: zrozumiałam nagle że jedyna istota, rozumiejąca mnie i kochająca taką, jaką byłam w istocie — walczy ze śmiercią, że mam ją utracić, nie posiadłszy jej nigdy w zupełności, nie przelawszy w cenny, otwarty kielich wielkiego jej serca wszystkich moich bólów i zwątpień, nie zaczerpnąwszy zeń całego tak potrzebnego mi zasobu siły, zrozumienia i jasności.

„Elżunia dość jest duża, zresztą zajmie się nią ojciec lepiej, niż ja. Proszę cię, weź mnie z sobą!” — zawołałam z rozpaczą.

„Wiesz, że to niemożliwe” — głos matki nabral ostrego brzmienia, — „może masz pieniądze na drogę?”

Łzy gniewu, oburzenia i wstydu puściły mi się z oczu: babunia umiera—i może być mowa o pieniądzech!—

Matka pojechała sama, ale i ona też przybyła za późno: w nocy przed jej przybyciem zasnęła staruszka na wieki.

Dopiero teraz pomyślałam o wszystkim, co nas czeka; ból coraz bardziej ustępować zaczął miejsce obawie. Obserwowałam pilnie ojca: zaledwie był on w stanie zapanować nad sobą. W kilka dni po pogrzebie nadszedł list od mamy. Nie rozpieczętował go, tylko zabrał z sobą i zamknął się z nim w swoim pokoju. Nasłuchiwałam przez cienką ścianę: krzesło upadło na

podłogę — stłumiony jęk — gorzko-ostry śmiech doszedł moich uszu. Całym sercem biedz poczęłam ku niemu, nie miałam jednak odwagi dać folgi uczuciu. Kiedy po upływie kilku godzin przyszedł ojciec do stołu, miał tak znużony, zgnębiony i beznadziejny wyraz twarzy, jak wówczas, kiedy mu przysłano dymisyę.

Po tygodniu wróciła mama. Włosy na jej skroniach zbiały, a wążki wargi zacisnęły się jeszcze szczelniej. Przelotnem spojrzeniem musnęła na dworcu ojca i mnie, podała nam pośpiesznie rękę i tylko Elżnię serdecznym obdarzyła pocałunkiem.

Przyjechawszy do domu, wręczyła mi spory pakiet. „Babunia pozostawiła ci w puściznie swoje papiery — powiedziała — „możesz z nimi zrobić, co zechcesz.” Łzy zaszkliły mi się w oczach. Dobra, droga babunia! Pozostaje więc dla mnie żywą! Jak tylko mogłam najspieszniej, pobiegłam ukryć skarb otrzymany w moim pokoju. Zaledwie jednak obluźniłam pieczęcie i odwiązałam sznurki, rozległ się z za ściany odgłos gwałtownej sprzeczki.

„Za mojej plecami roztrwonileś lekkomyślnie moją schedę, a to, że matka moja mogła zataić przede mną fakt, najbliższej mnie chyba obchodzący, zaprawia mi goryczą pamięć zmarłej...”

„Czyż dla siebie brałem te pieniądze?!” — oburzył się ojciec, — „czy nie dla ciebie, na twoje gospodarstwo, na twoje stroje, na dzieci?”

„Tak, i na twoje konie, na twoje niepotrzebne prezenty, na twoje wielkopańskie zachcianki!” — dokończyła gwałtownie matka. „Dlaczego traktowałeś mnie, jak małe dziecko i nie powiedziałeś mi, że pensya twoja nie wystarczy na nasze utrzymanie?!. Byłabym

napewno przystosowała się i ograniczała bardziej jeszcze, byłabym się przyzwyczaiła, jak do tyłu innych rzeczy!”

„Dlatego, że chciałem cię oszczędzać, że chciałem stworzyć ci miłe warunki życia! — Ale, uspokój się, kochana Elzo, uspokój się. Miałem wprowadzić nadzieję, że teraz nakoniec wieść będziemy wspólne, bardziej ludzkie życie, — zawczasu wszakże przypominasz mi, że cała moja rola sprowadza się jedynie do dostarczania ci pieniędzy.”

„Zaoszczędź mi, proszę, podobnych frazesów, — nie mogą one osłonić faktu, że pieniądze te, których dostarczałeś mi w moim rzekomo interesie, z mojej pochodziły sakiewki.”

Oczekiwałam z drzeniem gwałtownej odpowiedzi, — zamiast niej wszakże usłyszałam ze zdziwieniem miękkiego, błagalnego tonu głosu ojca.

„Elżuniu, nie bądź tak okrutną, — czyż nie widzisz, jak mnie złamały już wyrzuty, które sam sobie czynię? — Masz w gruncie rzeczy słusność — zupełną słusność — ale zawiniła tu tylko moja wielka miłość dla ciebie — ciągnęła obawa utracenia twojej — i stąd to wieczne przed tobą tajenie — to ciągnęły, we wszelkiej postaci ubieganie się o twoje względy — wydawałbym na ciebie chętnie miliony, gdybym je był posiadał...”

Nie mogłam słuchać dłużej, — zbiegłam, jak gnała przez furię, do ogrodu.

Smutne nastąpiły czasy: ojciec beznadziejnie zgnębiony, każde spojrzenie jego, zwrócone ku żonie, było błaganiem o miłość, gdy ona zaledwie zamieniała z nim najniezbędniejsze wyrazy i z kłującym naciskiem powtarzała przy każdej sposobności o potrzebie oszczę-

dzania, — pomiędzy nimi siostrzyczka, tem namiętniej tuląca się do mnie, im bardziej nieswojo czuła się w towarzystwie rodziców, — i wreszcie ja sama, wyczerpana, z krwawiącą w sercu raną, a mimo to czyniąca rozpaczliwe wysiłki, aby być małej zarazem przewodniczką i towarzyszką, a wobec ojca udawać pogodę ducha, aby go rozerwać i rozweselić.

Na dworze promieniało i jaśniało lato. Las stał się jedną nieprzerwaną kopułą zieloną, rozpiętą na potężnych kolumnach szarych pni bukowych, owianą żywicznym zapachem jodeł. Mimo to jednak daremnie kryłam się w jego gąszczu, aby znaleźć w nim to, co dawniej dawały mi góry: siłę i namaszczenie. Tłumy ludzkie zalewały teraz góry i doliny; poziome ich próżnostki i przyziemne ich sprawy spędzały nastrój ciszy i modlitewnego skupienia z lasów i szczytów. Stopniowo przystosowała się do nich sama natura. Ze swojemi gracowanemi ścieżkami, ogrodzonymi trawnikami i starannie przystrzyżanemi i hodowanemi kwietnikami nie była ona niczem innym, jeno letnim salonem na otwartem powietrzu.

Dawni przyjaciele z Münsteru, odkomenderowani do Hanoweru na naukę konnej jazdy, odwiedzili nas w tym czasie.

Ich przerażenie na widok zmiany, jaka zaszła w moim wyglądzie, zwróciła wreszcie na nią uwagę rodziców moich.

„Co ci jest?” — zapytał ojciec zaniepokojony.

„Pannie Alicy brak trochę życia, ekscelencyo” — wyreczył mnie rotmistrz v. Behr w odpowiedzi „Drzewa, góry i wodospady nie są dla córki pańskiej właściwem towarzystwem. Daj nam ją pan do Hanoweru; jak wypije

z nami kilka koszy szampana i zajeździ na śmierć kilka wierzchowców, wykwitnie znów na jej twarzy dawny rumieniec”.

Odmówiłam zaproszeniu: „Jesteśmy w ciężkiej żałobie, i moja czarna suknia odrzynałaby się nadto w waszemu towarzystwie”.

Gdy zostaliśmy sami, powiedziała moja matka z lekkim wahaniem: „Jeśli wstrzymuje cię jedynie czarna suknia, możesz ją spokojnie zamienić na białą. Mam tutaj ostatni list mojej matki, w którym wyraża życzenie, aby wnuczęta nie nosiły po niej żałoby”. „I mówisz to teraz dopiero, mammo?!” — wymknęło mi się, w istocie bowiem odczuwałam przez cały czas jakgdyby obrazę dla pamięci zmarłej wystawianie żałoby po niej na ciekawie litościwe spojrzenia obojętnych ludzi. Matka moja źle mnie jednak zrozumiała.

„Nie sądziłabym, że masz tak mało serca”, — zauważyła z wymówką, „w takim razie rzucić corychlej krepeę i wróć do zabaw”.

W kwadrans później byłam już przebrana, nie zmieniając wszakże postanowienia w sprawie zaprosin pana v. Behr.

Ustałam dopiero na skutek prośby ojca, jego wyrzutów i pełnych niepokoju spojrzeń, które wciąż na sobie czułam.

Najdzielniejszy kawalerzysta armii był w owym czasie kierownikiem wyższej szkoły konnej jazdy, a specjalny kurs nauki jej, prowadzony dla oficerów sztabu, ściągnął najlepszych jeźdźców do Hanoweru. Siła i odwaga, radość życia i lekkomyślność spotkały się tutaj na jednym terenie. Wyrwani z tartaku służby koszarowej, wolni chwilowo od krępujących więzów rodzinnych

przypominających bardziej niż wszystko inne o postępującej starości, święcili wszyscy ci dojrzały ludzie pełen zapału powrót do młodości. Pili i grali całymi nocami i z brzaskiem dnia siedzieli znów na siodle; promieniejący i weseli, drwiący z własnych siwych włosów, zasiadali do obficie zastawionego stołu, a wieczorem tańczyli z ogniem i wytrwałością, prześcigając najmłodszych poruczników armii. Ja byłam jedyną młodą panną w tym kole, i obcowanie z całym tem wesołym towarzystwem, reprezentującym niemiecką kawaleryę, tem bardziej było nieskrępowane, że myśl, psująca zazwyczaj prostotę stosunków między mężką i żeńską młodzieżą — „czy może on się ze mną ożenić?” — „czy ona jest dla mnie odpowiednią partya?” nie mogła powstać tutaj, gdzie każdy z mężczyzn — dopóki w naszym przynajmniej pozostawał towarzystwie — nosił na palcu ślubną obrączkę.

Ach, jakże dobrze robiło być znów wesołą! Zapomnieć — w upojeniu chwili.

Pewnego razu był moim najbliższym przy stole sąsiadem mały, przysadzisty huzar saski — „pan v. Egidy”. — jak mi go niegdyś przedstawiono — ja zaś zaledwie zapamiętałam krępa postać z okrągłą czaszką. Teraz wszakże zwróciła moją uwagę para dużych błękitnych oczu, promieniejących taką czystością spojrzenia, jaką rzadko zdarzyło mi się spotkać u mężczyzny. Zawiazaliśmy rozmowę, która tembardziej mnie przykuwała, im niespodziewańszą stawała się jej treść! Ten major huzarski miał pod swoim szerokim czołem inne jeszcze myśli poza polowaniem, jazdą konną i musztrą. Mówiono właśnie o najnowszych zarządzeniach cesarza przeciwko zbyt kowi, i mimo całego zachowywania form, obowiązujących ludzi przyodzianych w mundur

wojskowy, ujawniało się wyraźnie powszechne niezadowolenie.

„Mnie, przeciwnie, uszczęśliwiły słowa cesarskie” — rzekł Egidy. „Mianujemy się chrześcijanami, a przezczy my na każdym kroku nauce Chrystusa”.

Spojrzałam, na niego ze zdziwieniem. Nigdy jeszcze nie mówił nikt ze mną w przerwie pomiędzy ostrygami, a zupą żółwiową o nauce Chrystusa. Czy był to rodzaj żartu? Spotkałam się z poważnem spojrzeniem, zadającym wyraźny kłam mojemu przypuszczeniu.

„Powinniśmy przecież być chrześcijanami, nie zaś tylko nazywać się nimi!” — mówił dalej — „a Zbawiciel siedział z celnikami przy stole. Przepraszam panią, zapomniałem, że temat ten niezupełnie nadaje się do rozmowy przy obiedzie z młodemi paniami — ale myśli moje krążą wciąż dokoła jednego punktu”.

„Żle pan sobie tłómaczysz moje zdziwienie, panie v. Egidy”, — odparłam — „obaliłeś pan całe moje doświadczenie towarzyskie — i to właśnie wprawiło mnie w zdumienie. My wszyscy mamy zwyczaj ukrywania naszych myśli, zwłaszcza, gdy są one tak heretyckie, jak pańskie. Ja przynajmniej...” —

„A więc żywisz je pani i taisz jedynie?!” Uśmiechnął się — cała twarz jego rozjaśniła się w tym uśmiechu. „Czy nie przychodzi i pani też na myśl, że trzeba, aby ktoś poważył się wypowiedzieć głośno herezyę, którą — jak pani utrzymuje — tają wszyscy na dnie duszy — aby rozwiązać język każdemu?! Byłoby to głębokiem, wyzwajającym zaczerpnięciem oddechu dla całej ludzkości” —

W tej samej chwili trącił ktoś o kieliszek: „Najwyższe szczęście ziemskie leży na grzbiecie konia i przy sercu kobiety — —”

Toast ten wzbudził ogólne zadowolenie. Zaczęto odsuwać krzesła, trącać się kieliszkami i śmiać się. Otoczono mnie ze wszech stron, żądając odpowiedzi. Bez długiego namysłu wzniosłam kielich mój na cześć wesołych majorów, przedzierzgniętych znów w wesołych poruczników w hanowerskiej krynicy młodości. I znów uderzyły, trącone wzajem o siebie, pełne kielichy, a wszystkie róże, zdobiące stół, spiętrzyły się przede mną. Automatycznie jednak tylko uśmiechnęłam się na widok kwietnego hołdu. „Wielkiem, głębokiem zaczerpnięciem wyzwalającego oddechu będzie dla ludzkości, jeśli poważy się ktoś wypowiedzieć głośno herezyę, którą wszyscy tają na dnie duszy” — brzmiało mi wciąż w pamięci.

W kufrze moim w domu leżał czarny zeszyt; — czy istotnie wyższym moim było obowiązkiem uczenie siostrzyczki, trefienie głowy matki i zarabianie kilku groszy kiepską dyletancką bazgraniną na talerzach — zamiast głoszenia światu wyzwalającego słowa? Wierzyłam bowiem niezłomnie, że byłoby ono tem wyzwalającym słowem.

Nazajutrz odwiedził mnie Egidy. Przyniósł rękopis, zapisany wyraźnem dużem pismem żołnierskiem, do jakiego przywykłam u ojca.

„Poważne myśli” — brzmiał nagłówek.

Nikt nam nie przeszkadzał, zaczął więc czytać mi na głos.

Była to krytyka teologii kościelnej, głoszenie chrystyanizmu bez dogmatów, bez cudów, napisane w postaci lapidarnych, prostych zdań, przepojonych dziecięco-naiwną wiarą we własną sprawę, w pewność jej zwycięstwa, w ludzkość. Ani jedna z tych myśli nie była mi obca, nie mogłam się też oprzeć uczuciu pewnego rozczar-

rowania, że nie znalazłam tu nic więcej. Czytający zdawał się odgadywać moje myśli.

„Niema tu dla pani nic nowego” — powiedział — „cieszy mnie to. Nowem jest jedynie, że znalazł się człowiek, który myśli te *wypowiada*”.

„Ależ uczyniło to już wielu przed panem”, — wtrącałam. „Straus, Renan...”

„Nie znam tych ludzi”, — odparł szorstko, — „co najlepiej dowodzi, że nic nie byli warci — w przeciwnym bowiem razie *musiałyby* ich pisma wyrzucić skutek”.

„Myślisz pan o opublikowaniu swojej pracy?”

„Rozumie się. Każde jej słowo zwrócone jest przeciw do tłumu. Muszę działać, ponieważ nikt inny nie uczynił tego!” Niebieskie jego oczy sypały iskry.

„A—skutki?! Nie obawia się ich pan?” Z szczerem podziwem patrzyłam na tego człowieka w mundurze huzara, chodzącego teraz w wielkiem podnieceniu dużemi krokami po pokoju. Uśmiechał się znów swoim dziecięco-naiwnym uśmiechem.

„Mogę się z nich tylko cieszyć! Kilku nierozumnych będzie krytykowało, nieliczni już szczerzy starowiercy podniosą nieludzki wrzask, ale masa ludowa — jesteśmy wszyscy „ludem” — będzie poruszona. A cesarz —”

„Cesarz?!” — zawołałam zdumiona do najwyższego stopnia.

„Tak, cesarz!” — powtórzył stanowczym tonem. W niego wierzę przedewszystkiem. Całe jego postępowanie nacechowane jest duchem prawdziwie chrześcijańskim: jego nakazy, jego polityka robotnicza — pomyśl pani tylko o konferencyi w sprawie pracy!”

„Jestem wręcz odmiennego zdania, a zbyt cenię zaufanie pańskie, abym nie uważała się za zobowią-

zańą do wyznania panu całej prawdy” — odpowiedzia-
łam z głębokim wzruszeniem. „Powinieneś pan opubli-
kować swoją pracę — niewątpliwie, — ale ruch, na który
pan liczysz, zawiedzie pana. Może się zresztą mylę, może
masz pan słuszość, to jedno wszakże wiem napewno:
cesarz nietylko nie poprze pana, ale zmusi wprost prze-
ciwnie do zdjęcia pięknego pańskiego munduru!”

Z pełnem nieufności zdziwieniem spojrział na mnie
Egidy.

„Taka młoda i już taka pesymistka! Mundur mój
i moja książka nie są wzajem niegodne siebie. A jeśli
jako żołnierz i chrześcijanin spełnię mój obowiązek, —
jakże mógłby mój cesarz odebrać mi ten mundur?!”

Zamilkłam. Świętokradztwem wydałoby mi się za-
chwiać słowem nieostrożnem wruszającą, dziecięcą wia-
rę tego człowieka.

Następny dzień był ostatnim pobytu mojego w Ha-
nowerze. Kurs wyższej jazdy oficerów sztabowych miał
się zakończyć wielkiem polowaniem. Już o piątej zrana
pojechałyśmy obie z panią v. Behr w lekkim koczku
myśliwskim na miejsce spotkania. Błyszczące świeżą
rosą leżało przed nami wielkie wrzosowisko, ozłocone
słońcem i błękitniejące od przerywających je wązkich
strumyków wody. W gąszczu pomiędzy drzewami ze-
brało się liczne towarzystwo: młodzi oficerowie wyższej
szkoły konnej jazdy, panie, panny z ich sfery postrojone
w jasne tualety, ordynansi i stajenni z paltotami
i kocami i wreszcie kucharz klubowy ze swoim białym
sztabem przed naładowanym skrzynkami i beczułkami
wozem prowiantowym. Uzbrojeni w lornetki i lunety
czekaliśmy wszyscy na jeźdźców. Nagle zadudniła ziemia
i jak lśniąca przepychem barw bajka z tysiąca i jednej

nocy: biała, niebieska, zielona, żółta i czerwona — rozpięła się tuż na ziemią ogromna tęcza. Coraz bliżej, coraz bliżej słycać było parskanie wierzchowców, świst szpicrózeg, wielogłosowe podniecające nawoływania jeźdźców zwały się w jeden gorączkowy, dziko pobudzający ton, Tuż przy mnie przeleciał w szalonym galopie ponad rzeczką wyciągnięty w całą długość ciała karosz, za nim gniady — tuż potem zaledwie o długość łba siwek z rozwianą grzywą, a potem dziesięć, dwadzieścia rasowych rumaków z pianą u pysków, z drgającymi chrapami — serce tłukło mi w piersi, i w ciągu kilku minut jeszcze nie czułam nic prócz czarownie namiętne go upojenia chwilą. Po ukończonym wyścigu rozłożyliśmy się obozem na trawniku, ordynansi roznosili wonny poncz poziomkowy, a ja, nagle, w samym środku tej rozbawionej, rozochochoconej własnymi czynami gromady, poczułam się znów smutną i zgnębianą. Wydało mi się, że jestem w domu. Równocześnie niemal padł wzrok mój na człowieka, stojącego na uboczu ze splecionymi na piersiach rękami i zmarszczonem czołem. Był to Egidy. Widok jego wytrzeźwił mnie. Nie—nie dla mnie już tu miejsce—zerwałam się szybko i doszłam do niego.

„Słowa pani nie wychodzą mi z pamięci” — rzekł— „przyjechałem do Hanoweru, przypuszczając, że będę mógł jeszcze weselić się, przekonałem się wszakże ostatecznie, że wesołość opuściła mnie nazawsze i nie wróci już nigdy, o ile moje myśli poważne pozostaną tylko w mojem biurku. Teraz jednak czuję, że opublikowanie ich tembardziej zagrozi drogę wesołości”. Głos jego załamał się. Szybkim ruchem zasłonił oczy dłonią: „A tak było pięknie łudzić się!”

Spojrzeniem pełnem głębokiego żalu z powodu roz-

łąki objęłam cały krajobraz i wszystkich zebranych tu ludzi. Oczy zaszyły mi łzami. Ujęłam go za rękę. „Chodźmy” — rzekłam — musimy się stąd wyrwać, zanim tamci wyprą się nas”. W milczeniu, z ciężkiem sercem, ociągając się, jakgdyby wlokąc za sobą niewidzialny łańcuch, minęliśmy las, kierując się ku najbliższej stacyi.

Wieczorem byłam z powrotem w Harcburgu. Tej samej jeszcze nocy wyjęłam z kufra czarny zeszyt, dopisałam na okładce kilka wierszy i posłałam go z samego rana Egidy'emu. Cień nadziei, że jest on może istotnie powołany na wybawiciela — i mojego także — poruszyły żywiej krew w moich żyłach. W kilka dni później otrzymałam od niego odpowiedź. „Jesteśmy współtowarzyszami” — pisał — „nie o to bowiem chodzi, w co wierzymy, ale czem jesteśmy, nie o to, kim się mianujemy, ale o to, czy chcemy, aby coś się *stało*. Liczę na panią. Należy działać, dopóki można, całe moje istnienie poświęcone jest tej działalności.

Z prawdziwie głębokim szacunkiem

M. Egidy.”

I znów płynęły dni moje z dawną jednostajnością; ponura ich wszakże szarzyzna zdawała mi się mgłą wiosenną, po przez którą wyczuwa się słońce; zleniwiała moja wyobraźnia chwyciła znów za paletę, aby malować obrazy przyszłości. Nie mogłam już doczekać się naszego wyjazdu. W Berlinie wchłonie w siebie wielki strumień dziejów świata drobne rynsztoczki własnego naszego

życia, skończy się blizkie współistnienie ludzi, nie mających wspólnych interesów duchowych, i stanie się może w życiu mojem „cud”, który przyniesie mi wyzwolenie.

Matka moja pojechała już naprzód na poszukiwanie mieszkania, kiedy otrzymałam list od profesora Fiedlera, wydawcy czasopisma poświęconego Goethemu. Po śmierci babuni zwrócił on się do wuja Waltera celem dowiedzenia się, jakie wspomnienia o wielkim przyjacielu młodości zawierają papiery pozostałe po zmarłej. Wuj odesłał go do mnie, powołując się więc na niego, zapytywał profesor, czy nie chciałabym na podstawie posiadanych dokumentów napisać artykułu do jego pisma. Zapytanie to wprawiło mnie w zdumienie: jakże mogłam być dotychczas tak ślepą?! Żyjąca wskazała mi poważnie drogę zarobkowania, a zmarła dała mi do ręki środki, zdolne umożliwić mi wkroczenie na nią!

Niewątpliwie, chętnie napiszę artykuł — odpowiedziałam; mam w posiadaniu mojem wiele cennych wspomnień, skreślonych ręką zmarłej; zamiarem moim było opublikowanie ich, z prawdziwą zatem wdzięcznością przyjmę pomoc jego w tym względzie. Odwrotną zaraz pocztą otrzymałam list, w którym uczony wydawca zapewnia mi swoje współdziałanie. Promieniałam z radości; początek zatem zrobiony — pierwszy krok do niezależności, a może — do sławy!

Jednego z pięknych jasnych wieczorów jesiennych, w jakie obfitują północne Niemcy, zbliżaliśmy się do Berlina. Jasno-fioletowa, przechodząca tu i owdzie w ton różowy, mgła wielkowiejska spowijała dachy domów, zacierając ich brzydotę i strojąc je odbłaskiem fantastycznego życia. Lśniące wilgocią żelazta szyny biegły we wszystkie strony, — niby niezliczone ramiona

polipów wyciągnięte pożądliwie ku potężnym olbrzymom miasta, wypatrującego nowych zdobyczy tysiącem czerwonych, zielonych i białych, jaskrawo wylupionych oczu. Czarną czeluścią zionęła otwarta hala dworca. Z łoskotem i sykiem wbiegł do niej pociąg — skłębiły się słupy dymu, ostatni wydech żelaznego cielska — jedno jeszcze krótkie, silne wstrząśnienie — i już wchłonął go Berlin. Wyczekujący, bezwzględni, rozgorączkowani ludzie cisnęli się i wzajem potrącali. Mnie jednej zdawało się, że stopy moje muszą miękko i pieśczośliwie dotykać szaro-czarnego asfaltu. Wstępowałam na nową ziemię.

ROZDZIAŁ SZESNASTY.

Berlin, d. 28-XII-1890 r.

Droga Matyldo!

Uskarżasz się na wielomiesięczne moje milczenie, gdy właściwie powinnaś cieszyć się, że oszczędziłam cię przez cały czas wewnętrznej i zewnętrznej mojej rozterki.

Nie sądzić wszakże, aby miało to znaczyć, że teraz jestem już w stanie dać ci obraz zrównoważonej mądrości. Bądź co bądź jednak pokonałam już pierwotny chaos i *widzę* oszalamiające, wielopostaciowe momenty nowego mojego życia. — Ty jednak pragnęłabyś poznać przedewszystkiem zewnętrzne jego ramy. Są one—że je określeń dwoma wyrazami — połączanym gipsem, którego przeznaczeniem jest udawanie złoconej rzeźby w drzewie.

Mieszkamy—naturalnie—w arystokratycznej, zachodniej części miasta, ale na samych już jej kresach, gdzie nowe domy dochodowe ze swojemi ciemnymi podwórzami i przeładowanemi sztukaterją fasadami grani-

czą z łanami kartofli. Mieszkanie nasze ma paradne wejście „wyłącznie dla państwa” i jest naturalnie „pałacowe”; nad drzwiami płasają gipsowe amorki z powykręcanymi nogami i rękami, piece są wspaniałymi pomnikami z różnobarwnych kafli, jadalnia—istna sala taneczna—ma buazerję z papieru, obicie salonu udaje jedwab, na co gospodarz szczególnie zwrócił nam uwagę, jako na coś specjalnie „arystokratycznego”, a gabinet męzki opisuje się skórą — papierową! Tapicer pozawieszał nadto drzwi i okna tych trzech paradnych pokojów firankami i zasłonami zdjętymi z ośmiu, co składa się na przytłaczający wprost przepych, a nasze wypłowiałe meble i wytarte dywany nabierają w korzystnym półświecie pozorów świetności i bogactwa. Naga prawda zaczyna się dopiero od długiego wąskiego korytarza, do którego przylegają trzy ciupki, zwane sypialniami. Jedną z nich zajmuję ja. Udało mi się rozdzielić ją za pomocą firanek kretonowych na dwie części, które, co prawda, zadowalniać się muszą jedynem oknem i nie mają pojęcia o istnieniu nieba, że już nie wspomnę nawet o słońcu.

A jednak istnieć musi tajemny jakiś związek pomiędzy duszą moją a słońcem: czucie moje i myślenie kostnieje bez niego. Gdy chcę pracować, muszę nabiegać się przedtem po niwach i łąkach, na które ani jeden dom, ani jedno drzewo nie rzucają cienia. Mimo to nie może się jakoś robota moja rozświetlić i rozgrzać...

Wkrótce po naszym przyjeździe odwiedził nas profesor Fiedler. Mój artykuł na tle wspomnień babuni o Goethem podobał mu się — między nami powiedział: mnie wcale nie — zainteresował się też całą moją, po niej puścizną. Dał mi listy polecające do Rodenbacha, do Lindau'a, do miesięcznych zeszytów Westermanna,

słowem zaopatrzył mnie w pracę na całe lata, tak że całe to wejście moje do świata literackiego odbyło się bez najmniejszych dla mnie trudności. Skądinąd też uśmiechnęło mi się „szczęście”: związek oficerów przyjął na sprzedaż moje roboty wypalane, a wynalazek mój, polegający na połączeniu wypalania i malowania na aksamicie i suknie opisany został w jednym z pism kobiecych, przy czym gorąco polecona zostałam jako wykonawczynie. Mogę dzięki temu obejść się już bez „pensyi” otrzymywanej od rodziców i pierwszy ten krok na drodze do zdobycia samodzielności wynagradza mi do pewnego stopnia brak duchowego zadowolenia. Że nadto, dzięki moim talentom krawieckim i modniarskim oraz guwernantkowaniu Elżuni, zaoszczędzam rodzicom wydatku na garderobianę i „mademoiselle”, mogę sobie wmawiać, że już obecnie sama zupełnie się utrzymuję. Niestety tylko, jest to „utrzymywanie” życia bardzo od samego życia dalekiem!

Widzę już zdaleka ironiczny twój uśmiech: „Brak jej znów mężczyzny” — powiadasz. Mylisz się: przy moich 24-u latach wydaję się samej sobie tak starą, że oddawna już pobłażliwy uśmiech babki okala moje usta, gdy słyszę mówiących o miłości. Czy pamiętasz kuzyna Fryca z Brandenburga? Byłaś wówczas oburzona, że zawracam pocziwemu chłopcu głowę. W ciągu ośmiu lat nie zapomniał ani razu o dniu moich urodzin, a teraz zjawił się u nas—zawsze ten sam dzieciak pomimo świetnego munduru ułana gwardyi. Stara się znów o moje względy, darząc mnie kwiatami i czułymi spojrzeniami, i ta wierność jego tak mnie wzrusza, że nieraz zadaję sobie pytanie, czy nie zrobiłabym najlepiej, zostając jego żoną. Uspokoiłby się wreszcie biedak, a moje ambicje i dąże-

nia do wyzwolenia ustałyby raz nazawsze. Cała rodzina— która dzięki wujowi Walterowi i Maksowi oraz dzięki cioci Jetce, dzieciom jej i wnukom przybrała zastraszające rozmiary — popiera naturalnie pocichu jego sprawę, i to właśnie pobudza mnie do oporu.

Wogóle, miła to familijka! Szczególniej zebrania niedzielne, kiedy się raczymy nią na obiad i na kolację, zebrani w piętnaście lub dwadzieścia osób! Jedno tylko robi mi na tych zebraniach przyjemność: wyraźne uczucie, że jestem jedyną czarną owcą wśród całego stada białych owieczek.

Od czasu dymisyi Bismarka stał się antysemityzm wprost epidemicznym, zupełnie tak samo jak kult Bismarka, który—w mojem miłym kole familijnem przy najmniej—wykwitł dopiero w całej pełni po jego upadku. Arystokratyczny klub, do którego przyjmowani są wyłącznie członkowie najpierwszych w kraju rodzin i w którym codziennie bywa ojciec i wujowie, jest głównem ogniskiem frondy; potoki historii skandalicznych wypływają stąd na świat, i przez samego ducha opozycyi — rodzącego często objektywizm — zdolną byłabym niemal do bronienia „nowego władcy” gdyby brutalnem postępowaniem swoim nie tratował nieśmiałych kielków rozwijającej się sympatyi, deptanej, jak kwiat fiołka, ciężką stopą nieuważnego przechodnia. Możesz sobie wyobrazić np. zachwyt mój z okazji podjęcia przez niego inicjatywy w sprawie reformy szkolnictwa, z którą najśmielsze wiązałam nadzieje. A tymczasem, cóż się okazało? Że młody cesarz postawił zwołanej w tej sprawie konferencyi za jedyne zadanie uczynienie szkoły narzędziem walki z socyalizmem i środkiem do krzewienia jeszcze bardziej zaciekłego szowinizmu.

Rozumie się, że zwołani na konferencję „przewodnicy młodzieży” odpowiedzieli czołobitnem skłonieniem się przed najwyższą wolą, zadowolony też z „publicznej wymiany myśli” zamknął władca konferencję złożeniem z kolei głębokigo ukłonu w stronę kościoła.

Dla Egidy’ego było wydarzenie to największym zapewne ciosem po otrzymaniu dymisyi. Pozostaje w korespondencji z nim, i mimo, że poglądy nasze są pod wieloma względami zasadniczo różne, rozkoszuję się tą pełną odwagi i siły żywiołowej indywidualnością, jak spragniony czystą wodą kryniczną. „Jakkolwiek cięży mi mój stan obecny”—pisał do mnie niedawno—„jakkolwiek z całych sił walczyć muszę, aby zmódz potęgę wspomnień, dręczących mnie szczególnie w ciągu ostatnich dni, bowiem pułk, który w osiem tygodni po ukazaniu się „Poważnych myśli” miał się stać moim, święci teraz swój jubileusz, — podnosi ducha mojego nadzieja, że będę mógł jeszcze służyć ojczyźnie i światu, i że to, co uczyniłem, nie zostanie bezowocnem. Niezlomną jest wiara moja w cesarza, — należy tylko dotrzeć do niego bezpośrednio...”

Spostrzegam się w tej chwili, że list mój zaczyna urastać do rozmiarów książki, — co, mam nadzieję, jest zapowiedzią przyszłego ożywienia naszej korespondencji.

Czegoż mam—bez frazesu i obłudy— życzyć ci z okazji zmiany roku? Szczęścia? Któż w nie wierzy? zadowolenia? Kto je znajdzie, dopóki krew gorąca krąży jeszcze w żyłach? Czy mam pocieszać cię nadzieję wiecznego zbawienia? Słaba pociecha dla tych, którzy nie zakosztowali jeszcze ziemskiej. Ucz się obywać bez

wielu rzeczy, stań się możliwie najwcześniej starą i obojętną, — czyż to w rezultacie nie najlepsze życzenie?!

Twoja wierna przyjaciółka

Alicya".

Berlin d. 20. 2. 91.

Droga Matyldo!

Od ostatniego mojego listu i odpowiedzi twojej — która zupełnie odpowiedziała mojemu oczekiwaniu, uważałaś bowiem moją gorączkę pracy jedynie za *intermezzo* między dwoma rozdziałami romansu — upłynęło znów kilka tygodni. Zaczynam stopniowo odczuwać tętno życia światowego i regulować moje własne podług niego, przy czem coraz wyraźniej odczuwam przeciwieństwo pomiędzy mną a miłą moją familijką, której krew tak leniwie krąży w żyłach, że wciąż trzymam ją jeszcze w okresie lat 70-ch.

Szczególnie charakterystycznym jest w tym kierunku najmłodszy w niej przybytek. Przypominasz sobie może, że ojciec mój miał młodszego brata, duchownego, który umarł w domu obłąkanych. Pozostawił on wdowę z pięciorgiem dzieci w bardzo złych warunkach materialnych, ciotka Klotylda musiała więc, chcąc nie chcąc, przyczyniać się do ich utrzymywania, co ją oczywiście z góry źle dla nich usposobiło. Rodzina matki zrobiła to samo; ojciec mój wystarał się o umieszczenie chłopców w korpucie kadetów, mamie udało się przenieść na jedną z córek prawo korzystania z prze-

znaczonego dla mnie miejsca bezpłatnego w instytucie imienia cesarzowej Augusty, tak, że w końcu pozostała ciotce Maryi troska o jedno tylko dziecko. Obecnie dziewczęta już dorosły, chłopcy wstąpili do wojska, i, na nieszczęście, wszyscy, jak jeden, są wykapani Klewowie. Ojciec mój, który był zawsze aniołem opiekuńczym rodziny, umieścił najstarszego z nich, Eryka, w dawnym swoim pułku; i przyobiegał mu — w złotym okresie najświetniejszych swoich nadziei — udzielanie koniecznej zapomogi. Wywiązanie się z tego przyrzeczenia przychodzi mu teraz z niemałą trudnością, szczęśliwą też jestem nad wszelki wyraz, że wkrótce będę w możności wzięcia na siebie części tego obowiązku.

Ciotka Marya mieszka z córkami w Poczdamie, synowie w Lichterfelde i Frankfurcie, i bliskość ta darzy nas przyjemnością ich niedzielnych odwiedzin. Siedzę podczas nich, zawsze, jak na szpilkach, w obawie sarkastycznych uwag ojca, prześcigam się też w okazywaniu im uprzejmości, której bynajmniej nie odczuwam. Wszyscy są do szpiku kości serwilistami, ciotka Marya skuzynowana jest bowiem z całą kliką dworską, wskutek czego są też wszyscy ortodoksami kościelnymi — możesz więc sobie wyobrazić piękną harmonię naszych stosunków. Mama ze swoim fanatycznym często poczuciem sprawiedliwości jest jedyną, która broni ich z przekonania, i która podjęła się nawet usposobić dla nich przyjaźniej ciotkę Klotyldę, unikającą dotychczas zetknięcia ze swoimi siostrzeńcami i siostrzenicami. Wyrzuca mi ona brak serca, ponieważ nie chcę jej w tem dopomódz i gniewa się nawet na ukochanego swojego brata, który ją ostrzega,

aby nie kładła „kukułczych jaj do swego gniazda”. Niebezpieczeństwo to wydaje mi się bardzo niewielkiem, chcąc bowiem uzyskać coś u ciotki Klotyldy, musiałaby mama żądać rzeczy wprost przeciwnej tej, jaką chce osiągnąć. Po za tem zresztą najchętniej użyłabym biedakom porządnej części bogactw ciotczynych.

Biegunowem przeciwieństwem tych obowiązkowych stosunków były inne, do których wywalczyłam sobie prawo — jakkolwiek już dawniej ostrzegałaś mnie przed żydowskimi mojami znajomościami” — bywanie w domu Fiedlerów i Rodenbergów. Ojciec był zrazu oburzony, gdy go prosiłam o pozwolenie przyjęcia uprzejmych zaprosin tych panów, żywo popierających moją działalność literacką. Po pierwszym wszakże wybuchu gniewu i następnem pomrukiwaniu — podczas których uciekałam jak zwykle z pokoju, pozostawiwszy na placu boju Elżunię, której śmiech i pieszczoty najskuteczniej rozbrajają ojca — zdecydował się na złożenie oficjalnych wizyt, po których wolno mi już było bywać samej w obu domach. Rozkoszuję się też pełną piersią temi duchowo pobudzającymi środowiskami i zacznam nawet powoli pokonywać nieśmiałość moją wobec tych zupełnie nowych dla mnie ludzi i nowych też form obcowania. Oddawna już przywykłam wypowiadać poglądy moje li tylko w przystępie silnego afektu, tak że muszę zrazu walczyć z pewną trudnością wysławiania się, zwłaszcza, gdy wypada mi odpowiadać w dyskusyi przeciwnikowi, powołującemu się na nazwiska i wypadki, o których nie mam pojęcia.

Osią, dokoła której grupuje się najżywsza wymiana zdań, jest z jednej strony nowy kierunek literacki,

ujawniający się w postaci sztuk teatralnych, wystawianych na Wolnej Scenie, z drugiej zaś — nowopowsta-
jąca gwiazda na firmamencie poetyckim — Sudermann,
którego dramaty, jak wiesz o tem zapewne z pism,
wywołują istną burzę sprzecznych zdań i opinii. Wszyst-
ko to jest mi absolutnie nieznanne. Wuj Walter utrzymuje,
że niepodobna prowadzić „młodej panny” na sztuki
Sudermanna — na Varietés prowadzą mnie bez na-
mysłu — zaś w kole moich nowych znajomych zachowuje
się większość nader sceptycznie wobec młodych oby-
wateli z Friedrichshagen, przedmieścia Berlina, mają-
cych jakoby prowadzić życie zgodne z zasadami ko-
munizmu, rozciąganego podobno i na żony. Jestem
wprawdzie skłonna do uchylenia czoła nietyle przed
uwagami wuja Waltera, ile przed dojrzałym sądem
moich przyjaciół, tembardziej że na czele ich stoi
w tym względzie najgłębszy znawca Goethego i zarazem
najwybitniejszy krytyk berliński, dr. Fredrich, zbyt
żywo wszakże interesuje mnie każdy nowy ruch umy-
słowy, abym nie miała zapoznać się z nim osobi-
ście.

O kuzyna Fryca bądź spokojna. Mam ważniejsze
na głowie sprawy niż kokietowanie go. Zachowanie się
moje względem niego jest zupełnie bierne: atmosfera
adoracyi, którą mnie on stale otacza, sprawia mi
przyjemność; pozwalanie na składanie mi hołdów jest
dla mnie taką samą potrzebą życia, jak pławienie się
w świetle promieni słonecznych.

Twoja z całej duszy

Alicya.”

Matka moja podporządkowywała się zazwyczaj poglądom wuja Waltera już dla tego chociażby, że zgadzały się one z jej własnymi. W stosunku wszakże do mojego bywania w teatrze wpadła ona w konflikt między upodobaniami swojemi a tak bardzo wyrobionem w niej poczuciem obowiązku. Teatr stawał się coraz bardziej jej namiętnością, — zdawało się nieledwie, że ta zimna, surowa kobieta szuka wrażeń życiowych — sama nigdy przecież nie żyła — nigdy wszakże nie przyszłoby jej na myśl wydawać pieniądze na własną przyjemność. Biorąc mnie z sobą, uspakajała swoje sumienie tem że „nikt nas przecież nie zobaczy”, upominała mnie też, abym z nikim o tem nie mówiła. Dzięki temu widziałyśmy też „Honor” i „Koniec Sodomy”. Pierwotny zakaz wystawiania go na scenach niemieckich cofnięty został na wyraźne żądanie cesarza, co z góry oczywiście zapewniło sztuce powodzenie. Na głębokie wrażenie, jakie odniosłyśmy, złożyło się zdumienie, przerażenie i razem wzruszenie. O ile jednak matkę moją uspokoiła myśl, że sztuka jest zwierciadłem obyczajów znieprawionego mieszczaństwa i znienawidzonych parwenjuszów, a zatem w gruncie rzeczy nie może ją obchodzić, pozostało we mnie uczucie trwalsze i boleśnieszce. Widziałam wciąż przed sobą Almę, zepsutą dziewczynę z oficyny i panią Adę, biedną, spragnioną szczęścia i miłości, bogaczkę, której mąż włóczył się z ladacznicami. Prawdziwość wszystkich tych typów nowoczesnego społeczeństwa przerażała mnie.

Pochłaniać zaczęłam dzieła „młodych” z zapalem gorączkowym, niemniejszym, niż w swoim czasie w Poznaniu potajemnie zdobywane zeszytiki Recla-

ma. Każda książka inną mi zrywała z przed oczu zasłonę, ukazując z całym okrucieństwem nieprzeczuwanie przepastne głębie nędzy! Wpadały mi też w pstrym kalejdoskopie w ręce powieści Strindberga, Arne Garborga i Przybyszewskiego, obnażające z brutalnym fanatyzmem prawdy krwawiące serca i drgające zmysły. W tem samem jaskrawem świetle, znającym jedynie głębokie cienie i olśniewające jasności i nie znoszącem łagodnego, delikatnie zacierającego kontury półmroku, odsłaniał mi się też i mój własny świat wewnętrzny. Daremnie więc usiłowałam ugasić pożerający mnie ogień budzących się zmysłów strugami zimnej rozważi i mentorskim głosem obowiązku!

Życie oślepiło mnie tysiącami jaskrawych plam barwnych; teraz dopiero poznałam, że stanowią one wszystkie jedną nierozzerwalną całość i zlewają się wszystkie w jeden potężny obraz. Należało tylko śmiało i bezpośrednio skierować nań wzrok, nie uląkłszy się prawdy, kroczącej w poszarpanych, zbrzyzganych krwią sukniach na czele nieskończonej gromady głodnych i ślepych, kulawych i kalekich, szaleńców i okutych w kajdany. Kto umiał patrzeć, rozeznawał pod jej łachmanem żebraczym szaty królewskie, a noszona przez nią biczownica stawała się w jego oczach sztandarem zwycięstwa.

Znikło przerażenie, ustępując miejsca poczuciu siły niezłomnej. O, byłam dość silną, aby w jednym z innymi szeregu zmurszałe burzyć warownie i nieobalone wznosić złomy skał!

Czy to ja byłam istotnie?! Czyż nie korzyłam się pełna lęku przed pedantycznym moim mistrzem, szaryzną dnia powszedniego, budzącą mnie co rana z moich

marzeń, zmuszającą do wertowania dwudziestu starych, trąjących pleśnią foljałów celem napisania artykułu o jakimś zapomnianym współczesniku Goethego, lub też do dopomagania siostrzyczce mojej w rachunkach, przystrajania matce kapelusza zimowego albo wreszcie nakrywania stołu dla tuzina zamawiających się na wieczerzę gości.

W czasopiśmie poświęconem Goethemu ukazały się w owym czasie moje artykuły, które zjednały mi wielkie uznanie wejmarskich przyjaciół i krewnych babuni. Sam nawet książę panujący polecił wyrazić mi wielkie swoje zainteresowanie mojami pracami, zachęcał mnie też do przyjazdu do Weimaru, gdzie stoją dla mnie otworem wszystkie źródła do nowych badań i prac. Ojciec mój uszczęśliwiony był tem powodzeniem i nie rozumiał, jak mogłam ociągać się przez chwilę chociażby z przyjęciem tego zaproszenia.

„Skoro już wpadłaś w szpony atramentowego demona, masz przynajmniej możność pracowania w odpowiednich dla siebie ramach i warunkach.”

Milczałam. Czyż mogłam mu zadać cios wyznaniem, że pęta, „odpowiednich ram i warunków” już teraz boleśnie wrzynają mi się w żywe ciało?!

Nie zrozumiano mnie też w kole redakcyjnym Goethowczyków.

„Sam wielki książę wzywa panią do Weimaru, ofiarując swoją pomoc, a pani może jeszcze się wahać?!...” — zwrócił się do mnie prof. Fiedler, kiedy po raz pierwszy po tym fakcie znalazłam się u niego na zebraniu wieczornem. „Tłómaczy panią jedynie jej dziennikarska młodość. Osiągnięcie celu marzeń wielu uczonych—dostęp do zamkniętych skarbów Weimaru—

jest pani ułatwione, a pani nie chwyta nadzwyczajnej tej okazji obiema rękami! Zapewnia to wszak pani odrazu przyszłość literacką, stanowiąc zawiązek całej poważnej dla niej karyery." Zbyt wiele zawdzięczałam poparciu jego, aby namowy jego mogły pozostać bez skutku.

„Zna pani osobiście wielkiego księcia Sasko-Wejmarskiego? — wtrącił inny gość, zaledwie zaszczycający mnie dotychczas przelotnym ukłonem z wysokości swojej sławy i swojego podziwianego powszechnie podobieństwa do Goethego. Opowiedziałam o przyjaźni babuni z księciem Karolem Aleksandrem. Koło moich słuchaczy powiększyło się. Prześcigano się w wychwalaniu księcia, z którego w otoczeniu mojem dotychczasowem śmiano się zawsze i drwiono.

„Jeśli będziesz pani cieszyła się nadal jego względami, jakież nieocenione oddać możesz usługi nauce"—zawyrokował pan z głową Goethego. Dziwne, jakiego nagle wysokiego nabrał pojęcia o mojej zdolności do pracy naukowej, chociaż dotychczas zbywał wszystkie nadsyłane mu do oceny artykuły moje najabsolutniejszem milczeniem! Prowadził mnie do stołu, dzięki czemu ze skromnego dotychczasowego stanowiska na uboczu znalazłam się odrazu w głównem centrum towarzystwa. Zraniło mnie to do głębi: a więc takimi byli w gruncie rzeczy ci wolni, stojący na najwyższym poziomie duchowym, ludzie, na których podnosiłam oczy z podziwem, z którymi obcowanie miało wprowadzić mnie w prąd umysłowego rozkwitu?

Tem milej też ujął mnie mój sąsiad na prawo, który zdawał się znać artykuł mój z czasopisma Goethowskiego, wygłosił bowiem kilka trafnych krytycznych

o nim uwag. Był to znany poeta austrijacki, którego śmiałe książki, wypowiadające cały ból dręczonego i poniewieranego od wieków żydostwa, oddawna już zdobyły całą moją dla niego sympatyę.

Jakże dumną musi być pani z posiadania na własność tak cennych pamiątek po wielkim wieszczu, jak wiersze pisane przez Goethego do babki pani oraz pierścionek z palca Olimpijczyka”—zauważył.

Zdjęłam cienką złotą obrączkę z palca. Podawano ją sobie z rąk do rąk. Wszyscy byli zachwyceni, przejęci, pełni podziwu.

„Dlaczego mamy właściwie wierzyć wszystkiemu, co mówi ta pani?” — zawołał nagle młody jakiś głos. z drugiego końca stołu. Zdziwiona i urażona szukałam oczami mówiącej, — zdawała się żadnego nie mieć szacunku dla książęcych moich stosunków.

„Julianna Dery — szepnęła mi mój sąsiad, — „przesadna, ultra-nowoczesna niewiasta. Zna pani jej nowele?”

Nie znałam nawet jej imienia. Niegrzeczność jej podobała mi się wszakże. Po kolacyi zbliżyłam się do niej.

Siedziała, przykucnąwszy u nóg austrijackiego wieszca i zmierzyła mnie nieprzyjaznym wzrokiem, mówiąc podrażnionym tonem:

„Nic mnie nie interesuje Goethe, a tem mniej filologia Goethe’go.”

„Panna v. Kleve nie wygląda mi także na osobę, tonącą bez pamięci w filologii Goethe’go”; — roześmiał się poeta, nieco zawstydzony niegrzecznością towarzyski.

„Dziękuję panu za dobre o mnie mniemanie”, — odpowiedziałam, siadając na prostym zydlu drewnia-

nym, stanowiącym wraz z resztą mu podobnych oraz kilkoma stołami, zawałonemi czasopismami i książkami, całe umeblowanie pokoju. Prostota ta zdawała się rozmyślną, tem wypukłej bowiem występowały na pierwszy plan zdobiące ściany wizerunki Goethe'go. „Nie mam w samej rzeczy żadnej skłonności do filologii,— widzę, jak cały ten nagromadzony papierowy materjał naukowy kurczy się wobec odbicia żywej postaci Goethe'go! Czuję wprost obrzydzenie do pomnażania go.”

„Po cóż więc robisz to pani?” — zawołała młoda nowelistka z szyderczym uśmiechem.

Milczałam. Zdawało mi się, że i tak zawiele już odsoniłam z wewnętrznej mojej treści. Poeta, usiłujący nawiązać most zgody pomiędzy mną a młodą dziewczyną, siedzącą u jego stóp, wtrącił pojednawczo: „Nie gniewaj się, pani. Julianna jest o wiele lepszą, aniżeli chce się wydawać; kolącym pozorem zewnętrznym usiłuje tylko zamaskować miękkość swoją zewnętrzną.”

„Usiłuje?!” Julianna Dery zerwała się, miętosząc gęstwinę włosów nerwowemi cienkimi palcami, dziwnie nielicującemi z krótką szeroką dłonią i pospolitą kicią ręki. „Nie usiłuje nic zrobić. Ale czasem musi. A wszelki mus jest jej wstrętny. Nie ukrywać, ale obnażać, co żyje w jej duszy, bez osłon i upiększeń — aby wam, pocziwcom, dreszcz przerażenia przebiegał po plecach, tego chce ona, do tego dążymy wszyscy młodzi, wprzęgnięci w służbę życia, a nie martwego bożka.”

Krew uderzyła mi do skroni. Pokój zapelniał się. Jak można otwierać na oścież podwoje duszy własnej

w obec tylu obcych ludzi, pomyślałam, zazdroszcząc jej zarazem, że umiała to zrobić.

Słowa jej były iskrą, rzuconą do beczki z prochem. Wszczęto na temat dążeń i uzdolnień „młodych” ożywioną dyskusję, która rozpałała namiętności ludzi z pozorów najspokojniejszych, — świadcząc, jak zwykle w takich razach, że walka przestaje być prowadzoną obiektywnie. Słuchałam z wzrastającym zdumieniem. Czyż nie bronili oni właściwie osobistego spokoju, napadając brutalnie na głoszących prawdę życia?

„Tania sława Zoli i Ibsena poprzewracała ludziom głowy” — gorączkował się dr. Friedrich, sławiony przez wielu niby drugi Lessing. Wązką twarz jego okrył szkarłatny rumieniec. „Rachuje się na poziome umiłowanie brudu i tem zdobywa się naturalnie masy. Co powie-działyby nasz wielki — dodał, wskazując teatralnym gestem na portrety, rozwieszane na ścianach, — „gdy-by dożył do tego zwyrodnienia literatury niemieckiej?”

Zapanowało chwilowe milczenie. Julianna Dery tupiała nogą, zagryzając pełne wargi do krwi, i ona wszakże milczała. Autorytet uznanej sławy działał na wszystkich paraliżująco. Ja jedna zbyt byłam naiwna, aby mieć pojęcie o ogromie jego potęgi.

„Sądzę, że nikt nie byłby lepiej rozumiał i oceniał młodych, jak on” — zaczęłam cicho i nieśmiało, nie zwracając uwagi na lękliwe, ostrzegające i szydercze spojrzenia obecnych. Jego Werter, Wilhelm Meister, Faust i Małgorzata niemniej razić musieli prawdziwością swoją większość jego współczesnej, aniżeli dzisiejsze odslanianie nędzy zewnętrznej i wewnętrznych razi pana. Mojem zdaniem musi poeta i artysta ukazywać nam prawdę - niczem nieosłoniętą, bowiem my sami nie po-

siadamy dość odwagi do zajrzenia jej bezpośrednio w oczy!

Przerwano mi; odezwały się tu i owdzie okrzyki oburzenia, byłabym też onieśmielona umilkła, gdybym nie spotkała się w tej chwili z wyzywającym spojrzeniem stojącego tuż przy mnie d-ra Friedricha.

„Proszę, proszę, mów pani dalej. Bardzo ciekawem jest z punktu widzenia psychologii, jak rzeczy te oddziaływać mogą na ludzi, stojących zupełnie zdaleka od życia, jak pani np.”

„Jestem bardziej, o, znacznie bardziej zbliżoną do życia, aniżeli pan sądzisz — zaczęłam, czując, że słowa coraz płynniej i dobitniej lecą mi z ust — „ wiem też, że nie pójdziemy naprzód—ani jednostki, ani ogół — dopóki będziemy cofali się przed oglądaniem w istotnej ich postaci rzeczy złych i odrażających, brzydkich i bolesnych. To właśnie jedynym jest probierzem siły żywotnej. Niema większego dowodu dekadencji, jak obawa bólu.

Jest ona naszą chorobą i będzie przyczyną naszego upadku, o ile nie uleczą nas z niej: Zola, Ibsen, Nietzsche i im podobni”. — Wyrzuciwszy z siebie słowa te, odetchnęłam z ulgą. Teraz dopiero widziałam wszystkich, stojących dookoła mnie: uśmiechano się z pewnem zażenowaniem i współczuciem zarazem, większość wzruszała ramionami.

„Jeśli nie udało się pani przekonać nas, dowiodła pani w każdym razie jednego”, — zadrwił z lekka dr. Friedrich. „Minęła się pani ze swoim powołaniem, powinna pani była zostać mówczynią.

Czułam się przygnębioną i zawstydzoną, nie chciałam też więcej otwierać ust. Na drodze powrotnej przy-

łączyła się do mnie niespodzianie Julianna Dery, wsuwając mi poufale rękę pod ramię.

„Dzielną z pani osóbką”, — rzekła, — „ale przeobraźliwie głupia zarazem! — Friedrich nie zapomni pani tego!

„Jeśli cała moja głupota na tem ma polegać, — chętnie poniosę jej skutki”.

„Ho, ho — czołem przed odwagą pani! — Ale — ponieważ zdajemy się obie znosić prawdę, powiem szczerze: nie wyczerpuje to ogromu głupoty pani. Obciążała pani sumienie swoje zbrodnią. Przypisała pani sztuce motywy moralne. Sztuka jest sztuką, — niczem mniej i niczem więcej. Odkryła ona nowe piękno — prawdę — zresztą, brzydotę, jeśli pani woli — musi więc ją odzwierciadlać. W słowie, barwie i dźwięku. Ale służyć czemuś lub coś poprawiać — ani chce, ani powinna.”

„Może nie jest to jej dążeniem.” I kwiat kwitnie, pachnie i jest skończenie piękny i wówczas nawet, gdy nie ma zawiązać się w owoc. Ale owoc przychodzi bez udziału jego woli.”

Ironiczny uśmiech okolił usta mojej towarzyszki. „Porównanie pani szwankuje mocno. Kwiat musi umrzeć, jeśli wynikiem jego ma być owoc. Sztuka natomiast kwitnie i jest zawsze kwiatem i owocem razem.”

Doszliśmy odludnymi ulicami, poprzerzynanymi polami kartofli, do starej lipy, świadka minionych czasów, w których czyhająca hydra wielkiego miasta nie wyssała w objęciach swoich ostatniego tchnienia z natury.

Rozstałyśmy się uściśnieniem dłoni, równie obce sobie jak poprzednio. Nie należałam ani do niej, ani

do tych, których gościem byłam przed chwilą. Do kogoż więc?...

Następnego rana napisałam do Weimaru, do krewnych moich, zapowiadając im swoje przybycie. Postanowiłam oddać się całej pracy, widząc w tem najlepszy dla siebie lek.

Przed wyjazdem moim zebrała się raz jeszcze cała rodzina w komplecie: wuj Walter z żoną, Klewowie z Poczdamu, kuzyn Fryc i kuzyn Herman Wolkenstein, który, nie mogąc na żadną liczyć karierę jako oficer, przerzucił się do dyplomacji. Przybyła nawet wyrocznia rodziny, ciocia Jecia, bardzo stara, ledwie wlokąca nogi, ale wszystko jeszcze dostrzegająca mądremsi, świdrującymi swojemi oczkami, surowsza niż kiedykolwiek w sądach swoich i opiniach. Głowa jej zdawała się być żywą encyklopedyą rodzinną. Znała ona dzieje najdalszych krewnych. Mnie specjalnie nie znosiła: moje kilkotygodniowe przyjaźnienie się z koleżanką-żydówką niezatartą było podług niej plamą na mojem wychowaniu. Dzisiaj wszakże raczyła mi łaskawie pozwolić na ucałowanie swojej ręki.

„Ciesz się mnie, ciesz się mnie bardzo, że jedziesz do Weimaru” — rzekła — „dla takich przewróconych głów, jak twoja, nie może być nic lepszego. Gryzmołące niewiasty mogą mieć tam widoki na karierę dworską”. Uśmiechnęłam się mimowoli. Profesor Fiedler mówił także o karierze.”

Rozmowa toczyła się zrazu na temat wydarzeń rodzinnych: o kuzynach, którym powinęła się noga

i którzy — zamiast jak dawniej do Ameryki — wysłani zostali do kolonji, gdzie mieli występować w roli kulturtregerów; o tkwiących w staropanieństwie kuzynkach, które zostały siostrami miłosierdzia, ponieważ zająć się czem innem nie wypadało. „Lepiej walać sobie palce krwią, niż atramentem — skrzeczał piskliwy, starczy głos ciotki Jeci. Z kolei zaczęto gwałtownie powstawać przeciwko niesłychanemu faktowi, że jeden z Golcowów ożenił się z córką bogatego przemysłowca. Pierwsza mieszcanka w rodzinie, i w dodatku córka „króla węglowego”!

„I ten szubrawiec Ernest miał jeszcze śmiałość przysłania mi karty, oznajmiającej o jego zaręczynach”. Na zwiędłych policzkach starej ciotki płonęły ceglaste rumieńce. „Ale czemu się tu dziwić, skoro przykład idzie z góry! — Sam cesarz przyjaźni się z panem Kruppem i z hamburskimi workami kawy! A amerykańskie córki miliarderów, którzy z tobołkiem na plecach przebiegali kraj, przyjmowane są u dworu”! Zbrakło jej tchu, co wreszcie zmusiło ją do milczenia.

Po wyczepraniu spraw familijnych zabrano się do najulubieńszego tematu, bez którego obejść się nie może żadne zebranie w naszej sferze: każdy znał jakąś nową ploteczkę, umiał przytoczyć nową odmianę jednej z niezliczonych mów cesarskich lub też szeptał do ucha sąsiadów — ze względu na obecność młodych panien — nowy gruby dowcip, którym jakiemuś Eulenburgowi lub Kesselowi udało się rozśmieszyć cesarza i tem zdobyć dla siebie nowy objaw łaski monarszej.

„Sam narysował model katedry z całym jej przeladowanym przepychem” — zaczął jeden z kuzynów. „Aktorowi, grającemu rolę Kurfirsta w nowej sztuce

Wildenbrucha, — która jest nieprawdopodobnie nie-taktowną napaścią na Bismarka — pokazał osobiście, jak Hohenzollern musi ruszać się i zachowywać”, — dodał inny. Słowem, Pan Bóg wie wszystko, ale cesarz Wilhelm wie jeszcze lepiej”, — roześmiał się wuj Walter. A stara ciotka trzęsa się ze śmiechu: „Kazał się już malować jako *roi soleil*”

Jedynie Klewowie zażenowani byli i milczący, i ojciec mój niejednokrotnie już chrząkał ostrzegająco, rzucając wymowne spojrzenia w stronę młodych oficerów.

„Dość już moi państwo tej okrutnej zabawki”, — przerwał w końcu ogólne rozgadanie. „Nie możecie mnie napewno posądzić o popieranie nowego kursu, przypomnę wam jednak, że musimy bądź co bądź przyklasnąć na niejedno młodemu władcy. Jeśli nawet w pierwszym porywie młodzieńczych uczuć zdawał się gotowym na czynienie ustępstw socyalistom i schlebianie robotnikom, w porę się jednak umiał zatrzymać i zmienić ton — —”

Obrona ta wzmogła jednak tylko gwałtowność napaści. Podziwiać należało nagłą drażliwość tych ludzi, uniemożliwiającą wprost prowadzenie spokojnej rozmowy.

„Oceniasz rzeczy tylko z pozoru, kochany Janie”, — zawołał wuj Walter, który jako członek parlamentu lubił udawać, że jest wtajemniczony we wszystkie sprężyny zakulisowe, — „w rzeczywistości bowiem kierowana jest nawa państwowa wprost na wody socyalistyczne i to tem szybciej, im energiczniej usuwa się na bok nas, jedyne istotne podpory monarchii. Czy słyszane to rzeczy, aby można było powtarzać sboie z ust do ust wyrażenie króla puskiego o „rebelii” jankrów, aby wy-

głaszane były mowy, jak owa brandenburska np., będąca hasłem wojennem przeciwko nam?!”

Matka moja żywo mu potakiwała. Ducha przeciwnictwa, o którym mówił cesarz i który zatruwa umysły, należy szukać zupełnie gdzieindziej!” — wtrąciła, poczem skierowała rozmowę na inny temat: na współczesne piśmiennictwo. Od czasu wysłuchania „Honoru” i „Końca Sodomy” była cała pod wrażeniem tych sztuk, wahając się już tylko pomiędzy uczuciem oburzenia, jakiemu nie mogła się oprzeć pod wpływem tradycyjnych pojęć o przyzwoitości, i uznaniem, do którego zniewalała ją wrodzona sprawiedliwość. Widocznem było, że pragnęła umocnić swoje oburzenie, goście nasi wszakże nie uważali tematu za godny sporu. „Jak możesz brać podobne rzeczy na seryo”, — zauważył wuj Walter, wzruszając ramionami; „nowa odmiana pikantnych świństw — nic więcej”. Jedyne ciocia Jecia gorączkowała się: szanujące się osoby nie chodzą na podobne sztuki”. Zadowolona ze zmienionego tematu rozmowy ciotka z Poczdamu żywo jej sekundowała.

Siedząc przy stole młodzieży, przy którym bawiono się przez ten czas w sekretarza, słuchałam z wzrastającym z każdą chwilą wzburzeniem. Nagle wświdrowały się we mnie przenikliwe oczy wyroczni familijnej.

„Zdaje mi się, że kurczę chciałoby się odezwać tam, gdzie nie powinnyby nawet słuchać”. Spąsowiałam. Na pomarszczonem czole starej kobiety zarysowała się groźna sieć dodatkowych zmarszczek. „Zdaje się, że pozwalasz sobie innego być zdania?!” — sprowokowała mnie już wprost. Zażenowanie skierowanemi na mnie spojrzeniami oraz obawa skandalu, jaki musiałabym wywołać, kazały mi milczeć. Gdy wszakże przy kolacyi my,

młodzi, oddzieleni od innych, siedzieliśmy sami i Herman Wolkenstein zrobił jakąś pogardliwą uwagę, która w ustach jego podwójnie wydała mi się śmieszną, ujęłam się za najnowszym prądem w sztuce i literaturze i to tem goręcej, im bardziej oburzała mnie ciasnota umysłowa i bezmyślna buta mojego otoczenia.

„Czy ciotka Klotylda zna twoje poglądy?” — zapytała jedna z kuzynek poczdamskich, badawczo spoglądając na mnie z ukosa.

— „Najmniej krępowałabym się z wyjawianiem ich wobec niej” — odparłam, odrzucając dumnie w tył głowę.

„Wszystkiego można zresztą po tobie się spodziewać!” — zawyrokował lekceważąco Herman. — „Kto się brata z żydowskimi pismakami...”

„Nie obrażaj twoich przodków w grobie” — za-drwiłam.

Rzucił na mnie wściekłe spojrzenie. Reszta, świadoma nieskazitelnego szeregu własnych antenatów, uśmiechała się w milczeniu. Podrażniło go to bardziej jeszcze. Grzmotnął wielką, białą, wypieszczoną ręką w stół, aż zadźwięczały ogniwa noszonej pod mankietem bransoletki.

„Nie pozwalaj sobie tyle” — syknął przez zęby. „ty z twoją przeszłością najmniej masz do tego prawa”. Oderwany jakiś chrapliwy dźwięk zwrócił moją uwagę w przeciwną stronę. Wydał go Fryc, trupio blady, z drgającymi spazmatycznie wargami.

„Musisz pan w tej chwili prosić kuzynkę moją o przebaczenie, baronie Wolkenstein” — zawołał do Hermana. „Nie widzę żadnego powodu, panie v. Langenscheid” — odparł wyzwany, rozpierając się wygodnie

na krześle i wsuwając obie ręce w kieszenie. Uchwyciłam gwałtownym ruchem rozpalone dłonie mojego obrońcy. „Daj pokój, Fredziu, Herman jest nietaktowny jak zawsze — uspokój się, proszę cię, zrób to dla mnie! — to okropne — tutaj, w domu moich rodziców!”

W tej samej chwili starsi zaczęli w sąsiednim pokoju zabierać się do odwrotu. Fryc odciągnął mnie na stronę. Drżał z oburzenia.

„Nie bronisz się więc nawet wobec podobnie podłego oszczerstwa”, — szepnął zdławionym głosem.

„Bronić się?! Wobec takiego człowieka?! Czy mam mu wyznać może, że kochałam raz w życiu — całą duszą i całym sercem?! Mam przed ludźmi, niezdolnymi do odczuwania gorętszych uczuć, otworzyć duszę, co zaledwie mam odwagę uczynić wobec siebie samej?”

„Alicyo!” — głos, wołający mnie w ten sposób po imieniu, zdawał się dochodzić z bardzo daleka i miał wyraz bólu, który przeszywał mi serce.

W następnej chwili pochyliłam się na pożegnanie nad pomarszczoną dłonią cioci Jetki, słysząc jak przez sen ogólny gwar głosów i czując potem jeszcze dotknięcie warg ojca na mojem czole.

„Chwała Bogu” — mruknął — „mamy już i ten wieczór po za sobą”.

Rozmarzona i zdumiona rozejrzałam się dokoła, przybywając w osiem dni później do Weimaru. Czy czas nie posunął się tu ani na krok od dziesięciu lat?! Był ten sam, co ongi, jasny wieczór majowy. Do tego samego starego domu zawiozła mnie dworska kareta, jak wów-

czas, kiedy babka towarzyszyła swojemu wnuczęciu. Jej tylko już nie było, mimo to miałem wrażenie, że szata jej szeleści obok mnie na schodach. Brat jej nie żył też już oddawna, mimo to wydało mi się, że ten piękny, wychodzący na moje spotkanie, ciemny brunet, o wązkich rękach i lekko przygarbionej postaci, to nie kto inny, tylko znów on sam.

W salonie rokokowym, ozdobionym mnóstwem miniatur ponad zgrabną kanapką oraz wieloma obrazami pastelowymi, porozwieszanymi na blade błękitnem obiciu jedwabnym, podniosła się ze złożonego fotela przy oknie wysmukła postać kobieca, wyciągając do mnie z słodko-pieszczotliwym uśmiechem delikatną białą rączkę. Byłaż to istotnie hrabina Wendland — ciotka moja, — a nie pani von Stein, której cień zabłąkał się tutaj z sąsiedniego domu?! Potem przyszły na moje powitanie dzieci, — szereg małych elfów z przepychem złocistych włosów na drobniutkich główkach i zbyt wielkimi niebieskimi oczyma na pociągłych twarzyczkach.

W ogrodzie obok mojego pokoju szemrała fontanna, jak za dawnych dobrych czasów, a odwieczne drzewa szeleściły cicho liśćmi, jak gdyby żadna burza nie wstrząsała nigdy zielonemi ich koronami.

Nazajutrz z samego rana odwiedził mnie wielki książę. Przyszedł piechotą, nie zapowiedziawszy uprzednio swojej wizyty, szybkim, elastycznym krokiem młodzieńca. Zaledwie zdążyłam wyjść mu na spotkanie na schody. Potem usiadł naprzeciw mnie w salonie rokokowym, i w miarę im dłużej mówił — donośnym głosem, wykwinętą francuzczyzną *ancien régime*, — tem głębiej zapadała w cień rzeczywistość, ustępując miejsca, wyłaniającej się coraz bardziej z mistycznego półmroku, przeszłości.

Opowiadał mi nasamprzód o babuni, jak była piękna, dobra i rozumna, jak żywo ucieleśniała w swojej osobie ducha Weimaru, jak nigdy pojąć nie mógł, że zdolna ona była żyć poza granicami swojej ojczyzny duchowej.

Od czasu do czasu zasłaniał oczy żółtawą, jak gdyby pozbawioną mięśni, bezkrwistą dłonią, która z pewnością nie umiała nigdy ująć mocniej, lub też opierał się o grzbiet fotela, jak gdyby przypominając sobie nagle własny swój podeszły wiek. W chwilę potem jednak wyprostowywał kurczowo wysmukły swój korpus, obejmował rękami poręczę fotela, rozstaczał szeroko oczy i mówił dalej z stereotypowym, sztucznym uśmiechem księcia, stanowić mającym przykrywkę, pod którą niepodobna rozpoznać właściwych wrażeń i uczuć. Nie byłam już wnuczką przyjaciółki jego lat młodych, ale pisarką, która miała ziszczyć długo pieszczone jego pragnienie. Miałam napisać historię towarzystwa wejmarskiego, tego samego, które od chwili przybycia Goethe'go do stolicy Karola Augusta zgodnie z tradycją przyjmowało artystów i poetów jako równych sobie, torując im drogę do sławy". Opowiadał mi o owych wielu, dla których był Weimar przedmurzem życia, którzy tutaj najsampierw znaleźli uznanie, jakiego odmawiano im gdzieindziej. Zapalał się własnym biegiem myśli, pergaminowa twarz jego okryła się luną lekko różowego rumieńca, a w zamglonych oczach cicho rozbłysnęło światło.

„Stworzona pani jest wyraźnie do napisania tego dzieła: przepojona wspomnieniami wejmarskimi, wychowana w duchu wejmarskim, kierowana niezawodnym taktem urodzonej arystokratki,” — zakończył, podnosząc się z fotela i podając mi rękę na pożegnanie.

Nie obawiam się z pani strony żadnego z owych wstrę-

tnych ujawnień, poniżających sztukę i zatruwających życie. Archiwa moje stoją dla pani otworem; to samo mam prawo, sądzę, przyobieczać pani w imieniu wielkiej księżny. Mam nadzieję często panią widywać — —”

Nie pozostawił mi czasu na odpowiedź: nie wątpił, że nie mogłabym, że nie poważylabym się odpowiedzieć mu odmownie. Pozostało mi tylko skłonić się głęboko z wdzięcznością.

Coraz ciśnień osnuwać mi zaczęła serce i umysł czarodziejska sieć Weimaru. Przyjmowano mnie wszędzie z otwartymi rękami, jak powracającą po długiej niebytności do rodzinnego gniazda. Podczas długich audyencji rozpatrzyła wielka księżna plan pracy mojej w archiwum Goethe'go. W każdym ruchu i słowie pozostawała ona niezmiennie niedostępną władczynią, mimo to wszakże, ilekroć wchodziłam, znajdowałam wyraz macierzyński w jej rysach. Mały, rubaszny książe następca, w każdym calu przeciwieństwo swojego ojca, dorównywał mu tylko w okazywaniu mi uprzejmości, która, dzięki jowialnemu jego djalektowi wejmarskiemu i jego rozmyślnie do pewnego stopnia przesadnemu lekceważeniu form, przybierała odcień większej jeszcze serdeczności. Jego dobra, przysadzista, pulchniutka żona, która zdałaby się świetnie na większą pastorową, dzielnie mu w tem dopomagała.

Z połową towarzystwa dworskiego łączyły mnie węzły pokrewieństwa; kuzynki i kuzynowie szóstego i ósmego stopnia traktowali się w tem ściśle zamkniętem kole jak najbliżsi krewni. Bardzo liczne musiało już być zebranie, jeśli niewszyscy jego uczestnicy wzajemnie się tykali.

Nad wszystkimi tymi ludźmi oraz nad otoczeniem ich unosiła się — niby lekka woń zgaszonych świec wosko-

wych—pamięć wieku osiemnastego. Wszystko, co wówczas jaśniało przepychem barw i uczuć, przybladło dzisiaj i wyblakło: usiane różami dywany, — malowane policzki, — i miłość. Panie i panowie nie nosili już szeleszczących i falujących szat, zalotnych muszek, kolorowych haftowanych kamizelek, białych peruk i pustych u boku rożenek. Często też wyglądali oni biednie i niezdarnie. Dopiero, kiedy w zamku płonęły światła pajaków, odbijając się w woskowanej posadzce i wysokich szybach zwierciadeł, zdawały się oni dawnem odżywać życiem. Tańczyli i śmieli się, składali sobie wzajem niskie ukłony i popijali słodkie wino, a ja sama wydawałam się sobie podobną do nich, jak oni—cieniem przeszłości.

Bywałam też w domach mieszczańskich, gdzie przechowywano z pietyzmem pamiątki dawnych czasów w postaci pożółkłych listów, naiwnie niezabudkowo-niebieskich sztambuchów, pierścionków z włosów ukochanych osób oraz filiżanek z wypalonymi na nich fotografiami nieśmiertelnych. Panował tu niepodzielnie sentymentalny nieco, przyjazny, ciasnawy duch lat trzydziestych. Modny renesans nie zastąpił jeszcze prostolinijnych sprzętów bidermajerowskich i jasnych firanek muślinowych, i mimo że oczy ich mogły już były oswoić się z Böcklinowskim przepychem barw, a uszy z bogactwem dźwięków Liszta i Wagnera, nie wyszli oni ani na włos jeden po za miękkie, pieściwy świat baśni leśnych Schwindera, a w duszy ich panowały wszechwładnie pieśni ludowe Feliksa Mendelсона.

Przed południem pracowałam w salach archiwum Goethe'go, w górnej części lewego skrzydła zamkowego, z którego okien roztaczał się rozległy widok na park, skąd dochodził nieustannie lekki plusk wód Ilmy i szelest poruszanych wiatrem liści drzew stuletnich. Uczeni, pracują-

cy ze mną panowie, traktowali mnie z wyszukaną grzecznością, wznoszącą nieprzebyte między ludźmi mury.

Odpowiadali mi na wszystkie pytania, przynosili wszystko, co mogło mi być potrzebne, kłaniali mi się niżej, niż tego wymagała etykieta, wyczuwałam jednak, po za temi oznakami pozornego szacunku, lekceważenie niemieckiego uczonego dla kobiety, która wdziera się zuchwale do jego sanktuarium. Im dłużej wszakże pozostawałam w Weimarze, tem potężniej odczuwałam atmosferę kadzideł, czyniącą mnie nie tylko niewrażliwą, ale i niedostępnie zarozumiałą. Jedynie tylko dyrektor archiwum, niepospolity dziwak, obchodził się ze mną, jak człowiek z człowiekiem. Często też zdarzało się, że nie mogłam znośić jego ojcowskich napomnień, jego mądrych rad, a zwłaszcza sarkastycznych jego uwag. Winna temu była nie tylko próżność, bujnie rozkrzewiająca się w cieplarnianej atmosferze salonów, lecz zarazem i niecierpliwość, ogarniająca mnie nieraz wśród roboty.

„Człowiek spada do poziomu zwyczajnego sortownika gałganów przy tem wiecznem rzucaniu wszystkiego do kosza”, zawołałam raz oburzona, gdy w żaden sposób nie udawało mi się odnaleźć notatki, której mi właśnie brakowało.

Dyrektor, pomagający mi w ciągu ostatnich kilku godzin, spojrział na mnie, marszcząc czoło: „Bardzo pani jeszcze młoda i niecierpliwa”, — zauważył szorstko.

„Komu do wykończenia obrazu mozaikowego potrzebny jest jeden chociażby kamyczek i kto w tym celu bada zawartość pudeł i pudełek, a nawet całych kopalni, wykonywa cenniejszą pracę, aniżeli wielu, smarujących gotowy obraz w ciągu kilku godzin.

„Poprzestawanie na małym jest wszędzie naszym losem” — powiedział nam mistrz nasz. Zaprawdę, jedynym punktem wyjścia pracy istotnie wartościowej jest świadome pogodzenie się z jednostronnością.”

„Poprzestawanie na małym jest wszędzie naszym losem”, — słowa te wświdrowały mi się w mózg — szukałam też odtąd pilnie moich kamyczków, tłumiąc w sobie zniecierpliwienie.

Jednego z pięknych dni wiosennych, w którym natura z taką hojnością roztoczyła swe dary, jak gdyby wszystkie pieśni śpiewaków Weimaru zakłęte zostały w blaski, barwy i zapachy, zrobiliśmy wycieczkę do Belwederu. Wielki ksiązę zaprosił nas na święto wiosny do swojego zameczku. Okrągła sala ogrodowa przeistoczona została w altanę z róż i konwalji; przez szeroko otwarte drzwi wejściowe śmiał się jasny błękit nieba; w błyszczącej zastawie srebrnej i w rznętych ściankach kryształów łamały się promienie słońca, liczba gości nie przekraczała liczby muz, a wesola rozmowa, omijająca, jak strumyk łąkowy, wszelkie ostrzejsze zagięcia i karby i umiejąca pieśczośliwie muskać kamienie nawet, leżące na jej drodze, przebiegała z przedmiotu na przedmiot. Czemuż moje tylko myśli traciły chwilami wątek, ukazując mi nagle, jak w mirażu złudnym, lasy jeziora górskiego, owiewając skroń moją chłodnym ze szczytów powiewem? — czary te sprawić musiała odurzająca woń konwalii.

Amfitryon nasz zaprowadził na po obiedzie do parku. Pokazał mi labirynt i naturalną scenę, zwracając z pełnym miłości zachwytem uwagę moją na łagodne, okryte lasem łańcuchy pagórków, ciągnące się długą linią na widnokręgu.

„Oto jest piękno” — rzekł spokojnie, „wytworne piękno, ramy godne prawdziwej sztuki takiej, jaką uprawialiśmy i uprawiać będziemy w Weimarze. Cieszę się, że nam pani chce w tem dopomagać. — Pozostanie pani w Weimarze, wszak prawda?”

Odpowiedziałam wymijająco, co fałszywie przez niego zostało zrozumiane. „Wynalezienie dla pani godnego jej stanowiska mojem już będzie zadaniem”, — dodał, podając mi uprzejmie rękę i zwracając się do reszty towarzystwa. Na drodze powrotnej wieszowali mi krewni. Hrabia Wendland, ukrywający pod nieskazitelnymi manierami dworaka dziwnie wyzwolony rozum swobodnego człowieka, zauważył z subtelnym uśmiechem: „Nadwornej historjografce dostanie się biały sokół. Cel, którego można najgoręcej pani życzyć; czy tak?!”

Tego dnia jeszcze wieszczałam u jednej z licznych moich ciotek. Była ona wszakże wyjątkiem, — dziwaczka, nad którą rodzina kiwała głowami i wzruszała ramionami. Na przekór Weimarowi stworzyła już sobie od wczesnej młodości własne życie. Wyszukiwała przyjaciół wśród artystów i poetów, używanych zazwyczaj w mieście Goethe’go do wytworzonego dekorowania zebrań towarzystwa dworskiego. Z czasem stała się też macierzyńską przyjaciółką wszystkich młodzieńców, czyniących tutaj pierwsze kroki na stromej drabinie do sławy lub też szukających objawów artystycznych. Komu ciężać zaczynał przymus życia dworskiego, komu potrzebny był do tworzenia powiew swobodniejszy, kogo paliło niewypowiedziane słowo wolne, przychodził do niej.

Dzisiaj zebrani byli oni wszyscy u jej stołu, stary i młodzi: rubaszna głowa Lassena stanowiła tło

dla pięknego szylerowskiego profilu Aleksandra Gleichena, kilku mieszkających po za Weimarem przyjaciół, literatów i dyrektorów teatru, przybyłych na mającą się odbyć uroczystość Goethe'go, powiększyło grono gości ciotczyńnych; nieśmiało w kącie stał Ryszard Straus, blady, młody kapelmistrz, którego większość wyśmiewała, a który tutaj był jak dziecko rodzone w domu dobrej kobiety, pielęgnującej go niedawno z całym poświęceniem podczas ciężkiej jego choroby. Szczupła i blada, jak on, w staromodnej sukni aksamitnej i gładko uczesanych włosach, niemłoda i nie-stara — stała we drzwiach dziewczyna, którą wychwalała mi ciotka oddawna już jako wybitny talent poetycki — Gabrijela Reuter. Przyszła też młoda śpiewaczka, córka pułkownika z Bawaryi, która pomimo pięknego swojego głosu nie mogła zżyć się ze sceną, i jak zbłąkany ptak, szukała ludzi, którzy cieplej chcieli by ją przygarnąć. Pani domu kierowała gośćmi i ich rozmową, jak dowódca,—a ilekroć groziła dyskusją sto-czeniem się na pospolitą ulicę plotek, wystarczało rzuczone w porę rozumne słowo kierowniczkki, aby na właściwe sprowadzić ją tory. Spierano się żywo na temat znaczenia Weimaru dla duchowego życia współczesnego.

„Artystom potrzebny jest spokój”, rzekł Gleichen, pleśnieją oni jednak i kostnieją, o ile nie czerpią cd czasu do czasu ze świata świeżego zapasu idei, z którymi wracają do Weimaru”.

Zdaniu temu gorąco zaprzeczył Eberstein, młody historyk, czynny w wielkoksiażęcem archiwum prywatnem. „Dla człowieka nauki niema nic lepszego, jak dopłynięcie do spokojnego portu, gdzie nic nie odrywa go od studjów”.

Ciotka ujęła się żywo za Gleichenem. „Może to odpowiadać starym. Wy młodzi, musicie jednak porządnie skąpać się w atmosferze burzy”, — rzekła. „Wielu wyszło stąd, przesiąkniętych siłą twórczą, ale stali się czemś dopiero poza granicami naszego kojącego środowiska. Mimo że bardzo was kocham, moje dzieci, chciałabym was wszystkich powypędzać,” — dodała, kiwając przyjaźnie głową w stronę wymizerowanego muzyka i nieśmiałej wątlej literatki, poczem zwróciła się bezpośrednio do mnie i do Ebersteina, siedzącego obok mnie i będącego jej siostrzeńcem:

„Wy oboje po samą szyję już jesteście spowici w zadatki wawrzynów, niezupełnie jednak mimo to tracę co do was nadzieję. Miejcie dość siły do zerwania ich! Powietrze dworskie zatruwa talenty zupełnie tak samo, jak powietrze oficyn.”

„Pobladła pani i przycichła”, zauważył Gleichen, odprowadzając mnie późną nocą do domu. „Czy sądzi pani, że mógłbym malować moje szalone chwasty, gdybym nie oglądał słońca i kwiatów gdzieindziej niż tutaj?”

Wydawał mi się on dawnym przyjacielem, jakkolwiek spotykałam go dopiero po raz pierwszy.

„Może jednak będzie Weimar dla mnie tem, czem dla pana cały pozostały świat: życiem — wyzwoleniem?” — odparłam.

„Nie” — zaprzeczył energicznie, ściskając dłoń moją. — „Nie, wolność pani większego domaga się terenu działalności.”

Coraz głębsze z dniem każdym ogarniało mnie znużenie. Nie wiedziałam, czy wyczerpywała mnie tak wielogodzinna praca poranna w archiwum, czy też

nieustające życie towarzyskie we dnie i wieczorem,— sama nie mogłam zdać sobie z tego sprawy. Tęskniłam już za ciszą gór, gdzie zamierzałam rozpocząć książkę moją na podstawie zgromadzonego materiału. Chciałam przeczekać tylko uroczystości Goethowskie. Przypadały one tego roku równocześnie z jubileuszem starego teatru, ściągając do Weimaru znakomitości z całego świata. Nie zbrakło też i berlińskich moich przyjaciół.

„Czy źle pani poradziłem?” — zapytał profesor Fiedler z szczerem zadowoleniem, widząc mnie, zajmującą wybitne stanowisko w towarzystwie wejmarskiem, otoczoną uznaniem i pochlebstwami.

„Co za zaszczyt dla mnie „łaskawa pani”, — rzekł pan z głową Goethe’go, znalazłszy się obok mnie podczas jednego z obiadów.

Patrzyłam z wzrastającą przykrością na głębokie, korne pochylanie się przed księciem siwych głów przed stawicieli nauki i sztuki, na ich nieme, z całym przejęciem się ważnością momentu oczekiwanie, aż książę raczy zamienić z nimi kilka nieznaczących słów, sprowadzających na ich twarze wyraz błogości i rozpromienienia. Stałam się podejrzliwą względem każdego, darzącego mnie względami i uprzejmością. Radość nawet z pięknego wiersza, ofiarowanego mi przez zgrzybiałego Bodenstedta, zatrula mi myśl, że jedynie padający na mnie jasny odblask korony ukazał mnie wieszczowi taką, jaką w nim opiewał.

Szarpana wewnętrzną rozterką, siedziałam w przededniu mojego wyjazdu w ciemnej głębi małej łoży dworskiej na przedstawieniu Fausta. Dziwne ogarnęło mnie uczucie: spędziłam osiem tygodni w mieście Goethego, oddychałam codziennie powietrzem, jakim

utwory jego ducha otoczyły mnie na górze w archiwum, poświęconem jego twórczości i epoce, nagle przemówił on sam, a ja — nie znałam go! Słowa jego rozbrzmiewały mi w uszach, jak gdybym ich nigdy nie czytała, nigdy nie umiała ich na pamięć; jakieś jasne nagłe błyski, rozświetlające ciemnię, gwałtowne, wstrząsające całą moją istotą, uderzenia gromu.

Przed oczyma mojemu przewijały się dzieje ludzkiego żywota; własne moje szare życie spletało się w niem z jego walkami i porażkami. Stałam znów w obec jednej z nich. „Ten tylko zasłużył na życie i wolność, kto z dnia na dzień zdobywać je musi” — brzmiało mi w uszach.

Przy wyjściu z teatru spotkałam Gleichena. Uścisnęłam jego rękę. — „Żegnam pana” — rzekłam. — „Wyjeżdża pani?” — spojrzał na mnie badawczo. „Tak, — i nie powrócę tutaj.”

Nazajutrz z rana znalazłem przy mojem nakryciu dwa listy: „od wielkiego księcia, zapraszającego mnie do towarzyszenia dworowi do Wilhelmsthalu i od ciotki Klotyldy, uprzedzającej, że nie może przyjąć mnie w tym roku w Grainau, ponieważ, idąc za radą matki mojej, zaprosiła do siebie jedną z siostrzenic z Poczdamu. Wzdrygnęłam się mimowoli, jak pod wpływem zadanego mi znienacka ciosu w plecy. „Pojadę więc do Pirgałowa” — powiedziałam głośno, jak gdyby do siebie samej.

„Do Pirgałowa?!... — zawołała mała rokokowa hrabina ze zdziwieniem. „Liczą na ciebie napewno w Wilhelmsthalu”. „Będę musiała odmówić, — książka moja ma być gotowa na jesień, — muszę poświęcić całe lato

pracy”, — odpowiedziałam z pewnem wahaniem. Chwila milczenia zaległa białą, zalaną potokami słońca, jadalnię. Syczał tylko z cicha samowar i zdala dochodził tentent karety dworskiej, podskakującej na nierównym bruku.

„Dobrze się zastanów”, — odezwał się hrabia Wendland, oglądając ze zmarszczką na czole błyszczące swoje paznokcie. „Rozstrzygasz może w tej chwili losy twójgo życia”, — spojrział na mnie przeciągle, badawczo — „nie wiesz zapewne jeszcze, że ksiązę Hellmut objął w Marienthalu w posiadanie zamek swojej świeżo zmarłej ciotki...”

I znów długa chwila milczenia. Słyszałam ciche brzęczenie pszczoły przy oknie i przyglądałam się, jak czarno i ciężko odbija stary dębowy kredens od bieli ściany. Serce bić mi przestało, aby w następnym już momencie szaloną wszcząć pracę, gnać z gwałtownością pędzącej na oślep maszyny parowej. Hellmut — —! Pozwolił mi odejść w chwili, kiedy gotowa byłam oddać mu się bezpodzielnie — —! I on działał wszakże, jak ja, pod wpływem przeogromnej, ofiarnej miłości — —! Dla czego jednak nie powrócił — teraz, kiedy wolnym już jest człowiekiem? — Odgarnęłam lodowatemi drżącemi palcami włosy z czoła:

„Postanowienie moje jest nieodwołalne, — jadę do Pirgałowa—!”

Siedziałam znów w cichym zielonym pokoju babuni, pod białym marmurowym biustem jej ojca, a z ogrodu witały mnie krzewy jaśminowe wielkiem, słod-

ko pachnącem swoim kwieciem. Nikt nie przeszkadzał mi w tej samotni. Wuj Walter lękał się pokojów zmarłej, jak gdyby gościł w nich jeszcze jej duch. Mama pewną była, że pracuję, ojciec objeżdżał lasy z siostrzyczką, jak niegdyś ze mną. Chciałam oddać się pracy. Książki i notatki porozkładane były całemi stosami na stole altany. Z chwilą wszakże, gdy je otwierałam, pierzchały mi wszystkie myśli z głowy. Martwota i pustka wiały z tych papierów, jakże więc mogło zrodzić się z nich coś żywego?

I cóż w gruncie rzeczy obchodzić mnie mogły wszystkie te martwe rzeczy i wszyscy ci martwi ludzie? Co zyskałby świat, gdybym szeroko i długo rozwodzić się miała nad tymi, którzy pozostaliby w cieniu, gdyby duch wielki nie opromienił ich glorią swojej bliskości?

W bibliotece babuni stały długim szeregiem zielono oprawnych tomów, z białymi na grzbietach szyldzikami, — wszystkie dzieła Goethe'go.

Zaczęłam je czytać godzinami, dniami, tygodniami. — Im dłużej czytałam, tem chętniej zamykałam się w cichych pokojach, stanowiących niby wyspę błogosławioną na oceanie życiowego zamętu.

Codziennie zdołałam je — jak to czyniła babunia — świeżemi kwiatami, a wieczorem zapuszczałam ciężkie aksamitne draperye u okien i drzwi i zapalałam lampę z wielkim palnikiem, osłoniętym złoto-żółtym ciemnikiem. Gdy potem siadałam na fotelu z nawpół przymkniętymi oczyma, tonął pokój cały w mgłę złotawej, z której coraz bardziej wyolbrzymiony, potężniejszy i coraz bardziej żywy wyłaniał się posąg Goethe'go.

„Mów do mnie, mistrzu!” — błagała moja dusza. I słyszałam głos jego gniewny: „Życie twoje podobne jest raczej do przygotowania, niż do czynu”. — „Ach, jakież spełnić mam czyn?!” — wołałam z głębi serca.

„Nie przyrastaj do ziemi — idź śmiało ze świeżymi siłami naprzód!” — słyszałam głos kierowniczy, „dla jednostki dzielnej nie jest świat ten niemym — przeznaczeniem jej jest czyn!”

„Wskaż więc sile mojej czyn do spełnienia —”, tęsknie wołała dusza moja, modlitewnie złożone wyciągając ku niemu dłonie.

„Szlachetnym jest bohaterem, kto walczy za ojczyznę, szlachetniejszym, kto życie swoje poświęca krajowi, lecz najszlachetniejszym, kto ludzkość całą ukochał...”

„Pokój stawał się świątynią, której ściany marmurowe odbijały groźnym echem słowa arcykapłana.

Podłoga jaśniała jak jeden wielki rubin, — czy przepoiły ją bezmierne, krwawo-czerwone cierpienia ludzkości?

Dusza moja tarzała się w prochu u stóp ołtarza.

„Nazwij mi cel i kierunek mojego dążenia!” — szeptała.

„...Widzieć chciałbym wielki tłum — z ludem wolnym wolny tum...”

Już nie on jeden mówił te słowa, powtarzał je chór milionów głosów, i brzmiały w nich wszystkie nadzieje opuszczonych, cała tęsknota istot, żyć pragnących.

List od Egidy'ego, pełen wydarzeń ostatniej doby i planów na przyszłość, powrócił mnie do rzeczywistości, ukazując w mglistych zarysach pole właściwej dla mnie działalności. „Przeniesienie się pańskie do Berlina cieszy mnie niewymownie”, — odpowiedziałam, „a jeśli dzisiaj jeszcze nie byłabym w stanie odpowiedzieć panu twierdząco, czy mogę zostać współtowarzyszką walki pańskiej, wiem to jedno napewno: nie rozproszę sił moich na rycie się w starych foliach i nie zaćmię życia wzbijaniem w niebo tumanów drzemiącego w spokoju pyłu. Wiem, że za chrześcijaństwem słowa iść musi chrześcijaństwo myśli i czynu — mam tylko jeszcze wątpliwości, czy będzie ono miało wówczas prawo do tej nazwy.”

„Postanowienie moje ostatecznego zerwania projektów wejmarskich wywołało ogromne oburzenie całej mej rodziny. Matka widziała w tem nowy dowód słabości mojego charakteru. „Alicya nigdy jeszcze nie przeprowadziła nic konsekwentnie — zmienia swoje sympatyje dla ludzi i rzeczy, jak rękawiczki” — były jej słowa. — Ja sama natomiast wierzyć zaczynam, że ta niekonsekwencya jest jedyną konsekwencyą mojego życia. Wszystko i wszyscy są stopniami, a nigdy jeszcze nie cofnęłam się po żadnym wstecz. Ojciec jest smutny, — co mnie najwięcej zawsze boli, — wuj natomiast długą miał do mnie przemowę, której kwintensecyą było, że lepiej zrobiłabym wychodząc za mąż, niż wpadając w modny szal romantyczny.

Wracamy w przyszłym tygodniu do domu.

Obchodzę raz jeszcze wszystkie drogi i często zachodzą mi nagle oczy łzami, gdy widzę starą, porośniętą bluszczem, wieżę pirgaleńską. Była ona dla mnie

czemś żywym: wiernym, silnym przyjacielem, symbolem lat dziecięcych, spędzonych u jej stóp i pod jej ochroną. Teraz wszakże, od czasu gdy opuściła ją babunia, zamarła w niej dusza. I na mnie czas już odejść stąd. I chociaż zdobyta świadomość i powzięta decyzja zbroją w siły — boli jednak rozstanie ze zmarłymi. Tem bardziej, iż coś mi mówi, że nigdy już więcej nie mam ich oglądać...”

ROZDZIAŁ SIEDEMNASTY.

Słońce wrześnie! Blade, niebiesko-zielonkawe niebo, rozpięte nad Berlinem, przyćmiewa blaski i nadaje srebrny ton ceniom. Wytrwała kultura jałowego gruntu piaszczystego święci teraz najwyższy swój tryumf na skwerach publicznych i w ogródkach przed domami: liście na lipach i bukach jaśnieją przepychem barw — od złoto-żółtej do krwawo-pąsowej, na szmaragdowym podłożu trawników wdzięcznie odbijają łagodne fiolety i nikle rumieńce późnych astrów, melancholijnie zamierające blade róże tulą się do białych słupów kamiennych i balustrad żelaznych. Złote liście wirują, unoszone wiatrem, na ławkach pod drzewami siedzą wytworne mieszkanki wielkiego miasta, unikające jaskrawych barw i silnych uczuć, ubrane w suknie, które wyglądają, jak gdyby wypelzły na słońcu letniem.

Codziennie wczesnem popołudniem chodzimy we czworo do Zoologicznego ogrodu, gdzie mieszkańcy zachodniej części miasta stale spotykają się przy stawie obok orkiestry. Widać tu opasłych mieszczuchów, radośnie witających przyjaciół i krewnych zadowolono-

nych i szczęśliwych, że po obowiązkowej kuracyi znów siedzieć mogą spokojnie przy nakrytym czerwonym obrusem stole, zamiast pocić się i męczyć na górskich wycieczkach. Nie brak też świecących wytartą elegancją wdów po oficerach i urzędnikach, promenujących przed mężczyznami dobrze podżyte, mocno zawoalowane swoje córeczki. Pełno wreszcie próżniaczek, w które tak obfituje płeć kobieca, przesiadujących godzinami z trzymaną w ręku dla pozorów ręczną robótką i nie odpoczywającymi ani na chwilę od siania plotek ustami, zapominającymi nawet w zapale rozmowy o niedojezdzonych ciastkach i niedopitej kawie.

Na górze, przed restauracją, gdzie białe obrusy zdala już widoczną stanowią granicę pomiędzy klasami społecznymi, jaśnieją wytworne stroje pań i barwne mundury oficerów gwardyi, tuż obok arystokratycznych dam najwyższego towarzystwa siedzi piękna Otero w blasku brylantów i przedziwnie czarnych oczu. Z drugiej znów strony, za stawem i pagórkiem, siedzą cisi wielbiciele muzyki i natury, lub też wprost żądni wypoczynku z książkami swojemi i gazetami. Poniżej przepływają główną aleją fale kokietującej młodzieży; gołowąsi młodzieńcy z wyrazem udanego zblazowania na twarzach, dziewczątka w krótkich spódniczkach z rozplomienionemi zalotnością oczami; zużyci lowelasi, czyhający na łatwą zdobycz i nieskazitelne na pozór, skromnie, gładko uczesane młode panie o zimnych białych policzkach.

Po zaspokojeniu pierwszej ciekawości niechętnie tutaj przychodziłam. Spacery te zdawały mi się niepotrzebną stratą czasu, a, co główne, patrzyłam z lękiem

na obcowanie czarującej mojej siostrzyczki z całą zgrają flirtujących podlotków i uczniów.

Ojciec mój lubił jednakże towarzystwo starych przyjaciół, których mógł tu zawsze znaleźć, a matkę zajmował ruch wielkomiejski.

Wkrótce mieliśmy i my stały nasz stół pod wielkiem drzewem kasztanowem w pobliżu orkiestry. Zbierali się dokoła niego najrozmaitsi ludzie, których jedno wspólne łączyło uczucie: niezadowolenie. Życie zawiodło ich wszystkich w ich oczekiwaniach i winy tego niepowodzenia nie przypisywali naturalnie ani sobie samym, ani warunkom, — co mogłoby uczynić niezadowolenie pobudką do czynu płodnego, lecz ukrytym nieprzyjaciółom w wyższych dekasteryach wojskowych i cywilnych lub intrygantom przy nowym dworze cesarskim.

Byli między nimi ludzie, którzy dla zaokrąglenia szczupłej pensyi i dostarczenia tą drogą, odpowiednich stanowi, strojów żonom i córkom oraz zapewnienia synom zapomóg oficerskich, biegali całe popołudnia jako agenci rozmaitych towarzystw asekuracyjnych, aby po obiedzie móżd odgrywać w Zoologicznym ogrodzie rolę junkrów żyjących z renty. Inni, nie znajdujący ujścia dla swojej potrzeby czynu, jak najoryginalniejszych imali się środków.

Jeden zatapiał się w studia heraldyczne, inny zbierał marki pocztowe, trzeci poświęcał się wyłącznie studyowaniu Dantego, czwarty zagłębiał się w spirytyzm i opowiadał o innych co dzień objawieniach. Z nudów zbliżyłam się do tego jegomościa, niejakiegoś pułkownika Giżyckiego, którego silna postać o szerokiej rumianej twarzy nie pozwalała wcale podejrzewać w nim wybrańca duchów. W częstych moich z nim roz-

mowach bawiłam się obserwowaniem, w jak poufale pozostaje stosunkach z niebem i jak gorąco zarazem nienawidzi przedstawicieli kościoła. Wdzięczny za moje zainteresowanie się, codzien inne znosił mi książki i broszury i przebiegał za mną cierpliwie aleje ogrodu, kiedy, znudzona pełnem goryczy i rozżalenia, stałem naszym towarzystwem, nie mogłam już dłużej w niem wytrzymać.

Gdy tak spacerowaliśmy pewnego dnia po głównej alei, zatrzymał się nagle pułkownik na środku drogi.

„Jak się masz, kuzynie?” — zapytał; zaciekawiony wzrok mój padł po przez falę przechodniów na szczupłą, okoloną gęstą ciemną brodą, twarz, którą rozjaśniała para głębokich, dziwnie promiennych jakby wewnętrznem jakimś rozradowaniem oczu dziecięcych.

„Dobrze, bardzo dobrze”, — odpowiedział głos, brzmiący dźwiękiem szlachetnego metalu.

Jak szczęśliwy musi to być człowiek! — pomyślałam z cichą zazdrością. W tej samej chwili rozsunęły się obok nas fale ludzi, — spostrzegłam fotel na kółkach, — ciemny pled futrzany — parę wychudłych białych rąk, których niebieskie żyłki zdawały się być pociągnięte cieniutkim pędzelkiem, — zapadniętą pierś — — nie, niemożliwe, to nie mógł być ten sam człowiek z promiennymi oczami dziecka! Równocześnie wszakże podniosły się one na mnie — zmieszana opuściłam głowę. „Przepraszam panią” — zwrócił się do mnie mój towarzysz idąc dalej. „Kto to był?” — zapytałam, cała jeszcze pod wrażeniem głębokiego zdumienia.

„Profesor Giżycki — mój kuzyn” — brzmiała lakoniczna odpowiedź.

„Nie mógłby mnie pan z nim zapoznać?” Moje nagłe powstałe życzenie przybrało odrazu formę prośby. Pułkownik zmarszczył brew.

„To ateista i socyalista” — wycodził twardo przez zęby.

Drgnęłam, nie mogąc powstrzymać uczucia grozy. Pragnienie moje wzmogło się jeszcze wszakże.

„Przedstaw mnie pan” — nalegałam. Spojrzał na mnie z ukosa: „Ale weźmie pani na siebie całą odpowiedzialność!”

Zawróciliśmy. Nastąpiło krótkie ceremonialne zapoznanie: „Panna v. Klewe pragnęłaby cię poznać — — jest dziennikarką”.

Twarz profesora rozjaśniła się jeszcze bardziej: „Podwójnie cieszę się więc z poznania pani” — rzekł, ujmując serdecznie moją dłoń z siłą, o którą nie byłabym go posądziła. „Każda pracująca kobieta jest zdobyczą dla naszego społeczeństwa”.

„Czy zdobyczą również dla sztuki i nauki?” — pytałam z odcieniem zwątpienia.

„Rozumie się! Skoro tylko otworzą się przed wami wszystkie akademie i uniwersytety jak przed mężczyznami!” Spojrzałam na niego zdumiona. Dotychczas czytałam o studyujących kobietach jedynie w pismach humorystycznych, a spotykane tu i owdzie rosyjskie studentki w powykręcanych bucikach, oberwanych spódnicach i krótko strzyżonych włosach potęgowały wrodzony głęboki mój wstręt do wyrzekania się kobiecości. Wyowiedziałam mu pogląd mój na tę sprawę. Profesor uśmiechnął się. W tej samej chwili wyminęła nas wdowa z przejrzałymi córeczkami.

„Czy te biedne stare panny, sprowadzane tutaj

od lat już na targ małżeński, są podług pani godniejszemi przedstawicielkami kobiecości?" rzekł. — „Wolę w każdym razie rosyjską studentkę; ona sama, chociażby była najbiedniejszą — nie chciałaby w żadnym razie zamienić się na ich los. Zdobyła bowiem wolność i pracę, jest więc tysiąckroć bogatszą od tamtych". Zamilkł, wobec mojego milczenia wszakże — słowa jego tak proste spotęgowały jeszcze moje zdumienie — mówił po chwili dalej: „Przedstaw sobie pani kobietę w mojem położeniu, — jakże musiałyby się czuć nieszczęśliwą nietylko dlatego, że niedostępnymi byłyby dla niej tysiączne uciechy życiowe, ale przede wszystkim dlatego, że czułaby się niepotrzebną, że życie jej byłoby bezcelowem. Ja natomiast jestem zupełnie szczęśliwy!"

Oparł się głęboko o grzbiet fotela, skrzyżował ręce na pledzie i patrzył z wyrazem błogości poprzez głowy ludzi na żółte wirujące liście, na różane obłoczki wieczornego nieba.

Serce biło mi jak młotem. Nie byłam w stanie wyrzec słowa, wdzięczna też byłam rodzicom, którzy odszukawszy mnie w tej chwili, uwolnili mnie od konieczności przemówienia.

Od dnia tego najniecierpliwiej z nas czworga wy-
czekiwałam poobiedzia, a gdy dni stawały się coraz pochmurniejsze i bardziej jesienne, odbywałam sama zwykłą drogę, aby w coraz bardziej osamotnionym ogrodzie odszukać przyjaciela, którego przejrzysta dłoń chorego wiodła mnie na strome wyżyny, skąd bezmierne otwierały się widoki i ciemne otwierała przede mną głębie, pełne tryskających z nich skarbów. Nie zadawał mi pytań, mimo to umiał ciepły promień jego oczu wydobywać na jaw najskrytsze myśli moje, a ilekroć

gmatwały się one i chaotycznie plątały, umiał zawsze ostrożnie je powiązywać! Przynosił mi książki, gazety i pisma, a gdy, obładowana nimi, wracałam do domu, trudno mi było z nimi rozstawać się i wracać do zwykłych zajęć. Miałam niejedną rozpoczętą i zamówioną pracę do wykończenia, czyniłam to jednak niechętnie, opanowana jedynie pragnieniem stanięcia o własnych siłach.

Profesor wszakże umiał i tę pracę uczynić cenną dla mnie samej. „Ileż wielkich, dobrych i niebezpiecznie rewolucyjnych idei może pani przemycać, umiejętnie wyzyskując swojego Goethe’go” — zauważył — „a te liczne drobne płomyki, jakie pani zapali, w jeden w końcu złączą się wielki płomień”.

Wiedział i on oczywiście aż nadto dobrze, że dokonanie tego nie mojem będzie dziełem, wszakże gdy mu powiedziałam, że nic nie widzę dla siebie do roboty, wyśmiał mnie jasnym wesołym śmiechem, nic nie mającym wspólnego z szyderstwem. „Nadmiar zadań winienby raczej przerażać panią swoim ogromem, gdyby nie było pani dość silną, aby mózdz podołać im wszystkim” — zapewnił mnie z całą stanowczością.

Zagłębiłam się, idąc za jego radą, w studyowanie literatury ruchu kobiecego angielskiego i amerykańskiego. Rozwijane w niej myśli wydawały mi się nieuniknioną konsekwencją moich własnych na tę sprawę poglądów. Cierpiałam z powodu braku swobody, a niemożność rozwijania moich uzdolnień i znalezienia dla nich zastosowania przytłaczała mnie wprost. Czytałam Condorceta i Johna Stuarta Milla i zapoznałam się z bohaterскими walkami Amerykanek o zniesienie niewolnictwa. „Wszystkie one mają prawo do uważania się za

równe mężczyźnie” — rzekłam do profesora — „jak on bowiem poświęcił majątek i życie za wolność”. Ale my?”

„Nadanie praw politycznych nie jest przecież i u mężczyzny wynikiem czynów bohaterskich!” — odpowiedział. „A gdyby czyniono je wogóle zależnem od jakichkolwiek warunków, uważałbym jeden tylko za słuszny: miarę cierpienia. Kto najwięcej cierpi, powinien zdobyć najdalej idące prawa, aby mózdz usunąć przyczynę swoich cierpień. Czy nie sądzisz, że kobiety musiałyby w takim razie w pierwszym stanąć szeregu?!”

Myślałam o robotnicach Augsburga i nie mogłam nie przyznać mu słuszności. Nazajutrz przyniósł mi plikę gazet. Czerwone i niebieskie znaki na marginesach świadczyły o uważnem ich czytaniu. Otworzywszy ją, przeraziłam się wszakże: „Trybuna ludowa, tygodnik socjalistyczny” — brzmiał nagłówek. Usta profesora okolił ironiczny nieco uśmiech.

„A więc i pani boisz się socyałów!” — zauważył z uśmiechem. — To nic, może pani śmiało czytać to pismo, — nauczyło mnie ono więcej, niż niejedno wielotomowe dzieło uczonych moich kolegów!”

Zabrałam gazety i przyszedłszy do domu, tak zagłębiłam się w ich czytanie, że zauważyłam późną godzinę wówczas dopiero, kiedy ojciec mój zamknął wejściowe drzwi. Powrócił z Brandenburga, gdzie brał udział w jubileuszu dawnego swojego pułku.

„Co to, nie śpisz jeszcze?” — zawołał. — Mogę ci w takim razie oddać ukłony od Egidy'ego. Nie wiedziałem wcale, że służył w 35-ym pułku, zanim przeszedł do kawaleryi. Pyszny z niego chłop, śmiały i uczciwy. I — wyobraź sobie! ta szelmowska klika wygryzła

go. Możesz sobie wyobrazić, że tem żywiej wyraziłem mu uznanie moje za jego stałość przekonań. O mało mnie nie uściskał przez wdzięczność.

W tej samej chwili zauważył ojciec nagłówek leżącego przede mną pisma.

„Co za lotr śmiał podsunąć ci podobne gałgaństwo?” — wrzasnął. — „Zastrzelę go jak psa!”

„Kupiłam” — skłamałam śmiało — „należy poznać przeciwników naszych z ich własnych pism.”

„Ojciec mój pochwyił z wściekłością gazety i podarł je na kawałki. „Nie waż mi się przynosić więcej do domu podobnych świństw!” — zagroził mi podniesioną pięścią. „Ani jeden kawałek papieru, zadrukowany przez ludzi, zdradzających ojczyznę, tolerujących wiarołomstwo i królobójstwo, nie może się znaleźć w ręku mojej córki!” Trzesąc się z oburzenia, zatrzasnął z hukiem drzwi.

Nazajutrz zrana odwiedził nas Egidy. Z cylindrem w ręku, wyprostowany, jak struna, jakgdyby meldując się przed zwierzchnikiem, stanął przed moim ojcem.

„Łaską, którą Wasza Ekscellencya raczyła mi wyświadczyć w Brandenburgu, zaliczam do najszczęśliwszych chwil, jakich danem mi było doznać w dotychczasowem mojem życiu. Słowa Waszej Ekscellencyi— a mówię to tylko, co czuję — były najwznioślejszemi ze wszystkich, jakie słyszałem od chwili spełnienia mojej powinności”. — Wypowiedziawszy tę tyradę donośnym i stanowczym głosem, zwrócił się z kolei do matki mojej i do mnie.

„Czy mogę przyprowadzić paniom moje córki?” zapytał. — Są to dobre dzieci, które mężnie znosiły wraz

ze mną mój los, nie mogąc jednak nie odczuć boleśnie swojego wykolejenia”. Podałam mu rękę.

„Rozumie się, panie v. Egidy. Czem tylko będę umiała, służyć będę chętnie pańskiej rodzinie”, — odparłam.

„A czy wolno mi liczyć nietylko na przyjaźń pani, ale i na jej współpracę” — raz jeszcze wyciągnął do mnie dłoń.

Podałam mu rękę z pewnem wahaniem: „Na przyjaźń moją, tak! Współpracy wszakże nie mogę panu jeszcze przyobiecować!”

Wzrok jego zasępił się. „Szanowny ojciec pani ceni stałość przekonań”... zauważył z naciskiem.

„I ja też będę umiała iść za głosem przekonania!” — odparłam podrażniona.

Po południu opowiedziałam profesorowi o Egidym i moim do niego stosunku. Byłam jeszcze rozgniewana i sąd mój o nim a zwłaszcza o jego połowiczności nie musiał wypaść dość łagodnie. Profesor potrząsnął głową, co było wyraźną u niego oznaką niezadowolenia. „Żądasz pani istotnie nieco za wiele od ludzi. Nie jest-że to samo już nadzwyczajnością, faktem wysoce pocieszającym, że człowiek taki jak on potrafił podjąć w ten sposób walkę z uświęconymi tradycją poglądami na religię? — Niezliczeni ludzie, którzy nie chcieliby wcale słuchać wyraźnych wolnomyślicieli, wysłuchają go i dzięki niemu właśnie postawią na pochyłej płaszczyźnie pierwszy krok, który napewno nie będzie ostatnim!”

Pomyślałam o własnych moich przeżyciach i przyznałam mu słusność. Dotychczasowe nasze rozmowy krążyły wyłącznie niemal dokoła kwestyi kobiecej, dzisiaj dotknęliśmy po raz pierwszy kwestyi religijnej.

Opowiedziałam mu o własnej mojej w tym kierunku ewolucyi.

„Religijne walki sumienia były mi obce” — zaczął.— „Nauka religji w szkole polegała na mechanicznem uczeniu się na pamięć, co robiłem zupełnie bezmyślnie, jak ucząc się jej reguł gramatycznych lub tabliczki mnożenia. Czem jest dla innych dzieci religja, tem była dla mnie przyroda, że zaś byłem zawsze wątlęm bardzo dzieckiem i nie mogłem brać udziału w zabawach rówieśników, popierali rodzice moje w tym kierunku upodobania. Pokój mój był istnem wiwaryum, z własnych też obserwacyi uczyłem się z wzrastającym zachwytem poznawać życie zwierząt i roślin we wszystkich cudownych jego przejawach. Teraz posiadam już tylko parę ptaków i trochę kwiatów na oknach”, — uśmiechnął się smutnie. „Od śmierci mojej matki w ubiegłym roku i ostatecznej mojej bezwładności nie miałby już kto zajmować się moimi żywymi towarzyszami”. Charakterystycznym ruchem swoim przeciągnął się, jakgdyby chcąc odegnąć natrętne smutne myśli — „zresztą czasem stali się dla mnie ludzie ciekawszymi od zwierząt. Zacząłem studyować fizyologję, jako jedyne dostępną dla mnie dziedzinę. Nieszczęśliwa moja wszakże miłość do nauk przyrodniczych ujawniała się już w pracy mojej doktorskiej, w której rozpatrywałem filozoficzne wyniki darwinowskiej teoryi ewolucyi. Musi ją pani kiedy przeczytać — jeszcze dzisiaj cieszę się nią. Mieszkałem u mojej matki, bardzo rozumnej kobiety — zżoda, że ją pani nie znała która w naciągniętych nieco pozostawała stosunkach z Panem Bogiem, nie mogąc mu darować, że zrobił z jej jedyne go chłopca kalekę. Troszkę się to musiało odbić też i na mnie...”

„Nie przeszkodziło to panu jednak stać się szczęśliwym człowiekiem!” — zauważyłam.

„Zawdzięczam to również naukom przyrodzonym oraz wielu moim przyjaciółom”.

„Pańskim przyjaciółom?”

„Tym, którzy są stale przy mnie, a którzy mówią do mnie wtedy tylko, kiedy mi są potrzebni: książkom. Pierwsze niewzruszone podstawy szczęścia dało mi darwinowskie prawo rozwoju, umacniające wiarę moją w nieskończoną moralną i umysłową zdolność doskonalenia się natury ludzkiej, co stało się też odtąd głęboką, zastępującą wszystkie inne, wiarą moją.

Serce zabiło mi radośnie; bezwiednie pochwyciłam gorącą dłońią moją chłodne jego palce. „Dziękuję panu — dziękuję stokrotnie”, — wyjąkałam drżącym głosem, „nie jestem więc osamotniona w myślach moich i uczuciach, które blizkie już były opuszczenia mnie. Niegdyś w szczęśliwej godzinie spisałam je, — czy mogę je panu przynieść?”

„Proszę panią o to!” Serdeczne jego spojrzenie przeniknęło mnie do głębi. Miałabym znów zacząć wierzyć w Opatrzność, która zsyła mi na drogę życia kobietę taką, jak pani?!”

Przyszli rodzice i zabrali mnie. Ojciec był dziwnie szorstki i milczący. „Będziesz musiała zaniechać nadal rozmów z profesorem” — rzekł na drodze powrotnej. „Dowiedziałem się od Waltera, że ma on opinię jednego z najniebezpieczniejszych teoretyków socjalizmu.” „Wyznał niedawno z cyniczną lekkomyślnością, że nie wierzy w Boga” — dorzuciła mama pąsowa z oburzenia.

„Jeśli uczynił tak, to napewno nie przez cynizm

ani lekkomyślność, ale jedynie dając wyraz przekonaniom swoim, co tak cenicie u Egidy'ego — odparłam.

„Ateista jest przestępcą!” — zawołała mama z irytacją, poczem zamilkliśmy wszyscy, nie chcąc wywołać sceny na ulicy.

Gdy nazajutrz jesień z porywem wichru i szumem nawałnicy deszczowej szalała na ulicach miasta, ogalając do reszty drzewa i krzewy, zdobiące dotychczas ogrody i skwery przepychem barwnych swych liści, odetchnęła mama z ulgą: „Skończyły się wreszcie poobiedzia w Zoologicznym Ogrodzie!”

O zwykłej porze wyszłam z domu, niosąc pod pachą starannie owinięte dawne moje wyznanie wiary oraz małą czarną książeczkę.

Droga moja wiodła obok całego szeregu nowowznoszonych budowli, z których zionął wilgotny zapach piwniczny, przejmujący dreszczem do szpiku kości. Po przeminięciu ulicy Kleista, której nowe domy, jak świeżo z bogaceni parweniusze, prześcigały się wzajemnie przepychem i przeladowaniem ozdób, skręciłam w cichą, ciemną uliczkę, w której nieśmiało przedzierające się przez chmury promienie słońca złociły już tylko dachy domów. Do jednego z nich weszłam.

„Profesor Giżycki?” Odźwierna obrzuciła mnie ciekawym wzrokiem: „Domek w ogrodzie—parter!”

Dziedziniec był jeszcze węższy i ciemniejszy, niż w naszym domu a schody zupełnie były ciemne. Na odgłos dzwonka zjawił się służący. W przedpokoju ciemno było jak w grobie. W następnej jednak zaraz chwili olśniła oczy moje nadzwyczajna jasność. Przez otwarte drzwi pokoju, do którego weszłam, wpadała fala złoto-czerwonego światła.

„Witam drogą, łaskawą panią” — usłyszałam miękki głos profesora.

Dostrzegłam go: siedział przy gęsto oplecionem dziekiem winem oknie, z którego szeroki rozciągał się widok na ogrody. Słońce zalewało stojące przed nim biurko siecią błyszczących krążków złocistych, muskając w przelocie liczne szeregi ustawionych na ściennych półkach książek. Dwa barwnie upierzone ptaki fruwały swobodnie po pokoju, lecz spłoszone snadź mojem wejściem, pierzchły, wydając przeciągłe fletowe tony.

Biała dłoń profesora wskazała mi uprzejmie szeroki fotel obok biurka. On sam wydał mi się w tem otoczeniu z dziecięcemi swemi oczyma i bezcielesnym, ukrytym pod pledem, korpusem istnym czarodziejem wśród bajkowego swego królestwa. Stanął mi w myśli mój ciemny, ponury pokój, — od jak dawna już szukała tajemna tęsknota moja podobnego przybytku barw i światła?

„Wie pani, spodziewałem się dzisiaj napewno jej odwiedzin!” — rzekł, — „dla tego też kazałem przygotować dzisiaj ciastka do kawy jak w święto!” |

Chciał usłużyć mi, przysuwając bliżej wniesiony przez służącego stolik. „To kobieca robota”! — roześmiałam się, odbierając mu imbryk z kawą. Siedzieliśmy naprzeciw siebie, jak para starych przyjaciół. Po wypiciu kawy przeczytałam mu „Przeciw kłamstwu”.

„Wiedziałem, że nie przyniesie mi pani nic pospolitego”, — zaczął po chwili milczenia, które mnie już mocno zaniepokoiło. — „Nie mógłbym oczekiwać od żadnego z moich studentów tyle siły, polotu i samodzielności... Długo myślałem o pani, byłbym jednak zachował dla siebie wynik tych rozmyślań, gdyby nie była

pani mi pozwoliła zajrzeć w głąb swojej istoty duchowej. Skoro to się stało, pozwoli pani, że uczynię jej pewną propozycję, której egoistyczne pobudki mocno, co prawda, obarczają moje sumienie: Nie ma pani brata, mnie odmówiła Opatrzność siostry, pozwól mi więc pani być jej bratem i po bratersku się panią zapiekować. Przedstawię pani — wskazała na półki biblioteczne — „wszystkich moich dobrych przyjaciół. Uzupełni pani szybko braki swojego wykształcenia filozoficznego, — a potem — —...” zawahał się przez chwilę.

„Cóż potem?!” — zapytałam zaciekawiona.

„Potem będzie pani mogła dokonać tego, co dla mnie jest niedostępne: nieść w świat światło myśli naszych.”

„Czy będę mogła — — czy będzie mi wolno to czynić?! Rodzice moi już teraz...”

Przerwał mi. Ostry wyraz zarysował się w łagodnie zazwyczaj podniesionych kątach jego ust. „Kto jął się pługą i ogląda się wstecz, nie godzien jest naszej sprawy...”

„Zapoznaj mnie więc pan ze sprawą swoją, — z góry już wierzę, iż będzie ona i moją!”

Nie powinna pani wierzyć w to, w co wierzyć nie ma jeszcze pani prawa! Jest to nauka nowej moralności! — Weź pani te oto książki w ciemno-błękitnej oprawie, — przeczytaj je w domu z całą uwagą i spokojem, — a potem powie mi pani, co pani myśli o nich i o mojej propozycji”.

Wstałam. Ciężko mi było niewypowiedzianie rozstać się z cichym tym zakątkiem, rozświetlonym tyleż jasnymi promieniami październikowego słońca, ile

jasnym duchem pogody, równowagi i wewnętrznego wesela.

„Dzięki, tysięczne dzięki”, zawołałam, kierując się ku wyjściu.

Byłam już przy drzwiach, kiedy raz jeszcze usłyszałam jego głos:

„Przyjdzie pani znów rychło — jutro — wszak prawda? Skinęłam głową”. Po chwili pochłonął mnie ciemny przedpokój, ponury dziedziniec, zimna ulica.

„Skąd wracasz?” Takim pytaniem, któremu towarzyszyło podejrzliwe spojrzenie, przyjął mnie w domu ojciec. Siedzieli wszyscy troje przy wieczerzy. Miałam już na ustach pierwszy lepszy wykręt — nagle jednak olśniła mnie świadomość, że ukrywanie i kłamstwo zbezczeszcza przeżyta przeze mnie w tym dniu chwilę.

„Od profesora Giżyckiego...” Odpowiedzią było przedewszystkiem tak gwałtowne grzmotnięcie przez ojca pięścią w stół, że zadrgały wszystkie na nim szklanki.

„Niestychane!” — wrzasnął — „i śmiesz powiedzieć mi to po wysłuchaniu wczoraj wyraźnego nakazu mojego, ażebyś zerwała znajomości z tym panem?! — Biegasz jak dziewczka uliczna do mieszkania nieżonatego mężczyzny. Chcesz mnie widocznie do grobu wpędzić, okrywając mnie podobną hańbą!” Biegał jak rozjuszony zwierz po pokoju, a na czoło jego grube wystąpiły krople potu.

Zmusiłam się do zachowania spokoju. „Nie wiesz, co mówisz, ojcze!

„Pan Giżycki jest ciężko chorym człowiekiem

i nikt nie może tłómaczyć sobie opacznie moich odwiedzin!”

Słowa te zamiast go uspokoić spotęgowały jeszcze jego szalony gniew. Chciałam wyjść z pokoju, w którym mama i Elżunia, nieme z przerażenia, siedziały przygwożdżone na miejscu.

„Zostań!” — wrzasnął ojciec, chwytając rękę moją w żelazne kleszcze swoich palców. „Przyrzecz mi, że te odwiedziny pozostaną pierwszemi i ostatniemi, a wybaczę ci tym razem!” Gdy mówił to, wzrok jego z wściekłego stał się łagodnie proszącym i z pełnym miłości wyrazem przywarł do moich ust. Serce ścisnęło mi się boleśnie: umiałam przeciwstawić się szalonemu wybuchowi gniewu, — ale miłości.... Przymknęłam na chwilę oczy: „Kto jął się pługa...”

„Nie mogę ci tego przyobiecać, ojcze!” Przez chwilę złowrogie zapanowało milczenie. Szeroko rozwarte i osłupiałe z przerażenia oczy jego wpiły się we mnie, po cem spadła na mnie spotęgowana tysiąckrotnie burza złorzeczeń wymysłów i przekleństw. Wmieszała się i matka, mówiąc coś o djabelskich podszeptach kusielskich renegata, o konieczności schronienia się przed niemi i przyśpieszenia zapowiedzianego dopiero na wiosnę powrotu mojego do Weimaru. Odwoływała się do mojej ambicyi, starała się podniecić moją próżność, gdy równocześnie usposobienie ojca stawało się — jak zwykle po szalonych wybuchach — coraz łagodniejszym, „My sami jesteśmy wszystkiemu winni, tylko my sami”, — rzekł — „nie umieliśmy otoczyć cię towarzystwem do jakiego masz prawo. Ale to się zmieni, musi się zmienić. Będziemy bywali przy dworze, do którego

należymy. A ty staniesz się znów mojem dobrem i posłusznem dzieckiem!”

Nie, ojczel! — Mam dwadzieścia sześć lat. Gdybym była waszym synem, a nie waszą córką, uważalibyście za rzecz zupełnie naturalną, że chodzę własnymi swojemi drogami. Nie mogę myśleć, jak i wy i nie jestem w stanie zadawalniać się li tylko rolą córki domu. „Jeśli nie odpowiada wam towarzystwo, bez którego nie mogę już się obejść, jeżeli nie chcecie utożsamić się ze mną, — pozwólcie mi iść swobodnie obraną przeze mnie drogą, — dajcie mi dobrowolnie wolność!”

Słowa moje podziałyły w sposób nieoczekiwany. Rodzice moi umilkli nagle.

Zdawali się być głęboko dotknięci moją propozycją. „Sama chyba nie przypuszczasz, abyśmy mieli wdawać się z tobą w podobne rozprawy” — oznajmił mi ojciec zimno. „Idź do twojego pokoju. Mam nadzieję, że rozmyślisz się do jutra rana.”

Ranek nadszedł i zastał mnie zdecydowaną raczej opuścić dom rodzicielski, aniżeli wyrzec się bywana u profesora. Rodzice, mający do wyboru skandal z powodu uciekającej z domu córki lub ustąpienie mojemu żądaniu, wybrali to ostatnie. Pozostał wszakże nastrój przygnębiony, jak gdyby przesiąknięty niedowierzaniem i wrogością. Ojciec tylko starał się wszelkimi siłami skierować zainteresowanie moje na inne tory. Pragnął niemal, abym przyjęła udział w dążeniach Egidy’ego, przekonany był bowiem, że sparaliżuje tem inne wpływy. On sam wszakże trzymał się od sprawy tej zdala.

„Nie uchodzi mi, jako pruskiemu generałowi, mieszać się do jakichkolwiek ruchów społecznych. „Je-

stem żołnierzem — i nic więcej”, — rzekł do Egidy’ego, gdy złożyliśmy mu rewizytę, która była zarazem jego pierwszą i ostatnią zrobioną u dawnego towarzysza broni. Tem częściej stowarzyszyła mu tam matka moja, z początku z nieciepliwie zaciśniętymi wargami, jedynie z poczucia obowiązku, — należało przecież zachować pozory w obec człowieka, należącego do tej samej sfery, a forma nie pozwalała młodej dziewczynie bywać w towarzystwie samej — potem wszakże z wzrastającym osobistem upodobaniem. Pstry ten świat, gromadzący się co wtorek wieczorem w gościnnym domu Egidy’ego, był dla niej zupełnie nowy, z dziecinną też niemal ciekawością przyglądała się każdemu towarzyszwowi, gdy przeciwnie, moje zainteresowanie nowem i obcem środowiską słabło tem bardziej, im goręcej szukałam współideowców.

Dziwacy najrozmaitszego rodzaju zapelniali salony Egid’ych, nie wyłączając nawet ludzi, których biedny zacieśniony wskutek nieustannego krążenia dookoła jednej myśli, umysł coraz większemu podlegał stopniowo zamroczeniu. Byli między nimi ludzie, szukający zbawienia świata w powrocie do natury, chodzącej boso w stroju Nazarejczyka, żywiący się pestkami, noszonemi w kieszeni; inni o bezbarwnych ascetycznych twarzach, głoszący z tłumioną przemocą namiętnością żądz — samozagładę ludzkości, zaś jako przeciwstawienie ich, fanatyczni anarchiści, usiłujący usprawiedliwić rozkielznanie własnych chuci hasłem zapewniania nieograniczonej swobody jednostce.

Zbierało się też mnóstwo studentów i studentek wszelakich narodowości, którzy z młodzieńczą przesadą dopatrywali się w Egidym nowego odkupiciela,

spora garstka podstarzałych niewiast, wyłażących niby krety z cichych zakątków niezapełnionego swego życia i składających niewygasłe resztki uczuć u stóp nowego proroka, sporo pańskich dziadów, szukających tutaj jedynie suto zastawionego stołu, gdzie w tygodniu mogli najeść się do syta; tu i owdzie rozmaitego rodzaju awanturnicy, starający się pozyskać dla swoich celów bogatego, zbyt łatwowiernego wszakże człowieka i wreszcie garstka szczerych wyznawców, przeważnie literatów i teologów, daremnie usiłujących obronić Egidy'ego przed nim samym. Znajdował on czas dla każdego, interesował się szczerze każdą troską, z którą mu się zwierzano; a ilekroć ostrzegano go przed tym czy owym gościem, znanym jako notoryczny oszust, mawiał z głębokim przekonaniem: „Kto przychodzi do mnie, daje tem najlepszy dowód, że ma szczerze postanowienie stania się innym. Miałbym więc zamykać przed nim mój dom?”

Zjawiali się też i poważni ludzie, mężczyźni i kobiety, noszący sławne nazwiska, działacze i reformatorzy z rozmaitych dziedzin życia publicznego, wszyscy oni usiłowali pociągnąć Egidy'ego w swoją stronę: abstynenci, przyjaciele powszechnego pokoju, pedagodowie i bojownice o prawa kobiet. Wszyscy oni rozpraszający siły swoje na drobiazgi zdawali się czekać na słowo wieszczca, kruszące własne ich pęta i jednoczące ich do wspólnego wielkiego dzieła. Byłby że Egidy istotnie wybrańcem, który słowo takie miał wypowiedzieć?

Przeczytałam dane mi przez Giżyckiego książki: własny jego traktat o moralności oraz pisma pionierów i kierowników towarzystw etycznych amerykańskich i angielskich. Wszyscy oni stali na stanowisku jedności

etyki w zestawieniu z wielością wierzeń religijnych i byli przekonani, że ludzie, mający szczerze na względzie dobro, mogą się zjednoczyć na gruncie, obowiązującej wszystkich, etyki w wielkim dziele moralnej i społecznej reformy — niezależnie od różnych transcendentalnych swoich na świat poglądów.

Stawiali oni na najwyższym piedestale absolut — moralność; dobro bowiem nie dla tego jest dobrem — jak mówili — że siła wyższa nakazuje wierzącym czynić je, ale dlatego właśnie nakazuje, ona je, że jest ono dobrem, a zatem i dla wierzących musi być nakazem wszechwładnym. Nie stawiali moralności żadnych poszczególnych przepisów, uważając za jedyny jej sprawdzian i miernik najwyższą sumę szczęścia największej liczby ludzi.

Dzieła te były dla mnie objawieniem; znajdowałem w nich owo wyzwalające słowo, nietylko wzywające wszystkich błędzących po bocznych ścieżkach do wspólnego dzieła i celu, lecz będące zarazem ścieżką czarodziejską, pod której dotknięciem wytryskują z opoki serc ludzkich żywe źródła owoczesnego czynu; rozwierała się w nich przed oczyma mej duszy nietknięta dziedzina, do której badania i uprawiania zdawałam się i ja wraz z innymi być powołaną. Myśl zawiązania w Niemczech towarzystwa etycznego, które miało stać się sumieniem publicznym narodu — pochłonęła całą moją uwagę, najżywsze budząc we mnie zainteresowanie.

Bywałam codziennie u profesora, Oddawna już żywił on to samo, co i ja pragnienie, nie mogąc, z powodu wątłości swojego zdrowia, marzyć nawet o możliwości rychłego jego spełnienia.

„Czyż nie miałem słuszności? — powiedział pewnego razu — gdy mówiłem, że winienem wielką Panu Bogu wdzięczność za dziwne moje spotkanie pani na drodze życia? Dzięki pani urzeczywistnionem zostanie umiłowane moje marzenie!

Wypracowaliśmy w najdrobniejszych szczegółach plan naszego działania: przedstawiciele najrozmaitszych kierunków religijnych i politycznych podpisać mieli pierwsze wezwanie w sprawie założenia towarzystwa etycznego. Zadaniem jego miało być stworzenie neutralnego gruntu, na którym wszyscy ludzie mogliby swobodnie wypowiadać poglądy swoje na wszystkie palące kwestye społeczne, aby potem — na podstawie wzajemnej wymiany myśli — łącznie opracowywali i przedstawiać rządowi projekty praw, a także wyraźnie określone zajmować w obec najrozmaitszych przejawów życia społecznego stanowisko. Nie wolno było ani zwalczać, ani wykluczać ludzi z racyi politycznych ich przekonań, o ile tylko nie wykraczali oni przeciwko zasadniczej towarzystwa podstawie: dążenia do największej sumy szczęścia dla największej liczby ludzi.

Na tym punkcie grzęzła myśl moja: „Rozważając dojrzałe tę sprawę, dojść można do przekonania” — rzekłam po długiej chwili, — że prawdziwy chrześcijanin nie może wstąpić do naszego związku. Trudno oczekiwać tolerancyi dla odmiennie wierzących u ludzi, przekonanych, że ich wiara jedynie jest zbawczą, a już zupełnie niechrześcijańskiem jest stawianie największej sumy szczęścia jako celu naszych dążeń.

Profesor roześmiał się na moje słowa: „Jasno rozumiesz pani, droga przyjaciółko i dlatego wyznam ci więcej jeszcze: nikt z ludzi, wierzących w określoną żywą

istotę boską, nie może się do nas przyłączyć; musiałby przecież przypuścić, że sama ta istota boska podporządkuje się moralności. Religia, jako nieokreślone wierzenie metafizyczne, jako upajający chwilowo haszysz słabych dusz, może znaleźć zwolenników z pośród naszych szeregów, nigdy zaś religia, jako podstawa moralności. Cesarz i junkier mają ze swojego punktu widzenia najzupełniejszą słusność, gdy starają się utrzymać dla mas ludowych religię i oddać szkołę pod bezpośrednie zwierzchnictwo Kościoła: religia jest największą przeszkodą do szerzenia prawdziwej kultury etycznej. Wdzięczność za wszystko, co posiadamy i czym jesteśmy duchowo i fizycznie, kierowana jest wyłącznie ku Bogu, zamiast znajdowania ujścia w czynach, mających na względzie dobro ludzkości, której wszystko w gruncie rzeczy zawdzięczamy. Konieczność korzenia się przed wolą siły wyższej oraz wiara w zbawienie duszy osłabiają naszą siłę przeciwstawienia się złemu, naszą chęć do walczenia z nieszczęściem. Spychanie na siłę wyższą odpowiedzialności za cierpienie unicestwienia w zarodku całą, płynącą z miłości bliźniego, siłę samowyzwalania się i wyzwalania ludzkości z jarzma nędzy i niewoli.”

„Nie rozumiem pana — zdajesz się pan przemawiać przeciwko własnemu planowi — sądząc ze słów pańskich, winno być związane towarzystwo nietyle etyczne ile ateistyczne” — zaprotestowałam.

„Myli się pani, — fanatycy ateści, których wypadłoby nam pokonywać, szkodziliby naszej sprawie co najmniej tyleż, ile bigoci. Chcemy szerzyć etykę, a etyka ta mieści w sobie siłę prawdy, która powoli rozpędzi wszystkie dawne widma. Jak dla mnie — mówimy przecież z sobą zupełnie otwarcie! — polega

główne zadanie Towarzystwa Etycznego, nie na przykrojeniu płaszczyka etycznego, jednako odpowiadającego prostym i krzywym, ale na torowaniu dróg moralnemu i socyalnemu rozwojowi ludzkości”.

Zamilkłam; opanowało mnie uczucie głębokiego lęku przed nieznanem niebezpieczeństwem. Socyalizm!—stanęli mi przed oczami duszy ludzi o niskich czołach i twardych pięściach, suchotnicze kobiety i dzieci o starczych twarzach, z wykrzywionemi nienawiścią rysami, z kułakiem zaciśniętym wrogo przeciw wszystkiemu, co czyni życie nasze pięknem i bogatym, zionący wonią krwi i potu. Chętnie pragnęłam im dopomóc—wyrąbać drogę po przez dzikie gąszcze ich nędzy, nie bojąc się przytem cierni, kaleczących mi dłonie, ani spadających gałęzi, które mogłyby mnie zranić. Ale wprzód się w ich szeregi, — dreszcz grozy przejął mnie na samą myśl tę.

„Dlaczego pani tak pobladła i umilkła?” — usłyszałam serdeczny głos Giżyckiego. „Przepraszam panią, przywykłem już głośno myśleć wobec pani, nie zoryentowałam się więc, jak bardzo tem panią przeraża!”

„Zbyt dobre miał pan, jak zawsze, o mnie mniemanie, muszę więc ja pana prosić o przebaczenie za to, — a nie odwrotnie” — odparłam. — Musi pan być cierpliwym, dopóki nie oswoję się z nowemi dla mnie widnokręgami. Nie znam też właściwie istoty socyalizmu. Niejedno z tego co słyszałam, zgadzało się z własnym moim na tę sprawę poglądem, wiele wszakże stron tego ruchu odpychało mnie zawsze—”

„Znów każę mówić za siebie milczącym moim przyjaciółom!”

I wskazując na książki i broszury, które miałam

wyjąć z jego szafy bibliotecznej, dodał: „Jedno tylko pragnąłbym zaznaczyć pani już dzisiaj: do moich przekonania etycznych doszedłem na drodze studyów naukowych, na tej samej też drodze zrozumiałem, że rozwój w kierunku reform socyalnych jest nieunikniony, zgodny z prawami, rządzącemi światem, bez względu na to, czy uczuciowo burzymy się przeciwko temu, czy nie. Skoro wszakże doszedłem do podobnego przekonania, nie istnieje dla mnie z mojego etycznego stanowiska inny wybór poza oddaniem się zupełnem sprawie tego rozwoju i wyłożeniem wszystkich sił, aby odbywał on się w sposób możliwie pokojowy, jak najmniej zagrażający szczęściu ludzkości. Zadaniem też mojem jest wskazywanie innym tej samej drogi poznania, po której sam szedłem,— takim też winno być główne zadanie Towarzystw Etycznych!

„I sądzi pan, że ludzie dadzą się poprowadzić po tej drodze?!”

Twarz Giżyckiego rozjaśnił ów dziecięco-promienny wyraz, przypominający mi zawsze oblicza świętych gotyckich.

„Wierzę w to! W przeciwnym razie musiałbym uważać się za wyjątek z wszelkich reguł”.

Egidy — myślałam w drodze powrotnej — jest takim samym wierzącym, z tą jedynie różnicą, że według niego ma zreformowany chrystyanizm dokonać tego, czego spodziewa się Giżycki od Towarzystw Etycznych.

I znów spędziłam szeregi nocy na czytaniu. Zamiast spodziewanych wszakże potworności, które usprawiedliwiałyby krytyczny mój stosunek dotychczasowy, znajdowałam najczęściej we wskazanych mi przez profesora książkach własne moje, dawno żywione, uczucia i myśli. Równe

prawa dla wszystkich: mężczyzn i kobiet, wolność przekonania, zapewnienie bytu, pokój powszechny, sztuka, nauka i natura jako wspólne dobro wszystkich; praca— obowiązkiem powszechnym; swobodny rozwój indywidualności, niehamowany pętami kasty, rasy, płci i stanu posiadania; czy mógł znaleźć się ktoś, wyzierający myślą poza cztery własne ściany, kto nie uznawałby słuszności i niezbędności tych żądań?”

Wpadła mi na myśl słynna broszura Eugeniusza Richtera, którą czytałam w lecie i którą wuj Walter darmo rozdawał robotnikom w Pirgałowie. Miałaby autor kłamać świadomie? Miałyby być kłamstwem jedynie wszystkie, szerzone przez przeciwników reform socjalnych, twierdzenia? — Niemożliwością natomiast było przypuścić, aby profesor zataić miał cośkolwiek przede mną.

Zwierzyłam mu się ze wszystkiego: zarówno z odczuwanej przeze mnie z radością sympatyi dla rozwijanych w dziełach tych idei, jak i z wątpliwości moich. Z wyjaśnień jego przekonałam się, że powszechnie potępiane i mnie samej zawsze wydające się wprost śmiesznym żądanie podziału wszelkiego posiadania w rzeczywistości nie istniało, sprowadzając się jedynie do uczynienia dobrem ogólnem ziemi i narzędzi wytwórczości.

Doba ówczesna wyładowana była elektrycznością. Wszędzie zdawały się grzmoty podziemne podminowywać powierzchnię, na której rozwierały się tu i owdzie, na miejscu roześmianych dotychczas łąk zielonych, ciemnozielone przepaście. Brudne sprawy pieniężne w pruskim ministerjum, oskarżenia o szantaż, wytoczone przeciwko przedstawicielom rządu niemieckiego zagranicą, roztrwonienie czy nieprawe przywłaszczenie sum kościelnych

oraz majątków instytucji filantropijnych przez banki chrześcijańskie, popierane przez dwór, — zachwiały żywione jeszcze resztki zaufania do kryształowej uczciwości pruskich urzędników i nieskazitelności cnót chrześcijańskich.

A kto, jak ja, niewiele jeszcze wiedział o głębi nędzy ludzkiej i ludzkiego zepsucia, temu proces Heintzego ostatnie zerwał z przed oczu zasłony. Gwałtowne to obnażenie prawdy, zniewalające do widzenia tych nawet, którzy widzieć nie chcieli, podziało nakształt błyskawic, poprzedzających potężne przewroty.

W kole Egidy'ego, od którego coraz rzadziej się usuwałam, będąc przekonaną, że znajdę w niem najpodatniejszy grunt do szerzenia ideałów kultury etycznej, ujawniło się bardzo wyraźne, wywołane wydarzeniami publicznymi, wrzenie. Posiedzenia zagajał zazwyczaj sam Egidy krótkimi referatami na temat spraw i kwestyi bieżących; rzadko bardzo spotykał się on z opozycją, i mógł z góry niemal pewnym być objawów uznania i zachwytu ze strony zebranych gości, gdy w swój napoły naiwnie-dziecięcy, nawpół władczy sposób z rozbrajającą łatwością najtrudniejsze rozcinał kwestye. „Powinniśmy być tylko chrześcijanami w pełnem tego słowa znaczeniu, a znikną z oblicza ziemi wszelkie zagadnienia rasowe, płciowe i socyalne” — mawiał, wierząc przy tem niewzruszenie w kierowniczą misję cesarza: „Przywódcy naszego ruchu, który obejmie cały bez wyjątku naród, nie potrzebuje szukać kraj, dla krórego *rodzą się* księżęta!” Jedyną byłam niemal w tem kole, która nietylko zachowała sceptycyzm, ale nadto wszelkie czyniła usiłowania, aby pozyskać dla idei ruchu etycznego wielką indywidualność tego człowieka, który

wydawał mi się jakby stworzonym do pociągania za sobą setek tysięcy. Debatowaliśmy nieraz godzinami, kontynuując potem jeszcze piśmiennie nasze dyskusye.

„Pragniemy oboje jednego i tego samego” — zauważył pewnego razu — „a o tę właśnie wolę niezachwianą chodzi właśnie”.

„Jeśli wola nasza i myśli w jednym idą kierunku, nie masz pan równie jak ja prawa posługiwania się starami kadziami do wlewania w nie nowego wina”.

„Chryścjanizm — mój chryścjanizm nie jest przecież tą dawną kadzią, którą sporządził Kościół, i z którą ja nie mam nic wspólnego” — twierdził uparcie.

„Pragnieniem mojem jest jedynie, aby coś *stało się*” — pisał mi wkrótce potem. — „Chcemy wcielić religję *w czyn*; użyj pani zamiast wyrazu: religia — etyka, na to zgoda, ale zamiast wyrazu: czyn — nie wolno pani użyć żadnego innego. Dość już długo rozwijaliśmy, chcę widzieć rozkwit. W dalszym ciągu pięknie puszczać frazesy, szumne wygłaszać kazania, wciąż wychowywać i patrzeć przy tem, jak ludzie dalej mrą z głodu, a świat z woli jednostek zakuty cały jest w zbroję, — nie! Dążeniem mojem jest *ureczywistnienie* głoszonych przez panią ideałów. Państwo winno *być* jednym wielkiem zrzeszeniem etycznym, według pani, religijnem — według mnie każda szkoła wychowywać winna społeczeństwo etyczne — w pojęciu pani, religijne w mojem. Wierz mi pani: stąpam po zupełnie realnym gruncie. Boli mnie niewypowiedzianie, że i panna v. Kleve — smutnie czy z uśmiechem — potrząsa głową. Nie osłabi to wszakże mojej energii. Była pani już przedemną na polu walki — wiem o tem dobrze. Cała kwestya sprowadza się ostatecznie do pytania: kto większe odda usługi ludzkości — towa-

rystwo Etyczne czy też stosowany praktycznie chrystyanizm? Odpowiedzi na nią szukać należy dzisiaj już w rozstrzygnięciu pytania: czy dadzą się skuteczniej uzasadnić wymagania stawiane społeczności — żądaniem, na podstawie zasad etycznych „nowych wartości”, czy też na podstawie, przez was samych, panowie głoszonego chrystyanizmu — w imię Jezusa Nazarejczyka?...”

„I ja chcę, aby coś się stało” — odpowiedziałam mu — „nie widzę jednak czem my, odrzucający wszelkie przeprowadzanie nowego stanu rzeczy przemocą, mogliśmy poprzeć je skutecznej, niż „mówieniem”, „głoszeniem”, „wychowywaniem”, a zatem szerzeniem naszych idei? Napewno zgodzisz się pan ze mną, że mówienie — „tylko mówienie” — śmielszym i owocniejszym może być czynem, aniżeli staczanie bitew. Sam przyznajesz pan, że idzie tylko o wyniki, i co do tego zupełnie jednego jestem z panem zdania. Jeśli jednak, jak zauważyłeś pan — potrząsam głową smutnie, nigdy z uśmiechem jest to jedynie skutkiem przeświadczenia mojego, że skutki powołanego przez pana do życia ruchu nieporównanie mogłyby być potężniejsze, gdybyś pan innemi posługiwał się środkami...”

Wszystkie wszakże debaty nasze, podczas których z większą namiętnością walczyliśmy o nas samych, aniżeli o idee, pozostały bezowocne. „A więc — wyruszam do boju sam!” — napisał mi Egidy w chwili, gdy, znużeni walką, rozeszliśmy się w milczeniu z opuszczonym orężem — „nie może pani wszakże, nie wolno pani pozbawiać mnie wiary, że oboje do najdrobniejszych szczegółów pragniemy tego samego. Ja panią zrozumiałem, ale pani mnie —

nie! Dla czego? Powiem to pani kiedyś, — zamiast napisania; jasno zupełnie zdaję sobie z tego sprawę...”

W rozmowie z Giżyckim mocny dałam wyraz przygnębieniu mojemu z powodu daremności moich wysiłków. On sam z początku wielką przykładał wagę do pozyskania Egidy’ego na przyszłego naszego współdziałacza. W miarę, jak mu o nim opowiadałam, coraz głębsza zarysowywała się zmarszczka na jego czole. „Nie powinna pani dłużej trwonić sił swoich na przepadłą sprawę” — zauważył w końcu. Nie mogłam się wszakże uspokoić, nieuniknioną bowiem, im bardziej potęgowało się znaczenie obu ruchów, wydawała mi się scysja między niemi.

Jeden z kierowników Towarzystw Etycznych w Ameryce przybył za inicjatywą Giżyckiego do Berlina, gdzie odczyty jego duże wywołały zainteresowanie i ożywioną dyskusję w sferach inteligentnych. Widziałam, jak boleśnie odczuł Egidy oraz wszyscy jego stronnicy wystąpienie etyków. W najbliższym dniu zebrań zgromadzono się liczniej jeszcze niż zazwyczaj w salonach Egidy’ego; gorączkowe wypieki na twarzach wielu gości zdradzały chorobliwe ich podniecenie; do jakiegokolwiek zbliżałam się grupy, milkły zaraz rozmowy lub też usuwano się ode mnie podejrzliwie.

„Podejrzewają panią o pełnienie służby wywiadowczej na rzecz ruchu etycznego” — zwierzył mi się z uśmiechem Wilhelm Polenz, szczery przyjaciel i stały gość Egidy’ego, gdy go prosiłam o wyjaśnienie mi tej zagadki. „Nędzna zgraja” — syknęłam. „Określenie pani słuszniejszym jest może, niż sama pani przypuszcza” — twarz młodego poety spoważniała, posmutniała niemal. — „Jaka szkoda, że przyjaciel nasz podobnymi otacza się

ludźmi. Ale to musi się zmienić!” — dodał po chwili. „Myślę o tych, którzy byliby zdolni i godni być głosicielami jego prawd, i którzy — nieświadomie może — łakną zbogacenia i pogłębienia swojego życia duchowego: naszych młodych artystach i literatach”. Egidy wszedł na mównicę, co przerywało naszą rozmowę. Myślałam jednak wciąż jeszcze o niej; Polenz miał zupełną słuszność: twórcy „Honoru”, „Rodziny Selicke”, „Przed wschodem słońca”, — byli powołani z natury rzeczy do współdziałania z nami. Z nami?” Oczywiście z szerzycielami ruchu: etycznego.

„...Etycy tryumfują w tej chwili, że przyklaskują im zacofańcy i liberałowie” — brzmiał donośny, ostry, władczy głos Egidy’ego — „utrzymują bowiem, iż są przedstawicielami ogólnoludzkiej moralności, nie dotykającej w niczem religijnych wierzeń jednostki. Ja natomiast znoś muszę z poddaniem, że ludzie odwracają się ode mnie z dreszczem grozy, dlatego tylko, że występuję przeciwko dogmatyce kościelnej... Tak, prawda, występuję przeciwko wszelkiemu dogmatyzmowi — z podniesioną wszakże przyłbicą, nie zaś tak, aby na razie nie przeczuwano nic złego w moich słowach, a potem dopiero jako niebezpieczny zdradzić się odszczepieniec: najpierw odszczepieniec, a potem cały i prawdziwy tylko — człowiek — — niewielu wystąpiło dotychczas w podobny sposób na pole walki publicznej”... Przeciągle spojrzenie padło w moją stronę; towarzyszyło mu coś nieokreślonego jeszcze — gniew—czy wstyd?—co oblało twarz moją rumieńcem... „Czynię to jednak w imię prawdziwej religji. Etycy nie mają równego jej, wszystko obejmującego, pojęcia. O ile nadużywano dotychczas tej nazwy, o tyle teraz podnieść ją należy do właściwej

jej godności: religia, nietylko, jak dotąd, obok naszego życia, ale samo życie nasze religią! A religię tę określiam nazwą chrystyanizmu. Niechaj etycy probują osiągnąć coś pod hasłem innej nazwy. Chodzi bowiem o osiągnięcie, a nie o niechęć żywioną do pojęć i wyrazów, które przez ośmnaście wieków były płaszczykiem najpotworniejszego bluźnierstwa. Teraz jednak musi stać się inaczej. Ziści się wola nasza! nie wolno nam wszakże porzucać sztandaru i pozwolić tłumom na bezmyślne rozpierzchnięcie się, ale podnieść go należy wyżej niż kiedykolwiek ze śmiałem wezwaniem: „Chodźcie tu wszyscy!” Teraz dopiero widzimy, że nie był on nigdy należycie rozwinięty — w fałdach jego, ukrywanych przed nami, dostrzegamy coś zupełnie innego, — cała ludzkość, nie zaś kościół, podtrzymywać też muszą ten sztandar!”

Milczenie zaległo salę. Egidy wymówił sobie raz na zawsze wszelkie oznaki uznania. Stojący najbliżej spojrzeli na mnie wyczekująco. Serce waliło mi w piersiach jak młotem — oblał mnie pot gorący, potem zimny, czułam, że muszę mówić. Ciemno zrobiło mi się w oczach... lęk spazmem zdławił mi gardło;—jak znaleźć słowa, jak mówić wobec tylu nieprzyjaznych, utkwionych we mnie spojrzeń?! A jednak: czy wolno mi było po raz pierwszy, kiedy nadarzała się sposobność bronienia wielkiej sprawy — mojej sprawy — czy wolno mi było tchórzliwie milczeć?!

„Pan v. Egidy przedstawił stan rzeczy tak, jakgdyby szło o postawienie kwestyi „tutaj chrystyanizm — tam etyka” — zaczęłam, kurczowo zacisnąwszy drżące ręce dokoła grzbietu stojącego przede mną krzesła — „gdy przeciwnie, my wszyscy, dążący do wspólnego celu,

którym jest dobro ludzkości, nie powinniśmy wyszukiwać różnic naszych sposobów myślenia, ale główny kłaść nacisk na tożsamość naszych zadań.

...„Naszem zadaniem jest obalenie kościoła!” — przerwał mi ochryply jakiś głos. — Zatrzymałam się na chwilę, aby nawiązać przerwany wątek myśli. „My, przedstawiciele ruchu etycznego — mówiłam po chwili dalej — „największą przywiązujemy wagę do wspólnego działania, uważając, że daleko zasadniejszą jest walka z głodem i nędzą, aniżeli z Kościołem...”

Jakaś żywo gestykująca niewiasta z rozwichrzoną blond głową podniosła nagle do góry chude swoje ręce, wrzeszcząc na całe gardło: „Precz z nią! nie dajcie jej mówić! — to oszczerstwo! ona oczernia Egidy’ego!” — Broniony w ten sposób Egidy zrobił krótki gest uspokajający, poczem stanął znów w wyczekującej swej pozie w ramie drzwi, z utkwionym we mnie nieruchomie wzrokiem. Czułam się w tej chwili osaczoną ze wszech stron, błagalnie wlepiłam też w niego spojrzenie.

„Jesteśmy przekonani, że łącznikiem między ludźmi” — mówiłam dalej automatycznie niemal i bez wyrazu — nie jest religia, która, przeciwnie, dzieli świat na wrogie obozy, ale ogólna moralność, której podstawie działamy”. Względne dokoła mnie uspokojenie się wplynęło kojąco na moje wzburzone nerwy. „Największa możliwie suma szczęścia dla największej liczby ludzi” — hasło to nasze może być uznane przez wszystkich, nie obraża bowiem niczyich wierzeń!”

„Naturalnie jesteście na to zbyt wielkimi tchórzami!” — okrzyk ten ugodził we mnie, jak dobrze wycelowana strzała.

Spojrzałam na Egidy’ego — nie ruszył się — zabo-

łało mnie to i w tej samej chwili olśniła mnie niby błysk nagły świadomość, że w przemówieniu swoim i on w gruncie rzeczy to samo miał na myśli. Zapanowałam całym wysiłkiem woli nad mojem wzburzeniem, nie zaszczycawszy autora okrzyku ani słówkiem odpowiedzi. „Pan v. Egidy słusznie chlubi się, że walczy z podniesioną przyłbicą, a my i przyjaciele moi dalecy jesteśmy od wątpienia w jego odwagę. Szanujemy każde przekonanie, nie dotykając go i podając po przez ich granice ręce innym...”

Szyderczy śmiech obok mnie podniecił mój z trudem hamowany gniew, tracąc też zupełnie panowanie nad sobą, dodałam gwałtownie: „Wy właśnie jesteście tchórzami, ciskacie bowiem na mnie oszczerstwa za mojemu plecami — nie ja! Nieskończenie bezwzględniejszą, niż każdego z was, jest opozycja moja wobec dogmatyzmu, którego tendencją i treścią jest wrogość ludzi do kultury”.

„Alicyo!” — usłyszałam rozpaczliwy krzyk matki i zaraz potem spazmatyczny jej płacz.

Moja zimna matka, zaledwie zdolna silniejsze przyjmować wrażenia, a już zawsze umiejąca żelaznymi pętlami trzymać je na wodzy — moja matka płakała. Wyprowadziłam ją z pokoju, w czym mi dopomógł Egidy! Przemówił do niej uspakajająco i wnet obeschły jej oczy, a wargi do bladego złożyły się uśmiechu. Na odchodnym wyciągnął do mnie rękę — udałam, że nie spostrzegam tego gestu. Pojechaliśmy w grobowem milczeniu do domu. Dopiero kiedy, stojąc na progu mojego pokoju, szepnęłam z cicha: „dobranoc”, powróciła jej pamięć tego, co zaszło.

„Więc śmiesz jeszcze... śmiesz jeszcze mówić do mnie?”

— wyjąkała przerywanym głosem. — „Mało miałam dotychczas przez ciebie zmartwień, trzebaż jeszcze było dożyć straszliwej chwili, abyś publicznie zamanifestowała bluźniercze swoje myśli?!”... Tak więc wyzyskałaś wolność, którą my, niedorzeczni, nad miarę względni rodzice, pozostawiali ci! Pozwoliłaś otumanić się przez tego profesora, przywdziewającego wobec nas maskę wyrozumiałego etyka! Piękna zapłata za całą naszą miłość! — — Ale to ci mogę poprzysiądz: noga twoja nie przestąpi progu tego nędznika!” Chciałam ostro odpowiedzieć, ale już w następnej chwili znikła za drzwiami, których rygiel zasunęła z hałasem.

Tej samej jeszcze nocy napisałam dwa listy, jeden do Egidy'ego, w którym gorzko wyrzucałam mu, że we własnym domu wydał mnie, bezbronną, na pastwę swoich stronników, wobec czego jedno mi tylko pozostaje: unikać odtąd wszelkiego z nim zetknięcia; drugi — do kuzynki Matyldy z prośbą, aby jaknajprędzej zaprosiła mnie do siebie, muszę bowiem opuścić na pewien czas Berlin. Wczesnym rankiem włożyłam oba do skrzynki pocztowej i poszłam do Giżyckiego. Wchodząc do niego, do tego miłego, zacisznego pokoju, pełnego światła, ukojenia i świergotu ptactwa, doznałam na chwilę silnego zawrotu głowy,—na sekundę oparłam się o drzwi z mocno przyciśniętymi do serca dłońmi. Porwał się z wysiłkiem z fotela i trupio blady wlepił we mnie wystraszone wzrok. A potem ujął moje dłonie i trzymał je w swoich w ciągu całego mojego opowiadania.

„Droga, biedna siostrzyczko!” — powtarzał nieustannie. „Musiało jednak do tego dojść — będzie pani zmuszona oswoić się z myślą, że zerwanie między panią, a jej rodziną, jest nieuniknione”. Opuściłam bezsilnie

głowę. „Wtedy dopiero będzie pani mogła dokonać tego, do czego jest pani powołana”.

Powiedziałam mu o moim zamiarze wyjazdu. Męga lekka przysłoniła mu oczy, a ciałem jego wstrząsnął ledwie dostrzegalny dreszcz. „Pozostanę wszakże bez wahania, jeśli pan sobie tego życzy” — dodałam szybko. Uśmiechnął się z przymusem: „Wydaje mi się wprawdzie niepodobieństwem mózdz obejść się bez pani — ale jedź pani — jedź pani koniecznie! Jakże mógłbym żądać, abyś pani poniosła dla mnie taką ofiarę?!”

„Ofiarę?! — błysnęła mi myśl, — czyż opuszczenie go nie jest i dla mnie ofiarą nie do poniesienia?”

Tegoż samego popołudnia przyszedł list od Egidy'ego. „Dotyka mnie boleśnie zarzut, który mi pani czynisz” — pisał. — „Nie miałem bynajmniej wrażenia, aby obrona moja była pani potrzebna. Uważałem, że pani sama najlepiej potrafi się obronić! Najgłębiej wszakże zasmucają mnie słowa pani o unikaniu mnie nadal. Myśl rozstania się z panią jest dla mnie bolesna. Głowa moja i serce tak są panią zajęte, — kocham panią prawdziwie. A jakże rani mnie cierni, który słowa pani wbiły mi w serce, że rozstanie to nie przysłoby pani z wielką trudnością! W przeciwnym bowiem razie nie mogłoby wydarzenie to podsunąć pani podobnej myśli, szukałaby pani raczej zadość uczynienia w pokonaniu tych rzeczytembardziej, że nie może pani chyba wątpić o mojej rycerskiej gotowości bronięcia jej, gdyby istotna zaszła tego potrzeba. Na tem przynajmniej polega mojem zdaniem utrzymanie związku, którego jedynym celem jest służenie ludzkości — — nie mówiąc już o uczuciu przyjaźni: „nie narażaj przyjaznych nici na zerwanie; choć zwiążesz je znowu, węzeł zawsze pozostanie”.

Pomówimy jeszcze o tem. Za parę godzin będę u pani...”

Przyszedł istotnie. Nie wyszłam do niego; matka moja przyjęła go sama; pozostał u niej długo. Po odejściu jego wyszła do mnie ze zmienioną zupełnie twarzą: „Egidy każe ci się kłaniać!” — rzekła — „idealnemu temu człowiekowi jedynie zawdzięczasz, że raz jeszcze ci przebaczam i nie ograniczę twojej wolności.

Wieczorem przyniósł mi służący Giżyckiego kilka słów od niego: „W tej chwili wyszedł ode mnie Egidy. Odwiedziny jego podwójnie mnie ucieszyły: dowiedziałem się, że udało mu się uspokoić matkę pani, a zarazem poznałem człowieka, jakich — pomimo wszystkie dziwactwa jego i wybryki — mało jest na świecie. A teraz wolno mi wszak spodziewać się, że pani pozostanie, i że znów co popołudnie będzie u mnie święto—wszak prawda?”

Egidy cztery tylko nakreślił do mnie wyrazy: „Zadowolona pani ze mnie?”

Wielkiej doniosłości wydarzenie polityczne: Zedlitzowski projekt prawa o szkolnictwie ludowej — skuteczniej od wszelkiej propagandy wpłynął na rozwój zarówno chrystyanizmu Egidy'ego, jak ruchu etycznego, które dotychczas obejmowały szczupłe względnie koła wyznawców. Przedstawiciele nauki i umiarkowanego chociażby postępu czuli się osobiście dotknięci w swoich ideałach i dążeniach, szukali też współideowców, aby nabrać odwagi do łącznych protestów, gdy na pojedyncze wystąpienia jej nie starczyło. Wierzący chrześcijaństwo szli masami pod sztandar Egidy'ego, żydzi i wolno-

myśliciele objawiali wzrastające z każdym dniem zainteresowanie ruchem etycznym. Sam Egidy tak był zrazu zgębiony zawodem, doznany na osobie cesarza — nikt bowiem nie wątpił, że projekt jego był dziełem, — że wzmożone zastępy wyznawców nie mogły wynagrodzić mu bolesnego rozczarowania. Wobec ludzi był silny i pełen nadziei, gdy wszakże mówiłam z nim w cztery oczy, doznawałam wrażenia, jakgdyby ten sztywno wyprostowany żołnierz po raz pierwszy załamywał się ze znużenia. Gdy natomiast przychodziłam do Giżyckiego, zastawałam chorego w radosnym nastroju, promieniejącym z jego twarzy wyraziściej z dniem każdym. „Tym, którzy pragną dobra, musi wszystko na dobre wychodzić!” — wołał mi na spotkanie. „Patrz pani tutaj:” — dodał powiewając stosem listów jak chorągiewką, „pełno oznajmień o przystąpieniu do naszego ruchu, pełno wyrazów uznania. Spełnia się dawne moje marzenie: będziemy mieli w Niemczech Towarzystwo Etyczne!”

Opowiedziałam o tem Egidy’emu, — od przykrego owego wieczora nie było między nami więcej mowy o ruchu etycznym, — potrząsnął zwolna głową. „Gdyby było ograniczyło się tylko na *ruchu!*” — rzekł — „Jakże inaczej byłyby się skierowały nasze współrzędne, a nawet wspólne dążenia, do jednego zlewając się strumienia, gdybyście nie byli obwarowali waszych sztucznem ocementowaniem z formuł i przepisów. Szerzyć myśli—tego jedynie potrzeba! — wszystkie te wasze statuty i posiadzenia zarządu zastąpią przed wami główny cel, do którego spełnienia nie starczy wam już sił ani czasu. Związek — zgoda, — nie mam nic przeciw temu, ale wierz mi pani, że prędzej czy później wyradza się on w sport. Człowiek silny jest najpotężniejszy, kiedy jest sam!

„Mówisz pan tak”—odparłam z gniewem, a przecież nie czynisz pan nic innego poza werbowaniem stronników, którzy nie zobowiązują się wprawdzie statutami, ale muszą przysięgać panu wierność. Przyjaciel pański, ascetyczny kandydat teologii, zwrócił się nawet do Bebla”.

„Prawda i — za mojem zezwoleniem”, — przerwał mi Egidy. „Chrystyanizm obejmuje—narówni ze wszystkimi innymi, zdolnymi do rozwoju prądami—i socyalizm w jego żywotnych i godnych uznania dążeniach. Po przywódcy takim, jak Bebel, innego spodziewałbym się na tę sprawę poglądu. Chce pani przeczytać jego odpowiedź?”

Pośpieszyłam oczywiście skorzystać z propozycji i nie tylko przeczytałam list, ale go nawet przepisałam celem pokazania Giżyckiemu. Brzmiał on: „...„Burżuazya widzi w religii jeden z najsilniejszych środków walki ze społeczną demokracją. Stąd płynie wzrastające w ostatnich czasach znaczenie kleru, tu biorą też źródło przejawy, które skłoniły pana Egidy do wytoczenia walki panującemu prądowi. Dlatego też masa mieszczańska, jakkolwiek wolnomyślna w zasadzie, będzie trzymała się zdala od dążeń pana Egidy’ego. Z drugiej znów strony nie może przejść się niemi i społeczna demokracja, ponieważ cele ich mogą być z natury rzeczy tylko połowiczne, nie są bowiem w stanie zmienić nic w ustosunkowaniu społecznem i politycznem, ciężącym głównie na masach. Współdziałanie nasze z dążeniami pana Egidy równałoby się rozdrabnianiu naszych sił, a nadto wyciskaniu na dążeniach tych stygmatu socyal-demokratycznego, co oczywiście odciągnęłoby od nich większość stronników... Pomimo więc całej naszej sympatyi dla tej sprawy, jak wogóle dla każdej, życzliwie przez nas

witanej walki z istniejącem złem, dopomagającej do jego zniszczenia, nie możemy działać wspólnie, cele nasze bowiem wykraczają znacznie poza granice, jakie wykreślił sobie p. Egidy... Skoro więc nie może przyjść góra do Mahometa, musi Mahomet przyjść do góry!...”

Nie było w liście tym ani jednego zdania, z którem nie mogłabym się zgodzić: stronnictwo jego mogło istotnie iść spokojnym i pewnym krokiem ku zamierzonym celom, nie potrzebując naszej pomocy. O jednym tylko, jak mi się zdawało, zapomniał autor listu: że, obok uwzględnianych przez niego mas roboczych, są jeszcze miliony ludzi, nietylko godnych i łaknących wreszcie wyzwolenia, ale mogących, w ostatecznej chwili odniesienia zwycięstwa przez lud roboczy, stanowić silną zaporę w osiągnięciu przez niego celu. Dlatego też nie zachwiały wiary mojej w naszą sprawę ani Egidy ani Bebel. A profesor — byłam tego pewna, — nie będzie się inaczej zapatrywał na tę kwestyę, niż ja.

Z kopią listu w rękę przesłałam wążkie podwórze, ciemną klatkę schodową, pozbawiony również światła przedpokój i brałam już za klamkę drzwi, gdy powstrzymał mnie obcy, dochodzący z poza nich głos. Brzmienie było głębokie i ciepłe, z pewnym miłym dla nas, mieszańców północy, południowym akcentem austriackim.

„Wszystkie strumienie płyną do naszego morza...” — mówił on.

„Podzielałam zupełnie pańskie zdanie i pragnąłabym, aby podzielało je również pańskie stronnictwo, widząc w nas tak samo, jak pan, dopływ, mogący nieść mu obfite skarby”, — odparł profesor. Ostatnie odsunięcie krzesła, kilka zamienionych pożegnalnych frazesów, silny krok, — otworzyłam szybko drzwi, aby nie być pochwy-

coną na gorącym uczynku podsłuchiwania. Przede mną stał wysoki jasnowłosy mężczyzna, zamieniliśmy przez chwilę spojrzenie, z niemym ukłonem minął mnie przybyły, kierując się ku przedpokojowi.

„Kto to był?” zapytałam zdziwiona, odgarniając automatycznie włosy z czoła — zdaje mi się, że musiałam go gdzieś widzieć.

„Dr. Brandt, — znany teoretyk socjalizmu” — rzekł Giżycki, cały jeszcze promieniejący pod wrażeniem tych odwiedzin. „Czy nie uważasz pani, że słowa jego mogłyby być ukrytą dewizą, którą postawilibyśmy oboje na czele naszych ustaw?”

„Wszystkie strumienie do naszego płyną morza”, — powtórzyłam, ujmując podaną mi dłoń profesora — „oto moja ręka na znak, że masz pan odtąd we mnie sojuszniczkę!”

ROZDZIAŁ OŚMNASTY.

Kranz, 15. VI. 92.

Szanowny Panie Profesorze!

Doskonale zajechałyśmy, korzystam też z rozkosznego ranka, aby pierwszą zaraz przesłać panu wiadomość. Od wczorajszego wieczora, kiedy wuj Walter, zaledwie z dążyłam otrząsnąć z siebie pył podróży, wciągnął mnie — wbrew swojemu zwyczajowi—w długą rozmowę polityczną, nie wątpię już ani na chwilę, że nie tyle blednica mojej siostry, ile „niebezpieczny” mój stan ducha skłonił rodziców moich do tak niespodzianie szybkiego wysłania nas z Berlina. Wuj powiedział mi, że sfery rządzące (to znaczy dzisiaj jedna, stojąca u ich steru, osoba) nie zawiązały kagańca temu „skończonemu głupcowi” Egidy’emu, jedynie ze względu na jego stosunki familijne, zawczasu natomiast uprzątnięci zostaną jego wyznawcy, znani dobrze policji jako anarchiści. „Twój profesor jest jeszcze niebezpieczniejszy” — dodał wuj — „oddawna też zostałyby usunięty, gdyby nie był

chorym, niedołącznym człowiekiem”. Oddawna już zacięłam szczęśliwie dawny mój zwyczaj milczenia, nie obydło się więc oczywiście bez żywej bardzo wymiany zdań. „Zawsze tak bywa, kiedy kobiety wtrącają się do spraw, które je nic a nic nie obchodzą” — zawyrokował wuj w odpowiedzi na gorącą moją obronę pańskiego stanowiska w sprawie projektu prawa o szkolnictwie ludowym oraz w sprawie ruchu bezrobotnych, które — jak zaznaczyłam — najzupełniej podzielałam. „Wysługujecie się po prostu socyałom” — oznajmił z przenikliwością nienawiści. Po tem powiedzeniu nietylko zainteresowała mnie zapoznanie się z własnem jego na te kwestye zapatrywaniem, ale wprost — nie wyśmiej mnie pan tylko — po raz pierwszy od czasu, kiedy go znam, zaczęłam go pojmować i brać na seryo. Kto, nie przesiąknięty nawet dogmatyzmem, lecz jedynie pesymistycznym poglądem chrześcijańskim, zapatruje się na ludzi, jak na grzeszników, na świat jak na padół placzu lub w najlepszym razie — jak na czyśćcową stacyę przejściową, poza tem zaś przejęty jest poczuciem niesłychanej wyższości wielopokoleniowej kultury i przywilejów kastowych, musi uważać dążenia reformatorów socyalnych oraz cały ich sposób działania za klęskę, zagrażającą ostateczną zagładą, przeciw której obowiązany jest z natury rzeczy bronić się wszelkimi siłami. Jeżeli mam być szczerą, stokrotnie wolę uczciwych takich junkrów, niż Richterów i im podobnych.

Mam nadzieję, że dowiem się wkrótce czegoś bliższego o panu, o jego zdrowiu, o postępie naszej sprawy oraz o przebiegu obrad. Czy wolno mi wyznać, że bez namysłu wyrzekłabym się była brania w nich udziału, gdyby rodzice moi pozwolili mi wzamian za to wypijać

w towarzystwie pańskim codzienną poobiednią moją filiżankę kawy?!

Serdecznie pozdrawia pana wdzięczna mu i oddana

Alicya v. Kleve.

Berlin 18. VI. 92.

Szanowna Pani!

Serdecznie się ucieszyłem tak rychłą od pani wiadomością, a zawarty w liście jej opis rozmowy z wujem Walterem nader żywo mnie zainteresował. Wiem, że ruch etyczny nie jest dobrze widziany w sferach decydujących. Tajny radca Althoff zażądał ode mnie zakomunikowania mu najszczegółowszych w tej sprawie danych, a w uniwersytecie, gdzie pan ten zazwyczaj przy spotkaniu się naszym raczył witać mnie najjaśniej, dzisiaj minął mnie z jowiszowym na czole marszem.

Zdanie pani co do junkrów podzielałam najzupełniej. Jedynie brutalny egoizm niedozwala ludziom, którzy w ciągu wieków korzystali z dobrodziejstw posiadania i kultury, uznawać zasadności żądań nowoczesnych. Najzupełniejsze ma się prawo żądania od nich osiągnięcia na drodze naukowej — czyli w tym wypadku etycznej i socyologicznej — tej samej świadomości, do której doszli biedacy przez wniknięcie we własne położenie ekonomiczne. Szlachectwo obowiązuje! A czyż i my nie jesteśmy w gruncie rzeczy „junkrami?!”

Ostatnie obrady naszej komisji miały nader burzli-

wy przebieg, który poważnie wzbudził we mnie wątpliwości co do składu członków. Jedni domagali się w sposób gwałtowny zasadniczej nietykalności religii w ramach Towarzystwa Etycznego, inni — z prof. Siegfriedem na czele — upatrywali wysoce niebezpieczny moment w zahaczaniu przez nie o kwestyę socjalną, wobec czego zniewolony byłem oświadczyć, że Etyczne Towarzystwo, pomijające tę dziedzinę życia, nie byłoby godnem istnienia. Taktowne, godzące wszystkich zachowanie się naszego przewodniczącego uspokoiło na razie wzburzenie, po chwili wszakże poruszył nas na nowo własny jego komunikat. Jedno z tutejszych pism zapewniło, czerpiąc wiadomości te jakoby z najlepszego źródła, że główne dążności naszego Towarzystwa są antisocyalne. Wiadomość ta, zacytowana przez, przewodniczącego, podziałała oczywiście nakształt lontu rzuconego do prochni. W przebiegu gwałtownego, powstałego w tej kwestyi, sporu, rozczarowało mnie nader niemile przemówienie Heleny Kurz, z której działalnością w ruchu kobiecym szczerze sympatyzowałem. Wyobraź pani sobie, że wszystkie swoje argumenty przeciwko socyałom zaczerpnęła ona ze zbrojowni Eug. Richtera: „rozluźnienie węzłów rodzinnych”,—jakgdyby nie kapitalizm właśnie rozpętał ojców, matki i dzieci do fabryk! — „wspólność kobiet” — jakgdyby nie dzisiejszy właśnie ustrój czynił z kobiety towar na sprzedaż!

...Praktycznym wynikiem naszych obrad była dołączona do listu tego, odezwa oraz projekt ustawy. Sama pani najlepiej odczuje, jak mało zadawalnia mnie ich bezbarwność. Określając zadanie nasze, jako stawianie zapór wzajemnej wrogości i rozkiełznaniu obyczajów, panującym w społeczeństwie, oraz odpowiednie

pokierowanie wychowaniem młodzieży i ustrojem życia, przeszliśmy, sądę, pojednawczością tonu Egidy'ego, a już w serce mnie wprost kolnęło uderzeniem sztyletu skreślenie z § 2 wyrazów: „klasy nieposiadające” i „obrona przed wyzyskiem”. Na przyszłość niezbędna mi będzie pomoc pani, jeśli idea nasza nie ma stopniowo przekształcić się w zupełne swoje przeciwieństwo. Postawiłem też w tym celu kandydaturę pani na członka komisji, poleconem mi też zostało poproszenie pani o przyjęcie dokonanego na jej rzecz wyboru. Niepłonną mam nadzieję, że fałszywa skromność i niemniej nieuzasadnione względy rodzinne nie powstrzymają pani tym razem od poświęcenia się naszej sprawie.

Skoro o tem mowa, muszę się podzielić z panią wiadomością w odwiedzinach, jakimi zaszczyliła mnie wczoraj matka pani. Usiłowała ona skłonić mnie do wyzyskania „wielkiego mojego na panią wpływu” celem skierowania pani ponownie na łono Weimaru, pod skrzydła białego sokoła. Odmówiłem stanowczo udziału mojego w podobnej akcji, zaznaczając z naciskiem, że uważam panią za powolaną do spełnienia wyższej misji i że obowiązkiem rodziców jest niestawianie pani przeszkód na tej drodze. Usłyszawszy moją odpowiedź, pożegnała się jej ekscelencya bardzo zimno i odeszła najwidoczniej urażona mojem zachowaniem.

Przed kilkoma dniami był u mnie również Egidy. Boję się, że zatracą on coraz bardziej miarę stosunku swojego do świata. Widzi np. w nas zupełnie seryo przedsiębiorstwo konkurencyjne, nie będąc w stanie, w niestęchanem przecenianiu swojego znaczenia, dostrzedz oczywistego faktu, że my wszyscy, zarówno on, jak etycy, jesteśmy tylko sztabem robotniczym, znoszącym kamień

po kamieniu z ruin przeszłości celem wykarczowania miejsca pod wielki gmach przyszłości.

Wznowiłem znów samotne moje przejażdżki po Zoologicznym Ogrodzie. Byłem tam na Zielone Świątki, patrzyłem na przesuającą się obok mnie ciżbę ludzką; większość twarzy tych zdolna byłaby we mnie samym niemal wzbudzić podejrzenie, że bezgranicznie dalecy jesteśmy jeszcze od państwa przyszłości. Wszyscy starzy znajomi zgromadzili się przy moim stole, — jakże obojętni i nudni stali się oni teraz! Jak chętnie wyrzekłbym się ich wszystkich i całego Zoologicznego Ogrodu, gdybym chociaż na jedno popołudnie mógł mieć panią przy sobie!

Serdecznie panią pozdrawia
najszczerzej jej oddany
Jerzy v. Giżycki.

Równocześnie z tym listem otrzyma pani pisma i gazety.

Kranz 29. VI.

Szanowny Panie Profesorze!

Tysiężne dzięki za list pański, na który dzisiaj dopiero odpowiadam, gnana z tak zwanej zabawy na zabawę, co zaledwie pozostawia mi dość czasu na zajęcie się kuracją Elżuni. Towarzystwo, w którym nieustannie obracałam się i które jest przecież mojem właściwem, stało mi się w niezrozumiały wprost sposób obce. Atmosfera jego ciąży mi, zatruwając powietrze,

jak przepelniona sala balowa, a gdy na chwilę usiłuję uchylić okno, rozlega się zewsząd krzyk obawy o przeziębienie.

Sprawozdanie pańskie z toku obrad komisji oraz otrzymana odezwa i szkic ustawy ostudziły strumieniem lodowej wody płomienny żar moich nadziei. Uważam,— proszę mi wybaczyć moją szczerość — że trącą one mocno frazesem. Szczególniej razi mnie „rozkiełznanie obyczajów panujących w społeczeństwie. Może to bardzo etycznie w zasadzie starać się nadewszystko o utrzymanie miary i dbać o nienarazanie sobie nikogo, wyniki wszakże tej oględności mogą być bardzo nieetyczne. Co się zaś tyczy stanowiska prof. Siegfrieda i Heleny Kurz, powiedzieć mogę jedno tylko: kto nie jest z nami, jest przeciwko nam.

Wobec tego wszystkiego rozumiem, rzecz prosta, że muszę przyjąć wybór na członka komisji. Obym tylko i ja nie stała się źródłem rozczarowania dla pana! Przypuszczam, że nietylko jest wynikiem mojego wychowania, ale wprost integralną częścią mojej istoty ta straszna niemożność otwierania najgłębszej treści mojej duszy przed obcymi, jakgdybym miała pokazywać się publicznie nieodzianą. Rozumiem jednak, że duchowe obniżanie się największą jest ofiarą, jakiej żąda ludzkość od tych, którzy chcą oddać się na jej usługi, spróbuję też wyćwiczyć się w tym kierunku.

Wycieczki nasze w okolice umocniły mnie jeszcze w tem postanowieniu: ileż nędzy i nieszczęść na tle błękitnego stropu nieba i nieskończonych fal morskich! Zdejmuje niemal ochota beczynninie, jak wszyscy do-tychczas, załamać ręce rozpaczonym gestem, albo też, jak anarchiści, ostateczną głosić zagładę, gdy niemożliwą

zdaje się droga ratunku. Im wyraźniej spostrzegam wszystko dokoła siebie, tem silniej rozwija się we mnie skłonność do fanatyzmu, muszę też nieustannie wdrażać sobie w pamięć zasadę wyrozumiałości i obowiązek bezstronnego sądenia.

Od chwili, w której jasno zaczynamy zdawać sobie sprawę — może to brzmi paradoksalnie, ale większość nie dochodzi nigdy do tej świadomości, — że zarosłe brudem, wygłodzone, otepiałe dziecko rybackie taką samą jak my jest ludzką istotą, nie zaś odmiennem jakimś stworzeniem, — od tej dopiero chwili zaczynamy wogóle widzieć. I dzisiaj już nie uspakaja mnie zapewnianie, że ludzie ci nie czują swojej nędzy. Czuję, wprost przeciwnie, czuję całą udrękę chłozujących wyrzutów sumienia, — że to właśnie, co miało być uspokojeniem, największem jest nieszczęściem i że na każdym z nas z osobna ciąży za nie odpowiedzialność.

Otworzenie ludziom oczu na ich nędzę pierwszym niewątpliwie jest krokiem do ich podniesienia, czytając też uważnie, przysyłane mi łaskawie przez pana, pisma największą widzę ich zasługę w nieustannem biciu na trwogę. Nie mogę natomiast stanowczo pogodzić się z bezwzględnem przez nie potępianiem wszelkich dążeń, nie noszących na sobie już z góry czerwonej marki. Dlaczego pisma partyjne nie miałyby dostrzegać w niem tego, co widzi taki dr. Brandt, mianowicie „strumieni, płynących do jego morza“? Napaść ich na ruch etyczny jest równie niedorzeczna jak niesprawiedliwa. Pisma, takim poświęcone zadaniom, powinnyby umieć odróżnić nas od Richterowskich i Stöckerowskich zakładów wychowawczych! Jaki ma też cel to rozgoryczające jedynie wdychanie nienawiści i niskiej zazdrości w stosunku

do poszczególnych członków innych klas, — zamiast zagrzewania do walki z ogólnym stanem rzeczy? Własna nauka stronnictwa głosi wszakże, że ludzie są wypadkowymi układu stosunków społecznych i gospodarczych, szerzenie zatem nienawiści do osób, które stały się takimi, jakimi się stać musiały, jest wprost przeczeniem własnym zasadom.

Jak widzę, zahaczamy znów o dawną naszą kwestyę sporną, dotyczącą junkrów. Przypomina mi pan, i gotów pan może i teraz jeszcze powtórzyć, że i my jesteśmy w gruncie rzeczy junkrami i mimo to, jedynie na podstawie etycznego światopoglądu, jesteśmy stronnikami reform socyalnych. Otóż—może mnie pan wyśmiać, lubię tak bardzo pański śmiech! — nie zgadzam się z pańskim zapatrywaniem! Czyż nie pozostawaliśmy od dzieciństwa w zależności, — my i nasi rodzice — od naszego chlebowodcy, ustroju państwowego? Czyż rodzice moi mogliby byli swobodnie się poruszać, nie rozbijając sobie głów o mur, jakim otoczyło ich państwo? Czy możesz to pan uczynić? A ta zależność czyż nie czyni z nas proletaryuszów? Ja nadto, będąc kobietą, po tysiąckroć bardziej, niż pan, należę z prawa do wielkiej, ciemnej, cierpiącej masy wydziedziczonych.

Świadomość ta była dla mnie źródłem nowego wewnętrzznego wesela i nowej nadziei. To samo wszak, co dotyczy biednego dziecka rybackiego, dotyczy i nas: należy tylko otworzyć oczy ślepym dotychczas, a tysiące nowych współwalczących przyłączy się po bratersku do tych, co w pierwszym poszli szeregu! Iluż jest ludzi, których cała istota prze do wyzwolenia i czynu, których siły duchowe, nieświadomie może dla nich samych, wciągnięte są już w służbę sprawy ludzkości, — pomyśl

pan tylko o wszystkich naszych młodych pisarzach i artystach!

Ostre wystąpienie cesarza przeciwko współczesnym prądom w sztuce i mianowanie przez niego na poetów nadwornych Hauffa i Wildenbrucha nie tylko świadczą o przenikliwości jego, wietrzącej przewrót socyalny tam, gdzie inni widzą tylko błękitny kwiat nowej poezji, ale zarazem najskuteczniejszym są poparciem naszej sprawy, powołują bowiem na pole walki i pracowników ducha. Powinniśmy stać teraz przy kuźni i kuć żelazo ich oburzenia, dopóki wre jeszcze i kipi.

Może uda mi się wkrótce pierwszej dokonać w tym kierunku próby. Zaprosiła mnie do siebie dawna moja przyjaciółka, ongi artystka szweryńskiego teatru nadwornego, obecnie żona jednego z profesorów w Królewcu. Ociągałam się zrazu z przyjęciem tych zaprosin: dopóki była aktorką, nie umiała zapomnieć o rodzimem swoim środowisku mieszczańskiem, w którym wzrosła i pół życia spędziła, gdy powróciła do swojej sfery, nie umie się znów rozstać z reminiscencyami swojego życia artystycznego i dlatego nic mnie do niej szczególnie nie nęciło. Rozstrzygnęła wszakże ostatecznie nadzieja poznania u niej Sudermanna, młodego dramaturga i powieściopisarza, czekam też tylko na oznaczenie dnia, w którym ma to nastąpić. Człowiek, który utworami swojemi cisnął wyrok potępienia na cały świat mieszczański, z góry już należy do nas, winienby też stać się chorążym walki wyzwoleniczej pracowników ducha.

Proszę mi wybaczyć ten mocno przydługi list. Nie mam tu nikogo, przed kim mogłabym się wywnętrzyć, a tak bardzo mnie pan w tym kierunku zepsułeś!

Rodzice moi są tutaj z nami od wczoraj; daremnie

prosiłam ich, aby mi pozwolili wrócić do Berlina. Uważają za niewłaściwe, abym sama była w naszym mieszkaniu, a posłanie mnie do Egidy'ch, którzy bardzo gorąco o to proszą, wydaje im się też niedość bezpiecznem! Jeśli wszakże będę panu potrzebna, przyjadę bez pozwolenia.

Serdecznie pozdrawia

całą duszą wdzięczna panu i oddana

Alicya v. Kleve.

Berlin, 1 lipca 1892 r.

Kochana, szanowna Pani!

Niech panią nie dziwi moja rychła odpowiedź: codziennie tyle się nagromadza spraw, o których chciałbym z panią pomówić, a list pani tyle nadto budzi myśli i uczuć, że mając pismo pani przed sobą, nie mogę nie zabrać się natychmiast do odpowiedzi. Proszę mi tylko wybaczyć moje bazgroty, — niezupełnie dobrze się czuję i muszę pisać w pozycyi leżącej.

Za przyjęcie wyboru dziękuję pani przedewszystkiem we własnem imieniu: będzie pani dla sprawy naszej niezmiernie cennym nabytkiem, a nadto—co mi szczególną sprawia satysfakcyę — będzie pani jedyną kobietą w komisyi. Helena Kurz i pani Schaper usunęły się „z powodu przepracowania” ze swoich stanowisk. Zaproponowałem kandydaturę dwóch wybitnych działaczy społecznych, tak, że prawdopodobnie skład nasz korzystnej ulegnie zmianie. Będzie pani miała możność dyskutowa-

nia z nimi na temat rozszerzonego przez panią pojęcia proletaryatu, nie wykraczającego, jak sędzę, po za ramy marksowskiej teorii rozwoju: robotnik, orzący mózgiem, postawiony będzie jako równouprawniony, bowiem w równej mierze ubezwłasnowolniony, obok rękodzielnika.

Mniej natomiast znajdzie uznania, wypowiedziana przez panią, krytyka pism partyjnych; nie zgodzi się też na nią i najwierniejszy „towarzysz” pani, Giżycki. Nie mogę potępiać stanowiska pism partyjnych, wobec nas: niewątpliwie znajdzie się wkrótce w Towarzystwie Etycznem wielu, których ono dotknie, bowiem istotnie lawirują tylko. Któż nam wszakże zaręczy, że w końcu nie zagarną oni w swoje ręce całej władzy faktycznej i nie zechcą wyrzucić „niebezpiecznych” żywiołów?

Niech pani stara się pozyskać dla nas Sudermanna. Kuzyn mój Paweł, którego pani u mnie poznała i który należy do paczki młodych literatów, nieświeżego wprawdzie jest o nim mniemania, przepowiada też, że jego ambicja i próżność oraz bardziej oddalą go od nas zamiast zbliżyć. Bardzo mi chwalił natomiast młodego twórcę dramatu „Przed wschodem słońca”, którego uważa za piewę „przyszłości”; wobec jednak manii tych młodzińców stawiania na niebosiężnym piedestale pierwszego lepszego pstrego cielątka i padania przed niem plackiem, jak przed bożyszczem, zachowuję się jeszcze z całą rezerwą.

Nasze posiedzenia komisyjne zostały tymczasem zawieszono. Wszyscy myślą o wyjeździe i coraz ciszej robi się w ogrodzie Zoologicznym. Jak mile i bez przeszkody dałoby się teraz gawędzić tam! Nie pozbawi mnie pani, wszak prawda? przyjemności cieszenia się naprzód już

nadzieją ujrzenia jej i zawiadomi mnie pani zawczasu o dniu swego powrotu.

Serdecznie panią pozdrawia

z głębi duszy oddany jej

Jerzy v. Giżycki.

Zaledwie mogłam doczytać list ten do końca. Puste jeno dźwięki brzęczały mi w uszach, a litery skakały przed oczami; w mózg niby ostrze sztyletu wwierciło mi się jedno tylko zdanie: „niezupełnie dobrze się czuję i piszę ten list w pozycji leżącej”. Widziałam wyraźnie przed sobą chorego tego człowieka z głową apostoła i bezcielesnym korpusem, nieudolnie obsługiwanego przez prostaka-służącego, zamiast być pieczołowicie pielęgnowanym miękkimi dłońmi kobiety, jak leżał w swoim cichym pokoju z białymi rękami, złożonemi na czarnej kołdrze futrzanej i dziecięco naiwnemi, utkwionemi w przestrzeń, oczyma. Serce tłukło mi w piersiach niemiłosiernie. Zrozumiałam odrazu, gdzie moje miejsce.

Mechanicznie otworzyłam drugi list: od przyjaciółki mojej z Królewca, oznajmiającej mi, że Sudermann zamówił się na dzisiejszy wieczór. Poszłam natychmiast do mojego pokoju, spakowałam szybko najniezbędniejsze manatki i nakreśliłam kilka słów do rodziców. „Pani profesorowa Laudman zaprasza mnie, abym dzisiaj jeszcze przybyła do niej do Królewca. Mając zapewnione wasze zezwolenie, wyjeżdżam najbliższym pociągiem.”

Dopiero w drodze udało mi się opanować nieco wzburzenie i odegnąć natrętną wizję dalekiego przyjaciela, złożonego na marach z zawartemi powiekami i blademi

wargami. Postanowiłam na razie pojechać nocnym pociągiem do Berlina. Czy mogłam wszakże, czy wolno mi było przestraszać chorego niespodzianem mojem przybyciem? Zaczerwieniłam się mimowoli ze wstydu. Nie byłoby to nieprzystojnem jakimś narzucaniem się? Po przybyciu na dworzec królewiecki, zatelegrafowałam do niego, prosząc o odpowiedź, jaki jest stan jego zdrowia i uprzedzając zarazem o moim powrocie. Potem dopiero pojechałam na cichą ulicę Kościelną z jej wyjeżdżonym brukiem i szaremi ze starości domami. Jakież to surowe, poważne miasto, ten Królewiec! — myślałam; miasto, którego każdy zakątek tchnie powagą życia, zniewalając swoich obywateli do cichego skupiania się w sobie. Gdybym tutaj była wychowywała się, może nie uniosłabym mnie nigdy tęsknota poza wały jej i fosy!

W fantastycznym stroju władczyni wschodu, z płonącemi ze wzruszenia policzkami, przyjęła mnie moja przyjaciółka. W tem samym zupełnie kostyumie widziałam ją niegdyś na scenie w Szwerynie. Nie pamiętam, a może nigdy nawet nie wiedziałam, jaką wówczas grała rolę. „Jakże piękną jest!” szepnęłam wtedy z zachwytem. „Ale ty stokroć, tysiackroć jesteś piękniejsza” — zadźwięczał mi z głębi łoży gorący szept w odpowiedzi...

Wybuch serdecznego powitania ocucił mnie z zadumy wspomnień. Milczący, — nieco zażenowany, z okiem utkwionem z nieukrywanem zachwytem w postać żony, stał tuż obo jej mąż, typowy niemiecki profesor z krótkowzrocznie mrugającemi oczkami i niezdarnemi ruchami. Wprowadzono mnie uroczyście do wnętrza domu. Bawialnia, przeistoczona w altanę z kwitnących roślin letnich, z sufitu spadały zielone girlandy, pomiędzy któremi kołysały się kolorowe lampiony. Z poza zwojów blu-

szczowych, oplatających okno, wysunęła się nagle biała, złotowłosa istotka, wyciągająca do mnie z uśmiechem obnażone ramionka. Pełne gorączkowego podniecenia rozgadanie przyjaciółki mojej urwało się nagle, a twarz jej przybrała wyraz modlitewnie skupionej błogości; — „dziecina moja” szepnęła mi, miękko kładąc dłoń na świetlanej aureoli włosów maleństwa. Piękące łzy stanęły mi w oczach: „jej dziecko!” jakże szczęśliwą i można być musiała.

Obie razem położyłyśmy prześlicznego cherubinka do łóżka; matka prezentowała mi z chlubą różane jego stopki, okrągłe ramionka i dołeczki na rączkach i kolankach. Potem odsunęłam się cicho na bok: matka i dziecko, żegnający się na dobranoc, są jak w modłach pogrążeni, którym najbardziej nawet niewierzący nie ważyłby się przeszkodzić! W chwili tej odczułam z całą siłą przeogromny ciężar mojej samotności. Nie ochłonełam jeszcze z przygnębienia i roztargnienia, „gdy przybył Sudermann.

W chwilach głębokich przeżyć wewnętrznych znosić możemy jedynie obecność osób najbliższych, a postać jego sprawiła na mnie odrazu wrażenie zupełnej obcości. Typowy „*bel homme*” z pielęgowaną starannie kruczą brodą, wymuszenie arystokratycznymi manierami i dużymi szerokimi rękami o mięsistych okrągłych palcach.

Znów zapanował ów specyficznie sztywny, północno-niemiecki nastrój, zabawnie tutaj kontrastujący zarówno z fantastycznością otoczenia jak i z niezwykłym romantyzmem stroju pani domu. Jak zazwyczaj wszakże, ustąpił on rychło i tym razem wobec przemożnego przeciwnika: wina. Gdy w sztucznie rozjaśnionym kolorowem światłem lampionów ogrodzie zadymiała się

na stole pękata czarna ponczu, a szych i sztuczne klejnoty, obsypujące głowę i ramiona scenicznej władczyni, zamigotały olśniewającym blaskiem brylantów, pereł i złota, topnieć zaczęło z wolna pierwsze wrażenie obcości.

Mówiliśmy o wszystkim, co poruszało najżywiej umysły: o sztuce nowoczesnej, o kwestyi kobiecej i o socyalizmie. „Jestem z przekonania socyalistą” — rzekł Sudermann — „każdy bowiem myślący człowiek współczesny nie może być niczem innym”, — serce zabiło mi żywiej na te słowa — „nie sądzę jednak, aby ideały socyalistyczne mogły ziścić się w bliższej czy dalszej przyszłości.

Z kolei zaczęłam i ja rozwijać zasady i ideały, przyswiecające ruchowi etycznemu i najbardziej przekonywające przytaczać argumenty, aby na naszą przyciągnąć go stronę. Podczas całej gorącej mojej przemowy nie schodził uśmiech z jego twarzy i w czerwonym półświetle lampionów trudno mi było odróżnić, czy był to grymas ironji, czy też smutnie zrezygnowany pobłażliwy uśmiech pesymisty. „My, Niemcy, nie jesteśmy jeszcze zdolni wznieść się do podnioślejszych wewnętrznych i zewnętrznych nastrojów i stanów”, — rzucił mi w odpowiedzi, „jakkolwiek też osobiście najzupełniej podzielałam ideały pani, mało mam wiary, aby mogła pani znaleźć ich wyznawców w środowisku artystów. Nie wszyscy pojmują zadanie swoje, jak ja—” umilkł, wpatrując się z uwagą w błyszczące swoje paznogie. Potem obrzucił mnie krótkim wyczekującym spojrzeniem. — „A jak właśnie pan je pojmujesz?!” — zapytałam zaciekawiona.

„Poeta musi oddawać życie takim, jakim mu

się ono przedstawia; potrafi dokonać tego, o ile posiada dość wielką zdolność odczuwania, aby objąć nią całą nędzę współczesną. Poeci doby minionej wyprowadzali na widownię cnoty i występki i zadawali swoich słuchaczy, jeśli karząca sprawiedliwość stanowiła o zakończeniu, współczesny natomiast twórca rysuje prawdziwy obraz życia, wołając do widzów: takim jest ono, idźcie i nieście waszą pomoc. Nie pragnę bawić publiczności, nie chcę dopomagać jej do zabijania czasu, chcę ją otrząsnąć z martwoty, chcę wieść ją do poznania prawd, które starannie omija ona w życiu. Czyż nie jest to również postępowaniem etycznym?”

Byłam zachwycona. Tak właśnie wyobrażałam sobie działalność twórczą artysty.

Interlokutor mój rozgrzewał się i ożywał coraz bardziej.

„Wierz mi pani”, zawołał z patosem — „gdybym mógł, kazałbym grać dramaty moje wyłącznie dla robotników, ci rozumieją mnie i uznają!”

Potem opowiadać zaczął o berlińskim środowisku znawców sztuki, jej mecenasów i estetów bez wyboru, padających na kolana przed każdą nowowschodzącą gwiazdą. „Wszyscy oni podziwiali mnie jako znakomitość” — dodał z nieokreślonym tragicznie zrezygnowanym uśmiechem, przypominającym mi pewnego aktora, którego rówieśniczki moje w Poznaniu wielbiły za podobny właśnie uśmiech— „większość jednak nie wiedziała może nawet, czy niezbędna ta ozdoba salonu rzeźbi posągi, czy też innemu oddaje się zajęciu.”

Musiało być już około północy, gdy mówić zaczęliśmy o najnowszym jego utworze, mającym ujrzeć w nadchodzącym sezonie zimowym światło kinkietów

W miarę jak zapoznawać nas zaczął z jego treścią, wsluchiwałam się coraz uważniej. Bohaterką miała być kobieta, której natura artystyczna znieść nie mogła ciasnoty ram rodziny oficerskiej, zniewalając ją wreszcie do wyrwania się z domu i pójścia śmiało w świat.

Wyobraźnia moja pracowała szybciej jeszcze, niż nadążył opowiadać autor: ja sama byłam tą kobietą, która zerwała wreszcie pęta, aby odnaleźć rodzinne gniazdo swojego ducha, — a starym pułkownikiem, porywającym w rozpacz za pistolet — czyż nie był mój ojciec?... Gniazdo rodzinne jest owem druzgoczącem nas przeznaczeniem, gdy jesteśmy słabsi, i jak w tragedyi starożytnej, pozostawiającem zawsze trupy na pobojowisku.

Umikłam, zatopiona w myślach, których nawet nie rozpętało we mnie dzieło poety.

Na dworze różowiły już się pierwsze brzaski świtu. Kwiaty w pokoju zwiesiły omdlałe kielichy; delikatny błękitnawy dymek papierosów rozsunął dokoła opływających świec opalowe swoje kręgi. Nagle niemal zdjęło nas wszystkich śmiertelne znużenie. Ocknęłam się, zmieszana; miałam go znów przed sobą; jego zarysowaną wyraźnie w rodzącem się świetle dnia maskę *bel-homme'a* z wypielegnowaną miłośnicie kruczą brodą i wielkimi, o mięsistych okrągłych palcach, dłońmi. Jakże obcym, jakże dalekim wydał mi się w tej chwili! Czy istotnie mógł być tym samym, który tylko co, jak w zwierciadle, ukazał mi moje przeznaczenie?

Spałam dwie godziny niespokojnym snem wyczerpania. Zbudził mnie ostry dzwonek wysłańca stacyi telegraficznej. „Stan zdrowia zmienny. Cieszę się nieopisanie z powrotu pani. Giżycki” Zaledwie starczyło mi

czasu na piśmienne przeproszenie rodziców za moje nagłe postanowienie. „Profesor zachorował — pisałam — wiecie, że życie jego wisi na włosku, nie darowałabym sobie nigdy, gdyby miał samotnie cierpieć i umierać.”

Wieczorem byłam już u niego. Siedział, jak zwykle przy biurku pod oknem, i już biedz chciałam ku niemu z radosnem zdziwieniem, gdy spotkałam się z jego wzrokiem: w oczach jego płonęły drgające płomienie gorączki, na wychudzonych policzkach wykwitły ciemno-krwawe rumieńce, a ręka, którą wyciągnął do mnie na powitanie, dygotała w ataku febry. „Dla mnie podniósł się pan z łóżka” — zawołałam przerażona.

„Nie wolno mi więc święcić na mój sposób radosnego tego wydarzenia?! — twarz jego promieniała szczęściem — „jest mi lepiej, o wiele lepiej — a myślałem już — głos jego załamał się — „myślałem, że już nigdy pani nie zobaczę!”

Przez długą chwilę nieprzerwane zapanowało między nami milczenie. Przechylił w tył głowę i gdy tak leżał z nawpół przymkniętymi oczyma, miała twarz jego nieopisanie świetlany wyraz błogości. A potem tyle mieliśmy sobie wzajem do opowiedzenia, że nawet wydzwaniający godziny zegar nie był w stanie przypomnieć nam późnej pory.

Wszedł służący. „Już dziesiąta, panie profesorze”, — rzekł, patrząc na mnie ze zdziwieniem razem i wyrzutem. Zerwałam się przestraszona.

„W jaki sposób wrócę do domu, — do mieszkania!” Zapomniałam oznajmić służącej moje przybycie.

„Zostań pani poprostu tutaj”, — zdecydował Giżycki, — brat mój sypiał często na kanapie w są-

siednim pokoju. „Fryderyk wyjmie dla mnie pościel i powleczenie ze szafy.”

Jakaż to była błoga, cicha noc! Zdala tylko dolatywały przez otwarte okna szmery wielkomiejskie. Jak bezpieczną czułam się! Nazajutrz z rana pospieszyłam przygotować wszystko do śniadania na oplecionym dzikim winem balkonie, nie zwracając zrazu uwagi na niezadowolony pomruk służącego. Dopiero kiedy włożył swojego pana we fotelu na kółkach do pokoju, obrzuciło mnie tak zjadliwie wymowne jego spojrzenie, że zamarły mi nieledwie słowa powitania na ustach. Na szczęście jednak nie zauważył tego Giżycki. Oczy jego odzyskały dawny promiennie pogodny wyraz, a policzki jednostajną bladość barwy.

„Tak dobrze nie było mi nigdy jeszcze w życiu!” — zawołał, zatrzymując rękę moją w swojej.

W domu zastałam telegram od matki. „Ojciec, oburzony na twój wyjazd, żąda natychmiastowego powrotu lub przeniesienia się do Egidy.”

Tegoż jeszcze dnia przeniosłam się do nich za radą Giżyckiego. Egidy sam wyjechał, mogłam więc, nie urażając nikogo, pozostawać cały dzień poza domem. Nieustannie prawie siedziałam u Giżyckiego.

Nie pozwalał wprawdzie nigdy, abym go pielęgnowała, mogłam jednakże czuwać nad ścisłym wypełnianiem przepisów lekarza i zmienianiem we właściwym czasie kompresów i okładów. Przypomniałam też sobie moje dawne talenty kulinarne i cieszyłam się jak dziecko, patrząc, z jak wzrastającym apetytem zjadał chory moje potrawy i zupy. Pewnego dnia udało mi się rozmówić z doktorem w cztery oczy. „Duch tylko podtrzymuje to ciało” — rzekł on poważnie. „Czy bardzo

cierpi?” — zapytałam, wsuwając się głęboko — dla ukrycia mojego niepokoju — w półmrok klatki schodowej. — „Zwykły człowiek nie mógłby chyba znieść podobnego istnienia, ale on... — my zdrowi moglibyśmy mu pozazdrościć uczucia szczęścia, promieniającego stale z jego oczu.”

„Czy wyzdrowieje—będzie żył?”—wyjąkałam.

Lekarz spojrział na mnie długo i badawczo i rzekł, podając mi rękę na pożegnanie: „Wydrowieć nie może nigdy! Żyć?! Szczęście i miłość — to eliskiry, które umierających już powróciły do życia. Niestety tylko, nie możemy ich zapisywać!”

Z każdym dniem odzyskiwał chory siły i humor. Z rana witał mnie wchodzącą, jak gdyby po wieloletniej rozłące, a wieczorem przy pożegnaniu drgały mu wargi, jak małemu dziecku, któremu zbiera się na płacz. Dni płynęły nam w harmonijnej jednostajności. Godziny ranne poświęcone były filozofii. — Za rok złoży pani doktorat — zapewnił mnie Giżycki, prowadzący dla mnie w tym celu systematyczny wykład. Nie chciał przytem nigdy przyznać tego, co wyraźniej coraz czułam: że szersze widnokreśli wiedzy zamknięte są dla mnie z powodu niedostatecznego przygotowania lingwistycznego, a nadewszystko przyrodniczego i matematycznego. Często pragnęłam móżdż zasiąść jeszcze na ławie szkolnej, profesor wyśmiewał wszakże podobną myśl. „Zna pani życie, — a to stokroć więcej warto od całego balastu książkowego; musi pani zacząć już działać,— a to lepsze od rozwiązywania zadań matematycznych lub tłumaczenia Płatona z oryginału“.

W godzinach poobiednich roztrząsaliśmy bieżące kwestye polityczne, lub czytaliśmy utwory pisarzy

nowoczesnych. Uczylałam się poznawać z suchych cyfr, ilustrujących normę płacy oraz ceny niezbędnych produktów spożywczych, warunki pracy i bytu, z poza których coraz wyraźniej wyzierał szary, omglony świat nędzy, dotychczas znany mi jedynie w dorywczych poszczególnych swoich przejawach: tutaj, czułam to instynktownie, było pole, którego uprawianie całego wymagało natężenia siły. Czasy, jakie przeżywaliśmy, przyczyniały się też w znacznej mierze do zdobycia tego przeświadczenia: ze wszech stron napływały cenne w danym kierunku przyczynki w postaci książek, broszur i artykułów dziennikarskich. Zagłębiliśmy się z wzrastającym zainteresowaniem w pierwszy tom „Kapitału”, w dzieła Engelsa i Göhrego; a gdy dr. Brandt przysłał profesorowi pewnego dnia próbny zeszyt powołanego przez siebie do życia czasopisma, poświęconego wyłącznie kwestyom polityki ogólnej, przyczytałam je z taką ciekawością, że odtąd wyczekiwałam każdego zeszytu niemniej niecierpliwie, aniżeli podlotki dalszego ciągu sensacyjnego odcinka powieściowego. Egidy, który powrócił w tym czasie z podróży, przestał już też szukać jedynej drogi ratunku w walce z dogmatyzmem, zrozumiałwszy nareszcie, że skierować ją raczej należy ku przeciwdziałaniu nędzy i uciskowi.

„Rozkoszą jest żyć, gdy wszystko jest w ruchu, wszystko rośnie — i pnie się w górę — ku temu samemu niebu, mimo że korzenie w różnych tkwią gruntach” — mawiał Giżycki. A gdy niecierpliwie wzdychałam: gdybyśmy tylko dożyć mogli ziszczenia przyszłego porządku świata — odpowiadał: „Ależ, co pani mówi, już wszakże nastął.”

Ruch ten zdawał się istotnie z magnetyczną siłą

pociągać ku sobie wszystko. Na czele jego stanęła wiedza, a sztuka kuła dla niego oręż.

Czem-że byli „Tkacze” Hauptmanna, jeśli nie bożowem jego hasłem? I mnie ogarnął fanatyzm, nie widzący nic poza celem swoim, pędzący ku niemu na oślepię, z ociekającymi krwią stopami i ciężko dyszącą pierśią, nie znający cichych ścieżynek, co zdala od jego drogi na kwietne wiodą łąki, w cieniste gaje i na wyniosłe, ogarniające szerokie widnokreśli, szczyty górskie; fanatyzm, którego nie nęci wypoczynek w cieniu lipy wiejskiej i wrót kościelnych, — ów fanatyzm, zniewalający pierwszych chrześcijan do strącania białych marmurowych posągów bożków pogańskich w błota pontyńskie.

A dusza moja przymknęła zcicha, niewidzialnie dla nikogo, drzwi, wiodące do skrytki, w której żyło zdławione i przyczajone to, co najwewnętrzniejszą moją było istotą.

Niechętnie niemal przyjąłem zaprosiny Sudermana na odczytanie jego ukończonego już tymczasem dramatu. Nie byłże i on jednak jednym z tych, którzy w naszym walczyli szeregu?

Pojechaliśmy do Chorynu, cichego zakątka leśnego w Marchii, gdzie ciemne jodły przeglądają się w małych głębokich jeziorkach, a poprzez zmurszałe ruiny starych klasztorów błękitny przeziera strop nieba. Czekali tutaj na wieszczą jego przyjaciele, w ich liczbie obcy „kolega”, jak sam z przedziwnie subtelnym nazwał się uśmiechem. Był to Detlev v. Liliencron.

Nikt nie jest równie bezlitośny w swojej prawdziwości, jak natura. Z okrutną bezwzględnością odróżnia ona prawdę od fałszu, światło jej, nieprzyćmione żadnymi osło-

nami i papieroweni latarkami, oświetla ostro wszystko to, co jej w człowieku odpowiada i to, co ją od niego odpycha. Kobiety z kunsztownie utrefionemi główkami, w modnych strojach, obute w maleńkie, wążki, osadzone na spiczastych wysokich obcasach, pantofelki, tak piękne w mieście i olśniewające w salonie, czynią na łonie natury wrażenie napoły śmieszne, napoły upiorne. Ostateczny wyrok wydaje ona też na eleganckich panów o lubieżnie zblazowanym uśmiechu i „interesującej” bladeści nieskończonych nocy, spędzonych w dymie kawiarnianym, zdradzając bez osłonek, kim są. Gdy zaś paniom tym i panom, odczuwającym instynktownie, że znaleźli się na niewłaściwym sobie gruncie, przychodzi nieszczęśliwa myśl przebierania się w kostyummy wiejskie lub góralskie, nakładania na utrefione włosy i wybladłe twarze naiwnie zielonych kapelusików, występuje wówczas z całą tragiczną wyrazistością potworna dysharmonia ich postaci w zestawieniu z naturą i z wszystkich tych uduchowionych bohaterów i bohaterek wielkomiejskiego życia pozostają jedynie nędzne maski marnych komedyantów prowincjonalnych.

I wielcy wszakże ludzie niezawsze mogą dotrzymać placu naturze. Kto umie patrzeć, dostrzega wnet z niemłą przykrością braki ich i słabostki.

Ze stacyi kolejowej poszliśmy pieszo przez las do małej oberży nad jeziorem.

Dlaczego broda naszego wieszca tak kruczo była czarna i połyskująca ręka jego taka szeroka, a palce takie mięsiste? I tutaj bolesna była dysharmonia.

Ten drugi natomiast, obcy mi dotychczas zupełnie, szedł tuż obok, jak gdyby zrosnięty nierozdzielnie z otaczającym go krajobrazem, postać, jak ulana ze śpiżu, w któ-

rej wszystko było proporcjonalne i wzajem sobie odpowiadające.

Ciężkie, zwiastujące burzę, chmury zawisły na niebie, gdy Sudermann zaczął czytać, po chwili towarzyszyli im zaczęły błyskawice i grzmoty rozwijającej się tragedii. Porwał mnie od razu czar utworu. Wszystko to były przecież własne moje przeżycia: jak Maryi tej, i mnie obcem się stało gniazdo rodzinne, gdzie ludzie niezrozumiałym mówili do mnie językiem. I musiałyśmy obie ratować się przed pętami, jakimi dom chciał na nowo skępować naszą swobodę... Ja to przecież byłam ową kobietą, mówiącą: „musi wreszcie wyjaśnić się sytuacja między gniazdem rodzinnym a mną!”

Sztuka przyjęta została przez małe nasze grono z niekłamanym zachwytem. Bolało mnie to wszakże, gdy zaczęto godzinami rozbierać każdy ustęp pod względem jego sceniczności. Dopiero na powrotnej drodze, w wagonie, poruszono kwestyę tendencji utworu.

„Rad jestem szczególnie, że tak mocny znalazła w nim wyraz zasada indywidualistyczna”, — rzekł jeden z uczestników.

„Marya jest uosobieniem idei nitscheańskiej!” dorzucił z entuzjazmem inny, „ona sama dokonała przewartościowania wszystkich wartości, stoi poza złem i dobrem, jest nadczłowiekiem, mimo że jest kobietą!”

„Jakto?! Marya, dająca się uwieść nędznikowi, miałyby być nadczłowiekiem?! — pomyślałam... I miałyby dokonać przewartościowania wszystkich wartości dlatego, że porzuciła dom rodzicielski?! Czy to możliwe, abym tak źle rozumiała Nietsche’go? — Rozmowa ożywiła się. Mówiono o konieczności zapanowania

indywidualizmu nad socjalizmem, etyki panów nad etyką niewolników.

„Na nas, artystach, ciąży — w obec niebezpiecznych współczesnych dążności niwelatorskich — zadanie, a nawet prawo reprezentowania arystokracji — zawołał mały człowieczek o spiczastym brzuszku i spływających mu po tłustych policzkach grubych kroplach potu.

„A na czym polegać ma to prawo?” — zapytałam zaciekawiona, tłumiąc z trudnością śmiech.

Spojrzał na mnie zmieszany. „Na prawie dawania pełnego wyrazu swojej osobowości”, — rzekł w końcu, uderzając dłonią po szerokim pasie sportowym tak mocno, że aż zadźwięczał zawieszony na nim, jaśniejący zdaleka, gruby złoty łańcuch.

„O ile się ją posiada”, — zauważył lakonicznie, milczący dotychczas Liliencron.

„Rozumie się, rozumie się”, potakiwał spocony indywidualista, szczerze rad w duszy, że wjeżdżający na stację pociąg uwalniał go od dalszej na ten temat dyskusji.

Nazajutrz przypadła nasza lekcya filozofii: debatowaliśmy nad Nietschem i po raz pierwszy od naszego poznania się bronił Giżycki poglądów swoich z niebywałą u niego gwałtownością. „Jak anarchizm największem zagraża niebezpieczeństwem szerzeniu się socjalizmu wśród klas roboczych, podobnie i szerzenie idei nitscheańskich podkopać może oddziaływanie ruchu etycznego na stan średni i wyższy. Rozwój osobowości, jako cel sam w sobie, jest w dzisiejszych warunkach prostem przeciwieństwem największej sumy szczęścia dla największej liczby ludzi”.

„Daruje pan, że ośmielę się zaprotestować” —

odpowiedziałam nieśmiało, jakkolwiek z całym przeświadczeniem, że słuszność po mojej jest stronie. „Zdaje mi się wprost przeciwnie, że to on właśnie jest naszym celem. Najwyższem szczęciem ludzi jest osobowość, — jak zresztą powiedział już coś w tym rodzaju Goethe. I dlatego powinni reformatorzy społeczni wziąć sobie za zadanie wytworzenie warunków, umożliwiających wszystkim osiągnięcie takiego szczęścia, które dzisiaj dostępnem jest już tylko dla niewielu.”

„Gdyby biedny Nietzsche nie był dzisiaj już duchowym trupem”, — zaśmiał się Giżycki — „przypomniało by mu podobne wyłożenie przez panią jego teorii, że nie należy do kobiety zbliżać się bez bata! — Rozejrzyj się pani, dokoła: czyż najżarliwsi jego wyznawcy nie są najzaciętszymi naszymi wrogami?”

„Oni to właśnie źle go rozumieją, nie ja. Żyć w pełni, zaczy wszak tylko kruszyć i zrywać wszystkie pęta, mogące stanąć nam na przeszkodzie do pełnego rozprężania członków naszych w pracy dla dobra ludzkości!”

„Ależ nie jest to, kochana siostrzyczko, oryginalną myślą Nietzsche’go! Już przed niem wypowiedzieli ją Fichte, Kant i wielu innych”, — odparł profesor. „Bałem się już, że moglibyśmy się różnić w zdaniach, widzę wszakże, że nawet, przeprowadzona przez panią, obrona Nietzsche’go nowym jest dowodem naszej jedności.”

Tliła się we mnie jeszcze nieokreślona jakaś chęć opozycji, z której istoty nie umiałam jasno zdać sobie sprawy, zbyt jednak byłam szczęśliwa z tego mostu porozumienia, jaki udało nam się przerzucić, abym dłużej miała nad tem rozmyślać.

Powrócili moi rodzice. Usposobienie ojca w stosunku do mnie nieustannym ulegało wahaniom; umiał być tkliwym dla mnie i szczerze interesować się moją pracą, mojemi stosunkami towarzyskimi, a w godzinę później, gdy jakieś wydarzenie polityczne, jakaś demonstracja socjalistyczna lub jakaś napaść w pismach konserwatywnych na ruch etyczny zwycięską wytaczały w jego duszy arystokraty, generała i monarchisty walkę uczuciom ojca — zmieniała się miłość jego w gniew gwałtowny, a zainteresowanie jego — w niesprawiedliwe aż do okrucieństwa wyroki potępiające.

Matka natomiast była wciąż jednak zimna, nieprzystępna, obserwująca. Elżunia trwożliwie mnie unikała. Gdy zaś zapytałam ją o powód, przyznała, że przygotowanie się do konfirmacyi uniemożliwia jej bliższe ze mną obcowanie.

Do chwili tej w milczeniu znosiłam konieczność zajmowania w domu stanowiska osoby, zaledwie tolerowanej przez otoczenie, — w dniu jednakże, kiedy jasnowłose to dziecię odwróciło się ode mnie, nie mogłam opanować płaczu.

Pierwsze organizacyjne ogólne zgromadzenie Towarzystwa Etycznego miało odbyć się niebawem. Ze wszystkich stron kraju nadchodziły do nas listy powitalne, zapisywania się na członków, wyrazy sympaty — zdawało się istotnie, że znaczną była liczba ludzi, tęskniących w głębi duszy za zrzeszeniem się na podobnie ideowej podstawie. Rzadko bardzo zastawałam Giżyckiego w godzinach popołudniowych samego: uczeni i nieuczeni, ludzie, noszący sławne nazwiska i wybitne dźwigający dostojeństwa, ukazywali się obok biedaków i rękodzielników, pełno też było kobiet z roz-

maitych sfer towarzyskich. Inna tu była, niż u Egidy'ego publiczność: bardziej stanowcza w swoich wolnomyślnych przekonaniach, głębiej przejęta poczuciem swoich obowiązków społecznych. Zbliżająca się chwila do końca dawno przygotowywanego dzieła harmonijniej nastroiła ostatnie zebranie komisyjne. Bolała wprost konieczność powracania do szarej roboty powszedniej, to też większość ludzi, którzy przed chwilą entuzjastycznie nas witali, uciekali wprost przed nią. Mnie, rojącej o wyzwoleniu świata, szczególnie było ciężkiem branie udziału we wszystkich naradach i zebraniach, gdzie godzinami nieraz debatowano nad kwestją wyboru lokalu na zebrania, księgowania wpływów i rozchodów i t. p. Chodziłam jednakże regularnie, aby móżdż zdawać sprawę Giżyckiemu, który rzadko tylko bardzo mógł uczestniczyć, i dlatego też nie był zdolny pojąć mojego uczucia spadania z nieba. Ze względu raczej na niego, którego przyjaźń dla mnie nie była tajemnicą, aniżeli na moje bardzo drobne zasługi w zorganizowaniu Towarzystwa, zaproponowano mi objęcie zamiast niego, zmuszonego z góry już odrzucić wszelki wybór, urząd sekretarza głównego zarządu.

Nie wahałam się ani na chwilę z przyjęciem go, wiedząc dobrze, że będę miała dzięki niemu poważny w Towarzystwie wpływ. Powróciwszy do domu, opowiedziałam z dumą o zaszczycie, jaki mnie spotkał. Ojciec powrócił właśnie z klubu, a ja w rozpromienieniu mojem nie zauważyłam ani wyrazu jego twarzy, ani ostrzegawczych znaków matki.

„Co?!...” — wybuchnął, — „osoba, nosząca moje nazwisko ma być oficjalną przedstawicielką tej szajki międzynarodowych oszustów?!” Chciałam mu przerwać,

nie dał mi wszakże przyjść do słowa. „Czyż nie manifestowaliście dzisiaj właśnie, jak o tem dowiedziałem się oczywiście od obcych, — na rzecz szalonej utopii powszechnego rozbrojenia, co naturalnie nie jest niczem innym, jak pędzeniem wody na młyn tych łotrów socyal-demokratów!” Głos jego rozbrzmiewał z taką siłą jak gdyby miał przed sobą cały pułk żołnierzy — „Chcecie zastąpić dzieciom religię — waszą, tak zwaną, nauką moralności. Piękna moralność — w samej rzeczy!” Przystąpił do mnie blisko: „Zakazuję ci raz na zawsze bratania się z tymi niedowiarkami, zaprzańcami, zdrajcami ojczyzny—bo inaczej —”

„Pozwolisz, że odejdę”— przerwałam potok oszalałej jego wymowy i wyszłam z pokoju.

Nazajutrz przywitał mnie z rana blady, z niewyspanemi, przygastemi oczami: „Słuchaj starego ojca dziecko moje, pragnie przecież twojego dobra tylko,— jesteś na złej drodze, — nie odcinaj sobie publicznie zaangażowaniem się możliwości odwrotu.’

„Daj mi czas do namysłu, drogi ojcze — prosiłam, ociągając się, w duszy nawpół już przekonana, chciałam tylko zasięgnąć rady Giżyckiego”.

„Ustąp, pani, — tym razem jeszcze! ” — powiedział, — „powinniśmy się starać przyczyniać innym jaknajmniej cierpień. A już najlepiej, jeśli przeciwnik w końcu dobrowolnie, z przekonania, nam ustępuje.

Ojciec mój, do łez niemal był wzruszony, kiedy mu powiedziałam, że zastosuję się do jego życzenia. Poszedł sam do profesora i rozmawiał z nim szczegółowo i spokojnie, jak skończony etyk! Po powrocie z tej wizyty zmusił mnie do pojechania z nim do miasta i wybrania sobie w magazynie sukni.

„Nie chcę, żeby to wieczne szycie odrywało cię od najmilszej twojej pracy!”

Nie trwało jednak długo, kiedy poczułam, że naj-
bliższy powód wystarczy, aby nową wywołać burzę.

W nieustannym żyłam strachu. Drżałam na od-
głos kroków ojca na schodach, możliwie niepostrzeżenie
wysuwałam się też po obiedzie z domu i wówczas do-
piero oddychałam z ulgą, kiedy zamykały się za mną drzwi
gabinetu Giżyckiego.

„Teraz powinienbym móżdż z kolei pielęgnować
panią, jak pani mnie niedawno”, mawiał często, ogarni-
ając mnie wzrokiem pełnym współczucia i miłości.

Pewnego wieczora listopadowego — zmuszona by-
łam z powodu silnej gorączki pozostać przez kilka dni
w łóżku—otrzymałam list od profesora:

„Najszanowniejsza moja Pani!

„Wielokrotnie mówiliśmy o tem, że powołanie
do życia pisma, poświęconego sprawom etyki, coraz wy-
raźniejszą staje się — w obec nieustannego rozwoju
Towarzystwa — koniecznością. W tych dniach poru-
szyłem kwestyę tę w kole naszym literackim i wy-
dawca naszych pism ulotnych wyraził gotowość zało-
żenia do spółki ze mną pisma, jakiego nam potrzeba.
Że jednak nie jestem w możności kierowania niem —
redaktor podobnego organu musi w ważniejszych wy-
darzeniach uczestniczyć osobiście — zależy decyzja
moja ostateczna od pani. Stanowisko współredaktora
zabierze pani bardzo dużo sił i czasu, a wydawca nie
jest na razie w stanie wyznaczyć honorarium wyższe-

go nad jakieś tysiąc pięćset do dwóch tysięcy marek rocznie. Wierzę jednak i spodziewam się, że przejęcie się pani sprawą wyższe jest po nad tego rodzaju trudności.

Załączając najuprzejmiejsze pozdrowienia ich excellencyom i serdeczne ukłony szanownej pani.

pozostaję z poważaniem i przyjaźnią

Jerzy v. Giżycki.

Nareszcie wyzwolenie! — zabrzmiało mi hejnałem radosnym w duszy przy podawaniu listu tego rodzicom. Scena, jaką wywołał on, straszniejszą była od wszystkich dotychczasowych. „Dopóki nosisz moje nazwisko — nigdy, nigdy” — krzyczał ojciec. Tym razem był niewzruszony. Pobiegłam do profesora i padłam ze łkaniem gwałtownem obok jego fotela. Przez długą chwilę nie byłam w stanie przemówić, i czułam tylko z niewysłowioną ulgę, jaki spokój kojący promieniuje z lekko głaśczonej skroń moją, szczupłej jego dłoni. Przemóglszy się wreszcie, zaczęłam opowiadać.

„Dopóki nosisz moje nazwisko” — powiedział ojciec pani. Odwrócił głowę, wpatrzony w okno, za którym żółte i czerwone liście wirowały, niesione w tan wichrem jesiennym. Ściemniało się już — musiałam odejść.

„Tak się okropnie boję” — szepnęłam, wybuchając na nowo płaczem. I nagle usłyszałam na tle ciszy i znierzchu ledwie dosłyszalny szept jego: „Czy chciałabyś pozostać u mnie, siostrzyczko?! — „Nazawsze — na wieki” — jęknęłam i zanim mógł temu przeszkodzić,

przywarłam gorącemi wargami do jego bielejącej nieziemsko w mroku dłoni.

Nazajutrz wczesnym rankiem otrzymałam następujący list:

„Droga moja, szanowna Pani!

Przed kilku już miesiącami myślałem często, że gdybyś po całym szeregu lat nie znalazła na swojej drodze szczęścia, na jakie w tak wysokim stopniu zasługujesz, — gdybyś oswoić się wreszcie musiała z myślą wyrzeczenia się miłości i szczęścia, rzekłbym ci: droga przyjaciółko, zamieszkajmy razem, bądźmy mężem i żoną, żyjąc w dalszym ciągu — jak na to jestem skazany — jako brat i siostra!

Okoliczność wszakże, iż obecnie nastęcza nam się projekt pracy, którego urzeczywistnienie — sądząc ze stanowiska, jakie zajął ojciec pani — mógłby związek podobny znacznie ułatwić, staje się powodem, dla którego dzisiaj już zwracam się do pani z tą prośbą.

Małżeństwo nasze nie byłoby związkiem miłości, lecz związkiem przyjaźni i pracy; byłoby ono dla pani wszystkiem innym raczej, niż t. zw. zabezpieczeniem, bylibyśmy, jak ludzie przyszłości, u których i kobieta z własnej utrzymuje się pracy. Nie posiadam majątku i mam skromne tylko dochody. Zresztą wiadomo pani wszak, że nic mojego życia grozi w każdej chwili zerwaniem się.

Może więc pani dać mi odrazu odpowiedź odmowną. Przyjaźń moja dla pani pozostałaby mimo to

niezmienną. Odpowiedź przyzwalająca długiego wymagałaby w każdym razie namysłu! Idzie tu wszak nieledwie o przywdzianie przez młodą dziewczynę szat zakonnych. Gdyby pani miała jednakże, wbrew wszystkiemu, dać mi odpowiedź przychylną, mogłoby małżeństwo nasze być pięknym w swoim rodzaju związkiem.

Oddany pani na wieki przyjaciel

Jerzy v. Giżycki.

Zaledwie zdążyłam doczytać do końca z bijącym silnie sercem i falującą przyśpieszonym oddechem pierśią — a już siedziałam przy biurku i pióro moje ślizgało się po papierze:

Drogi mój przyjacielu!

Nie potrzebuję się wcale namyślać, aby z radośnie dziękczynnem „tak” złożyć dłoń moją w pańskiej. A bynajmniej nie czynię tego w poczuciu wyrzekania się miłości i szczęścia; istnieje dla mnie jedno tylko szczęście — przy panu; i wszystko, co jest we mnie miłością, należy do ciebie. I ja, jak dzieci, marzyłam niegdyś o raju, podobnym do nieba pobożnych. Dzisiaj wydawałby mi się on piekłem nieledwie — zaś to, co mi pan ofiarowuje, mieści w sobie ziszczenie najgorętszych moich pragnień.

Widzę przed sobą las odwieczny, zaludniony rozmaitego gatunku drapieżcami, las o tak nieprzeniknionym miejscami gąszczu, że promienie słońca przedrzeć się nawet przezeń nie mogą do ziemi. Wśród całej tej gromady my dwoje, ściśle zespoleni i uzbrojeni w topory,

ukute przez ciebie dla nas obojga. A zdala i zblizka dochodzą do nas dźwięki siekier innych pracowników. Są one muzyką dla naszych uszu. Nie brak wprawdzie spadających i raniących nas gałęzi, nie brak groźących nam i skłębionych dokoła nas żmij jadowitych. Dopóki wszakże mamy samych siebie, dopóki narzędzie pracy nie wypada nam z ręki, dopóki otwarte oczy nasze widzą coraz potężniej przenikające do głębin lasu światło—dopóty jest on nam rajem życia...”

Wysłałam naprzód odpowiedź i poszłam za nią niezwłocznie sama. Weszłam cicho do pokoju. Jerzy nie zauważył mnie. Na biurku przed nim leżał mój list, złożył na nim ręce i oparł jakby w zadumie czoło.

„Jerzy” —

„Alicyo”.— Wzdrygnął się i zwrócił do mnie łzami zalaną twarz. Ujął obie moje ręce, ucałował je i pochylił ku sobie moją głowę. Czułam, jak usta jego musnęły łagodnie moje oczy.

Ze spokojem czekałam na dalszy bieg wypadków. Nie przewidywałam, aby rodzice moi stawiali opór mojemu małżeństwu. Jerzy pochodził ze starego rodu arystokratycznego — zresztą pozbycie się mnie raz wreszcie z domu będzie dla nich istotną ulgą. Skamieniałam też z przerażenia, stanąwszy wobec ojca, który po otrzymaniu oficjalnego listu od Jerzego wezwał mnie do swego gabinetu. Ciężko oddychając, z ciemno-krwistemi wypiekami, z nabiegłemi krwią oczyma, siedział on na krześle w rozpiętym mundurze, niecierpliwie rwąc kołnierzyk, jak gdyby bał się, że go zaleje krew. Głosem urywanym, ochryplym, zupełnie jakimś nieswoim, mówić zaczął w obecności matki, skulonej w rogu kanapki i cicho płaczącej:

„I to — i to mnie spotyka — czy już nie dość — nie dość mnie Bóg skarzał?! Ciebie, ciebie, — z której taki byłem dumny! Ciebie, — ciebie, moje najukochańsze — moje pierworodne dziecko! — Ciebie, o którą król musiałby błagać jeszcze jak żebrak.—Ciebie chce ten — ten — którego Bóg sam napiętnował jako wyklętego —

„Ojcie —!” — krzyknęłam, osuwając się na same progi drzwi.

Skoczył ku mnie, ale wnet zachwiał się i obiema pięściami ciężko oparł się o stół. Z głową podaną naprzód i dziko wlepionemi we mnie oczyma, krzyczał nieludzkim głosem:

„Nie wymkniesz mi się już, chociażbym cię siłą miał zatrzymać! A twojego pięknego gacha” — roześmiał się głośno — „nędznika, który nie jest nawet mężczyzną — zastrzełę, jak wściekłego psa — — ” Nie do końca, dźwięk jakiś dziki wydarł mu się z gardła i ciężko osunął się na krzesło. Pobiegłam po wodę, — zwilżyłam mu usta, — potarłam czoło, — z zupełnie chorym miałam przecież do czynienia człowiekiem! Gdy tylko wszakże przyszedł do siebie, odepchnął mnie, nie dając mi dostąpić do siebie.

Mama, Elżunia i służący rozebrali go i położyli do łóżka. Wydawałam się samej sobie zbrodniarką. Za ledwie zamajaczyły pierwsze brzaski poranne, napisałam do Giżyckiego. Ojciec biegł już szybkimi krokami po swoim pokoju. Zawołał mnie, — spazm strachu ścisnął mi gardło, poszłam jednakże.

Jakże okropnie wyglądał! Jakże przeraźliwie zesta- rzał się przez jedną, jedyną noc!

„Nie bój się, — nie zrobię ci nic złego—jęknął, skła-

dając popękane wargi do bladej podobizny uśmiechu.— „Chcę tylko pomówić z tobą, chcę ci wytłomaczyć,— czego nie wiesz, czego nie możesz wiedzieć, czego może i profesor...” widocznem było, że nie jest w stanie wymówić znienawidzonego imienia — „sam nie wie. Jedynie to jeszcze w moich oczach dla niego usprawiedliwienie!” Zmusił mnie, abym usiadła obok niego jak za dawnych lat mówiąc w dalszym ciągu; trzymał rękę moją w swojej. „Powiedziałem ci już — jesteś *mojem* dzieckiem! Odziedzyczyłaś moje namiętności, moje gorące serce, moją szaloną krew. Jeśli zostaniesz — żoną tego człowieka, przyjdzie — o wiem to dobrze, aż nadto dobrze! — przyjdzie prędzej lub później chwila, w której krew twoja głośno — słyszysz? głośno domagać się będzie miłości! — miłości, której człowiek ten nigdy dać ci nie będzie w stanie! Będziesz wtedy nieszczęśliwa, bezgranicznie nieszczęśliwa — albo też” — zaledwie zdołał zdobyć się na straszny wysiłek wykrztuszenia tych słów — „złamię wiarę małżeńską, — staniesz się ladacnicą!”

„Ojczy, drogi ojczy!” — tuliłam jego ręce — „nie mógłbyś tak mówić, gdybyś mnie znał lepiej! Nie jestem już dzieckiem — wiele przeżyłam, — przecierpiałam dużo, bardzo dużo, krew moja wyszumiała już najzupełniej, nie znam już innej miłości nad tą, jaką mi dać może Jerzy!”

„Mylisz się — i błąd ten stanie się twojem nieszczęściem. Znam cię lepiej, aniżeli ty sama znasz się w tej chwili”. Zmęczone jego oczy wpatrzone były w przestrzeń, zdawał się zapominać chwilami, że siedzę obok niego. „I ja kochałem też i — ginąłem z miłości! I przez ćwierć wieku żebrałem o miłość kobiety, która była moją żoną. Nie mogłem zrozumieć, że cała moja namięt-

ność, cały żar mój nie może jej rozgrzać. Aż wreszcie starym stałem się człowiekiem, aż nauczyłem się godzić z tem, że nic — nic w życiu mi nie dopisało, — że nadzieje miłości też mnie zawiodły!...” Umilkł, opanowany siłą wspomnień.

„Czy rozumiesz teraz, że nie mogę znieść myśli widzenia cię równie, o nie! — stokroć nieszczęśliwszą, niż byłem ja sam! — Nie będziesz przecież nawet miała dzieci!”

Wzdrygnęłam się — natychmiast jednak pohamowałam wrażenie, które dowiodłoby ojcu, że ma słuszność.

„Wszystkie biedne, wszystkie opuszczone dzieci na świecie będą mojami” — odpowiedziałam — „dla nich będę myślała i pracowała!”

Ojciec wstał z krzesła. „Nie mam ci więc nic do powiedzenia. Jesteś pełnoletnią, obejść się możesz bez mojego zezwolenia. O jedno tylko jeszcze cię proszę, i matka twoja osobiście powtórzy tę prośbę — profesorowi — ja sam nie czuję się na siłach mówienia z nim:— odłóż twój zamiar na pół roku jeszcze i wypróbuj przez ten czas własną wolę. Możesz, bez przeszkód z mojej strony — bywać u niego jak dotychczas — a jeśli po upływie tego czasu nie zmienisz swojego postanowienia,— złożę w takim razie broń.

Chciałam mu podziękować, — ustępstwo jego przewyższało wszystko, czego mogłam spodziewać się po wczorajszej scenie — wyrwał mi jednak rękę swoją i wyszedł z pokoju.

Tegoż samego jeszcze wieczora otrzymałam list od Jerzego, u którego matka moja zdążyła być już przez ten czas:

„...Długą mieliśmy i poważną z sobą rozmowę, która tem większe wywarła na mnie wrażenie, że na krótko przed nią był u mnie pułkownik Giżycki, przed którym zdradziło mnie moje podniecenie i który najgwałtowniejsze za krok mój nieopatrzny czynił mi wyrzuty. „Jeśli stanie się to, w czym w swojej nieznajomości świata i ludzi widzisz swoje szczęście, zmarnujecie się oboje”, — rzekł do mnie. Alicyo moja ukochana, czy nie jesteśmy istotnie pod pewnym względem nieznającymi życia dziećmi? Żadne z nas nie powinnyby przecież zmarnieć! Mamy wszak oboje misję do spełnienia! Tak niewielu jest ludzi, ożywionych równym naszemu zapałem dla naszej sprawy! Czyż nie ciąży na nas obojgu obowiązek utrzymania się dla niej? Może fatum właśnie podsunęło pięknej córce ekscellencyi starego profesora i wpuściło nagle czarodziejkę do cichego, skupionego, odciętego od wszelkich uciech świata, życia uczonego? Czy nie należałoby raczej, abyśmy przeistoczyli fatum to w los błogosławiony, opanowując nasze, raczej moje osobiste pragnienie?...

Trzy godziny dziennie miłości i słońca — Czy to nie dość? Biedne miliony istot, dla których nigdy one nie świecą! Ja, co prawda, pragnę więcej jeszcze, ale wtedy jedno z nas musiałoby zmarnieć!! — Wolałbym raczej zostać do końca żywota pogrążonym w mroku wiecznym, niż ściągnąć los podobny na głowę najukochańszej istoty!

Postanówmy więc sobie poważnej dokonać próby zadowolenia się odrobiną szczęścia—dla mnie jest to już olbrzymio dużo! — i ogromem pracy, a ty, droga, ukochana przyjaciółko, uproś rodziców, aby ci nie stawiali w tym względzie trudności...”

Oczy jego zadawały kłam pozornemu spokojowi

tego wyrzeczenia się. Znikło z nich światło promienne, znikł też z ust jego uśmiech słoneczny. A gdy odchodziłam od niego wieczorem, zatrzymywał mnie taki na twarzy jego wyraz bólu, jakgdyby cierpiał całą mękę rozstania nazawsze. Widywaliśmy się codziennie. Niebawem wszakże zauważyłam, że ojciec usiłuje wszelkiego rodzaju zaprosinami i zamówieniami przeszkadzać mojemu bywaniu u Jerzego. Gdy zaś przypominałam mu jego przyrzeczenie, wpadał w gniew, a gdy opierałam się jego żądaniom, mogłam być pewną, że zastanę po powrocie do domu matkę zapłakaną, siostrę wylęknioną, a ojca milczącego i ponuro w sobie zamkniętego. Ilekroć spędzałam wieczory poza domem, — co było często koniecznem ze względu na zebrania oraz posiedzenia komisji, z których obowiązana byłam zdawać sprawę w naszym piśmie, — wysuwałam się ze strachem do domu, niejednokrotnie już bowiem spotykały mnie ze strony ojca najniesprawiedliwsze zarzuty. Każdy artykuł, podpisany przeze mnie w piśmie — wstręt czułam do bezimienności, jako do tchórzostwa — stawał się powodem najprzykrzejszych zajęć, korzystał też z politycznych wydarzeń ówczesnych, aby bezgranicznie wyszydzać i bezcześcić wszystko, co było mi najświętszem. Dręczyć mnie zaczęło w końcu i ustawiczne uczucie strachu do tego stopnia, że doznawałam często wrażenie, iż zaczyna rozwijać się u mnie mania prześladowcza. Nadto codzienne wysiłki udawania wesołości wobec Jerzego coraz bardziej zawodziły, aż wreszcie wyznaliśmy sobie pewnego dnia wzajemnie niemożność znoszenia dłużej podobnego stanu rzeczy.

„Więc chcesz naprawdę poślubić tego połamańca, którego pomówionoby napewno w wiekach średnich o czar-

noksięstwo i wskutek tego spalono?" zapytał z niedowierzającym uśmiechem.

„Chcę!” — odpowiedziałam z mocą — „a jeśli nie da się inaczej, i bez błogosławieństwa rodziców”. Wiedziałam, że gwałtowność ojca nie pozwoli mi dojść do słowa, i dlatego napisałam do niego długi, tchnący miłością list, w którym usiłowałam wytłómaczyć mu, że jestem dostatecznie dojrzałą aby ukształtować życie moje zgodnie z własnym przekonaniem, że byłoby w najwyższym stopniu niesumiennie i niezgodnie z poczuciem obowiązku podporządkowywać się niewolniczo cudzym nakazom, zamiast iść za głosem własnego uczucia, że pozbawienie człowieka na całe życie swobody działania i czynienia z niego dożywotnio istoty małoletniej jest gorszem od zabijania go.

W ciągu całego przedpołudnia zdawał się ojciec ignorować mój list, dopiero kiedy chciałam wyjść z domu, wpadł za mną do przedpokoju.

„Nie pójdiesz!” — zawołał, chwytając mnie za rękę. „Nie upłynął jeszcze wyznaczony ci do namysłu termin, — zmuszasz mnie wszakże do zmiany warunków. Zaprzestaniesz od dzisiaj twoich wizyt. Niechcę, aby surowo-obyczajny etyk zatruł ci do reszty twoją duszę”.

„Łamiesz przyrzeczenie, ojcze” — krzyknęłam, wyrwawszy się przemocą z żelaznego uścisku jego palców. W tej samej chwili porwał on stary swój pistolet z biurka — „Jeszcze krok, a strzełę” — Ale już zbiegłam pędem ze schodów — przez ulicę — przez plac; ludzie, powozy i domy migały przede mną w przelocie, jak cienie.

Jak przybiegłam do Jerzego — nie wiem. Krzyk przeżalenia, jaki wydarł się z jego krtani na mój widok, gdy wpadłszy do jego pokoju, runęłam na posadzkę, oprzy-

tomnił mnie. Tegoż jeszcze wieczora pojechałam do jego przyjaciół, którzy ofiarowali mi już na wszelki przypadek dom swój na chwilowe pomieszczenie. Nie podając adresu mego, zawiadomiłam rodziców, że nie wrócę do nich więcej. Zanim wszakże list mój mógł do nich nadejść, zawiadomił mnie Jerzy, że wuj Walter chce się rozmówić ze mną i oczekuje mnie w gmachu parlamentu. Ubrałam się natychmiast i poszłam. W sali posiedzeń szalał huragan debatów nad projektem militarnym — a my spokojnym, miarowym krokiem przechadzaliśmy się wzdłuż kolumnady, tak że nikt nie mógł przypuścić, iż rozstrzygają się tutaj losy mojego życia.

„Jan był u mnie — bezpośrednio po tej scenie. Krzyczał dramatycznie, jak zwykle, o wyklęciu, odtrąceniu i t. p.” — zaczął wuj Walter tonem urzędowym. „Wytłómaczyłem mu, że obowiązkiem jest wszystkich nas niedopuszczenie do skandalu rodzinnego, że więc ja sam — o ile upierałby się przy swoim stanowisku — przyjąłbym moją siostrzenicę, córkę mojej siostry, do domu mego, z którego pod moją pozostając opieką, wyszłaby za męża. Żona moja, jest, dzięki Bogu, zupełnie tego samego, co i ja zdania. Stan dotychczasowy w żadnym razie trwać dalej nie może ze względu na spokój nas wszystkich. Ode mnie poszedł Jan do tajnego radcy Fromhana, który go namówił do ustąpienia, wynosząc zarazem pod niebiosa ciebie i twojego narzeczonego. Namowa jego o tyle odniosła skutek, że ojciec twój znacznie się uspokoił. Pojedzie on jutro z żoną moją do Pirgałowa, pozwoliwszy matce twojej zrobić wszelkie przygotowania do ślubu, w którym sam oczywiście nie weźmie udziału”. Łzy stanęły mi w oczach — zbyt wielkiem był dla mnie ten nagły zwrot wstrząśnieniem!

„Nie masz mi za co dziękować”, — przerwał wuj szorstko, nie dając mi dojść do słowa, „spełniłem jedynie mój obowiązek w interesie honoru naszej rodziny. Czas już zresztą najwyższy, abyśmy uwolnili się od ciebie”. Z temi słowy skinął mi głową na pożegnanie. Powróciłam do domu już po wyjeździe ojca.

Matka przyjęła mnie najchłodniejszym swoim wyrazem twarzy. „Nic nie stoi już na przeszkodzie twojemu małżeństwu”, — rzekła — po za drobiazgiem, o którym oczywiście zapomniałaś: po za wyprawą. Nie jesteśmy, jak ci wiadomo, w stanie sprawienia ci jej, będziesz więc musiała zadowolić się małą sumką z zapisu familijnego Klewów. Co się zaś tyczy mieszkania— —

Mimowoli musiałam się uśmiechnąć: „Ależ to są same drobiazgi, mamol!” — przerwałam. — „Mamý wszystko, czego nam potrzeba, — a mieszkanie Jerzego jest tak ładne, że nie myślę wcale o zmienianiu go!”

„W podwórzu — i tylko trzy pokoje!” — odęła matka pogardliwie usta.

„Aż nadto dla nas! — widzisz więc: jeśli jutro wyjdą zapowiedzi, możemy się pobrać za czternaście dni — —”

„Rozumie się! — Dzisiaj jeszcze złożę papiery wasze w magistracie, a jeśli zdążę i w parafii”.

„W parafii?! spojrzalam na nią osłupiałym wzrokiem. My, ludzie wyzwoleni, mielibyśmy brać ślub religijny?...

Jerzy jest wolnomyślicielem...”

„Wiem o tem, niestety!” — zawołała matka, — „wychodzisz jednak za mąż z domu wierzących rodziców, zastosujesz się więc do przepisów naszego kościoła, albo też wcale nie będzie ślubu”.

Daremnie perswadowałam i błagałam. Wszelkie

tłumaczenia moje i prośby obijały się o niepokonaną stal jej stanowczości. Ciężko wywalczona przyszłość znów poważnemu uległa zagrożeniu. Gdy wszakże drżącym ze wzruszenia głosem opowiedziałam Jerzemu o postanowieniu matki, przyćmił lekki zaledwie cień pogodę jego twarzy.

„Jeśli matce twojej tak bardzo zależy na ceremoniale, ustąpmy i nie psujmy jej przyjemności” — zdecydował po chwili namysłu. „Czyż możemy uzależnić życie nasze i jego zadanie od czczej bądź co bądź formy?!... Skinęłam w milczeniu głową, nie mogąc z bezwzględną szczerością podzielać jego poglądu.

Najbliższych tylko krewnych uprzedzono o moim ślubie. Nie bez pewnej satysfakcji pokazywała mi matka, której kąty ust coraz głębszy zalegał wyraz goryczy, listy ich, bądź wyrażające przerażenie, bądź udające współczucie. Do ciotki Klotyldy napisałam sama; odpowiedziała mi na parę dni przed ślubem: „Krok twój jest szaleństwem, gorzej jeszcze: zbrodnią przeciw naturze. Już poczdamskie kuzynki twoje opowiedziały mi, na jak zgubne wstąpiłaś manowce. Nigdy jednak nie przypuszczałam, abyś dojść mogła do czegoś podobnego. Daj Boże, aby nie ziściły się najczarniejsze moje przewidywania przyszłości! Jest to jedyne życzenie, jakie ci przesyłam z okazji twojego zamążpójścia...”

Im bliższą byłam spragnionego celu, tem bardziej obojętniałam na wszelkie ukłócia codziennego życia.

Gdy wszakże w wigilię dnia ślubu wróciłam wieczorem po raz ostatni do domu rodzicielskiego, zamarł mi już w progu dech w piersi i nieopisany legł na niej w ciemnych pokojach ciężar. Cicho było jak w grobie w opustoszałym gabinecie ojca, ustało nawet tykanie zegara.

Ja to właśnie, ja, córka, którą on najbardziej ukochał, wypędziłam go z domu!... W skupionem milczeniu siedziałyśmy z matką i siostrą przy nakrytym stole, krusząc nerwowo chleb w palcach. Lampa paliła się dziwnie ciemno, samowar syczał melancholijnie, — niebieskie oczy siostry spoglądały na mnie z wyrzutem, — matka unikała mojego wzroku, a skąpe jej słowa wydobywały się z krtani w postaci krótkich, ostrych dźwięków. Mechanicznie ułożyłam w kufrze ostatnie pozostałe moje rzeczy. Wtem zapukano zlekka do drzwi, i na progu w nierównem świetle drgającej świecy stanęła Elżunia z płonącemi z płaczu policzkami, trzymając w ręku wieńiec z kwiatu pomarańczowego i welon. Chciała coś powiedzieć i nie mogła, — lzy strumieniem lały jej się z oczu. Ruchem, w którym był ból, nienawiść i miłość zarazem, cisnęła dar swój na stół i znikła w następnej zaraz chwili. Uśmiechnęłam się słabo, — o innym marzyłam, przed wielu laty wieńcu ślubnym... ale precz mętne wspomnienia!... przedemną stoi praca, stoi życie, wyciągając ku mnie z upragnieniem dłońe.

Zastukano do drzwi po raz wtóry: list od Jerzego.

„Ukochana moja! Po raz ostatni mówię ci zdaleka dobranoc. Od jutra będziesz i pozostaniesz u mnie. Mamy przed sobą święte zadanie, które spełnimy dla dobra ludzkości, a nadto inne jeszcze, które nakłada na nas dziewicy nasz związek małżeński.

Po mojej śmierci będziesz mogła — ale szczerze zupełnie, bohaterska moja Alicyo! — opowiedzieć światu, ku przestrodze innych lub ku ich zachęceniu — jak nam się udało je rozwiązać. Żądam od ciebie dzisiaj jednego tylko przyrzeczenia: gdyby kiedykolwiek oświadczyła tobie miłość, przed którą ostrzegają nas ludzie, i której przed-

miotem nie mogę być ja, twój mąż, — pomyśl wówczas, że jestem twoim ojcem i obdarz mnie zupełnem zaufaniem. Okażę się godnym jego, i nigdy nie stanie się pętami dla ciebie arkusz papieru. Nie utraciłabyś mnie w żadnej sytuacji życiowej.

Twój na zawsze i na wieki
Jerzy.

Rozwiały się odrazu cienie przeszłości; spokojna i szczęśliwa przespałam noc.

Przyjechała kuzynka Matylda, — i ona z takim wyrazem twarzy, jakgdyby przybyła na pogrzeb, a nie na ślub. Poszłyśmy piechotą we cztery do mieszkania Jerzego. Szłyśmy prędko, coraz prędeziej, jakgdyby jedna uciekała przed drugą. Usta matki mojej nie wymówiły ani jednego wyrazu miłości. Przed domem stanęła na chwilę zdyszana. „Osiągnęłaś wreszcie, czego chciałaś — wycodziła przez zęby.

W przyszłej mojej sypialni, sporym pokoju, którego jedyne okno na ciemny wychodziło dziedziniec, przebrałam się w ślubny strój. Wianek i welon leżały przygotowane; — nikt nie przyszedł mi dopomódz. Wszyscy byli we frontowym pokoju, gdzie przystrajano ołtarz! Wtem usłyszałam nieśmiały głos za drzwiami: „Czy wolno?” i na moje: „proszę” wsunęła się do pokoju mała kobiecinka, jedną ręką mnąca z uśmiechem zażenowania róg białego fartuszka i trzymająca w drugiej bukiet pąsowych goździków. Znałam ją tylko przelotnie. Jerzy dopomógł mężowi jej, mieszkającemu obok nas, stolarzowi wydostać się z nędzy i teraz przychodził on do niego codziennie po pisma. „Musiałam przecież przyjść dzisiaj” — jąkała zawstydzona — „pokazać

panience, jak się oboje z moim starym okropnie cieszymy! Jak to dobrze, że pocciwy nasz pan profesor nie będzie już samiuteńki jeden, — jak to bosko pięknie, że panienka zostaje jego żoną!” Złożyła przy tem pobożnie dłonie, wlepiając we mnie swoje jasne, okrągłe oczy, jak w święty obrazek. A potem ujęła ostrożnie welon i upięła mi go na głowie, lekko i delikatnie umocowując na nim wianek grubemi, spracowanemi swojemi dłońmi: „Niech Bóg Najwyższy błogosławi pani!”

Czy dlatego, że wyszłam z ciemniejszego pokoju, czy też z powodu przysłaniających mi oczu łez radości — zdawał mi się pokój Jerzego opłynięty falami złocistego blasku. Ludzie, znajdujący się w nim, poruszali się, jak mc nie obchodzące nas cienie. Słyszałam słowa, których treść pozostała dla mnie zupełni obcą i jakby z bardzo daleka dochodzące ciche szlochanie. Dokoła stołu, po za czarną postacią pastora, unosił się lekki obłok, woń świeżych kwiatów, biały krzyż jaśniał na zielonem tle, — stał on niegdyś na biurku babuni — a czarne na nim litery składały się na jedyną, dostępną w tej chwili myśli mojej, treść kazania ślubnego: „Miłość nie ustaje nigdy”. Poczułam jeszcze kilka uścisków dłoni, kilka ceremonialnych pocałunków złożonych na mojem czole — szelest sukien — półszept rozmów — zamykanie drzwi — i raz jeszcze ostry dźwięk dzwonka: Telegram: „Z najtkliwszą miłością jestem przy tobie i Jerzym. Twój ojciec”:

Potem zaległa mieszkanko nasze cisza. Byliśmy sami.

ROZDZIAŁ DZIEWIĘTNASTY.

Żyłam w dolinie pokoju. Niby wierna straż przyjazna odgradzały ją od świata łagodne zarysy szczytów. Drogi moje nie znały już nagłych skrętów, na których lękliwie osuwa się noga, znikąd nie groziły mi złomy skalne, sęp żaden nie czyhał na rozśpiewane moje ptactwo. Strumyki przyciszały swój szmer, wiatr kołysał lekko liście i kwiaty, światło słoneczne pieściło jak uśmiech matczyny.

Jakim stało się to cudem, że dni upływały bez lęku — bez sprzeczek, że przytłaczająca atmosfera tajonego gniewu nie wypełniała już godzin? I że mówić wolno mi było, co myślałam?! Jakże było to możliwem, że nie słyszałam brzęku kajdan, ilekroć noga moja na nowe wstępowała ścieżki, że choć nie byłam sama, nikt nie odciągał mnie gniewnie, kiedy ze szczytu w daleką — daleką patrzyłam przestrzeń? Był przy mnie ktoś, czuwający nad każdym moim krokiem i zarazem przodujący mi jako przewodnik.

Tłum szedł ku nam z ciekawością swoją i przyziemością, niewidzialne wszakże moce zamykały przed nim

naszą dolinę pokoju. My jedni tylko bez przeszkody wchodziliśmy do niej i wychodziliśmy. I mimo, że szliśmy w świat i toczyliśmy walki z filistrami i kramarzami, dusze nasze nie opuszczały jej nigdy. Życiodajne jej źródła goiły wszystkie nasze rany...

Z gorączkową szybkością biło naówczas tętno czasu. Podobne ono było do genialnego dziecka, przebiegającego niecierpliwie z jednego z nieprzebranych złotych skarbów wewnętrznej swojej treści do drugiego.

Cesarz rozwiązał parlament. Nowe z wolą narodu starcie władcy tego, kryjącego pod niwelującym strojem europejczyka mistycznie połyskujący płaszcz pomazańca bożego!... Niezrozumienie, co więcej — niemożność zrozumienia tej sprzeczności nietyle wszakże jego była winą, ile wynikiem nierozwiązalnie tragicznego konfliktu pomiędzy odwieczną tradycją wodzów naczelnych a budzącą się do świadomości ludzkością. Ojcowie rzadko umieją zdawać sobie sprawę, że dzieci ich stają się ludźmi. W niezłomnej wierze w daną mu od Boga potęgę napisał przed rokiem niespełna w złotej księdze monachijskiej: „*suprema lex regis voluntas*” — i głośno objawiał wolę swoją, przyjmując milczące ukłony otoczenia za znaki kornego poddania.

Na tle projektu reformy wojskowej wrzała walka wyborcza, rozdławiająca stronnictwa i dzieląca umysły ostrzami różnicy poglądów. Śledziłam jej przebieg z gorączkowym natężeniem. Czynny w niej udział brał też Egidy, śmiały marzyciel, który nie uznawał żadnego stronnictwa, i powodowany jedynie nieprzedajną kryształową swoją prawością, przekładał na swój język wyborcze hasło demokratyczne.

„Cóż powiesz pani na to, że wspólny nasz przyjaciel

postawił kandydaturę swoją do parlamentu?” pisał mi Wilhelm Polenz. „Zdumiewa on zawsze swoją odwagą i stałością swojego rozwoju. Będę w tych dniach w Berlinie i chętnie towarzyszyłbym pani na jedno z jego zebrań wyborczych”.

Żadnego z wydarzeń nie wyczekiwałam tak gorąco, jak pierwszej tej bytności na zgromadzeniu ludowym!

Weszliśmy do nawpół ciemnej, niskiej i zakopconej sali. Zappełniała się ona bardzo powoli. Pierwsi przybyli najbliżsi wyznawcy i stronnicy Egidy’ego, których liczba znacznie zmalała od czasu stanowczego jego wstąpienia w szranki życia praktyczno-politycznego, potem zjawiać się zaczęły figury, uważające sobie za obowiązek być wszędzie, żadne wrażeń niewiasty, obojętnie ciekawi dziennikarze, cisnący się na sam front rosyjscy studenci i studentki, węszący intuicyjnie przewrotowy nastrój umysłów, wreszcie nadpłynęła fala ludzi, o których nie umiałabym powiedzieć, do jakiego ich właściwie zaliczyć rodzaju. „Robotnicy” — szepnął Polenz. Robotnicy?! Ci poważni, spokojni ludzie, których ubiór burżuazyjny nie przypominał niczem bluzy ani fartucha?! Przez cały czas przemowy Egidy’ego zachowywali się oni najciszej ze wszystkich. Od czasu do czasu rzucał który z nich ironiczną uwagę lub rubaszny żart, na co oburzały się siedzące na przodzie wytworne damy, dając oburzenie temu wyraz w frenetycznych oklaskach, które napróżno usiłował mówca tłumić i uspokajać.

„Ma odwagę!” — szepnęła siedząca obok mnie blada dziewczyna z pokłótemi od igły palcami. „Dużo mnie to obchodzi” — burknął jej towarzysz.

„Teraz to nam się przypodchlebia, bo chce, żebyśmy

go wybrali — a potem będzie z niego jeszcze jeden junkier więcej”.

„Oczyśćmy miejsce! Nowym ludziom i nowym czasom!” — grzmiało z mównicy — „zmiećmy z drogi wszystko, co stoi na przeszkodzie kulturalnemu, wołą boską nakazanemu, rozwojowi” — ktoś gwizdnął w palce, — „my, Niemcy, chcemy urzeczywistnić naukę chrześcijańską”. — „Gadanie!” zawołał głos jakiś na sali. — „Ci cho — pst...” uspokajano — „zbudować królestwo pokoju”, w którym wszyscy — mężczyźni i kobiety — będą mieli prawo do życia, w którym nikt nie będzie stał głodny obok sytego”. Studenci krzyczeli, a towarzyski ich powiewały kapeluszami i chustkami. — „Jesteśmy pełnoletni i sami o własnych siłach nowy stworzymy sobie porządek. Najbliższa przyszłość musi potężnie posunąć nas naprzód. Stare wali się, i nowe z gruzów wykwita życie, — idźmy ku niemu!” Krótki grzmiący okłask, jak wybuchająca nagle burza, potem cisza, — panie poprawiły się na krzesłach, mały rój wiernych utworzył szpaler przy drzwiach. Nagle stanęła na mównicy blada dziewczyna z pokłótemi palcami; była bardzo mała, prawdziwe dziecko nędzy, przygważdżającej ją do ziemi od wczesnego dzieciństwa, tak że nie mogła urosnąć, i kładącej specjalną pieczęć na jej rysach, które nie pozwalały określić jej wieku. Zamieniła kilka słów z Egidym, zgarnęła z czoła gładkie, bez połysku lniane włosy i zaczęła mówić bezdźwięcznym, nieco trzeszczącym głosem.

„Referent powiedział nam, że na zgromadzeniach jego niema zwyczaju zabierania głosu w dyskusyi. Pozwoli mi jednak na zadanie pytania, które podczas wywodów jego nasunęło się i mnie i wielu moim współtowarzyszom partyjnym” — Kilku dziennikarzy zawołało

g'osem szyderyczym „Aha”, wysunęło szyje i założyło binokle, aby lepiej przyjrzeć się mówczyni. „Nie powiedział nam on nic nowego. Od dziesiątków już lat niewzruszoną jest to wszystko podstawą hasel socyaldemokracji, gnębionej za to, prześladowanej i lekceważonej przez klasy panujące”,—kilka pań szeptać zaczęło w kącikach, „Równość przed prawem, powszechne nauczanie bezpłatne w ogólnie kształcących szkołach, rozbrojenie powszechne — wszystko to są żądania programu erfurckiego. O wyzwolenie kobiety z niewoli politycznej i społecznej walczy półtoramilionowe stronnictwo robotników niemieckich, gdy tymczasem panie z burżuazji nie śmiały szeptać czegoś podobnego w cztery oczy nawet w swoich kółeczkach filantropijnych”. „Co znowu—co znowu!” — zawołała potrząsając energicznie głową jakaś feministka i podniosła w górę z wspaniałym gestem przeczenia, niby dobrze wyszkolona tragiczka, ciężkie swoje powieki. Ja zaś wzdrygnęłam się, jak gdyby mówczyni dotknęła mnie osobiście. „Broniąc z tak chwalebnyim zapalem prawnej ochrony pracy, powinienby pan referent — dla uświadomienia wszystkim tych państwa, którzy nie bywają na naszych zgromadzeniach — dodać słówko chociażby o tem, że ta odrobina ochrony pracy, jaką mamy, jest — wedle własnych słów księcia Bismarcka — wyłącznym dziełem naszych niezmordowanych zabiegów. Nie podoba się to wielu, żądają karabinów i armat na wewnętrznego wroga...” Głos jej załamał się na ostatnim słowie. Egidy stał spokojnie obok niej, ze skrzyżowanymi na piersiach rękami i głęboką na czole fałdą.

„A pytanie pani?” — zapytał.

„Ach tak, moje pytanie” — uśmiech pełen zażeno-

wania rozjaśnił i odmłodził nagle jej twarz. Wyprostowała się, mocno oparta rękami o stojący przed nią pulpit, spojrzała Egidy'emu badawczo w twarz i rzekła: „Jeśli chcesz pan tego samego co my, — dlaczegóż nie przystajesz pan do nas?”

Chwila naprężonego wyczekiwania: tysiące oczu wpiło się w bladą, wzburzoną twarz Egidy'ego. „Bałem się tego” — szepnęła Polenz obok mnie.

„Zdjąłem mundur żołnierski w imię moich przekonań, — nie istnieje już dla mnie po tym czynie ofiara, której nie poniósłbym z lekkim sercem. Nie jestem socyaldemokratą, ponieważ partya wasza wyszydza i depce najgłębszą potrzebę duszy ludzkiej — potrzebę religii”.

„Kłamstwo!” — zawołał jakiś głos. Mówca zbladł jeszcze bardziej.

„Nie kłamię nigdy!” — huknął na całą salę. „I nie jestem socyaldemokratą, bowiem partya wasza złą bronią o dobrą walczy sprawę” — Wrzawa ogólna pochłonęła dalsze jego słowa. „Brawo — słusznie” — wołali jedni — „Wstyd, hańba” — wrzeszczano z głębi sali. Obecny przedstawiciel porządku publicznego chwycił za nakrycie głowy, Egidy stał nieporuszony jak mur i wpatrzony w cisnący się z przerażeniem ku wyjściu tłum. Mała szwaczka usiłowała daremnie wyteńczyć głos, aby być słyszaną.

W tej samej chwili przedarł się przez tłum ku mównicy człowiek jakiś, opierający się na kuli, z rozwianemi dookoła żółtej, zapadniętej twarzy czarnemi kosmykami włosów.

„Towarzysz Reinhard — chwała Bogu”, — mała szwaczka wyciągnęła do niego z poza pulpitu rękę, inni pośpieszyli mu z pomocą i wciągnęli na stopień.

„Towarzysze” — wszystko umilkło jak za dotknięciem różdżki czarodziejskiej, — adjunkt policyi położył czapkę na stole, wychodzący stanęli, a kamienne rysy Egidy’ego zadrgały znowu życiem, — niegodnym jest nas zakłócanie wrzawą zgromadzenia, na którym jesteśmy tylko gośćmi. Mniej mamy jeszcze powodu oburzenia się na to, że pan v. Egidy szczerze odpowiedział na pytanie postawione przez towarzyszkę Bartelsównę. Mnie, przeciwnie, niezmiernie zaciekawiła jego odpowiedź. Wszyscy owi przedstawiciele ideologii mieszczańskiej, zacząwszy od etyków i skończywszy na socyalistach chrześcijańskich, byłiby nam mogli udzielić podobnej. I właśnie dlatego, że jesteś pan tak szczerym, panie v. Egidy — dodał z lekkim ukłonem ku stojącemu obok niego — „pozwól nam odpowiedzieć równie szczerze: nie licz pan na nasze głosy. Jesteś pan zacnym człowiekiem—może nawet stoją za panem rozmaici niemniej zacni ludzie — ale naszej sprawie potrzebni są ludzie tacy, jak my, którzy nauczyli się władać młotkiem i kielnią — lichą bronią — którym maszyna rozdarła członki” — podniósł kulę do góry niby trofeum wojenne „których ciała toczą laseczniki gruźlicze” — potrząsnął wychudłym ramieniem. „Czekaliśmy przez dziewiętnaście wieków, aby dopomogły nam wasze chrześcijańsko-filantropijne kazania, teraz wyczerpała się już nasza cierpliwość. A jeśli broń nasza nie wydaje wam się dostatecznie rycerską, — sami winni jesteście, że imać się jej musimy”.

Oczy mówcy rozgorzały, wpatrzone ekstatycznie w dal, ponad zwarte tłumy, kula upadła z brzękiem na ziemię, a ramiona wyciągnęły się ku słuchaczom. W grobowej ciszy, jaka na chwilę zaległa salę, słyszał każdy tylko oddech własny—i nagle zagrzmiął okrzyk potężny: „niech

żyje towarzysz Reinhard!” a potem zwały się głosy wszystkie w jeden chór harmonijny, intonujący bojową pieśń pracy.

„Chodźmy” — szepnął Polenz. Spojrzałam jak zbudzona ze snu. Sala była już na wpół pusta. Tylko na mównicy stał jeszcze Egidy i obok niego mała szwaczka.

„Zostanę jeszcze” — odpowiedziałam pospiesznie, kierując się szybko w stronę obojga.

„Pozwoli mi pani przyjść kiedyś do siebie?” — zwróciłam się nieśmiałym tonem prośby do młodej dziewczyny. Spojrzała na mnie, cała promieniejąca jeszcze radosnem wrażeniem. „Naturalnie!” — Zapiślałam sobie jej adres.

Biegłam pędem do domu i nie zdjawszy jeszcze płaszcza i kapelusza, zaczęłam opowiadać Jerzemu o moich przeżyciach. Słuchał mnie z uśmiechem: „Jakąż płomienną mówczynią jest moje ukochanie!” — zawołał, gdy umilkłam nareszcie.

„Chciałabym nią być! Wchodziłabym na wszystkie mównice świata, rozgrzewałabym z nich kamienne serca i budziłabym śpiących...” Z głębokiem westchnieniem upadłam na krzesło.

„Spróbuj więc...”

Zerwałam się: „Mówisz naprawdę?!”

Zaraz nazajutrz poszłam do Marty Bartels. Miejska była daleko we wschodniej części miasta. Minąć musiałam dwa brudne dziedzińce fabryczne, aby dotrzeć do niskiego domku z zapadającymi się schodami drabiniastymi, prowadzącymi obok jakiejś obórki do jej mieszkania. Turkot maszyny do szycia wskazywał mi drogę, towarzyszył mu donośny, monotonna skandujący głos mężczyzny.„Wyzwolenie klasy robotniczej może

być wyłącznie dziełem jej samej” — usłyszałam, stojąc tuż przy drzwiach. Otworzył mi je siwy staruszek. „Wpuść, ojcze, panią” — zawołała Marta Bartels z głębi pokoju, „to pewnie pani profesorowa” — Wyciągnęła do mnie ręce na przywitanie.

Pokój, do którego weszłam, miłe czynił wrażenie: na obu łóżkach leżały równo usłane i czysto powleczone poduszki, przed starą brązową kanapą, obitą starannie wycerowanym pokryciem, stał okrągły stół, na którego lśniącej tafli nie znać było ani źdźbła kurzu. Tylko przy maszynie stojącej pod oknem piętrzył się stos białego płótna, poza tem wzorowy panował w całym pokoju porządek.

Jedyną ozdobą były zawieszzone na jednej ze ścian portrety Marksa i Lassalla.

Zaczełam rozmowę od pytań; ojciec i córka dopełniali się wzajemnie w opowiadaniu: o tem, jak on niegdyś, jako właściciel małego warsztatu szewckiego, długą i zawziętą toczył walkę z przemożną fabryką, jak córka — wychowana od wczesnego dzieciństwa bez matki — zarabiać musiała, będąc jeszcze w wieku szkolnym, a nadto załatwiała wszystkie czynności gospodarskie, nie mając żadnego w tem wyręczenia. „W pracowni, w której z wiecznie zmęczonemi oczyma i tępizną, zobojętniającą mnie na wszystko, obszywałam od wczesnego ranka do późnej nocy dziurki do guzików — zawsze i wiecznie to samo, poznałam prasownika, który zaczął zabierać mnie na zebrania i przynosić mi potajemnie pisma i broszury. Jakże mi wtedy szeroko otwarły się oczy!”

Stary pogłaskał zmarszczoną dłonią policzki córki. „Widzi pani i tem właśnie uratowała mi mała życie,

nieraz już bowiem myślałem o pozbawieniu się go, rozumie się, razem z dzieckiem! Z książek tych i tych zgromadzeń dowiedzieliśmy się nagle, że nie jesteśmy sami, i nam więc, biedakom, warto było wlec nasz marny żywot. Tutaj, w tym pokoju, schodziliśmy się nieraz z towarzyszami, a w fabryce gdzie pracowałem — pozbyłem się szczęśliwie fałszywej ambicyi właściciela warsztatu — w pracowni, do której chodziła Marta, coraz nowych zdobywaliśmy po cichu przyjaciół.

Córka roześmiała się: „Teraz jest ojcu za spokojnie. Trzeba było pani widzieć, jak ze swoją pocziwą twarzą umiał wszędzie się wkręcić z naszymi gazetami tuż pod nosem szpiclów! — Myślę, że niezadługo będzie musiał przypomnieć sobie dawne swoje sztuczki!”

A potem dowiedziałam się bliższych szczegółów o obecnej jej działalności, o jej podróżach i objazdach w celach agitacyjnych. o jej nieustannych usiłowaniach zjednywania stronnictwu kolegów i koleżanek, o jej budzeniu interesów duchowych wśród kobiet z proletaryatu przez głośne czytanie im wieczorami w związku książek i gazet.

„Skąd ma pani na to wszystko czas? i gdzie zdobyła pani potrzebne przygotowanie?” — zapytałam z wrażliwym zaciekawieniem. „Oddajesz się pani wszak z konieczności, jak widzę, pracy zarobkowej?”

„Naturalnie, i to za dwoje!” — odpowiedział ojciec — „nie chce już w żaden sposób pozwolić, abym chodził do fabryki.

„Zanadto mi jest potrzebny! — przerwała mu. Czyta mi podczas mojego szycia, a wieczorami, po skończonej robocie, znów mi się bardzo przydaje. Dłużej uczył się w szkole, niż ja, tłumaczy mi więc, czego nie

rozumieniem w naszych książkach.” Spojrzała na zegar. „Niech pani mi wybaczy — muszę iść teraz — roznościemy w naszym okręgu ulotne pisma wyborcze.”

Poszłyśmy razem. Po drodze opowiedziała mi o swoim stowarzyszeniu kobiecym, o prześladowaniu go przez policję. „Powinnaby pani przyjść kiedyś do nas, pani profesorowo!”

„Z największą chęcią, jeśli mi będzie wolno! Ale, proszę, nie nazywaj mnie pani profesorową. Wstręt mam do tytułów, nadawanych kobietom, które nie zasłużyły na nie własną pracą.”

Spojrzała na mnie z ukosa: „Jakżeż mam panią w takim razie nazywać? — zapomnę się jeszcze i nazwę panią: „towarzyszką!”

Stała u celu swojej wędrówki. Do małej garkuchni schodzili się tłumnie ludzie — młodzi i starzy, kobiety i mężczyźni. Witali się wszyscy, jak starzy przyjaciele. Cofnęłam się na stronę. Jak wesołe i pewne zwycięstwa mieli twarze! Spotkałam się z kilku podejrzliwymi spojrzeniami, kilka par dziewcząt przeszło obok mnie, trzymając się pod ręce i błyskając pogardliwie oczami. Bolesnie przeszło mnie uczucie, że jestem obcą w tym gronie.

W osiem dni później odprowadzałam Jerzego do lokalu wyborczego. Podczas gdy fotel jego stał na ulicy, wyciągano do niego ze wszech stron ręce z kartkami wyborczymi. „Wybieramy towarzysza” — rzekł głośno i wesoło, „żona moja i ja”.

„Nie można było wtłoczyć fotela na stopnie. Służący, który go woził, musiał wnieść sparaliżowanego do lokalu. Zebrała się gromadka ciekawych. Przykryłam szybko czarną futrzaną koldrą biedne wychudzone

ciało. — „Kobiety precz!” — świsnął mi tuż nad uchem szorstki jakiś głos, zaledwie zdążyłam przekroczyć próg. Zacisnęłam mimowoli pięście i weszłam z podniesioną głową obok krzykacza do sali, gdzie stanęłam przy stole, czekając dopóki Jerzy nie złoży kartki do urny.

Pismo nasze zdradzało z każdym numerem wyraźniej demokratyczne nasze sympaty. Wydrukowaliśmy autobiografię starego Bartelsa, zachęcając za pośrednictwem prasy partyjnej do przysyłania nam podobnych obrazów, wziętych z życia. Napływały ze wszech stron, spodziewaliśmy się też cudownego oddziaływania tych podwójnie wzruszających swoją prostotą zeznań. Zamiast oczekiwanego tego wszakże skutku nadsyłać nam zaczęli członkowie Towarzystwa Etycznego zarzuty i skargi z powodu „drażniącego nieetycznego tonu”, jaki zapanował w piśmie, a profesor Siegried, dawny przeciwnik Jerzego, przybył umyślnie do Berlina celem ponownego mocnego podkreślenia w publicznym odczycie politycznej neutralności Towarzystwa i wypowiedzenia się jego imieniem przeciwko „sprzecznym z wyższym etycznym światopoglądem zasadom kolektywizmu”. Zawiązała się na tem tle żywa na łamach naszego pisma dyskusja; coraz wyraźniej też zarysowywać się zaczęły na posiedzeniach i zgromadzeniach głębokie ideowe różnice, dzielące — pomimo ścisłego utrzymywania form etycznych — członków organizacyi. Odtąd brałam wyłączenie na żądanie Jerzego udział w zebraniach związkowych.

„Musimy strzedz się, dziecino moja, ulegania głosowi podwójnego naszego egoizmu” — zwracał mi często uwagę — „równałoby się to stawianiu spokoju

i harmonii osobistego naszego życia po nad dobrem sprawy.”

Musiałam też niejedną poświęcić wieczór, choć często wracałam do domu z uczuciem nieznośnej pustki. Pracowano, niewątpliwie. Jedna z rozumnych i żywo czujących kobiet otworzyła biuro wywiadów i pośrednictwa dla setek opuszczonych i potrzebujących pomocy, którym poświęcała cały swój czas; inna znów, serdecznie litościwa, oddała życie swoje na usługi tych, które własna namiętność i rozkiełznanie mężczyzn zepchnęły na najgłębsze dno przepaści; jeszcze inna grupa gromadziła skrzętnie książkę po książce do utworzenia przyszłej czytelnicy ludowej. Wypowiadano mowy, zajmowano określone stanowisko w obec palących kwestyi dnia i w ten sposób skierowano niejednego wahającego się na właściwą drogę.

Ale cóż to wszystko dla mnie znaczyło? Czy mógł związek ten, liczący paruset członków, odpowiadać w dostatecznej mierze wielkiemu ruchowi, na jaki liczyłam? Daremnie przypominał mi Jerzy, że stoimy dopiero u progu naszego rozwoju. Wydawało mi się, że, wykonywana z takim zapalem, robota praktyczna w ramach towarzystwa rozszczępia wielki, silny prąd idei na setki marnych kanalików z których każdy zaledwie wystarczyć może na sporządzenie cienkiej zupki.

A może brakło tylko sprawie naszej odpowiednich ludzi? Pismo nasze i dom nasz stały się z czasem ogniskiem, dokoła którego skupiali się wszyscy nasi współideowcy.

„Niebezpieczny rząd w rządzie” — powiedział raz dr. Jacob z słodko-kwaśnym uśmiechem, — ten sam dr. Jacob, który, jak mi powtórzyć nie omieszkali usłu-

zni przyjaciele, zwierzał się wszystkim w zaufaniu, że panna v. Kleve wyszła za profesora Giżyckiego jedynie dla odegrania pewnej roli w społeczeństwie.

Rzadko bardzo zdarzało nam się być samym przy poobiedniej herbacie. Stosunki Jerzego z zagranicznymi uczonymi ściągały do nas gości z całej kuli ziemskiej, nie brakło nigdy Amerykanów i Anglików; od czasu do czasu zdarzali się też Rosyanie, Rumuńczycy i Japończycy, parci głodem wiedzy studenci i studentki, pragnący wchłonąć w siebie w ciągu kilku miesięcy całą kulturę niemiecką, profesorzy, nie przypominający w niczem typu, znanego z pism humorystycznych, ludzie, dla których nauka była życiem, a życie — nauką.

Na tle ich wypełniała często piękna, uduchowiona głowa socjalisty Szönlanka, nosząca na klasycznych swych rysach niejednen ślad cięcia pałasza. Nikt nie umiał tak żywo, jak on, rozwijać ideologii stronnictwa, nikt też z takim zapalem jej nie bronił, dla tego też otaczało go zawsze wsłuchane z ciekawością koło słuchaczy.

Przychodził też Egidy, i Marta Bartels z ojcem. Sprowadziła ona nawet pewnego dnia kulawego Reinharda, którego natychmiast, chcąc wejść w kontakt ze związkami zawodowemi, wziął w swoje obroty profesor Tondern, najskrajniejszy lewicowiec z pośród członków naszego zarządu. Częstym też gościem naszym bywał kierownik nowej Wolnej Sceny ludowej, a zdarzało się też, że trafiał do nas niejednen młody teolog, ożywiony szczerym zapalem dla nowych zadań, postawionych przedstawicielom kościoła przez kongres socjalistów chrześcijańskich. Wnet po przyjeździe swoim do Berlina przybyła też i Berta Suttner, promienna

głębią wiary w swoją sprawę, cechującą urodzonych reformatorów, z których śmiać się mogą oschli jedynie ludzie tuzinkowi. Taki sam pogodny optymizm, zdający się podnosić całą atmosferę na szczyty myśli ludzkiej, wprowadzała na zebrania nasze Frances Willard, śmiała Amerykanka, która w pochodzie swoim przeciwko występкови i nędzy doniosłe uczyniła odkrycie, że brak płci jej do zwycięskiego przeprowadzenia tej walki, właściwej broni, niosła więc i szerzyła z nieźrównaną energią z krańca na kraniec świata ideę praw wyborczych dla kobiet.

Bez względu na olbrzymie różnice, dzielące ludzi, którzy mijali ponury dziedziniec i ciemną sień, aby dostać się do nas, — dwojaka cechowała ich wspólność: przeświadczenie, że świat współczesny zatracił lekko-myślnie nietylko rację istnienia, lecz także i siłę do budowania ofiarnością bez granic nowego świata przyszłości.

„Czy nie to właściwie jest naszym Towarzystwem Etycznym?” — zapytał pewnego razu Jerzy, gdy goście nasi pozostali u nas do późnego wieczora, uniesieni własnym zapalem, z jakim rozwijali plany reform i przewrotów społecznych. „Ze wszystkich stron prześwidrowują już oni skałę, dzielącą naszą krainę północną od słonecznego południa przyszłości!” Promieniał radością, jak dziecko.

„Chciałabym także świdrować, mój Jerzy!” — wtrąciłam — ogarnęło mnie głębokie niezadowolenie z samej siebie w tem kole samodzielnie tworzących ludzi — „nietylko zawsze iść w ogonie za tymi, którzy uczynili już przedemną pierwszy wyłom.” Oddawna

już zajmowała mnie myśl, że kobiety są przedewszystkiem powołane do krzewienia ruchów społecznych.

„Nasza bezprawność polityczna, nasza ekonomiczna zależność, nasze ubezwłasnowolnienie społeczne stawiają nas bez udziału wiedzy naszej i woli w jednym z wszystkich wydziedziczonymi szeregu. Nasze uczucia macierzyńskie pozwalają nam nadto żywiej odczuwać i wyraźniej widzieć potrzeby i nędzę. Gdybyśmy mieli kobiety — zdobylibyśmy świat!” Biegałam wzburzona po pokoju—„oto zadanie, dla którego spełnianie żal pracy i trudów — —”

„I które moja Alicya łatwo spełnić może”, — przerwał mi Jerzy, wyciągając ku mnie obie dłonie.

Zaraz następnego dnia dałam się wpisać na listę prelegentów Towarzystwa Etycznego. Brakło w niem zawsze mówców, zapisanie się więc moje z wielką przyjęto radością. Zabrałam się energicznie do przygotowań. Z pism kobiecych amerykańskich i angielskich znałam doskonale stan ruchu kobiecego zagranicą; pisma partyjne oraz zgromadzenia związków robotnic, na których bywałam razem z Martą, pełny dały mi obraz położenia proletaryuszek, ich potrzeb i dążeń; najmniej natomiast miałam pojęcia o niemieckim ruchu kobiecym.

Od półwiecza walczył on już o udostępnienie kobietom zawodów mieszczańskich i wyższego kształcenia. Walczył?! Nie, co najwyżej uchwalał w związkach i kółkach rezolucye i redagował petycje, o których nie wiedział nic świat poza obrębem tych kół. Przeczytałam broszury Helmy Kurz i odwiedziłam panią Vanzelow, którą poznałam u Egidy, i dla której przyjaźnie uspa-

sabiła mnie jej opinia najradykalniejszej z pośród feministek.

Postulaty związku jej i jego organu nie były wszakże inne, niż Helmy Kurz.

„Nie pojmuję, jak możecie poprzestać na tych żądaniach!” — zawołałam po wysłuchaniu pani Vanzelow, która wyłożyła mi zasady i dążenia swojego związku. „A gdy zdobędziemy już prawo zostania pastorami, profesorami i adwokatami, cóż osiągniemy szczególnego ponad zbogacenie świata o kilku więcej zadowolonych filistrów lub inteligentkich proletaryuszów. Równie mało przyczyni się to do rozwiązania sprawy kobiecej, jak przyczyni!o się ono u robotnic, które oddawna zdobyły już prawo do przymusowego — na równi z mężczyznami — bezrobocia z powodu braku pracy.

„Podzielam zupełnie zdanie pani — najzupełniej” — przytaknęła mi żywo pani Vanzelow, podnosząc ciężkie powieki z ponad słynnie pięknych oczu — „musimy jednak być ostrożne, bardzo ostrożne, aby na razie drobne chociażby uzyskać ustępstwa. Jesteś pani młoda;—jeśli przebędziesz tyle lat walki, ile ja, droga przyjaciółko, przekonasz się, że my, kobiety, możemy iść naprzód krok za krokiem tylko. Ja zwłaszcza ciężką muszę staczać walkę — nikt mnie nie rozumie, — moje towarzysзки związkowe są wcieleniem lęklivosti” — schwyciła moją rękę i nie wypuszczała jej z uścisku — „jakże cieszyłabym się, zyskując w pani nową siłę!” Zarumieniłam się z radości, nowa nastęrczała mi się sposobność działania. „Dziękuję pani za jej zaufanie”, — odpowiedziałam, „zanim jednak przyjmę zobowiązanie względem was, powinnybyście panie przekonać się, czego można się po mnie spodziewać.

Opracowywałam odczyt mój z wzrastającym zapalem. Nauczyłam się go zdanie po zdaniu na pamięć. W wigilię zebrania odbyłam „próbę generalną” wobec Jerzego, jako jedyne go mojego słuchacza. „Skoro dzisiaj się już ciebie tak boję, cóż to dopiero będzie jutro?!” — zawołałam, widząc, jak papier drży w moich rękach.

Wtem rozległ się dzwonek, usłyszałam głos, który w tej chwili gorączkowego naprężenia przysłonił mi oczyma: mój ojciec! Nie spodziewałam się jeszcze jego powrotu, a już stał przede mną—bardzo postarzały, błydy, z rękami ciężko opartymi na lasce, — jakgdyby wrośnięty w ziemię.

„Ojczulku!”

„Dziecko moje najmilsze!” Leżałam w jego objęciach. Potem ujął głowę moją w obie swoje dłonie i długo się we mnie wpatrywał. „Jak różową masz cerę — i ile szczęścia bije z twojej twarzy!” Szybkim krokiem zbliżył się ku Jerzemu i podał mu rękę. „Darujcie mi dzieci, darujcie! A tobie dziękuję, po tysiackroć dziękuję, że odnajduję moją Alicję tak promieniejącą.” Nie mógł się z nami rozstać; wciąż na nowo oglądał każdy obrazek na ścianie, każdy sprzęt, kącik każdy. „Jak ładnie tu u was i zacisznie!” Zakrył z westchnieniem oczy dłonią. „Nielatwo już się mnie teraz pozbędziecie!”

Przedewszystkie powiedział nam o wszystkim, co go zajmowało w ciągu całego czasu od naszego rozstania, zapominając zupełnie kogo ma przed sobą: „Ta banda łotrów, która ośmieliła się odrzucić projekt reformy militarnej — a potem te nikczemne wybory” — —

Milczeliśmy, ale rysy Jerzego przyćmił ostry wyraz. Chrząknął znacząco. Powstrzyma'ło to ojca. „Ach — tak” — westchnął przeciągle, zagryzł gwałtownie wargi

i podniósł się z krzesła. Wyprowadziłam go do przedpokoju. We drzwiach ujął raz jeszcze moją rękę. „Na wszystkich słupach ogłoszeniowych wystawione jest twoje nazwisko — niemało mnie to przeraziło — nie możesz liczyć na mnie na zgromadzeniu — mama zda mi sprawę. — Dobranoc, dziecko!”

Następnego wieczora weszłam do jasnej, szczelnie zapelnionej publicznością, sali. Przez chwilę wydało mi się, że ziemia drży mi pod stopami, światła zako'owały mi w oczach tysiącem szalonych kręgów, miałam uczucie, jakgdyby wszyscy ci, usadowieni na amfiteatralnie wzniesionych ławkach, ludzie druzgocąca obruszali się na mnie lawiną. Wtem padł wzrok mój na Jerzego. Promienne jego oczy wpatrzone były we mnie z mocą, wlewającą w duszę moją dziwną pewność i spokój. Z początku mówiłam tylko dla niego. Stopniowo wszakże iść zaczęła ku mnie od słuchaczy żywa jakgdyby fala zrozumienia, — czułam ludzi, którzy pod wpływem słów moich w *jednego* zlewali się człowieka, — o *jednym* bijącym sercu, o *jednym* wsłuchanym mózgu.

„Každy kawałek naszej odzieży, od płótna na ciele naszym aż do sukni jedwabnej, od gwoździ podeszew naszych do cienkiej skórki naszych rękawiczek, — opowiadając mógłby bolesne dzieje cierpień znękanych, o wpadnięciem oku, kobiet, bladych, nie wiedzących co to młodość i życie, dziewcząt. Wysokie zwierciadło, promiennie odbijające postać pięknej, kochanej, szczęśliwej kobiety, zniszczyło w zarodku życie niejedne może przyszłej istoty... A cienkie obrusy, okrywające nasze stoły,—

o nich to śpiewa Leopold Jakoby: „Jak cień upiorny szczerzy do mnie zęby z poza stołów waszych głód, co wnętrzości na popioły spala...” Ciężkie westchnienie wionęło po sali jak fala, unosząca mnie wysoko — coraz wyżej, aż głos mój popłynął w dal, ponad ciszę ludzką.

..., Jedynym przywilejem kobiety jest prostytutcyca... Dziewczyna nie może, dopóki nie jest pełnoletnią, wyjść za mąż bez pozwolenia ojca, może natomiast, nie oglądając się na niego, zaprzedać swoje ciało. Nie dozwolonem jest kobiecie, w Niemczech przynajmniej, studyowanie medycyny, pod pozorem troskliwej obawy o nienarazanie na szwank jej kobiecości oraz potrzeby rozciągnięcia czujnej opieki nad jej stroną moralną; może ona wszakże wystarać się o świadectwo fachowe, uprawiające ją do rujnowania moralnie i fizycznie siebie i innych. Nie wolno jej — w Niemczech! brać udziału w żadnych wyborach publicznych, ale wolno jej płacić państwu podatki pieniędzmi, haniebnie zdobytemi za sprzedawanie swego ciała.

Przy słowach tych zerwał się huragan, huragan oburzenia, a ja miałam moc kierowania nim wszędzie, gdzie zimurzałe równać z ziemią należało warownie, gdzie wyrwać trzeba było uszłe z korzeniami drzewa!

„Co czynić? pytamy za wielkim pisarzem rosyjskim, którego dzieło jest wyrazem uczuć setek tysięcy. Zamiast pisania w dalszym ciągu petycyi — będziemy żądały, zamiast prowadzenia rozmów w obrębie czterech ścian związków na temat naszych pobożnych życzeń — wyjdziemy na place publiczne i będziemy walczyły o urzeczywistnienie naszych żądań, chociażby miano ciskać w nas za to kamieniami...”

Grzmot oklasków przerwał mi mowę — nie widzia-

łam przed sobą nikogo prócz Jerzego, który, podany całym ciałem naprzód, siedział w swoim fotelu z oczyma nieruchomie wpatrzonemi we mnie.

„...Czegokolwiek wszakże żądałybyśmy dla płci naszej, którą rozwój gospodarczy wypędził z zacisza domowego na rynek walki o byt, odprawione zostaniemy frazesem, a w najlepszym razie nędznym plasterkiem na nasze rany, nie posiadamy bowiem siły politycznej do zdobycia słusznych żądań...”

Ponowny grzmot oklasków, — zmieszany wszakże tym razem z jadowitym, syczącym dźwiękiem, idącym skądś z głębi sali.

„...Mali i wielcy ludzie mówią o umysłowej niższości kobiet, i, opierając się, na niej, uważają, iż mają prawo odrzucać nasze żądanie równouprawnienia politycznego. Kwestya wszakże umysłowej niższości naszej czy równości da się rozstrzygnąć wówczas dopiero, kiedy kobiety w ciągu tyluż stuleci, co mężczyźni, korzystać będą ze źródeł wiedzy, z odpowiedniego wykszolenia życiowego, i z pobudek sławy. Zarzucają nam, że pleć nasza nie wydała dotychczas geniusza. Czyż czekano z daniem praw murzynom amerykańskim na pojawienie się u nich geniusza? Czy uzależniono nadanie ich mężczyźnie od zbadania jego zasobów umysłowych?... Nie mogą spełniać powinności wojskowej, i dla tego nie przysługuje im prawo głosu — brzmi ostatni argument przycisniętych do muru przeciwników. Stawiam w odpowiedzi na ten ostatni zarzut pytanie: czy mężczyzna, narażający życie swoje w walce z nieprzyjacielem kraju i kobieta, rodząca temu krajowi obywateli z narażeniem własnego życia, — nie są jednako uprawnieni do rozstrzygnięcia o potrzebach i dobru państwa? Co trzydziesta

kobieta umiera przy spełnianiu powinności naturalnego tego swojego zawodu; pomimo wielkich postępów wiedzy będzie życie jej zawsze w tym wypadku narażone na niebezpieczeństwo wówczas, kiedy mordercze walki narodów istnieć już będą jedynie we wspomnieniu... ”

Skończyłam — zdało mi się, że pogrążam się w miotany huraganami ocean. Pociemniało mi w oczach — czułam uściski setek dłoni — migwały przede mną setki nieznanych twarzy, — — mówiłam więc wobec tych wszystkich obcych ludzi?! Jakże to było możebne?! — Nagle stanęła przede mną moja matka, pąsowa ze wzruszenia — siostra ścisnęła mnie w swoich objęciach. We drzwiach przeciskała się przez tłum Marta Bartels, — czułam jak gorące jej palce boleśnie mocno zaciskają się dokoła moich.

Nareszcie! Nareszcie ujrzałam Jerzego! Cóż mnie obchodzili wszyscy inni, — on jeden powie mi prawdę: oczy jego były wilgotne — pochylił głowę nad moją ręką i pocałował ją.

Ludzie rozeszli się. Niezauważeni prawie skręciliśmy w cichą, ciemną ulicę i ciche toczyły się po chodniku kółka fotela. Na rogu ulicy położył ni ktoś rękę na ramieniu: wylękniona odwróciłam głowę: przed nami stał mój ojciec: „Nie mogłem wytrzymać w domu, — wymięli mnie wszyscy twoi słuchacze. Dumny jestem z twojego powodzenia!” Towarzyszył nam przez całą długą drogę do domu.

Nocy tej nie spałam: przypomniwały mi się dawne dziecięce moje sny na jawie. Czyż nie promieniało na sztandarze moim, jak na sztandarze Dziewicy Orleańskiej, oblicze obrończelki ludzkości? Rozwinęłam go dzisiaj, — poniosę go do zwycięskiego ataku!

Kiedy nazajutrz pozwolił sobie profesor Tondern w rozmowie ze mną na uszczypliwą uwagę o „zachwycie publiczności premierowej, przy którego ogniu nie da się zapalić nawet skromna lampka nocna”, uważałam żart ten za wpływ pesymistycznego jego światopoglądu. Jerzy utwierdził mnie w tem przekonaniu.

„Niewiara pańska w naturę ludzką paraliżuje siłę pańskiej działalności”, — zarzucił mu.

„A pański idealizm nie z tego świata pograży nie pana wprawdzie, ale żonę pańską w morze rozczarowań”, — odparł gniewnie, zatapiając nerwowo wszystkie dzięsieć palców w swoją długą rudą czuprynę.

„Dlaczego uważasz pan mnie jedynie za nietykalnego?” — zapytał Jerzy z uśmiechem.

„Ponieważ obserwujesz pan świat z zacisza swojego pokoju, a żona pańska wpada odrazu obiema nogami w wir” — odburknął przebiegając nerwowo pokój — „ponieważ wobec pana chowają się w najciemniejszy kąt złe instynkty drogich naszych bliźnich — oszczerstwo, próżność, zawiść—które tem zajadlej rzucą się na pańską żonę...”

Spojrzałam mu prosto w oczy: „Nie mówiłbyś pan tak, gdybyś pan nie miał ważkich po temu danych. Mimo to: nie chcę — nie mogę zapatrywać się tak, jak pan! W wierze mojej w ludzkość tkwi moja siła”.

Zagryzał nerwowo dolną wargę. „Wierz pani w samą sprawę, — będzie to lepiej dla pani i dla nas!”

Rozmowę naszą przerwała wizyta pani Vanzelow. Nie umiała znaleźć słów na oddanie ogromu mojego powodzenia. „A teraz nie wolno pani odmawiać nam”, — spojrzała na mnie błagalnie, wilgotnemi ze wzruszenia oczy-

ma, — „musi pani powtórzyć odczyt swój w naszym związku!”

„Nie, łaskawa pani!” Sama niemal przeraziłam się energią mojej odmowy. „Nietylko nie powtórzę tego odczytu, ale nie będę wcale mówiła wobec członkiń związku. Zwołaj pani zgromadzenie ludowe! Musimy zdobyć te, które jeszcze do nas nie należą, — musimy wobec najszerzej publiczności podnieść żądanie nasze praw wyborczych dla kobiet.”

Spojrzała na mnie przerażona. „Zgromadzenie ludowe?! Ależ to jest — to jest — socyaldemokratyczne!” Po krótkiem wszakże naleganiu, do którego energicznie przyłączył się Jerzy, ustąpiła nam.

„Wyraził pan najzupełniej mój pogląd, kochany profesorze, i związek praw kobiecych nie omieszka i w tym wypadku stanąć na czele ruchu! Ale pani, droga moja młoda przyjaciółko — wyrazi osobiście życzenie swoje naszemu zarządowi — wszak prawda?”

Przyrzekłam uczynić wszystko, co chciała. Po odejściu jej zwróciłam się z tryumfującym „i cóż pan na to?” do profesora Tonderna. Głos mój zbudził go z zamyślenia: „Zaoszczędź mi pani odpowiedzi” — odrzekł, żegnając się spieszenie.

Pani Vanzelow wprowadziła mnie na posiedzenie zarządu związku praw kobiecych: „Ucieszycie się, moje panie, niemniej ode mnie na wieść, że udało mi się pozyskać tę młodą, wiele obiecującą siłę dla naszego związku”. Panie przywitały mnie z zaciekawieniem i zarazem powściągliwością. Czułam się znów przygnębiona. Czy mogło mi się udać zamierzone pociągnięcie za sobą i podporządkowanie woli mojej wszystkich tych kobiet, które od wieków już brały udział w ruchu, mając za

sobą wiedzę, doświadczenie i zasługi, — kobiet, wobec których skromną byłam w tej dziedzinie nowicjuszką?!

Im częściej wszakże schodziłam się z nimi—zrobienie jednego kroku naprzód licznych wymagało posiedzeń — tem bardziej rosło moje zdumienie. Zdawać się mogło niemal, że związek obwiodł wysokim murem myśli swoje i dążenia. O tem, co było po za nim, nie wiedziały one nic i niechętnie pozwoliły mi na przebicie małej w nim szparczki, z której mogłyby rzucić okiem na ruch kobiecy zagranicą, na wielkie jego walki i zwycięstwa, na stan obecny kwestyi zdobycia dla kobiet praw wyborczych.

„To wszystko bardzo piękne i dobre, ale to nie dla nas, Niemek” — potrzęsała głową okrągła kobiecinka w okularach, do której jej tytuł doktora szczególnie mnie pociągał; „zaszkodziłybyśmy głównej sprawie: dopuszczeniu kobiet niemieckich do studyowania medycyny, gdybyśmy poważyły się tknąć niebezpieczną dziedzinę praw politycznych!”

„A związek nasz, który i bez tego ciężkie staczać musi walki, utraciłby niewątpliwie najbardziej wpływowe i najofiarniejsze swoje członkinie”, biadała zasuszona jakaś stara panna.

„O rzeczy najniebezpieczniejszej myślicie panie naturalnie na końcu” — dodała trzecia, przybierając tajemniczy wyraz twarzy. „Wobec prądów, jakie panują dzisiaj w sferach decydujących, naraziłby się związek nasz na posądzenie go o nieprawomyślność polityczną, a bodaj na zamknięcie, gdybyśmy poważyły się występować otwarcie z tak socjalistycznym żądaniem”.

„Pozwólcie w takim razie związkowi zginąć, martyrologia jego najlepszem będzie poparciem wielkiej

sprawy!" — zawołałam zniecierpliwiona. Odpowiedzią były mi tylko uśmiechy politowania i potępiające potrząsania głowami. Odmowa została zadecydowana: ostatni argument rozstrzygnął kwestyę.

„W takim razie spróbuję pozyskać dla siebie Helnę Kurz i jej związek”. Bez żadnej myśli ubocznej wypowiedziałam głośno, co mi przeszło w tej chwili przez głowę.

Pani Vanzelow, która dotychczas rzucała mi wymowne jedynie spojrzenia, zerwała się z krzesła. „Helma Kurz?! — Nigdy!” — zawołała. Nie pozwolicie na to, moje panie!” Zawiązała się ożywiona, przez wszystkie naraz podtrzymywana, dyskusya. Wynikiem jej było, że związek nie może jako taki, w myśl swoich statutów, wypowiedzieć się za kwestyą praw wyborczych, mimo to jednak weźmie na siebie urządzenie i pokrycie kosztów zgromadzenia publicznego, zaś przewodniczącą jego podejmie się przyzwożenia na niem.

Musiałam się wszakże zobowiązać, że poddam odczyt mój *in extenso* cenzurze zarządu. Nie czułam się w roli zwyciężającej, powracając do domu. Daremnie próbował Jerzy mnie pocieszać: „Najważniejsze jest przecież, żeś przeprowadziła twoją sprawę.”

„Tak sądzisz?— Jeśli jednak brak sprawie rzeczy najważniejszej: ludzi, szerycyeli?”

„A ty od czego jesteś? — A ja, czyż nie jestem z tobą?” Delikatnie gładził zwisłe moje ramię, co mi zawsze dawało uczucie głębokiego ukojenia.

Pocałowałam go z wdzięcznością w czoło — pod wargami mojemu poczułam płomień.

„Powiedz mi, Jerzy — drogi Jerzy — powiedz szcze-

rze” — szepnęłam, cofając się wstydliwie — „czy nie lubisz, gdy cię całuję?”

Rzucił na mnie przeciągłe spojrzenie pociemniałych, rozszerzonych swoich źrenic. Upadłam przed nim na kolana, tuląc rozplómieloną twarz do czarnej futrzanej koldry i czując, jak drżące jego palce odgarniają mi z pieszczotą włosy ze skroni...

Pisałam nowy mój odczyt jednym tchem, pióro ledwie mogło nadążyć za tłoczącemi się, fala za falą, myślami. Głos drżał mi ze wzruszenia, gdy po raz pierwszy główno go odczytałam. Surowe moje słuchaczki dziwnie jednak pozostały chłodne. Jedyne pani Vanzelow ujęła obie moje ręce, ściskając je gestem wymownym.

„Zanotowałam sobie ustępy, które wypadnie pani zmienić, ewentualnie opuścić”, — rzekła okrągła pan-
na — doktor, umocowując lepiej okulary na zbyt krótkim swoim nosku. „Nie wolno pani przedewszystkiem zaznaczać, że istnienie stowarzyszeń filantropijnych jest świadectwem ubóstwa, jakie sobie wystawia państwo oraz, że dający powinni by tak samo wstydzić się swoich czynów filantropijnych, jak korzystający z nich. Zniechęcisz pani w ten sposób najlepszych”.

Broniłam swojego poglądu, ale głosowanie rozstrzygnęło na moją niekorzyść.

„Zbyt przesadne rysujesz też pani obrazy nędzy, oddziałyby one w najwyższym stopniu drażniąco” — wtrąciła zasuszona.

„A niech właśnie oddziaływają!” — odparłam, „zre-
sztaż czerpię wszystkie moje dane ze źródeł urzędowych”.

Po krótkiej, ostrej wymianie zdań musiała oponentka moja z żalem ustąpić.

„O tem, aby można było pozostawić ustęp o socyalnej demokracji, mowy być nie może” — oświadczyła inna jeszcze członkini zarządu, której blizki stosunek pokrewieństwa z wolnomyślnym posłem do parlamentu zapewnił jej rodzaj stanowiska wpływowego.

„W ramach odczytu mojego jest on wprost nieunikniony” — zaoponowałam. „Socyalna demokracja jest jedynym stronnictwem, stawiającem postulat równouprawnienia płci”.

„Wielka szkoda! Łączenie się z niem w tym względzie narazi nasz związek — niejednokrotnie to wszak już zaznaczałam, nie chciano mnie wszakże słuchać”.

Uparłam się stanowczo przy utrzymaniu rzeczonego ustępu i niewiele już brakło do cofnięcia przeze mnie całego odczytu. Czyż nie należało jednak zgodzić się na drobne ustępstwa w imię przeprowadzenia czegośkolwiek chociażby?! Przegłosowano mnie i tym razem, — jedynie pani Vanzelow wstrzymała się od głosowania, wzruszając z politowaniem ramionami.

Zgromadzenie odbyło się w niedzielę przed południem w jednej z wielkich sal koncertowych przy ulicy Lipskiej. Ludzie tłoczyli się, zapelniając wszystkie miejsca aż do górnych galeryi włącznie. Przy długich stołach z obu stron mównicy siedzieli, ze znudzonemi minami i zastrzonymi ołówkami, dziennikarze. Obok mnie stała pani Vanzelow z tryumfującym uśmiechem, z głową artystycznie udrapowaną koronką i z majestatyczną postacią, opłyniętą zwojami czarnego jedwabiu. „Patrz pani — Helma Kurz! Zielona z zazdrości” — syknęła mi pośpiesznie. Po drugiej stronie zajął przy mnie

miejsce adyunkt policyi. Na stole przed nim bielił się duży arkusz papieru, na którym wypisane było u góry moje nazwisko.

Zaczęłam mówić, i znów uniosła mnie fala, i znów czułam, że cała ta, ciemniejąca przede mną, zwarta masa ludzka staje się gliną, którą dowolnie mogę urabiać. Zmiałam pogardliwie rękopis, zupełnie mi niepotrzebny. W trakcie mówienia same nasuwały mi się mocniejsze wyrazy i dobitniejsze argumenty niż przy biurku. Wczoraj dopiero opowiedziała mi Marta o rozwiązaniu przez policyę jednego ze związków robotnic. Czyż mogłam lepszy przytoczyć przykład dla zilustrowania bezprawnego położenia kobiet?

„Wzgląd na kobiecość dyktuje podobne postępowanie — powiadają mężczyźni, ale wzgląd na tę samą kobiecość nie powstrzymał ani jednego jeszcze mężczyzny od posyłania kobiet do kopalni i kamieniołomów, a kobiet ciężarnych do zatrutego powietrza fabryk!” Grzmot oklasków z górnej części galeryi nie pozwolił mi przez chwilę dojść do słowa. Adyunkt stenografował, — pani Vanzelew spojrzała na mnie przerażona: „Wykraczasz pani przeciwko naszej umowie!” — szepnęła wzburzona. Uśmiechnęłam się.

„A teraz pytam was, s'ostry moje, czy nie macie naprawdę nic do dokonania dla waszej płci? Przypomnijcie sobie niedawną chwilę, kiedy przedstawiciel monarchy, kanclerz Leist, zelżył kobiety, a mimo to uznany został za „dzielnego i sumiennego urzędnika”,— i odważcie się po tym fakcie powiedzieć jeszcze: nie mamy żadnych obowiązków obywatelskich!... Od miasta do miasta chodzić będę i siać w serca kobiet zbawienne

owo niezadowolenie, które prażródłem jest wszelkich reform!...”

Adjunkt zaczerwienił się z gniewu, słyszałam po przez huk oklasków gorączkowy zgrzyt pióra jego po papierze. Na odgłos ten zapomniałam o danem przyrzeczeniu i mówić zaczęłam o socyal-demokracji, „o rycerzach pracy, którzy dzisiaj jedynymi są rycerzami kobiet”.

Lawina oklasków zerwała się, niby burza wiosenna, strącająca z drzew zeschłe liście, aby młodym pędem światło dać i przestwór...

Dni następne nieustannem były spadaniem z wyżyn, topnieniem skrzydeł Ikarowych, zanim wszakże zdążyłam o twardą uderzać się ziemię, pochwytywały mnie ramiona miłości. W związku praw kobiecych doszło niemal do zamachu stanu, aby wysadzić z siodła zarząd; obsypywano mnie zarzutami. Pisma wzmiankowały, na poły ironicznie, na poły pogardliwie, o zakapturzonej towarzyszcze, organy konserwatywne nie omieszkały bić na alarm z powodu „niesłychanego wyskoku żony pruskiego profesora uniwersytetu”, i pewnego dnia wrócił Jerzy poważny i zamyślony z wykładu: „Althoff dał mi życzliwą przestroge!” — rzekł. Ojciec mój przyszedł do nas i zrobił mi scenę, jak gdybym była jeszcze w domu.

„...Ludzie wskazują na mnie palcami. Nie mogę się pokazać ani w klubie, ani w parlamencie...” krzyczał. Jerzy podniósł się, oparty na obu rękach.

„Wasza ekscellencya zapomina”, rzekł zimno i szorstko, „że znajduje się u mnie!” Przez chwilę mierzyli się obydwaj ci ludzie napastniczo wrogim wzrokiem,

poczem ojciec wyszedł bez słowa z pokoju, a Jerzy upadł wyczerpany na fotel.

Otrzymałam długi list od matki: „Jestem zbyt wzburzona, aby móżdż widzieć się z tobą. Jak możecie wy, etycy, brać na sumienie wasze wskazanie drzwi własnemu ojcu! Już odczytem swoim wykazałaś zresztą, w jakie przepaście wtrąca was bezbożność: czem-że bowiem, jak nie poduszczeniem złego ducha, jest szerzenie niezadowolenia z losu w czasach, kiedy całemu narodowi brak najbardziej chrześcijańskiej pokory i poddania się!...”

Jakkolwiek trudno mi było opuścić Jerzego, którego szara, ziemista bladość często mnie teraz przerażała, doznałam jednakże osobistej ulgi, gdy z powodu walnego zebrania delegacyi Towarzystwa Etycznego zmuszona byłam na kilka dni wyjechać z Berlina. Pojechaliśmy wszyscy razem: radca tajny Frommann, pani Schwabach, kierowniczką biura informacyjnego, profesor Tondern i ja. Już rozmowy nasze w wagonie dały mi przedsmak przyszłych dyskusyi. Ze stanowczością, której ton nieco łagodził rzeczny, pojedynczy sposób mówienia, dał mi przewodniczący nasz do zrozumienia, jak mało odpowiada pismo nasze swojemu zadaniu szerzenia etyki ogólnoludzkiej, a pani Schwabach zarzucała mi poważnie niemoralność moich ostatnich wystąpień w przemówieniach publicznych i artykułach przeciwko społeczeństwu burżuazyjnemu.

„Mogłabyś pani daleko silniej oddziaływać, gdybyś dała pokój wszelkiej negacyi” — zakończyła.

„I głaśkała pocziwców, aby w najlepszym razie pomrukiwali z zadowolenia jak koty” — dodał ironicznie Tondern. „Kto nie znosi krytyki i nie umie być

wdzięcznym zwierciadłu, oddającemu wszystkie plamy i zmarszczki — ten może się lepiej dać odrazu pogrzebać!”

Po przybyciu wieczorem do Lipska pokazał mi, sformułowany przez siebie i gotowy do podania, wniosek: „Towarzystwo Etyczne przyjmuje z zadowoleniem do wiadomości, że kongres higieniczny wypowiedział się za ośmiogodzinnym dniem pracy, i postanawia, wychodząc z założeń etycznych, przyłączyć się do tego żądania.”

„Prawdziwym to będzie dla nas krokiem naprzód!” rzekłam, podpisując się z radosną gotowością pod tym wnioskiem.

Uśmiechnął się ironicznie: krokiem naprzód?! Zapewnie, rozdział umysłów, ustalający ściśle różnice poglądów, jest oczywiście krokiem naprzód!”

W dwa dni później siedzieliśmy naprzeciwko siebie przy tym samym stole: kąty oczu jego drgały nerwowo, palce bębniły niespokojnie po marmurowej płycie stołu, podczas gdy ja, śmiertelnie znużona długotrwałymi debatami, bezmyślnie przerzucałam pisma.

„No, i cóż pani powie teraz?” — przerwał nareszcie wzajemne milczenie. „Okazuje się, że ja — ja nawet byłem optymistą. Piękne Towarzystwo Etyczne, odrzucające jednomyślnie — przeciwko naszym dwóm głosom — ośmiogodzinny dzień pracy! — Tylko dlatego, że jest on „hasłem!” — Że przyjęcie jego naraziłoby Towarzystwo! — Że „nieetycznym” jest „urazanie” ludzi innych poglądów! Jak pani myślisz: czy można usprawiedliwić ze stanowiska osobistej naszej etyki, że wciąż jeszcze jesteśmy ukrytymi tylko socyałami?!”

Opuściłam głowę. Myślałam o Jerzym, o jego pro-

miennych nadzieją oczach dziecięcych, o jego wychudłych, wązkich dłoniach, o całym jego biednym sparaliżowaniu ciała. „Jedno tylko zadanie spełnić mogę” powiedział on raz — „zatrwać z mojej katedry młodzież!” A potem padł wzrok mój na szeroką obrączkę, połyskującą na palcu mojego nterlokutora, który pozostawił w domu żonę i czworo drobnych dzieci.

„Czy jesteśmy dostatecznie wolni na to, aby móż czynić, co chcemy?” — szepnęłam cicho jakby do samej siebie.

„Ma pani słuszność — musimy znaleźć wyjście — takie czy inne!”...

Wcześniej, aniżeli oczekiwał mnie Jerzy, wróciłam do domu. Otworzyłam cichutko drzwi od mieszkania, — o tej porze zagłębiony bywał zawsze w swoje studia, — a wówczas nie słyszał i nie widział nic dokoła siebie.

Zaledwie jednak weszłam do pokoju, rozległ się głos jego na powitanie:

„Alicyo!!” — Jeden tylko dźwięk, a w nim radość, tęsknota i miłość całego serca! Jakże wargi jego drgały i płonęły, po raz pierwszy pocałował mnie w usta.

„Życie jest krótkie, Alicyo — o wiele — wiele za krótko! Nie opuszczaj mnie więcej!”

„Nigdy, Jerzy, nigdy! badałam niespokojnie jego rysy. — „Cierpiełeś? — więcej, niż zwykle?”

„Nie mówmy już o tem, — teraz już dobrze — wszystko dobrze!” — uśmiechnął się najpromienniejszym swoim uśmiechem.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY.

W piękną niedzielę letnią przyszedli do nas rodzice. Nie dotknęli ani jednym słowem przeszłości. Odtąd przychodzili często, ale przeważnie każde oddzielnie. „Tak u was rozkosznie, cicho!” — mawiała matka, sadowiąc się wygodnie w fotelu. „Tyle macie słońca!” — dziwił się ojciec, zwracając się plecami do okna, skąd najjaśniejsze padały promienie, — jak gdyby mu było zimno. Siostrzyczka przybiegała też często. Wyrosła na prześlicznego podlotka o b'yszczących pożądaniami oczach.

„Ojczuś gderze ciągle, — schodzimy mu jaknajczęściej z oczu!” — opowiadała.

W niedzielę musiałam chodzić na obiady do rodziców lub do wuja Waltera. Było to dla mnie stale udręką, bowiem, dla uniknięcia bezcelowych rozpraw, nie pozostawało mi nic innego jak milczeć, chociaż nieraz zalewała mi z gniewu skronie krew gorąca.

Unikano wprawdzie wzmianek o Towarzystwie Etycznym, tem bezwzględniej wszakże napadano na żydów, socjalistów — teoretyków i wyznawców Egi-

dy'ego, jako na „posiłki” socyal-demokracji, a ciotka szczególniejszą znajdowała przyjemność w drażnieniu mnie marzycielskiem swoim ubóstwianiem dworu.

Pewnego dnia wziął mnie wuj na stronę, spodziewałam się więc życzliwego politycznego pouczenia, tymczasem ku zdziwieniu mojemu zaczął mówić o Egidym. „Jest fantastą, ale m'mo to człowiekiem szlachetnym i twoim przyjacielem” — rzekł — „powinnaś więc uchronić go od niebezpieczeństwa.” Wdał się na wsi bliżej — jak slysze — z jednym z moich sąsiadów, notorycznym oszustem, niejakiem Wolfartem” — Poprosiłam wuja o potrzebne szczegóły i napisałam do Egidy'ego, aby do mnie przyszedł.

Nie widzieliśmy się od kilku miesięcy. Przez ten czas postarzał o lata całe. Trudno mi było zdobyć się w obec tej znużonej twarzy na odwagę powiedzenia tego, co wiedziałam. Spojrzał na mnie osłupiały z przerażenia, zacisnął kurczowo dłonie, oczy rozwarły mu się szeroko, i nagle upadła głowa jego na splecione ręce, szerokie jego plecy zaczęły drgać, podrzucane łkaniem spazmatycznym. Stałam przed nim zrozpaczona i bezradna: ten, urągający szyderstwu i nienawiści całego świata, niezwalczony na pozór w zwycięskiej wierze swojej w ludzi, człowiek siedział w tej chwili przedemną złamany, jak gdyby głaz skalny obruszył się na potężne jego ramiona,—i płakał.

„Moje dzieci — biedne moje dzieci!” — łkał urywanie — „wszystko poświęciłem temu człowiekowi,—ostatni mój grosz!”

Wrócił do domu Jerzy. Egidy chciał się podnieść na jego powitanie, ale osłabłe kolana odmówiły mu posłuszeństwa. Potem mówić zaczął.

Zdawało się, że musi ulżyć swojemu sercu, wypowiedzieć wszystko, co ukrywał może jeszcze przed samym sobą: jak zawiodły go nadzieje, opuściły go szeregi wyznawców, a dom jego opustoszał, odkąd nie mógł zastawiać suto stołów.

„Teraz właśnie, kiedy ludzie przestaną już pana podziwiać jako męczennika, będziesz pan mógł pokazać, że jesteś silnym!” — rzekł Jerzy, gdy Egidy skończył wreszcie bolesną swoją litanię.

Szybkim ruchem, jak gdyby chcąc precz odpędzić resztkę słabości, potarł Egidy czoło i podał Jerzemu rękę: „Bóg mi świadkiem, że tego dowiodę!” I, zwracając się ku mnie, dodał: „Czy pamięta pani, co powiedziałem pani w Hanowerze? „W ostateczności pójdę sam — wolno posuwać się będą naprzód — wśród gradu kul.

— Żegnam panią!”

Poszedł, pozostawiając mnie z ciężkim sercem. „Sam — wśród gradu kul!” — powtórzyłam z cicha z drżeniem.

„„Moja Alicya boi się?! — Nie zapominaj nigdy, co powiedział wielki wybawiciel niewolników, William Lloyd Garrison: „Jeden jedyny człowiek, który zawarł sojusz z prawdą, potężniejszym jest od wszystkich. Z tą wiarą zwyciężył.” Błada twarz Jerzego promieniała światłem wewnętrznym na tle mroku wieczornego.

Byłam-że tak słaba, że szukałam zawsze ludzi — współideowców? — i że cieszyłam się, jak dziecko, czujące za skalą stu towarzyszy zabawy, ilekroć zadźwięczało mi zdała echo własnego mojego głosu?...

Związek praw kobiecych powołał mnie — pomimo grzechów moich — na stanowisko członka zarządu; miałam „imię” — tem zjednała dla mnie pani Vanzelow członkinie.

Przyjęłam wybór, pomimo odczuwanego w duszy wstrętu: związek był bądź co bądź skutecznym środkiem do celu. Przedewszystkiem należało przeprowadzić jedno: wyzwolić niemiecki ruch kobiecy z jego egzystencyi skromnego, ukrytego w trawie, fijołka. Ja sama przeżyłam dwadzieścia pięć lat, zanim dowiedziałam się o jego istnieniu. Prasa do tej chwili jeszcze niemal nie brała go w rachubę.

Udało mi się przedewszystkiem — dzięki wzięciu na siebie tej pracy, — wprowadzenie stałych korespondencyi do gazet; miałam też satysfakcyę, że przyjmowano notatki moje do licznych czasopism. Z kolei pomysłu wypadło o stworzeniu własnego organu, zdala widniejącego sztandaru naszej sprawy. Zjednałam dla projektu tego wydawcę Pisma Etycznego, — promieniałam też z radości, przynosząc wieść o tem zwycięstwie na posiedzenie zarządu. Zamiast wszakże ogólnego zachwytu spotkałam się ze strony wszystkich z oporem. Jedna biadała nad odpowiedzialnością, jaką tem na siebie bierzemy, inna nad „ulubionemi od wielu lat” komunikatami związku, które miałyby teraz ustąpić miejsca pismu.

„A przedewszystkiem trudno będzie bardzo rozstrzygnąć sprawę redakcyi”, wtrąciła ze ściągniętymi w górę brwiami pani Vanzelow, patrząc na mnie badawczo.

Zrozumiałam.

„Zostanie ona, rozumie się, powierzona czcigodnej

naszej przewodniczącej” — odparłam z miejsca. „A kochana moja pani Giżycka będzie mi zawsze pomocną” — dodała pani Vanzelow, wyciągając do mnie po przez stół rękę.

„Uważam postępowanie podobne za nieetyczne”, — zabrzmiał ostry głos pani Szwabach. Spojrzałam zdumiona. „Proszę nam to wytłómaczyć jaśniej.”

„Nasza droga, dzisiaj, niestety, nieobecna, pan-na Georgi prowadziła dotychczas komunikaty ku ogólnemu naszemu zadowoleniu w charakterze bezinteresownej” — wymowne spojrzenie rzucone zostało w moją stronę — i „ofiarnej sekretarki. Nie dam mojego głosu, o ile zostanie ona usunięta!”

„Porwałam się oburzona: „Idzie tu o rzecz, nie o ludzi, o pismo publiczne, nie o ulotne kartki związkowe! Każdy postęp dotknąć musi jednostki, — a jeśli etyka pań jest przeciwieństwem postępu, rzuć ją i przejdę na jego stronę!”

Wstałam, pozostawiając zarząd własnemu jego przemysłowi.

W cztery tygodnie później pojawił się pierwszy numer „Kwestyi kobiecej” pod redakcją pani Vanzelow i moją. Jerzy zainaugurował pismo wstępnym artykułem o prawie wyborczem kobiet. Równocześnie niemal rozesłała He'ma Kurz cyrkularz do niemieckich stowarzyszeń kobiecych, wzywając je do utworzenia narodowego związku kobiet, który mógłby przyłączyć się do, istniejącego już i powołanego w Ameryce do życia, związku międzynarodowego.

Oschłem: „Nigdy!” odpowiedziała pani Vanzelow na zapalenie się moje do tego projektu. „Helma Kurz chce się wysunąć na pierwszy plan, narobić wrzawy”

żółć zalewała ją na wieść o naszych zdobyczach...” Zaledwie zdołałam ją uspokoić i skłonić do wzięcia udziału w zebraniach przedorganizacyjnych. Zastępy kobiet, zrzeszone na całym świecie w jedną potężną organizację,—nie była-ż to podbijająca potęga przyszłości.

Na równi z robotnicą zabierze tu głos dama z burżuazji, socyalistka—obok żony bogatego fabrykanta; bezstronna, spokojna wymiana pojęć da możliwość odniesienia zwycięstwa najżywotniejszym, — przez matki przyszłych pokoleń niedostrzegalnie skierowane zostanie w łono ludzkości źródło, którego przeznaczeniem jest nieść, jako prąd, okręty przyszłości.

„A więc Towarzystwo Etyczne kobiet, — w myśl naszego projektu!” — zauważył Jerzy. Skorzystałam z najbliższej wolnej chwili, aby rozpatrzyć tę sprawę z Martą Bartels. Dziwna rzecz: nie wiedziała ona o niczem, nie otrzymała bowiem cyrkularza. „A gdybym go nawet była otrzymała, wątpię, czy towarzyszki uważałyby połączenie się za pożyteczne”.

„Pomyśl pani jednak, jakie otworzyłyby się przed wami pole do agitacji”— gorączkowałam się, boleśnie zdziwiona jej opornym stanowiskiem, — przekonana byłam bowiem, że wezwanie nie doszło jej wprost przez przypadek — cyrkularz mówił wyraźnie o „wszystkich kobietach.”

— Naszą dziedziną agitacyjną jest ogół proletarijuszek—wystarczy ona dla najpotężniejszych nawet sił roboczych! Połączenie się z burżuazyjnym ruchem kobiecym wprowadziłoby tylko rozdzwięk i zamęt. Ogół naszych robotnic nie jest jeszcze do tego stopnia uświadomiony, aby czuć się miały one równoprawnymi w obec „pań.”

Miałam wrażenie, że mówi przez nią raczej zadrągnięta niezwróceniem się do niej miłość własna, aniżeli przekonanie wewnętrzne.

„Pomówimy jeszcze o tem”, — rzekłam, ucieszona w głębi duszy następczającem się mi zadaniem: widziałam je już spełnionem, wyobraźnia moja rysowała mi już na trybunie Martę Bartels, zdobywającą prostotą swoją i pradziwością umysły kobiece. Napisałam do Helmy Kurz, zwracając jej uwagę na niedopatrzenie. Nie otrzymałam odpowiedzi. Na powitalnym wieczorze delegatek niemieckich oczekiwałam niecierpliwie końca uczty, aby zwrócić się do niej osobiście. Uważałam co najmniej za niesmaczne zapoczątkowywanie podobnego dzieła przy winie i pieczysem, w balowych strojach, z wznoszeniem wzajemnych na swoją cześć toastów, zanim jeszcze cośkolwiek zostało dokonane. Dotarłam nareszcie do Helmy Kurz, która, spostrzegłszy mnie, spłoszyła. „Nie miejsce tutaj na rozstrzygnięcie kwestyi zasadniczych”, — przerwała mi gwałtownie, odwracając się ode mnie bez ceremonii.

Nazajutrz na posiedzeniu zapisałam się jedna z pierwszych do głosu w dyskusyi.

Wypowiedziano szereg nieskończenie długich mów: o jedności wszystkich kobiet, o wspólności wielkich celów, — daremnie czekałam z godziny na godzinę na udzielenie mi głosu. Zgłosiłam się raz jeszcze. „Musi pani sformułować wniosek swój piśmiennie!” — zawołała Helma Kurz gniewnie. Uczyniłam, czego ode mnie żądano. Zgłoszenie moje przyjęto wzburzonym szmerem przy stole prezydyalnym. — „Wniosek pani nie został zamieszczony na porządku dziennym” — oznajmiła mi przewodnicząca. Prokowałam zdobyć głos

przemocą. Dokoła mnie wrzeszczały wzburzone głosy: „Milcz pani!” „Precz”. ...„Jakie to nieetyczne!”

Majestatycznie podniosła Helma Kurz ciężką swoją postać z poza stołu prezydyalnego. „Z tego zakłócenia pięknej naszej harmonii widzicie już, moje panie, jakim duchem owianą musi być ta, która je wywołała!” — oznajmiła z uroczystą powagą, akcentując każdy wyraz. „Mimo to, nietyle ze względu na delegatkę związku Praw kobiecych” — uśmiechnęła się szyderczo—„ile na tu obecne, wypróbowane w walce, współdziałaczki—dam wyjaśnienie, którego zażądano ode mnie w sposób, praktykowany dotychczas jedynie na wrzaskliwych zgromadzeniach socjalistycznych. Powołano na zebranie wszystkie stowarzyszenia i związki kobiece, z wyjątkiem tych naturalnie, które nie stoją na gruncie naszego ustroju państwowego i społecznego.” Długo niemilknące oklaski przerwały jej mowę. „Współdział ich musiałyby doprowadzić do rozwiązania Związku...” Zerwałam się i rzuciłam raz jeszcze kartę moją na stół prezydyalny. „Postanowiliśmy ze względu na konieczność spokojnego prowadzenia w dalszym ciągu naszych obrad odmówić głosu pani Giżyckiej.”

Ponowny oklask ogólny.

Szybko zredagowałam protest przeciwko wykluczeniu związków robotnic i skorzystałam z przerwy, aby zebrać na niem podpisy.

Do kogokolwiek wszakże zbliżałam się — cofał się bojaźliwie na mój widok. Z oburzeniem obrzuciła mnie pani Szwabach spojrzeniem swoich mądrych ciemnych oczu: „I pani masz być etyczką, której zadaniem

jest pielęgnowanie i podkreślanie wspólności interesów?!”

Znalazłam w tem liczmem zgromadzeniu tylko dwa głosy, które się przyłączyły do mojego. Jeden z nich dała pani Vanzelow. „Pośle pani to do pism?— Świetnie. Zadamy tem cios dotkliwy Helmie Kurz” — rzekła.

„Nieodrazu Rzym zbudowano”, — pocieszał mnie Jerzy”, — kiedy nieusposobiona i rozczarowana wróciłam do domu. Długo jeszcze trwało, zanim kojący lek jego wiary w ludzi rozegnał mi z serca głęboki osad goryczy. Nie wytępił wszakże zarodka choroby. Artykuły moje, publikowane w naszym piśmie i w „Kwestyi kobiecej”, stawały się coraz ostrzejsze w tonie.

Spotykanych ludzi, czytane książki, oglądane na scenie utwory dramatyczne, — sądziłam z jednego wyłącznie stanowiska: stosunku ich do kwestyi socyalnej, do socyalizmu.

W poezyi i sztuce ówczesnej zanikać zaczęło zwolna obrazowanie nędzy, którem Hauptmann w „Tkaczach” bezwzględnie krwawe znaczył pręgi, a które w jego „Hanusiu” ukazywało dziecię żebracze, strojne w zaczarowane szaty królowej z bajki. Znicze nowych idei póty rozplomieniają zapal artysty, dopóki groźba wygaśnięcia świętego ognia nadaje drżącym jeszcze jego płomykom fantastycznie podniecający czar. Dojrzewając, krzepną one w wierze, prężnych wymagając ramion bojowych, zaś wieszczę oko artysty tęskny już śle wzrok na zwiady, by w ciemnej dali nowych, nieśmiało wyblaskujących, szukać światełek. Co wszakże logiczną jest koniecznością, wydało mi się wiarołomstwem i słabością, a wybujały indywidualizm, wypierający stopnio-

wo entuzjastyczny kult ludzkości, — potwornem wstecz-
nictwem.

Ibsen i Nietzsche głosili ideę wyzwolenia osobowości, mając przeciwko sobie zastępy całe przeciwników. Wywalczyliśmy ją sobie na drodze długich walk bolesnych; była ona nam świętością, której niewygasające nigdy światła syciła krew nasza serdeczna. A teraz szli wszyscy ci hałaśliwi ludzie i brali ją w niepoświęcane swoje dłonie bez naszej czci głębokiej, i była im ona nową jedynie zabawką. Oświecony gmin widział w każdym zdobywcy, idącego nieokielznanie za głosem swoich chuci.

Odarta z bóstw ludzkość szukała bożków i każdy, kto miał siłę deptania starych wartości, gromady znajdował wielbicieli.

„Swoboda płciowa nie jest sama przez się swobodą” zawołałam raz oburzona do Polenza, który przyniósł mi „Hanne Jagert”, utwór Hartlebena. „Niewątpliwie istnieją kobiety, które taka sama cechuje namiętność zmysłowa, jak mężczyzn, mimo to jednak dopatrywanie się w nich wielkiego typu wolnej kobiety przyszłości niemniejszym jest świętokradztwem, niż wynoszenie współczesnego, używającego życia, zmysłowca na piedestał ideału męskości”.

„Nie zna pani młodych naszych poetów, pochodzących przeważnie z drobnomieszczaństwa i przerzucających się stąd jednym skokiem na łono wielkowiejskiej cyganeryi artystycznej.

Inny świat jest im wszystkim niemal obcy i pozostaje dla nich prawie nazawsze zamknięty. Pani właśnie powinnaby się odważyć wejść do jaskini lwów”, — odpowiedział Polenz.

Wahałam się jeszcze, ale Jerzy, któremu wszelkie sposoby, mogące weselej mnie usposobić, wydawały się dobrymi, namawiał tak długo, że przyjechałam wreszcie jednego wieczora zaprosiny Polenza. Sprosił różnobarwne towarzystwo: dawnych towarzyszy pułkowych i anarchizujących pisarzy, saskich sekretarzy poselstw i kwiat berlińskich literatów kawiarnianych.

Nastrój był dziwnie sztuczny; panowie od pióra czuli się wyraźnie niedobrze w swoich frakach, a panie, spodziewające się po nich, Bóg, wie czego, nie były w stanie, mimo wszystkie wysiłki, przełamać sztywności obcych gości.

Towarzystwo ożywiło się nieco przy stole i winie. Obok mnie siedział jeden z najbardziej wziętych i ulubionych pisarzy, umiejący odtwarzać z pewnym wdziękiem najzuchwalsze sceny, inny, do którego modlili się najmłodszy, ukrywający pełne życia oczy pod ciemnymi okularami, zasiadł naprzeciwko mnie. Puściłam w ruch wszystkie moje, wypróbowane tylokrotnie, talenty towarzyskie, próbowałam uderzać we wszystkie struny, po których mogłam spodziewać się oddźwięku, — nadaremnie. Jak występujące po raz pierwszy w świat podlotki, odpowiadali oni na wszystko krótkim „tak”, albo „nie”, czasem nawet tylko pełnym zażenowania uśmiechem, i to właśnie w chwili, kiedy pewna byłam, że poruszałam najczulszą ich strunę. Rozejrzałam się badawczo dokoła długiego stołu: wszędzie ten sam obraz — zwolna ciężka osiadała nuda na zastygłych w konwencyonalnym uśmiechu rysach. Odetchnięto nareszcie swobodniej, kiedy dano znak wstania od stołu. Z nieprawdopodobną szybkością znikli wnet panowie w sąsiednim pokoju, skąd przy koniaku i cy-

garach rozbrzmiewać wnet zaczęły homeryczne wybuchy śmiechu.

Kiedy, czekając na tramwaj, stałam na ulicy, doszła do mnie niskiego wzrostu kobieta o fosforycznych oczach błękitnych, w chusteczce koronkowej, niedbale zarzuconej na ciężkie jasne warkocze, oplatające jej głowę.

„Franek wciąż tam jeszcze siedzi?” — zapytała, wskazując ręką oświetlone okna pierwszego piętra, z którego właśnie zesłam. Spojrzałam na nią zdumiona. „Julianna Dery! Co pani tutaj robi?” — — „Czekam — miał z ostatnim kąsem uciec od tej zbieraniny. Musiało jednak być bardziej zajmujące, niż mu przepowiadałam...” Roześmiałam się głośno i zdałam jej relację z przepędzonych trzech godzin. „Więc naprawdę wyobrażała sobie pani, że uda się jej przy zastawionych jadłem stolach, między hrabiami i baronowemi, poznać młode nasze geniusze?!” Nie mogła się powstrzymać od głośnego śmiechu, zwracając nim uwagę rozbawionych przechodniów. „Chodźmy!” — szepnęłam, wsuwając rękę pod jej ramię.

„Prawda! — Spacerowałyśmy już przecież raz po nocy! Od tego czasu zrobiła się pani etyczką —i... zawałała się — „wyszła pani za mąż!”

„A pani?” — Zapytałam bez ciekawości, właściwie, byleby coś powiedzieć.

„Ja? — Boże mój — widzi pani: żyję! Cóż mogłyby zresztą takie, jak ja, robić innego!” Ponury cień przyćmił jej oczy, po chwili wszakże roześmiała się znów: „Wie pani? Chodźmy dzisiaj razem, — jestem lepszym przewodnikiem po cyganeryi, niż dawniejszy wasz amfitryon! Zresztą — zlustrowała mnie od stóp

do głów przy świetle latarni — zrobię wprowadzeniem pani furorę.”

Przez całą drogę do celu naszej wędrówki, małej winiarni przy ulicy Fryderykowskiej, opowiadała mi z właściwą sobie błyskotliwą żywością o wszystkich wolnych duchach, jakich tam znajdę. „Wielki...” „genialny”... „nieporównany...”, przymiotnikami temi sypała gęsto, cytując nazwiska, niemal zupełnie mi nieznane.

Przy wejściu buchnął na mnie gęsty obłok dymu tytuniowego, w którego nieprzejrzanym kłębach słabo migotały światełka zapalonych papierosów. Zmieszany chór rozmów uniemożliwił na razie rozpoznawanie poszczególnych wyrazów. Dopiero kiedy stanęliśmy w pełnym świetle lamp gazowych, umilkły na chwilę głosy. Panowie wstali i otoczyli nas. Przesiąknięci byli oparami koniaku — bezwiednie odstąpiłam krok w tył. Usłyszano moje nazwisko: „Oszalałaś, chyba, Julko,” — burknął jakiś głos mężki i ramię czyjeś opasało jej kibić. Usiadłam zdaleka w kąciku.

Po chwili zapomniano o mnie, poczułam się więc w roli widza przed sceną. Byłam świadkiem ciekawego niewątpliwie widowiska, którego aktorami okazali się nietuzinkowi i oryginalni bez kwestyi ludzie.

U stóp wysokiego, ciemnego bruneta, dokoła którego piętrzył się coraz wyższy stos pustych butelek, siedziała blada kobieta z ciężką koroną jasnych włosów, wieńczącą wytworną jej g'ówkę. Musiała to być owa duńska hrabina, którą uwiódł „sataniczny”, jak go nazywała Dery — powieściopisarz. Ilekroć przemawiał, patrzyła w niego, jak w święty obraz, a wszyscy stojący dokoła, milkli.

„Tak” — co to właściwie chciałem powiedzieć — —” mówił z wyraźnym akcentem słowiańskim — — „co — to właściwie było?” Nalał sobie czerwonego wina do kieliszka — kilka kropel bryznęło na białe czoło kobiety, tulącej się u jego stóp — zapomniał o picciu i wlepił w nią oczy: „jakież to piękne: ciernie niewidzialnego twojego wieńca zraniły cię — jak rubin lśni krew królewska...”

„Czemu milczycie u dyabła?” — ryknął w następnej zaraz chwili, opróżniając kieliszek jednym tchem, „co to was, bydło, obchodzi?”

Odpowiedziano mu głośnym śmiechem.

„Chciałeś nam opowiedzieć o twoim bohaterze!” — przypomniał ktoś z obecnych.

„O moim bohaterze!” — powtórzył — „będzie to mocna sztuka! Nie żaden sentymentalny robak, kłękający przed kobietami, ale taki, co to potrafi trzymać je mocno w garści, jak ja!” — Olbrzymia jego łapa chwyciła z całych sił ramię jasno-włosej kobiety, która drgnęła mimowoli z bólu, — „nie będzie on żadnym z tych, co to podsuwają kalekom kule, a ślepcom — okulary, ale z tych, co precz odtrącają, kto w drodze im stoi. Może zdaje się wam, że ta cała hołota lepszego warta losu?! Wierzcie mi, jeśli my, silni, o żelaznych sercach, nie przebijemy się naprzód, zje nas tłum, płodzący potomstwo, jak króliki. „Pomagać słabym”, jęczy rozwodniona wasza chrześcijańska krew w żyłach. Nie!... mówię... dobijać słabych, aby zrobić miejsce dla silnych!”

Nie mogłam dłużej wytrzymać. „Musi się jednak pokazać jeszcze, kto są ci silni”, zawołałam.

„Pokazać? Nie, najpiękniejsza niewiasto, — sa-

mi o tem dobrze wiemy”, odpowiedział, wstając i zbliżając się do mnie, — chwiał się trochę na nogach.— „Pani należysz przecież do tych, którzy się poświęcają — dla ludzkości — dla etyki — tam do dyabła! Z taką twarzą i taką postawą — —” wyciągnął dużą swoją dłoń, — wylękniona, cofnęłam się — „żyć powinienabyś — darzyć szczęściem i miłością — to więcej znaczy, niż pisanie traktacików — i — i — mieć dzieci powinnaś! —

Zwalił się, jak ścięta kłoda na podłogę. Cofnęłam się szybko ku drzwiom. Julianna pośpieszyła za mną, cisnąc rozplomienioną twarz swoją do moich policzków.

„Zostań, pani — najpiękniejsza — najmilsza” — błagała — czułam rękę jej na mojem biodrze. „Wielki jest — prawda? — wspaniały? Teraz dopiero zaczniesz się prawdziwa rozkosz — chodź — chodź — bądźmy przyjaciółkami.” — Chciała mnie pocałować. Odrzuciłam ją. „Zarozumiała idyotka’ — syknęła.

„Ona nie ma — nie ma serca — tak samo, jak wszystkie te — rozczochrane prelegentki!” — bełkotał pijany, nawpół podnosząc się z ziemi.

Wybiegłam, jak gdyby mnie ktoś gonił i wskoczyłam do pierwszej z brzoza dorożki.

Dlaczego jednak upadłam ze łkaniem na poduszki—dla czego?!

Wsunęłam się pocichu do mieszkania, do mojego pokoju. Po raz pierwszy zataiłam przeżyty moment przed Jerzym, opowiedziałam mu tylko o wieczorze u Polenza, o wszystkich tych ludziach, którzy „też nie są naszymi”.

Słuchał w roztargnieniu, myśląc o liście, który miał w palcach i wreszcie podał mi z uśmiechem.

„Tutaj znajdziemy naszych!”—rzekł.

Było to zaproszenie na bankiet „na cześć czcigodnego naszego towarzysza, Fryderyka Engelsa”, podpisane przez członków zarządu partyjnego

„Chcesz pójść?” — zapytałam zdumiona — „jako profesor uniwersytetu pruskiego?”

„Nie pozbawię się przyjemności wzięcia raz w życiu udziału w „takim święcie!” — zresztą nie każą mi zapłacić za nią głową!”...

Wielka sala. Zielone girlandy, utkane pąsowemi kwiatami, zwisają krągłemi łukami dokoła galeryi, przeciągnięte pomiędzy podtrzymującemi ją słupami. „Proletaryusze wszystkich krajów, łączcie się!” wita z ponad trybun lśniący olbrzymi napis złożony na tle szkarłatnem. Z pomiędzy gajów laurowych bieleją marmurowe biusty Marksa i Lasalla. Zastaliśmy olbrzymią salę zapełnioną tłumem ludzi: mężczyźni w surdutach odświętnych, kobiety i dziewczęta w kolorowych bluzkach i jasnych sukniach, z rozjaśnionemi twarzami, jakie mają dzieci w oczekiwaniu na zapalenie drzewka wigiljnego. Błysk młodości promieniał ze wszystkich oczu, zacierając zmarszczki, bruzdy, cierpień, rysy, troski i różowiąc pobladłe przedwcześnie policzki rumieńcem dzieci szczęścia.

Ciekawie zwróciły się ku nam wszystkie spojrzenia: przyglądano się blademu mężczyźnie w fotelu na kółkach i młodej obok niego kobiecie. Stary Bartels poprowadził nas na sam przód sali, gdzie zatrzymane były przy nakrytych stołach miejsca dla zaproszonych gości.

„Że też jeszcze tego mogłem dożyć—panie profesorze—tego dożyć”,—powtarzał ciągle, a wielkie lzy radości perliły mu się w małych, mrugających oczkach.

Radosny okrzyk wstrząsnął powietrzem.—Wszyscy zerwali się, powiewając kapeluszami i chustkami—podniesiono dzieci na stoły i ramiona, tak że główki ich górowały po nad tłumami, jak kwiaty na zagęszczonej zieleni łąk. Szerokiem, opróżnionem z ludzi, wejściem środkowem, z którego obu stron tłoczyła się ciżba murem nieprzeniknionym, wchodzili jeden po drugim starzy bojownicy, których imię krwawem było widmem dla jednych, dla innych symbolem przyszłej szczęśliwości powszechnej.

Nie mogłam oderwać oczu od czterech idących na przedzie, których imiona wciąż powtarzano dokoła mnie szeptem: Liebknecht — Bebel — Auer — Engels. Jeden z nich był wysoki, z dużą, siwą brodą, wysokiem czołem, z ciskającymi błyskawice myśli oczami, z subtelnym rysem sarkazmu dokoła ust; drugi — niski, z gęstą zwichrzoną czupryną, której nieposłuszne kosmyki wciąż spadały mu na czoło, przysłaniając bardziej jeszcze jego spojrzenie, owo dziwne spojrzenie, cechujące poetów jeno i marzycieli. Trzeci dumnie na szerokich niósł plecach jasną głowę Germanów, a oczy jego, umiające niewątpliwie błyskać wyzywająco, jak oczy starych wodzów, wpatrzone były po przez tłum w przestrzeń. Na samym przodzie siedł główny gość, dla którego się tutaj zebrano, z uśmiechem tak pełnem wzruszenia, dobroci i serdecznego ukochania ludzi, jak gdyby ci wszyscy, wydający na jego cześć okrzyki, rodzonemi byli jego dziećmi.

Śpiew, muzyka, mowy powitalne szły kolejją, jak na wielkiej uczcie rodzinnej. Nic patetycznego, zarazem też nic, co przypominałoby hasła bojowe i grozę rewolucyjną, nie psuło nastroju. Szkarłat niezliczonych ko-

kard i chorągwi, porozstawianych porozwieszanych w sali, zdawał się dzisiaj być tylko kolorem radości, nie krwi. Nawet postać „wolności”, która ukazała się z frygijską czapką na czarnych kędziorach, skandując po uczniowsku swoje wiersze, podobniejszą była raczej do gońca wiosny, niżli do symbolu rewolucyi.

Na dole w sali, i na górze na trybunie, panował nastrój niezmaćenie radosny.

Znajomi witali się, przechodząc od jednego stołu do drugiego, a on, bohater dnia, przeciskał się wciąż z przyjaciółmi przez zwarte szeregi i ścisnął ręce starym, dawnym towarzyszom walk z ciężkich czasów prześladowania. Doszli też i do nas i usiedli obok Jerzowego fotela; wargi mojego biedaka drgały i oczy jego zaszkliły się łzą wzruszenia. Z ojcowsko-rycerskim ukłonem obdarzył mnie Engels wiązką kwiatów, wyjętą z ofiarowanych mu całych ich snopów. „Niebezpieczny znak” roześmiał się Liebknecht, wskazując na ukryty między moją wiązką czerwony goździk. „Znak zwycięstwa, mam nadzieję”—odrzekłam.

Wróciliśmy w milczeniu do domu. Wielka radość owładnęła naszymi duszami.

Był szary, wilgotno-chłodny dzień grudniowy. Miano dokonać poświęcenia nowego gmachu parlamentu. Stałam przy bramie Brandenburskiej, celem notowania wrażeń do zamierzonego artykułu. Śmiano się — rozmawiano — kpinkowano dokoła mnie: jeden mówił o „szczytce bezdarności” — tak określił niedawno cesarz podczas włoskiej swojej podróży budowlę

Wallota, — o pustej tablicy, która nadaremnie pewnie czekać będzie na napis: „Niemieckiemu narodowi” — prawil inny; — „junkrom i klechom, — zapiszą zamiast tego” — dodał zjadliwie trzeci. W otwartym powozie przejeżdżali deputowani: cywilusi w błyszczących cylindrach na głowach i kolorowych wstążeczkach przy dziurkach od guzików, z wyrazem poczucia ważności chwili na twarzach, duchowni w czarnych sutannach, o okrągłych, lśniących policzkach; oficerowie rezerwy, którym ciasne kołnierzyki pędziły krew do skroni, barwiąc je na sino pąsowy kolor i których mundury sztywno oblegały piersi i brzuchy.

Policyjanci uwijali się gorączkowo na wszystkie strony — konie ich najeżdżały na krzyczących ze strachu gapiów, oczyszczając środkową aleję.

Od strony zamku galopował pędem szwadron gwardyi przybocznej w świetnych mundurach z rozwianym na czele sztandarem. Wtem nagle łoskot — brzęk — okrzyk grozy — i dwaj jeźdźcy kłębili się pod cielskami swoich koni.

W tej samej chwili nadbiegał powóz — cesarz! W niemem czekiwaniu — zaledwie kilka kapeluszy wionęło z głów — oczekiwał tłum. — Chwiejąc się na nogach, z trupią bladą twarzą, poczołgał się na kolanach jeden z leżących na ziemi żołnierzy, — tuż obok niego rwały już o bruk kopyta ognistej czwórki.

Spizowa twarz monarchy wyłoniła się na sekundę — jedno jedyne zimne spojrzenie objęło w przelocie gwardyę — niemy tłum poza nią — i powóz znikł w obłoku kurzawy.

Wzburzona, zawiedziona gawiedź rozchodziła się powoli. Odpowiednia była to przygrywka do zapowie-

dzianego widowiska: walki o projekt kodyfikacji prawa wyjątkowego, który przedstawiony miał być jako pierwszy szkic prawa do decyzji przedstawicieli narodu w nowym parlamencie

Poświęcono go dzisiaj pod znakiem milicyi, — nadchodził czas wojenny.

W drodze przez osiadłą wilgotnemi oparami aleję Tiergartenu dojrzał mój plan i, zanim jeszcze powrócił Jerzy z uniwersytetu, leżała „deklaracya” moja już na biurku. „My, podpisane niżej kobiety, protestujemy w imieniu płci niewieściej przeciwko prawom wyjątkowym” — tak zaczynała się ona; a potem brzmiała, jak następuje: „Oświadczenie się przeciwko małżeństwu i rodzinie nietyle zagraża obyczajności ludu, ile sakcyonowanie nieobyczajności przez prawo, i nie manifestacye szerzą w najszerszych warstwach narodu wiarę w to, że życie nasze oparte jest na nieprawdzie i niesprawiedliwości, ale prawodawstwo, stawiające połowę ludzkości: matki obywateli kraju na jednym poziomie, z niepełnoletnimi, waryatami i złoczyńcami oraz stosunki ekonomiczne, wypędzające miliony kobiet na rynek walki o byt, burzące życie rodzinne i podważające małżeństwo...”

Tego samego jeszcze wieczora rozesłałam deklaracyę moją do pism z prośbą o podpisy. Gdy tylko ukazała się w druku, przyszedł do mnie niespodzianie wuj Walter. „Przychodzę ostrzedz cię” — rzekł — „mają cię na oku. Twój stosunek do stronnictwa socyal-demokratycznego wiadomy jest policji i dzisiaj w parlamencie ostrzegł mnie w zaufaniu minister spraw wewnętrznych, że gdyby projekt kodyfikacji prawa wyjątkowego lub inny w podobnym sensie miał wejść w życie, ty by-

łabyś jedną z pierwszych, którąby on dotknął; — o ile oczywiście,—” dodał zwolna, akcentując każdą sylabę,— „nie będziesz miała zawczasu dość rozsądku do cofnięcia się z tej drogi.”

„Dziękuję ci za życzliwość twoją, kochany wuju, sam wszakże nie przypuszczasz, abym pójść mogła za twoją radą.”

„Nie mamy sobie w takim razie nic więcej do powiedzenia; drogi nasze rozchodzą się na zawsze” — zawołał, zatrząskując za sobą drzwi.

Rzecz dziwna: nie był mi nigdy blizkim, a jednak... w chwili tej ścisnęło mi się boleśnie serce, uniósł z sobą pięćdziesiąt krainy mojego dzieciństwa. Co powie ojciec — myślałam ze strachem. Nie przyszedł jednak, tylko napisał dwa wiersze bez nagłówka i podpisu:

„Po twojem ostatniem zachowaniu się nie zdziwi cię to, że przez czas pewien pozostaniemy zdala od ciebie. Mamy wszakże ufność w Bogu, że cię nawróci znów na prawą drogę...”

Mroźny wiatr wschodni miótł ulice. Cieniutkie, błyszczące igiełki lodowe wirowały w powietrzu, szron stroił baśniowe drzewa i krzewy parków. Co rano towarzyszyłam teraz Jerzemu do uniwersytetu. Jego wykłady etyki społecznej zapełniały audytorium do ostatniego kącika, przy wejściu witały go gwałtownymi okrzykami tłumy roznamiętnionych słuchaczy — mężczyzn i kobiet, młodych i starych.

Z poza pulpitu wyłaniała się tylko jego blada w obramowaniu ciemnych włosów głowa, o promiennie

dziecięcych oczach. Mówił jak nigdy jeszcze, biczował grzechy kapitalizmu z taką zaciekłością, jakiej w murach tych nie słyszano dotąd jeszcze w tej sprawie, bronił praw kobiet i robotników z zapalem, który porywał wszystkich.

„Wiara, że stoimy teraz wobec głęboko sięgających zmian, wobec przewrotu, jakiemu podobnego nie przeżywała jeszcze ludzkość, jest przeświadczeniem, obejmującym coraz szersze kręgi... Nie czas już na spokojne marzenia...” Głos jego rósł z niezwykłą siłą, nabierając głębokiego metalicznego dźwięku dzwonu... „Musimy jasno zdać sobie sprawę ze stanu rzeczy i czuwać nad hasłami chwili... Musimy uświadomić sobie, w którą mamy iść stronę...”

„Podpisuje na siebie wyrok śmierci...” — usłyszałam cichy czyjś szept.

Cicho było jak w kościele. Zdjęto go z katedry i posadzono na ruchomym fotelu, z czią witali go w przejściu studenci.

Wiatr zadął mroźnie w rozpaloną jego twarz, gdy wyszliśmy na powietrze; dreszcz wstrząsnął nim; podniósł do góry kołnierza futrzany. Naprawdę prosiłam, aby pozwolił przenieść się z fotela do zamkniętego powozu. Przez całą długą drogę wzdłuż alei Lipowej Tiergartenu z wysiłkiem pasowaliśmy się z dmącą zawieruchą śniegową.

Przed naszym domem chodził niecierpliwie tam i nazad jakiś pan: wysoki, szczupły, z odwróconą w tył głową o subtelnie wykrojonych rysach i junacko podkreślonych do góry wąsach, — „Hassenstein” zawołałam zdumiona.

„We własnej osobie, łaskawa pani!” — rzekł, ca-

łując mnie w rękę,—„czekam na panią—nie mogłem opuścić Europy, nie pożegnawszy pani.”

Weszliśmy razem do naszego mieszkania. Z dziwnie pytającą miną przyglądał się Jerzy tak radośnie witanemu przeze mnie gościowi:

„Opuszcza pan Europę?” — zapytałam, a dal czego?”

„Od czasu bojowych moich doświadczeń w zagłębiu górniczym nie czułem się dobrze w mundurze wojaka” — odpowiedział, obrzucając niemile zdziwionem spojrzeniem mnie i Jerzego — „a czekająca mnie teraz znów możliwość, ba — konieczność strzelania przy okazji w rodziców i rodzeństwo nie wpłynęła zbytnio na spotęgowanie mojej ambicyi militarnej. — Mam brata na Jawie, — zamierzam pojechać do niego. Co prawda, cel nie nazbyt również godny dążenia! Cóż ma się jednak czynić, — gdy nie można zdobyć się na odwagę przystania do czerwonych!”

„W takim razie jest wybór pański napewno najlepszy” — rzekł Jerzy z nieprzyjazną szorstkością. Ceglaste rumieńce płonęły na wychudłych jego policzkach.

Hassenstein wstał, widocznie urażony. Pragnąc naprawić błąd Jerzego, podwójnie byłam serdeczna dla naszego gościa.

„Może spotkają się jeszcze kiedyś nasze drogi! Bądź pan bardzo, bardzo szczęśliwy” — mówiąc to, podałam mu obie ręce, nad którymi głęboko opuścił głowę.

„Dziękuję pani!”—szepnął wzruszony.

Zaledwie zdążył wyjść, zawołał mnie Jerzy. Głowa jego pałała, ręce były rozpalone.

„Masz gorączkę!”—zawołałam przerażona.

„Już tej nocy niezupełnie dobrze się czułem, — nie chciałem tylko opuścić dzisiaj wykładu” — chrapliwy kaszel przerwał mu mowę. „Ale to nic, dziecinko, — trochę kataru może!” — Znów przerwa. — „Chodź na chwilę do mnie, kochanie, — bliźiutko” — uklęknęłam obok niego — jego szybki gorący oddech palił mi twarz.— „ty — ty — kochałaś pewnie tego Hassensteina?”

„Jerzy!!” Krew uderzyła mi do głowy. „Skąd ci to na myśl przyszło?”

„Patrzyliście — patrzyliście tak na siebie, jak — jak ludzie, którzy dla siebie wzajem są stworzeni.

Przytuliłam z uśmiechem twarz do wychudłych jego dłoni. „Nigdy, Jerzy, nie łączyło nas nic” — wzrok mój tkwił jasno w jego oczach. „A gdyby tak nawet było, — czyż nie jestem dzisiaj twoją, — tylko twoją?!”

„O ty — ty!” — jęknął; ramiona jego tuliły się do moich, — utonął twarzą w moich włosach — serce jego było przy mojej piersi, waląc dziko, jak młotem.

Nie mógł się utrzymać przy biurku; musiałam wozić go po pokoju, kaszel wzmagał się, wstrząsając wątłem jego ciałem i za każdym razem wykrzywił rysy jego wyraz dojmującego bólu. Posłałam po lekarza. Zbadał go i uspokoił z uśmiechem, widząc że wzrok Jerzego zwraca się ku niemu z pełnem niepokojem pytaniem.

„Zażębienie. Okryj się pan ciepło.—a prędko minie”.

W nocy podniosła się gorączka. Nie wypuszczał mojej ręki. Od czasu do czasu spoglądał na mnie błagalnie, szepcząc ledwie dosłyszalnym głosem: „Pocałuj mnie!”

Nie odchodziłam od niego ani na krok przez trzy dni i trzy noce z rzędu.

„Musi pani mieć kogoś do pomocy” — oznajmił w końcu lekarz. Postrząsnęłam przecząco głową. Popołudniu czwartego dnia zdawała się gorączka opa- dać! Oczy rozjaśniły się.

„Muszę pomówić z tobą, Alicyo moja!” — zaczął chory spokojnym, pewnym głosem. „Zbliża się mój ko- niec, — nie płacz, dziecinko, — proszę, nie płacz! Zdaje mi się, że spełniłem mój obowiązek — „a czego nie zdą- żyłem dokonać, — ty — ty dokończysz za mnie! — — Będiesz mi wierną, — w najwyższym znaczeniu wier- ną” — osunęłam się w rozpacz przy nim na kolana — ręce jego spoczęły na mojej głowie — „kochałem cię nad wszystko w świecie”. Słowa wychodziły już tylko jak tchnienie z jego ust — „zamieniłaś mi życie w raj na ziemi, — dzięki ci, dzięki ”—.

Straciłam przytomność. Odzyskałam ją, leżąc na mojem łóżku; późna była noc, jedna tylko świeca paliła się w pokoju, obok mnie siedziała matka, — łagodna, cicha, i dobra, jak zawsze, kiedy pielęgnowała chorych.

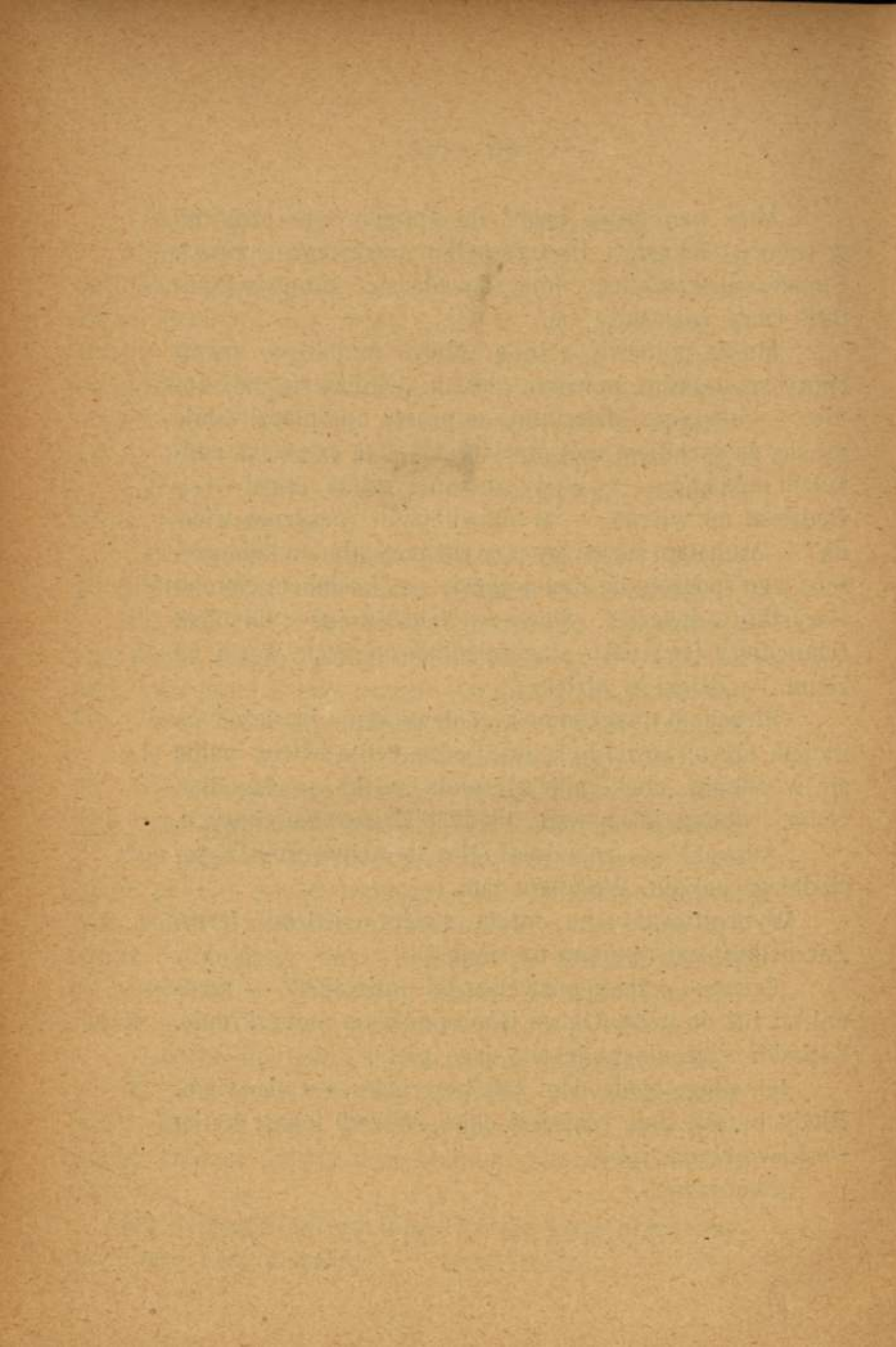
„Alicyo!” — zabrzmiał głos bezdźwięczny z są- siedniego pokoju. Wpadłam tam.

Wyprostowany na fotelu swoim siedział Jerzy. Zarzuciłam mu ramiona na szyję.

„Czemu — czemu pozwalasz mi umierać?!” — szep- nął mi tuż do ucha. Głowa jego upadła na moje skronie. Głębokie rżenie podnosiło jego pierś.

Jak długo siedziałam tak bez ruchu, — nie wiem. Błady brzask dnia rozjaśnił okno. Wszedł lekarz i ujął woskowo-błądą rękę.

„Skończone”.



ROZDZIAŁ DWUDZIESTY PIERWSZY.

Gorący dzień letni. Na łąkach Grainskich paliło słońce. Pstry kobierzec kwiatów jaśniał wszystkimi kolorami tęczy, strumień górski perlił się kaskadą srebrzystą. Pola śniegowe szczytów przeglądały się w jeziorze. Ciężki, odurzający zapach jaśminu nappełniał powietrze.

Leżałam otulona pledami w altanie, — patrzyłam na to wszystko, i nie widziałam nic. Ciotka Klotylda krzątała się przy mnie. Przyszła do mnie pewnego dnia w Berlinie, utuliła, płacząc rzewnie, w objęciach i powtarzała dwa wciąż wyrazy: „daruj mi!” Musiałam jej przyrzec, że przyjadę do niej w lecie.

A teraz byłam tutaj, — ostatni mój, cichy wypożyczek. Wiedziałam, jaka czeka mnie praca, jeśli mam pozostać wierną temu, którego zostawiłam tam, pod kobiercem zielonego bluszczu i róż pąsowych. Decyzja moja była powzięta. W biurku leżał pożegnalny mój list do czytelników pisma, którym kierowaliśmy pospół, — i list do rodziców moich, o którym wiedziałam, że zrani ich, jak nic dotąd. „Przeboleją” — uspokoiłam się podczas

jednej z bezsennych moich nocy — „odtąd przestanę istnieć dla nich, jakgdybym umarła!”

Wszystko to nie przyszło mi nawet z trudnością, dopóki byłam w domu, w samotnych moich pokojach. Oderwaną się już czułam od całej przeszłości. Zatraskani o mnie miłośnię rodzice chcieli, abym wróciła do nich,— tak mało o mnie wiedzieli! Wuj Walter ofiarował mi na miejsce cichego wypoczynku mieszkanie babki w zamku Pirgaleńskim, — tak dalecy byli od przypuszczenia, że niewolno mi było odpoczywać!

Jedna tylko Marta Bartels nauczyła się mnie rozumieć, gdy podczas najcięższych dni pierwszej samotności niejedną poświęciła mi godzinę pracy.

„Będzie nam pani miłą towarzyszką” — powiedziała.

Towarzyszką! — Żadnego mężczyzny — kochanką, żadnego dziecka — matką,—towarzyszką tylko nędzarzy i prześladowanych. Żegnałam wszystko z uczuciem niemal radosnem.

I nagle zrobiło mi się tak strasznie ciężko!

O, ty dniu letni nad szczytami gór, jakże jesteś piękny!

W powietrzu rozlana jest wielka jakaś tęsknica, — ptaki śpiewają radosny hymn upojenia, zapach kwiatów oszałamia. W promieniach słońca lśni liść każdy jak złoto, szare skały krwawią się o zmierrchu rumieńcem. Przede mną stoi wielki kosz, pełen kwitnących róż alpejskich. — Chcę zamknąć oczy, nie chcę widzieć tętniącego życia, — gdy to czynię wszakże, wkrada się niedosłyszalnie cichym krokiem wspomnienie do marzeń moich sennych... Przed laty spotkało mnie tutaj szczęście...

Wczesnym rankiem sunie moja łódka po jeziorze.

Przejrzeć mogę głęboko aż do samego dna, gdzie po szmaragdowym mchu ślizgają się pstrągi i śpią zaczarowane olbrzymy pni drzewnych. Zwolna włokę znużone nogi ku domowi po przez las, gdzie kwitną storczyki.

Sepp, gospodarzy teraz we własnej chacie. Młoda, jasnowłosa jego żona tuli pierworodnego do łona. Zawstydzony, mnący drżącymi palcami czapkę, wita dawną towarzyszkę zabaw. Wiedzieli o mnie we wsi, że walczę przeciwko „świętemu kościołowi” i bratam się z niedowiarkami! Dlaczego mnie to wszystko tak bardzo boli? Co mnie mogą obchodzić ci nieliczni, skoro należą do tamtych wielu.

„Pojutrze muszę odjechać” — oznajmiłam stanowczo ciotce, — „wiesz przecież, że robota czeka na mnie i że mi ona jest potrzebna”.

„Zostań jeszcze, moje dziecko, zostań, — taka jeszcze jesteś słaba” — prosiła.

„Dowiodę ci, jutro, że jestem silna”. — uśmiechnęłam się...

Dzwoniono na ranną mszę, kiedy wyszłam z bramy ogrodowej. Na chwilę przystanąłam, cisnąc dłonie do głośno stukającego serca.

Zdawało mi się, że dostrzegam z drugiej strony, między drzewami, cienie owieka — jawę dalekiej, dalekiej przeszłości.

Potem poszłam pewnym krokiem naprzód i wrzuciłam bez namysłu listy moje do niebieskiej skrzynki na poczcie. Co to? — kroki jakieś? Nie, to pewnie tylko stukanie i tętnienie własnej mojej krwi w uszach.

Wsparta na kiju pięłam się zwolna pod górę. Jak bujnie, rozrosły się drzewa na stokach! Dawniej dojrzewały tu w słońcu najśłodsze poziomki. A wyżej nową założono szkółkę — maleńkie pędy sosenek wyzierały już ciekawe z pomiędzy kępek traw i korzeni. Ongi biegłam tedy jak sarna, — dzisiaj z trudnością oddycham. Droga wiodła dalej lasem przez pienne kaskady, wyżej coraz wyżej, aż wreszcie wążka wiła się już tylko wzdłuż ścian ścieżynka. Głęboko w kotlinie pienił się i warczał strumień Piekielnik.

O, nie znam jeszcze zawrotów głowy, — gdy noga moja choć piędź znajdzie gruntu pod sobą, stanę na nim twardo i pewnie!

Jak szeroko, swobodnie oddycha tutaj pierś, — jak czyste i ożywcze jest powietrze szczytów. Po nad tonią podniebną wiją się przęśła żelaznego mostu, przerzuczonego z jednej góry na drugą, z drugiej znów strony wykuto w stromej skale schody, wiodące ku wierzchołkowi. Na miękkim mchu u stóp jodły, zuchwale wrzynającej korzenie swoje w zrąb skalny, urządzam wypoczynek. Góry zesunęły się tutaj półkolem: zbudowany przez olbrzymów amfiteatr, przeznaczony dla igrzysk bogów nieśmiertelnych.

Wtem słyszę kroki, — podkute gwoździami buty na stopniach w skale, — może złodziej leśny, albo przewodnik, idący tą drogą. Wstaję — opieram się mocno na kiju, — niema tu miejsca na wyminięcie. I już widzę go przed sobą, samotnego wędrowca, z piórkiem czaplim

na zielonym kapeluszu, pod nim ogorzałą twarz i... oczy—
Dreszcz wstrząsa mojem ciałem.

„Dlaczego lękasz się mnie, Alicyo — jestem przecież tylko cieniem upiornym naszej młodości”.

Opanowuję się i patrzę mu prosto w twarz. Jak zaostrzyły się miękkie niegdyś rysy—przychodzi mi na myśl. Krew przyływa mi znów do serca.

„Przepuść mnie, nie wierzę w upiory”, — mówię, — zmuszając dźwięk głosu mojego do oschłości.

„Szałaś tą samą, co i ja drogą: w górę!” — odpowiada zcicha, nie ruszając się z miejsca.

„Tą samą drogą?! Nie, — nasze drogi dawno się rozeszły — aby zaś twoja w górę miała prowadzić — o tem pozwolisz mi zwątpić!” — odparłam szyderczo, — własne moje słowa kolą mnie jak ostre szpilki.

„Szukałem cię, Alicyo, — od tygodni, — obecność moja tutaj nie jest prostym przypadkiem —” oczy jego ciskają gorące błyski —

„Ty—mnie?!” Śmieję się, i echo śmiechu mojego rozbrzmiewa po skałach, — ale serce moje płacze.

„Kocham cię” — szepce znów — „myślałem, że będę mógł zapomnieć o tobie, ale pozostałaś moją tęsknotą, — całe moje życie nieustannem było tylko czekaniem na ciebie. Nareszcie znalazłem cię! Alicyo ukochana moja, — nie opuszczaj mnie już więcej!” Błagalnie, jak żebrak, wyciąga ku mnie rozwarte ramiona.

„Myślę o owej nocy, Hellmucie, w której stałam przed tobą i obdarzyć cię chciałam tem, czego dzisiaj pragniesz ode mnie. — Teraz nie mam już nic — jestem nędzarką! Kocham jeszcze tylko wspomnienie, — nie ciebie; obcym jesteś dla mnie człowiekiem, — obok któ-

rego przejść muszę”. W sercu mojem drga jakgdyby utajone życie, ze śmiercią walczące. —

„Będę zebrał o twoją miłość, Alicyo” — w pokorze — cierpliwie, — miłość moja rozgrzeje cię znów, ty zimna!

Potrząsam głową. „Nie!” — mówi ostry jakiś głos. Czy był to mój własny?! Prostuje się, wzrok jego lodowacieje, — cofa się, a ja, nie patrząc na niego, przechodzę dalej — bardzo wolno, dysząc ciężko, oparta mocno o kij.

Wysoko, w górze, gdzie na zielonym kopcu dokoła ruin zamczyska kwitną gęstymi kępami ciemno-błękitne niezapominajki, spoglądam raz jeszcze w dolinę: na drodze, wiodącej ku niej, stoi szara postać, omglona oparami głębin: młodość moja.

A stroma ścieżynka, którą iść pragnę, dokąd mnie zawiedzie?

K O N I E C .

BIBLIOTEKA
UMCS
LUBLIN